P. 9786 Cht. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/237-8/238 1967

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. GRZĘDZIŃSKI: **W CIENIU OJCA WIRGILIUSZA**
G. SIERIEBRIAKOWA: **SMIERCZ**
L. TYRMAND: **COCKTAIL PARTY**
T. NOWAKOWSKI: **WIOSNA W GRECJI**

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	*Literatura i rewolucja*	3
Aleksander I. Sołżenicyn:	*List do Zjazdu Pisarzy*	7
January Grzędziński:	*W cieniu Ojca Wirgiliusza*	11
Ilja Zwieriew:	*Obrońca Siedow*	29
Galina Sieriebriakowa:	*Smiercz*	47
Istvan Örkény:	*Modlitwa*	51
Dawid Klin:	*„Wenecja"*	64
Leopold Tyrmand:	*Cocktail Party*	71
Marek Hłasko:	*List z Ameryki*	81
Tadeusz Nowakowski:	*Wiosna w Grecji*	97
	WIERSZE	
Bogumił Andrzejewski:	*Dziwy na pływalni*	111
	OBSERWATORIUM	
—	*Izrael*	118
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Juliusz Mieroszewski:	*Wartości wyższego rzędu w polityce*	120
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	129
	K R A J	
—	*Konfrontacje*	136
	NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI	
Kazimierz Okulicz:	*Życie wytężone*	150
	SPRAWY I TROSKI	
Zofia Dembska:	*Mazowiecka Hindmarsh Island*	167
	KRONIKA KULTURALNA	
Andrzej Nakov:	*Forma otwarta czyli nie próbujmy bilansu*	171
„ „	*Na marginesie estetyki*	178
Michał K. Pawlikowski:	*„Nowyj Żurnał"*	179
Łucja Gliksman:	*Anna Weintraub*	181
	◆	
Juliusz Mieroszewski:	*Z zapisków oficera czasu wojny*	183
	KSIĄŻKI	
Wacław Iwaniuk:	*U poetów*	188
Stanisław Bóbr-Tylingo:	*Das ist Polen*	195
Bogdan Mieczkowski:	*Wędrówka czy błąkanina*	200
Aleksander Hertz:	*USA w oczach Francuzów*	204
Piotr Borkowski:	*Znakomity podręcznik*	208
Michał Borwicz:	*Major Armii Czerwonej Kabanow*	212
Tadeusz Nowacki:	*Słowa a czyny*	215
ERKA:	*Historia Węgier*	222
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	223
	◆	
J. Korson:	*Wydarzenia miesiąca*	226
	◆	
J. Librach, J. Ostaszewski, L. Słomiński, A. Zaleska, M. Czapska, J. Czapski, K. A. Jeleński, St. Vincenz, A. Wat:	*Listy do Redakcji*	234
St. Mroczkowski:	*Oświadczenie*	238
	Wyjaśnienie	239

Jan Dabrowski

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec–Sierpień — Juillet-Août 1967

INSTYTUT LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Dawid KLIN, urodzony 1905 w Kaliszu. Ukończył gimnazjum Filologiczne im. „Adama Asnyka". Przed wojną czynny jako sekretarz okręgowy Żydowskich Związków Zawodowych i socjalistycznej organizacji BUND.

Podczas okupacji czynny w ruchu podziemnym jako łącznik między podziemnym Komitetem BUNDU w getcie a polskim ruchem socjalistycznym PPS (WRN). W kwietniu 1942 poszukiwany przez gestapo uciekł na aryjską stronę i tam był dalej czynny w żydowskim i polskim ruchu podziemnym. Brał udział w Powstaniu Warszawskim na Starówce, następnie w Śródmieściu w szeregach Milicji PPS. Po wojnie dyrektor administracyjny organu wojewódzkiego PPS — „Kurier Popularny" w Łodzi. W końcu 1947 roku, w okresie przygotowawczym do likwidacji PPS, aresztowany przez UB i skazany na 6 lat więzienia. Odsiedział 3 lata.

Obecnie w Paryżu, czynny w Bundzie i zajmuje się dziennikarstwem. Pseudonim podczas okupacji „Bronek".

Istvàn ÖRKÉNY urodził się w 1912 r. Studiował chemię na Uniwersytecie Budapesztańskim. Dostał się do niewoli rosyjskiej na wschodnim froncie, wrócił na Węgry dopiero w 1947 r. Rozpoczął swą pisarską karierę występując na łamach *Szép Szó*, pisma przedwojennej węgierskiej lewicy. W 1955 roku za zbiór opowiadań „W śnieżycy" dostał Nagrodę Attili Jozsefa. Jego nowe opowiadanie, wydane pt. „Jerozolimska księżniczka" (1966) wywołały żywe zainteresowanie krytyków i czytelników węgierskich.

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Władysław Stefanik, Detroit, Mich. (USA)	F. 24,50
Bezimiennie, So. Dakota (USA)	F. 24,50
Roman Królikowski, Johannesburg, po raz trzeci	F.100,00

DZIĘKUJEMY!

Do nru czerwcowego „Kultury" przy podawaniu wpłat na Fundusz „Kultury" wkradł się przykry błąd — mianowicie wydrukowano jako ofiarodawcę p. Jerzego Laskowskiego z Paryża — oczywiście winno być *Janusz* Laskowski — za błąd ten bardzo przepraszamy.

◆

Podajemy do wiadomości naszych czytelników że George J. Flemming, autor głośnych książek „Polska mało znana" oraz „Czym to się je?" wyjechał jako nasz specjalny korespondent do Izraela. Pierwszy reportaż ukaże się w nrze wrześniowym. G. J. Flemming ma zamiar napisać książkę poświęconą problemom izraelskim.

◆

Bieżący zeszyt „Kultury" (lipiec-sierpień 1967) jest jak zwykle podwójny. Następny ukaże się 1 września rb.

Imprimé en France

BIBLIOTEKA BN P.9786 Chr. Arch

Literatura i rewolucja

Erenburg pisze w swoich wspomnieniach: „Otworzyłem niedawno książkę, która należy już dziś do rzadkości: stenogram Pierwszego Zjazdu pisarzy sowieckich z roku 1934. Przejrzałem listę delegatów: rzadkością stali się również pisarze, którzy brali udział w zjeździe; z siedmiuset pozostało przy życiu pięćdziesięciu". Jeśli się pamięta że nie wszyscy umarli we własnych łóżkach śmiercią naturalną, łatwiej będzie zrozumieć dlaczego stenogram nie jest w Rosji wznawiany, chociaż to na Pierwszym Zjeździe właśnie proklamowano przy biciu w bębny i kotły dogmat „realizmu socjalistycznego" w literaturze i pasowano pisarzy na „inżynierów dusz ludzkich".

Nie wznawiany ze zrozumiałych powodów w Rosji, stenogram został ostatnio przypomniany (ze skrótami) we Włoszech. Książce nadano w przekładzie włoskim tytuł *Rivoluzione e letteratura.* Obszernym wstępem poprzedził ją znany komunistyczny krytyk literacki, rusycysta i tłumacz literatury sowieckiej, Vittorio Strada. Jego przedmowę czyta się z większym zainteresowaniem, niż tekst stenogramu.

Tytuł jest odwróceniem tytułu głośnej książki Trockiego *Literatura i rewolucja* (1923). To odwrócenie posiada głębszy sens. Trocki pisał: „Nie tylko nie ma kultury proletariackiej, ale jej nie będzie; i nie ma naprawdę potrzeby martwić się z tej racji: proletariat zdobył władzę po to między innymi, by skończyć raz na zawsze z kulturą klasową i utorować drogę kulturze ludzkiej". Niechętny (podobnie zresztą jak Lenin) ideologii *proletkultu,* Trockij miał tendencje do stawiania literatury „ponad", wyznaczając jej rolę najpierw prekursora a potem ludzkiego sumienia rewolucji. Obojętne co się o jego poglądach sądzi: był w każdym razie przeciwnikiem „instrumentalizowania" pisarzy, które z woli

Stalina przybrało ostatecznie na Pierwszym Zjeździe formę ich całkowitego upaństwowienia.

A więc od roku 1934 *Rewolucja i literatura,* skoro pisarze stawali się odtąd urzędnikami państwa zwycięskiej rewolucji. Czytając stenogram, należy sobie wyobrażać większość obecnych na sali „inżynierów dusz ludzkich" w mundurach z odznaczeniami i gwiazdkami zależnymi od stopnia zasług i przydatności dla aparatu rządzenia. Zjazd otworzył Żdanow, ale ton nadały mu przemówienia Gorkiego, Bucharina i Radka, trzech późniejszych ofiar Stalina. O programowym referacie Gorkiego włoski krytyk komunistyczny pisze: „W tym samym czasie gdy coraz to nowymi więźniami zapełniały się sowieckie obozy pracy przymusowej, Gorkij wynosił pod niebiosa ideologię pracy jako nową religię człowieka. Miejsce krytycznej myśli marksistowskiej zajmowała dogmatyka. Filarami nowego gmachu były organizacja biurokratyczna i mistyka produkcyjna". Jedno z biur w tym gmachu przeznaczono dla „inżynierów dusz ludzkich". Naczelny inżynier, czyli Gorkij, napiętnował *„woździzm,* chorobę stulecia", dodając natychmiast dla uspokojenia zebranych: „U nas, którzy tworzymy rzeczywistość socjalistyczną, podobne narośle są oczywiście nie do pomyślenia".

Sloganem zjazdu były słowa Sobolewa: „Otrzymaliśmy od partii i rządu wszystko z wyjątkiem prawa pisania źle". Chodziło naturalnie o „pisanie źle" w sensie artystycznym, jakkolwiek musiało to zabrzmieć dość dwuznacznie. W dwóch tylko wystąpieniach wrażliwe ucho mogło dosłyszeć nutę niepokoju. Pasternak: „Nie poświęcajcie samych siebie dla kariery. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo przeistoczenia się w dygnitarzy literatury. Trzymajmy się z daleka od tej pokusy". U Babla był to typowy dla niego, niewinny na pozór, *tonkij namiok na tołstoje dieło:* „Co pewien czas wyskakuje nagle osobnik głęboko, do szpiku kości smutny i dalejże mówić bez końca o własnej radości; na widok takich zadowolonych ze wszystkiego zbiera się człowiekowi na wymioty".

W dwa miesiące po zjeździe André Gide, jeszcze nie autor *Powrotu z ZSSR,* informował o nim uczestników wieczoru zorganizowanego przez *Association des écrivains et artistes révolutionnaires:* „Istnieje konwencja mieszczańska, przeciw której walczyłem całe życie; ale miejmy odwagę powiedzieć: może powstać także konwencja komunistyczna. Jestem zdania że cała literatura znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, gdy pisarz uważa się za obowiązanego do słuchania *mot d'ordre.* Że literatura, że sztuka mogą służyć rewolucji, rozumie się samo przez się; ale nie mogą być nastawione na służenie jej. Nigdy nie służy jej się tak dobrze, jak kiedy ma się na oku wyłącznie prawdę. Literatura nie powinna być w służbie rewolucji. Literatura służebna jest literaturą upodloną, choćby sprawa której służy była najbardziej słuszna i szczytna. Ale ponieważ sprawa prawdy łączy się w moim sercu, w naszych sercach, ze sprawą rewolucji, sztuka służąca wyłącznie prawdzie służy równocześnie rewolucji. Nie idzie za nią krok w krok; nie podporządkowuje jej się; nie odzwierciedla jej. Rozjaśnia ją".

Była to ostatnia, spóźniona próba ocalenia formuły *Literatura i rewolucja.* W Moskwie „inżynierowie dusz ludzkich" otrzymali już z rąk partii i rządu prawo karnego stania w szeregu i słuchania *mot d'ordre.*

◆

W zakończeniu przedmowy do stenogramu Strada przenosi się w bliższe nam czasy: „Czytelnik sowiecki jest nieporównanie lepszy od swoich mentorów literackich, ale stalinizm wzniósł zbyt solidną i trwałą budowlę zasad i instytucji by można było oczekiwać że zniknie ona bez śladu. Dowodzi tego sprawa *Doktora Żiwago,* a ostatnio także sprawa Siniawskiego i Daniela. Proces dwóch młodych pisarzy sowieckich ujawnił jednak reakcję, która pozwala mieć nadzieje na przyszłość. Znaczny odłam intelektualnej opinii publicznej w Rosji zaprotestował przeciw przewodowi sądowemu w listach i petycjach skierowanych bezpośrednio do władz. Nie będzie przesadą twierdzić, że proces Siniawskiego i Daniela był dla społeczeństwa sowieckiego czymś w rodzaju małej sprawy Dreyfusa". Trzeba pamiętać, że pisze tak komunista.

Cień tej „małej sprawy Dreyfusa" ciążył nad obradami i błąkał się w kuluarach tegorocznego Czwartego Zjazdu pisarzy sowieckich. Towarzyszył mu, co łatwo odgadnąć z przemówienia Szołochowa, inny cień: Swietlany Alilujewoj. Jej „list do Pasternaka" zawierał zdanie: „O męczennicy literatury rosyjskiej, nic się nie zmieniło, jak dawniej żandarmi i policjanci są pierwszymi krytykami dzieła pisarza". W trzydzieści trzy lata po kreowaniu przez Stalina „inżynierów dusz ludzkich" jego córka przemówiła głosem pokolenia Danielów i Siniawskich.

W intencjach organizatorów Czwarty Zjazd miał być świętem zgody rodzinnej u progu pięćdziesięciolecia rewolucji. Nie był nim ani przez chwilę, ale łudzono się zapewne że rysy na fasadzie celebracyjnej nie zamienią się przynajmniej w jawne i głośne pęknięcie. List Sołżenicyna rozwiał te złudzenia. Ilu wtajemniczonych znało jego tekst? Krążył w odpisach? Był komentowany przez delegatów? Jeśli wierzyć doniesieniom *Le Monde,* ponad 80-ciu

delegatów zażądało jego publicznego odczytania*. Nie ma to już dziś jednak większego znaczenia. Dzięki Sołżenicynowi prawdziwy stenogram Czwartego Zjazdu sprowadza się do jednego dokumentu objętości czterech stron maszynopisu.

Jest to dokument wielkiej wagi. W marcu br. wysłannik słowackiego tygodnika *Kulturny Život* Pavel Liczko rozmawiał z Sołżenicynem w Moskwie i Riazaniu. „Literatura rosyjska — usłyszał od autora *Dnia Iwana Denisowicza* i *Zagrody Matriony* — zawsze zwracała się ku tym, którzy cierpią. Głosi się u nas pogląd, że należy pisać w sposób upiększający o tym co będzie jutro. To jest fałszywe, taki punkt widzenia usprawiedliwia kłamstwo, taka literatura jest kosmetyką. Pisarz musi się niepokoić, musi pisać o tym co widzi i jak widzi. Podstawą literatury jest głębokie przeżywanie procesów społecznych". Istota listu Sołżenicyna do Czwartego Zjazdu ujęta jest w zdaniach: „Literatura która nie oddycha powietrzem społeczeństwa współczesnego, która nie może przekazać jego bólów i niepokojów, która nie może na czas ostrzec o grożących niebezpieczeństwach moralnych i społecznych, taka literatura nie zasługuje na swoją nazwę, jest zwykłą kosmetyką. Jej utwory nie są warte czytania, stają się stertą starych szpargałów". Przed rokiem Wasilij Bykow mówił na zjeździe pisarzy białoruskich o „poniżeniu roli pisarza". (Polski wariant „poniżenia roli pisarza" opisuje bardzo dobrze January Grzędziński w bieżącym numerze *Kultury*).

Wyczuwa się tu naturalnie próbę „powrotu do korzeni", do rosyjskich tradycji „literatury obywatelskiej". Obserwujemy to zjawisko nie tylko w Rosji. W Czechosłowacji Ladislav Mnaczko przez dwa lata walczył z cenzurą o swoją powieść przedstawiającą dzieje skorumpowanego dygnitarza komunistycznego, klasycznego przedstawiciela „nowej klasy"; pokonany, zdecydował się wreszcie wydać ją w Austrii pod wymownym tytułem *Wie die Macht schmeckt*. W Czechosłowacji jednak protest moralny posuwa się dalej, oskarżycielski pazur „literatury obywatelskiej" zarysowuje perspektywy następnego stadium. *Literarni Noviny* proponują nową chronologię ruchów rewolucyjnych, których punktem kulminacyjnym był Budapeszt: Brno 1951, Pilzno 1953, Berlin 1953, Poznań 1956. Ta chronologia nie jest też pozbawiona szerszego łuku historycznego, sięgającego od Komuny Paryskiej poprzez Kronstadt do Budapesztu...

Literatura i rewolucja odzyskuje stopniowo, po okresie długiej degradacji, swoją dawną aktualność.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

* W kilka dni później korespondent moskiewski *Corriere della sera* doniósł, że około dwustu pisarzy sowieckich zsolidaryzowało się z Sołżenicynem w listach grupowych i indywidualnych do władz Związku (przyp. w korekcie).

Drukujemy poniżej list A. I. Sołżenicyna, wysłany w dniu 16 maja br. do IV Wszechzwiązkowego Zjazdu Sowieckich Pisarzy do Prezydium Zjazdu i Delegatów, do Członków Związku Pisarzy Sowieckich oraz do Redakcji pism literackich. Tekst ukazał się w dniu 31 maja w „Le Monde". Integralny przekład na język polski podajemy z upoważnienia Redakcji „Le Monde".

Nie mając prawa przemawiać z trybuny domagam się, aby Zjazd zbadał następujące sprawy:

I. — Ucisk cenzury, któremu od dziesiątków i dziesiątków lat podlega nasza literatura jest już więcej nie do zniesienia i Związek pisarzy nie może mu się dłużej poddawać.

Cenzura, nieprzewidziana Konstytucją, a więc nielegalna, cenzura, której nigdy jawnie się nie wymienia, ciąży na naszej literaturze pod mglistą firmą „Gławlitu". Pozwala ona ludziom, pozbawionym kultury, na wywieranie nacisku na pisarzy. Cenzura — ten przeżytek Średniowiecza potrafiła wzorem Matuzalema dożyć prawie do XXI wieku. Przemijająca — usiłuje przypisać sobie to co jest niedoczesne: oddzielać książki złe od dobrych.

Nasi pisarze nie mają prawa wypowiadania głośno swoich sądów o życiu moralnym jednostki i społeczeństwa, wyjaśniania na swój sposób zagadnień i problemów społecznych czy doświadczeń historycznych, które tak głęboko przeżywał nasz kraj. Dzieła, które mogłyby wyrażać myśli dojrzewające w narodzie i które, w odpowiednim czasie, mogłyby mieć decydujący wpływ w dziedzinie ducha czy na ewolucję społecznej świadomości, są zakazane lub zdeformowane przez cenzurę na skutek rachub małostkowych, egoistycznych i krótkowzrocznych z punktu widzenia narodu.

Doskonałe rękopisy młodych, jeszcze zupełnie nieznanych pisarzy, są dziś odrzucane przez redakcje dla jednego tylko powodu: że „nie przejdą". Wielu członków Związku, a nawet delegatów na ten Zjazd, wie jak sami musieli ulegać presjom cenzury, ustępować jeśli idzie o strukturę czy koncepcję ich dzieł. Zmieniali rozdziały, stronice, ustępy, zdania, musieli szpikować swoje teksty wyblakłymi sloganami jedynie po to, aby je zobaczyć w druku i w ten sposób niszczyli je bezpowrotnie. Jeśli weźmiemy pod uwagę właściwości literatury to te okaleczenia, zgubne dla dzieł wybitnych, są całkowicie niewyczuwalne w przeciętnych, a zatem lepsza część naszej literatury rodzi się okaleczona.

A tymczasem etykietki cenzury („ideologicznie szkodliwe", „błędne" itd.) są nietrwałe. Przemijają i zmieniają się na naszych oczach. Nawet Dostojewski — duma literatury światowej — był przez pewien czas u nas zakazany (a jeszcze i dziś nie wydaje się go w całości). Został on wykluczony z programów szkolnych, był nie do osiągnięcia, dla czytelnika, był wyklinany. Przez ileż to lat uważano Jesienina za „kontrrewolucjonistę" (czyż nie karano więzieniem za posiadanie jego książek)? A Majakowski — czyż nie był „anarchistą", „politycznym chuliganem"? Dziesiątki lat uważano nieprzemijające poematy Achmatowej za „antysowieckie". Pierwsze, nieśmiałe wydanie olśniewającej Cwietajewej ogłoszono dziesięć lat temu za „gruby błąd polityczny". Z dwudziestoletnim opóźnieniem zwrócono nam Bunina, Bułgakowa, Płatonowa; w nieuniknionej kolejce stoją: Mandelsztam, Wołoszyn, Gumilew, Klujew. Nie można w przyszłości uniknąć „uznania" Zamiatina i Remizowa. Po śmierci niewygodnego pisarza — to jest sprawa

decydująca — zwraca się go, prędzej czy później, naszej literaturze „wyjaśniając jego błędy". Przez długi okres czasu nie można było głośno wymieniać nazwiska Pasternaka. Ale teraz, kiedy nie żyje, jego książki są wydawane a nawet jego poematy cytowane w czasie uroczystości.

Zaiste spełniają się słowa Puszkina: *„Oni umieją kochać tylko zmarłych"*.

Ale spóźnione opublikowanie dzieł czy „uznanie" jakiegoś nazwiska nie kompensuje w żaden sposób strat społecznych i artystycznych, jakie ponosi nasz naród z powodu tych monstrualnych opóźnień, tego zaduszenia świadomości artystycznej. (W szczególności pisarze lat dwudziestych: Pilniak, Płatonow, Mandelsztam, wskazywali bardzo wcześnie na narodziny kultu jednostki i na charakterystyczne cechy Stalina, ale ich zniszczono, zaduszono, zamiast wysłuchać). Literatura nie może rozwijać się w kategoriach: „puszczą", „nie puszczą", „to można", „tego nie wolno". Literatura, która nie oddaje atmosfery w jakiej żyje współczesne jej społeczeństwo, która nie ma odwagi przekazać mu swego bólu i swoich niepokojów, która nie może w porę ostrzegać przed grożącymi niebezpieczeństwami: moralnymi i społecznymi, nie zasługuje nawet na miano literatury, a jedynie na miano kosmetyki. Naród traci zaufanie do takiej literatury. Jej dzieła nie zasługują na to, aby były czytane. Jest to tylko makulatura.

Nasza literatura straciła przodujące miejsce, jakie zajmowała w świecie w końcu ubiegłego i na początku bieżącego wieku, straciła blask eksperymentu, którym wyróżniała się w latach dwudziestych. Cały świat uważa nasze życie literackie za nieskończenie biedniejsze, bardziej płaskie i gorsze niż jest nim ono w rzeczywistości i jakim nie wydawałoby się, gdyby nie było ograniczane, gdyby nie zamykano mu drogi. Traci na tym nasz naród w opinii światowej, traci na tym także literatura światowa. Gdyby bowiem rozporządzała wszystkimi tworami naszej literatury, bez ograniczeń, gdyby mogła się pogłębiać dzięki naszemu duchowemu doświadczeniu, wtedy ewolucja artystyczna całego świata przebiegałaby inaczej. Znalazłaby nową pożywkę i osiągnęła nowy poziom artystyczny.

Proponuję, aby Zjazd zażądał i uzyskał — w odniesieniu do literatury — całkowite zniesienie cenzury — jawnej czy ukrytej — aby uwolnił domy wydawnicze od obowiązku otrzymywania zezwolenia przed rozpoczęciem druku każdego arkusza.

II. — Obowiązki Związku wobec członków. Te obowiązki nie są jasno określone w statucie Związku Pisarzy („obrona praw autorskich" i „środki obrony innych praw pisarzy"). Można z przykrością stwierdzić, że minęła już jedna trzecia wieku, w którym to czasie Związek nie bronił ani „innych praw", ani nawet praw autorskich prześladowanych pisarzy. Wielu pisarzy, za swego życia, było obrzucanych w prasie i na trybunach obelgami i kalumniami nie mając żadnej materialnej możliwości obrony; co więcej, byli oni poddawani osobistym prześladowaniom i ograniczeniom (Bułgakow, Achmatowa, Cwietajewa, Pasternak, Zoszczenko, Płatonow, Aleksander Grin, Wasilij Grossman). Związek nie tylko nie udostępnił im łamów w swoich publikacjach, aby mogli się bronić i oczyścić z zarzutów, nie tylko nie interweniował w ich obronie, ale przeciwnie Kierownictwo Związku zawsze stawało na czele prześladowców. Ci, którzy upiększyli naszą poezję XX wieku zostali wykluczeni ze Związku, jeżeli w ogóle byli przyjęci. Co więcej: Zarząd Związku tchórzliwie pozostawił samych sobie w nieszczęściu tych, którzy

zostali skazani na wygnanie, na obozy koncentracyjne, na śmierć (Paweł Wassiliew, Mandelsztam, Artem Wessioły, Pilniak, Babel, Tabidze, Zabołotski i inni). To wyliczenie powinniśmy przerwać słowami „i inni". Po XX Zjeździe Partii dowiedzieliśmy się, że posłuszny Związek pozostawił własnemu losowi w więzieniach i obozach p o n a d 600 pisarzy. A przecież ta lista jest o wiele dłuższa. Nigdy nasze oczy nie zobaczą, nigdy nie przeczytają końca tej listy. Są na niej nazwiska młodych prozaików i poetów, których poznawaliśmy jedynie przypadkiem, na skutek osobistych spotkań, ludzi, których talent zaginął w łagrach zanim doszedł do rozkwitu, ludzi, których dzieła nie przekroczyły granic gabinetów urzędów bezpieczeństwa państwowego w czasach Jagody, Jeżowa, Berii, Abakumowa.

Żadna konieczność historyczna nie nakazuje nowoobranemu zarządowi Związku, aby dzielił ze swymi poprzednikami odpowiedzialność za przeszłość.

Proponuję, aby w paragrafie 22 statutu Związku sformułowano wyraźnie wszystkie gwarancje obrony, jakich Związek udziela swoim członkom, wystawionym na oszczerstwa i nieusprawiedliwione prześladowania, a to w tym celu, aby powtórzenie bezprawia stało się niemożliwe.

Jeżeli Zjazd Pisarzy nie jest obojętny na to wszystko, co powiedziałem, proszę, aby poświęcił chwilę uwagi zakazom i prześladowaniom, jakie były moim udziałem:

1) Moja powieść „W pierwszym kręgu" (trzydzieści pięć arkuszy autorskich) została mi zabrana przed dwoma laty przez urząd bezpieczeństwa państwowego, co mi uniemożliwiło przedłożenie jej wydawcom. Ale za to, za mojego życia, wbrew mojej woli, a nawet bez poinformowania mnie, powieść ta została „wydana" w formie „tajnej", wbrew naturze, dla czytelnika w bliżej nieokreślonym i wybranym środowisku. Moja powieść była dostępna dla urzędników literatury, ale była ukryta przed większością pisarzy. Nie mogłem uzyskać otwartej dyskusji nad tą powieścią w sekcjach pisarzy, a także nie mogłem przeszkodzić nadużyciom i plagiatom.

2) W tym samym czasie co powieść zabrano mi moje archiwum literackie, zbierane od piętnastu-dwudziestu lat, rzeczy, które nie były przeznaczone do publikacji. Obecnie, w tych samych środowiskach, kolportuje się tendencyjnie dobrane wyjątki z tego archiwum, znowu jako „tajne wydania". Sztuka wierszem „Uczta zwycięzców", napisana w całości w łagrze, w którym figurowałem pod czterema różnymi numerami (kiedy to zostaliśmy wydani na śmierć, zapomniani przez społeczeństwo i kiedy, poza obozem, *nikt* nie protestował przeciwko represjom), ta sztuka, dawno przeze mnie porzucona, uznana jest obecnie za moje najświeższe dzieło.

3) Już od trzech lat toczy się kampania nieodpowiedzialnych oszczerstw przeciwko mnie, który odbyłem całą wojnę jako dowódca baterii odznaczony bojowymi orderami. Mówi się, że w tym okresie byłem pospolitym przestępcą, albo że poddałem się nieprzyjacielowi (nigdy nie byłem wzięty do niewoli), że byłem „zdrajcą", że „służyłem Niemcom". W ten sposób tłumaczy się te jedenaście lat, które spędziłem w obozach koncentracyjnych i na wygnaniu, po zaaresztowaniu mnie za krytykę Stalina. Te oszczerstwa rozpowszechnia się na zebraniach i w tajnych instrukcjach poprzez osoby zajmujące oficjalne stanowiska. Na próżno usiłowałem zahamować te oszczerstwa zwracając się do Związku Pisarzy Republiki Rosyjskiej i do prasy. Kierownictwo nigdy mi nie odpowiedziało, a żaden dziennik nie wydrukował mojej odpo-

wiedzi oszczercom. Przeciwnie, w ostatnim roku otwarte kalumnie, wygłaszane z trybun przeciwko mnie wzmogły się i zaostrzyły; wykorzystuje się, odpowiednio fałszując, materiały pochodzące ze skonfiskowanego mi archiwum, a mnie pozbawia się możliwości odpowiedzenia.

4) Moje opowiadanie „Oddział rakowatych" (25 arkuszy autorskich), które zostało zalecone do druku (pierwsza część) przez sekcję prozaików Związku Pisarzy Moskiewskich, nie może być ogłoszone ani jako poszczególne rozdziały (odmówiło pięć periodyków), ani w całości (odmówiły: „Nowyj Mir", „Zwiezda" i „Prostor").

5) Sztuka „Renifer i łagierna prostytutka", przyjęta w 1962 r. przez Teatr Sowremiennik, do dziś dnia nie uzyskała pozwolenia na jej wystawienie.

6) Scenariusz filmowy „Czołgi znają prawdę", sztuka „Światło, które jest w tobie", krótkie opowiadania „Prawa dłoń" oraz seria „Drobnych" nie znajdują ani reżysera ani wydawcy.

7) Moje opowiadania ogłoszone w miesięczniku „Nowyj Mir" nigdy nie zostały wydane w książce. Wszędzie je odrzucano (Sowietskij Pisatiel, Goslitizdat, Biblioteka „Ogoniok"). A zatem są one niedostępne szerokiej publiczności.

8) Jednocześnie zabroniono mi jakiegokolwiek kontaktu z moimi czytelnikami, publicznego odczytywania moich utworów (w listopadzie 1966 roku, w ostatniej chwili zakazano 9 konferencji na 11, które były przewidziane), produkowania moich utworów w radio. Nawet prosty fakt dania rękopisu do „czytania i przepisania" jest u nas obecnie karnym przestępstwem (starzy przepisywacze rosyjscy mogli to robić pięć wieków temu).

W ten sposób ostatecznie zduszono moje dzieło, zakneblowano je i zakłamano.

Czy IV Zjazd Związku podejmie się, czy nie, mojej obrony przeciwko tak grubemu naruszeniu moich praw jako autora i moich „innych praw"? Wydaje mi się, że wybór jak należy postąpić nie jest bez znaczenia dla literackiej przyszłości wielu delegatów.

Naturalnie, ja sam jestem spokojny, że swoje zadanie pisarza wypełnię w każdych okolicznościach, a z jeszcze większym powodzeniem zza grobu. Nikt nie może zagrodzić drogi prawdzie. Dla tej przyszłości gotów jestem na śmierć. Ale czyż te wszystkie doświadczenia nauczą nas w końcu, że nie należy hamować pióra pisarza kiedy jeszcze jest wśród żywych? To jeszcze nigdy nie upiększyło naszej historii.

W cieniu ojca Wirgiliusza

I

Na wybojach polskiej drogi trzęsie się furka polskiej literatury. Trzęsie się i trzęsie, odnosi się wrażenie że furka jedzie ale krajobraz wokoło mało się zmienia lub nie zmienia się wcale: koła obracają się w miejscu, a furka się nie posuwa.

A wstrząsy — to jej wewnętrzne przeżycia, zrywy i kryzysy. Odpowiadają one zrywom i kryzysom całego społeczeństwa — i to jest istotne, dowodzi bowiem jej organicznej z nim więzi.

Nikogo to zresztą dziwić w Polsce nie powinno: to zespolenie zawsze było pełne: literatura była u nas nie tylko wskaźnikiem społecznego ciśnienia ale narodowym przewodnikiem. Była, jak chciał Żeromski „niestrudzonym doboszem narodu".

Można by nawet w niej widzieć narodu system nerwowy.

W okresie gdy pozbawieni byliśmy własnego państwa, gdy czynności państwowe należały do obcych, znaczenie wszystkich czynności społecznych wyrastało ponad normę zwykłą w państwach narodowych, hypertrofia roli literatury należy do rzędu tych właśnie zjawisk, jest objawem prawidłowym i zdrowym. Można by nawet zaawansować, bez pomyłki, twierdzenie, że euforia literatury umocniała ducha narodu, że dzięki niej właśnie naród zachował swe oblicze — przetrwał i zwyciężył.

Najwybitniejszą była jej rola w chwilach dziejowego niżu.

◆

Na jednym z literackich zjazdów w Polsce Ludowej Jan Maria Gisges na czyjeś zdanie o wpływie literatury na społeczeństwo wzruszył pogardliwie ramionami.

— Przesada — powiedział. — Chciałbym by tak było, ale tak nie jest: ten wpływ jest bardzo nikły.

Jan Maria Gisges jest permanentnym sekretarzem generalnym Związku Literatów Polskich. Przetrwał wszystkie kadencje, z pewnością przetrwa i sam Związek — jest więc osobą miarodajną, jego zdanie odzwierciedla z pewnością zdanie „sfer dobrze poinformowanych".

Miałem jednak zastrzeżenia: przecież książka w Polsce jest poszukiwana; z osobistego wiem doświadczenia, że czasem znika z półek księgarskich zanim o niej ukaże się pierwsza recenzja.

Ale po dłuższym zastanowieniu przyznać musiałem rację J. M. Gisgesowi: rola naszej obecnej literatury jest daleka od tej prometejskiej roli, którą literatura nasza spełniała jeszcze przed ćwierćwiekiem. Jej rola zmalała. Wzrosło co prawda czytelnictwo, zwiększyły się nakłady, a książka szybko się rozchodzi, ale w literaturze statystyka nie jest rzeczą najistotniejszą. Ileż to dzieł z bieżącej produkcji literackiej przemija z wiatrem i nic po nich nie zostaje w pamięci ludzkiej. Jakaż może być ich rola?

Także i odwrotnie niejedno dzieło wartościowe nie doczekało się druku za życia autora, niektóre utwory Norwida nie wyszły nigdy z autorskiej szuflady. Nie, statystyka nie daje miary wielkości literatury.

Mogła być miarą popularności ale popularności aktualnej i to nie zawsze. U nas z pewnością fakt wznowienia wydania, lub wysokiego nakładu, świadczy nie o poczytności książki ale o dobrych stosunkach autora tam gdzie taka decyzja zapada: u nas wszystko jest państwowe, scentralizowane i prze-administrowane i znam wypadki, kiedy wydawnictwo państwowe wznawiało wydanie książki, która „cegłą" zalegała półki „Domu Książki". Kubuś Fatalista Diderota wytłumaczyłby że „tak napisane w górze" i na pewno by się nie omylił. Są po prostu — jak podobno wszędzie na świecie — szczęśliwcy, którym się wydaje książki wielokrotnie (wystarczy przetasować w jej układzie już znane nowele) i pechowcy, którym się ich nie wznawia, choćby dawno znikła z rynku księgarskiego. Są i tacy, których się nie drukuje, piszą do szuflady, bo nie mogą przejść w KC partii przez uszko igielne.

Zapewne na Zachodzie trudno to zrozumieć, gdyż tam wydawnictwa nie są państwowe i scentralizowane, a państwo nie znajduje się w zarządzaniu partii, która podporządkowuje sobie zarówno sprawy ciała jak i sprawy ducha: na kapitalistycznym zachodzie wydawca musi się kierować kryterium zysku, gdyż wydawnictwo jego zbankrutuje jeśli nie będzie rentowne i dlatego wyda książkę, która ma czytelnika — pobudza go nawet konkurencja, która go smaga jak biczem. W Polsce Ludowej natomiast wydaje się książki „deficytowe w założeniu". Oczywiście, kryterium zysku nie jest najwyższym kryterium w dziedzinie artystycznej ma jednak tę pozytywną stronę: wiążąc ściśle wydawnictwo z czytelnikiem jest regulatorem, jakiego u nas nie mamy.

O potrzebach czytelnika decyduje się w górze. Krytyka w tym nie wiele może pomóc bo i ona jest odgórnie kierowana. W postanowieniach „odgórnych" nad względami literackimi przeważają względy natury ideologicznej: literatura społeczno-polityczna i propagandowa jest dla wydawnictw ciężarem, ściąga deficyt, który rujnuje nadzieje na rentowność, mimo podniesienia cen książki. Książki te, o astronomicznych nakładach — pełne wydania Lenina, Marksa, Engelsa, Stalina, monografie historyczne PPR czy KPP etc. — zalegają podziemne składy hurtowni księgarskiej jeśli nie doczekały się zgody władz na krematorium. Te supernakłady częściowo rehabilituje przemiał, dzięki któremu tony makulatury powracają do dziewiczego stanu papieru i umożliwiają dalszy obieg wydawniczy, który z braku papieru kuleje. Z braku papieru i braku nowych maszyn drukarskich, gdyż stare dawno się przepracowały. Oczywiście i z makulaturą nie wszystko jest proste. Zbierają ją po domach studenci, biura także wypróżniają na ten cel swe regały. Bywają jednak nieraz z rzetelności lojalnej dziwy: np. do podwarszawskiej fabryki papieru pewien urząd zwozi jako swój kontyngens makulatury, zgodnie z odgórnie ustalonym rozkazem, stosy map sztabowych. Rozkaz to rozkaz...

A więc jak z tego widać literatura polska rozwija się w warunkach innych niż na Zachodzie, który w nich z trudem się orientuje. I w jej wartości. Co z niej pozostanie a co przeminie pokaże dopiero czas — może nie rychło. Oblicze książki przy tym rzadko także odpowiada intencjom autora. Pamiętam jak Gustaw Morcinek, którego przed paru laty spotkałem w Katowicach, żachnął się na moje zapytanie o jedną z jego książek ze stalinowskiego okresu. „To nie moja książka. Wydali ją jak chcieli, panie kolego, musiałem się zgodzić". „Musiałem" słyszy się często w literaturze. Jest to jednak dość względne. Ten sam Morcinek postawił kiedyś wniosek na zmianę nazwy Katowice na Stalinogród i tak się też stało. Czy naprawdę musiał? I jak czuć się musiał kiedy w październiku 1956 r. Katowice powróciły do swej dawnej nazwy.

Tak, bardzo to jest względne. Dla oskarżonych na procesie w Norymberdze było to głównym argumentem odwodowym — wiekami uświęcony rozkaz, dyscyplina, posłuszeństwo...

Wszystko co niewoliło sumienie człowieka zostało w Norymberdze pokonane.

BIBLIOTEKA NARODOWA

◆

Dziś w Polsce Ludowej nie da się stosować słynnego twierdzenia Bouffona że „styl to człowiek" czyli — to autor dzieła.

Wydawca w Polsce Ludowej ma liczny „aparat redakcyjny", tzw. administratorów, którzy autorowi dowolnie jego tekst „przystosują". Styl — to „adiustator" państwowy. Adiustator, ta nowość importowana ze wschodu, zachodni *re-writer* jest jego kuzynem. Tłumaczono mi celowość tego wynalazku: połowa pisarzy rzekomo nie dba o pisownię i bez adiustacji nie dałoby się ich drukować. Pytałem raz pewną polonistkę na czym polegała jej współpraca z wielojęzycznym luksusowym periodykiem „Polonia - Poland - Pologne - Polen - Polsza", redagowanym przez Doriana Płońskiego. „Tłumaczyłam z płońskiego na polski" odpowiedziała. Taka rola najczęściej adiustatorom w wydawnictwach książkowych przypada. Wygładzają treść, poprawiają przypadkowanie, stawiają znaki przestankowe, usuwają niegramatyczne zdania a przy tym tępią zawzięcie autorskie neologizmy i skreślają metafory jeśli im nie trafią do gustu.

Jest to „czarna robota", konserwatywna w swej istocie. Redaktorzy działów firmy mają ważniejsze zadania: sondują myśli autora i czuwają nad samą treścią, aby autor nie wykroczył poza „właściwe kręgi". Oni cenzurują książkę zanim ją oszacuje cenzor „Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk". Tak więc są dwie równoległe cenzury. Przed cenzurami dzieło autora trafia pod obiektyw lektorów. Nazywa się ich recenzentami. Są na liście doradców i pracują na zlecenie... są każdorazowo także płatni. Jest ich zazwyczaj trzech, w myśl jeszcze rzymskiej zasady, że trzech trzeba do kolegium. Każdy z nich pisze swą opinię i stawia wniosek „wydać czy nie wydać". W niektórych wypadkach dzieło idzie do opinii aż do Politbiura KC partii. Zdarza się że Biuro niezadowolone z recenzji każe powołać nowych recenzentów. Tak się zdarzyło z moją pracą „Chochołowe lata", która przeszła kolejno przez 5 recenzentów. Niektórzy zachowują anonimat — ci zwłaszcza, którzy piszą opinie negatywne — a bywa że do opiniowania profesora zaprasza się jego asystenta, który żywi do niego animozję i ocenia złośliwie. Recenzent stawia wniosek „wydać czy nie wydać" a także, jak w moim wypadku, może zaproponować „wydać, ale... w małym nakładzie, tylko do celów naukowych".

◆

Stosunek obu cenzur przechodzi różne koleje. Jest to oczywiście współpraca, ale współpraca antagonistyczna. Nie dlatego by się posługiwały różnymi kryteriami, ale dla tego, że współzawodniczą. Nie jest to stosowane w przemyśle PRL współzawodnictwo pracy, w którym współzawodnicy są równi. Przeciwnie, jedna z cenzur (Urzędu Kontroli Prasy, Książki i Widowisk) jest nadrzędną w stosunku do drugiej — cenzury wewnętrznej redakcji wydawnictwa: Urząd Kontroli Prasy kontroluje ją i koryguje. Nie kończy się to jedynie większą masakrą dzieła, ale może mieć złe następstwa dla samego wydawnictwa. Sytuacja ta uległa poważnemu zaostrzeniu po incydencie, jaki zdarzył się przed kilku laty z nowym wydaniem przedwojennych kronik tygodniowych Antoniego Słonimskiego. „Czytelnik", do którego Rady Wydawniczej Słonimski należał, zdecydował wznowić te kroniki i uzyskał na to zgodę władz. Ministerstwo Kultury nie zgłosiło sprzeciwu, bo satyryczne ostrze Słonimskiego wymierzone było przeciw sanacyjnej rzeczywistości, przeciw Polsce burżuazyjnej. Tymczasem, gdy książka wyszła spod prasy, podniosło się larum i Główny Urząd Kontroli Prasy zabronił sprzedaży książki: okazało się że w tekście przeoczono kilkakrotnie użyty termin „car Lenin". Był to wprawdzie tytuł omawianej wówczas sztuki teatralnej, ale to nie mogło być usprawiedliwieniem uchybienia.

Oczywiście przeoczyły to obie cenzury obie więc były winne; władza jednak orzekła że nie można posądzać o sabotaż cenzora Skoneckiego, którego lojalność nie mogła być kwestionowana: cenzor Skonecki był zrzutkiem partyjnym w czasie radzieckiej ofensywy na Polskę, więc miał duże zasługi. Miał przy tym kwalifikacje. Cenzor miał za sobą nauczycielską karierę i umiał wystawiać cenzurki. Pisownię polską znał dobrze, nie pisał d... przez ó. Z pewnością także „Gomułka" pisał przez u a nie przez ó, jak to się zdarza nawet w protokołach Bezpieki w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Co zaś do meritum skreśleń i poprawek, cenzor nie ma kłopotu: na biurku cenzora stoi telefon wewnętrznej sieci partyjnej i w razie niepewności za jednym połączeniem z BP wątpliwości rozstrzyga i wskazówek udziela sam Artur Starewicz z Domu Partii. Tam bowiem rezyduje mózg systemu cenzury.

Kiedy w r. 1957 Skonecki skonfiskował cały numer „Czarno na Białym", tygodnika, który za zgodą władz usiłowałem wznowić po Październiku — (był to numer wznowionej serii pierwszy i ostatni, a mówiąc ściślej „zerowy") — nie dał mi innego wyjaśnienia jak to, że „numer duchem nie odpowiada" w całej swej treści i nie wskazał żadnego inkryminowanego miejsca. Postanowiłem decyzję tę zaraz zaskarżyć: w PRL ustawa prasowa (sanacyjna) z roku 1938 jest wciąż prawomocna, ale nie jest respektowana przez władze. Apelować do sądu nie można, organem nadrzędnym cenzury jest urząd Rady Ministrów. Wprawdzie

Skonecki mi powiedział, że tylko KC partii w tych sprawach decyduje, a to ono mu wydało instrukcję konfiskaty więc szkoda nawet apelować. Zażalenie jednak na nieuzasadnioną konfiskatę, w której padły nawet dłuższe cytaty Gomułki, skierowałem do premiera. Był to październik, ale już 1957 r. i wiatry się już zmieniły więc czekam na odpowiedź premiera Cyrankiewicza ponad 10 lat, co przekracza o lat 9 i 10 miesięcy ustawowy termin odpowiedzi na zażalenie według kodeksu postępowania administracyjnego. Informacja Skoneckiego była niestety dokładna.

Tak więc system cenzury wyjaśnił się z miejsca, ale tylko w jego szczytowej pozycji. Okazało się, że nie leży ona na linii władzy administracyjnej, ale na równoległej do niej linii aparatu partyjnego.

W wyjątkowych tylko wypadkach te linie przestają być równoległe, jak to było w październiku 1956 r. w Polsce, albo też się krzyżują jak w obecnej chińskiej rewolucji kulturalnej — w tych wypadkach powstaje zamieszanie lub wywiązuje się kryzys.

◆

Incydent z „carem Leninem" wyjaśnił funkcjonowanie systemu na jego dolnych szczeblach. Skonecki oskarża redakcję „Czytelnika". Ona zapłaci cenę: „wyjmie" z wielkiego nakładu arkusz z owym „bublem", złoży po poprawieniu, ponownie odbije, raz jeszcze zbroszuruje. Kilka osób z „pionu" gdzie stała się katastrofa zostało usuniętych, przesuniętych — oczywiście jak w grze „cztery kąty a piec piąty" ktoś także skorzystał i zrobił dalszy awans życiowy *(nomina sunt odiosa)*.

W następstwie tej przygody przykręcono śrubę wydawnictwom. Nie cenzura lecz one będą odpowiadały za niedopatrzenia. Odtąd rozpętał się i szaleje wyścig pracy obu cenzur: cenzura wydawnictwa prześciga się w gorliwości z cenzurą Urzędu, wyścigu w tępieniu wroga, który się czai w komórkach mózgowych nieboraków pióra.

Ale gdyby tych nieboraków nie było, nie byłoby władzy — wróg także jest potrzebny dla utrzymania psychicznego napięcia, jest usprawiedliwieniem „czujności", matki zamordyzmu. Teoria Stalina o wzmożeniu ofensywnej siły wroga klasowego w miarę zbliżania się do socjalizmu jest znakomitym pomysłem taktycznym genialnego Gruzina. „Bić albo nie być" — to było pytanie, które rozwiązał znanym nam sposobem. Dzięki fikcji wroga aparat ucisku utrzymuje w posłuszeństwie obywateli, w terminologii Polski Ludowej nazywanych masą.

Wyścig cenzur, współzawodnictwo cenzur ma antagonistyczne cechy, zwłaszcza gdy w grę wchodzi prestiż władzy. Bywało, że

już po powrocie z cenzury Urzędu do redakcji wydawnictwa ostatecznej korekty ze zgodą na drukowanie, redakcyjny zelant wychwytywał kwiatki przeoczone przez Urząd. Z zadowoleniem je zrywał w przekonaniu, że zdobywa punkty do swego awansu! Gdzie tam, skutek był wręcz przeciwny: cenzor, zauważywszy to w wydanej książce, wpada w gniew za nieposzanowanie jego autorytetu, bunt przeciw hierarchii.

Z tego kotła wychodzą nieraz przedziwne cudeńka, przypominające stare carskie czasy kiedy małe r w wyrazie „rząd krzeseł" cenzor zmieniał na duże, bo tak rząd powinno się pisać, podstępni Polacy!

Na przykład czy nie jest wzruszający „casus Truchanowski" i odwrócenie lotu motyla z polecenia władzy? Znalazło się u tego poety, że (a było to w przedwieczornej godzinie) „motyl odleciał w stronę zachodzącego słońca".

Poeta urąga prawdzie ideologicznej, naruszył moralnie prerogatywy dobrosąsiedzkiej przyjaźni.

Skutek: „motyl poleciał na wschód", jak życzył sobie cenzor.

◆

Nie ma z tego labiryntu wyjścia dla pisarza. Nie wie nigdy skąd nań spadną cegły. Słyszałem, że można się na rozum dogadać. Gdy wydawca mój dokonał pewnych skreśleń i zmian, które odrzuciłem, poszliśmy „do rabina" — poprosiłem o konferencję u głównego cenzora. Funkcję tę pełnił wówczas Antoni Bida, b. konsul PRL w Izraelu a dawniej pracownik biura prasowego prezydenta stolicy, Stefana Starzyńskiego. Konferencja trwała dni dwa: odbyła się przy czarnej kawie w obecności jednego z naczelników w Urzędzie, Strassera. Doszliśmy na rozum do przywrócenia skreślonego tekstu.

Jakże byłem zaskoczony gdy w ostatnim tekście, który nadesłało mi do podpisu wydawnictwo z Krakowa, ustęp inkryminowany nie był przywrócony! Pismo z urzędu miało się zawieruszyć i nie zostało odnalezione — „szczotka" czekała w szufladzie wydawcy i doczekała się nakazu ministra Kultury rozwiązania ze mną umowy na to wydanie... i skład rozsypano. O jeden pamiętnik będzie mniej! Ale apel wciąż jest aktualny: „Piszcie pamiętniki! Piszcie pamiętniki!"

Ale jak? W jednym z fragmentów mego pamiętnika piszę o Marszałku Rydzu-Śmigłym. Redaktor podaje mi do wglądu kartkę z instrukcją cenzora: „o Rydzu-Śmigłym pisać według Kirchmayera". Lecz po co pisać? Wystarczy Kirchmayer.

Ale dla ojca Wirgiliusza to nie dosyć. Potakiwanie jest po-

trzebne bowiem przyjęto zasadę, że ilość przechodzi w jakość. Powtarzać, powtarzać, aż fikcja stanie się rzeczywistością.

„Piszcie pamiętniki, piszcie pamiętniki..." do kosza, albo jak mój... do UB. UB zabrało mi 1 1/2 ryzy maszynopisów prac niedrukowanych, 48 pozycji zajętych przedmiotów w protokóle rewizji mieszkaniowej.

„... Zabierają — nie oddają
Chociaż sprawę zawieszają..."

Sprawę wytoczono mi z Małego Kodeksu Karnego (taki mały a już taka świnia, jak powiedział pewien student z akademickiego kabaretu) po dwóch rewizjach i blisko 40 przesłuchaniach w Bezpiece nie zdołano sformułować oskarżenia i zaniechano dalszych badań. Sprawy się jednak nie umarza, ale zawiesza... dożywotnio... „Umorzyć nie mogę", pisze prokurator — Damokles.

Przyszedł run na maszyny do pisania. Maszyny zabiera się na skład do UB — gdy broszury Mijala krążą drukowane. Czemu tak? Zapewne asekuracja:

„Jak Pan Bóg dopuści
To i z kija wypuści..."

Poskarżyłem się raz jednemu z przyjaciół, który był ministrem, na konfiskatę artykułu o nowej Warszawie, który ideologii nie dotyczył.

Przeczytawszy go, zmarszczył się minister:

— Ja bym go nie podpisał...

— Ja o to przecież nie proszę — odparłem.

I zrozumiałem, że trzeba pisać „pod ministra".

◆

O cenzurze można by pisać tomy. Należy jednak pamiętać, że chodzi o system a nie o osoby: nie ten czy ów urzędnik za nie odpowiada. Nici tego systemu, jak wszystkie nici władzy, prowadzą do jednego motka — do KC partii. To samo dotyczy innych państw układu Warszawskiego — wszędzie te same wieją wiatry borealne.

Wyrok sądu w Jugosławii — 4 i 1/2 lat więzienia na prof. Mihajlo Mihajlova precyzuje w motywach, że jego publikacja naraża państwo na szkodę, ponieważ irytuje Moskwę.

A więc jasne: *Moskwa locuta, causa finita.*

Na całej przestrzeni od Łaby do brzegów morza Ochockiego to obowiązuje.

Czy nie ma nigdzie różnic?

Zapewne są różnice. Przesłuchanie procesów sądowych Siniawskiego-Daniela w Moskwie i Jana Nepomucena Millera w Warszawie ujawnia te różnice.

Nie są to różnice w pojęciach, którymi manewrują prokuratorzy — są one niemal identycznie po obu stronach Bugu. Różnice zarysowują się w pojęciach obrony: Jan Nepomucen Miller nie przyjmuje za swój punkt wyjścia ideologicznego rusztowania reżymu, a pisarze radzieccy z tych pozycji się bronią.

Zachodzi także różnica w atmosferze sali; mimo, że sala warszawskiego sądu była także dokładnie kontrolowana przez władze, nie było na niej żadnych reakcji przeciwko oskarżonemu pisarzowi, wówczas gdy sala moskiewska szczuła przeciwko pisarzom.

Da się to zapewne wytłumaczyć zadawnieniem norm życiowych, wynikłych z 50 lat ucisku myśli ludzkiej w ZSSR, ale to nie wyjaśnia chyba wszystkiego.

Bardzo przekonywująca jest teoria „historycznego zaplecza" nieodżałowanego Ludwika Krzywickiego. Według niego rozwój tej samej idei (*idée forcées* Fouille'go) ma różny obrót w zależności od historycznego podłoża. Na to zaplecze składają się cechy środowiska, tradycje, uświęcone obyczaje, odziedziczane pojęcia, akumulacja wiekowych nawyków, to wreszcie co byśmy nazwali kulturą. Historyczne zaplecze Polski różni się od historycznego zaplecza Rosji. Setki lat carskich wdrażały w psychikę Rosjanina jak najczarniejsze elementy *absolutum dominium*. Przez wieki krew pokoleń nasiąkała podaństwem władzy z Bożej łaski. Władza była okrutna nawet gdy opromieniał ją Piotrowy modernizm. Nawet gdy była okrutna, car był „batiuszką", ojczulkiem narodu; zgodnie z duchem historycznego zaplecza Stalin był również ojcem narodu. Władza nie mogła nie być bezwzględna nawet gdy ją barwiły czerwone sztandary — takie jest prawo historycznego zaplecza. Ono też przekazało dziedzictwo cenzury, która tak samo dławiła Borysa Pasternaka jak ongiś Puszkina, wygnanego ze stolicy przez cara.

Ale w Polsce było inaczej. Ograniczenie władzy królewskiej do symbolu było czymś wręcz przeciwnym. Naturalnie była i w Polsce cenzura, ale od swego targowickiego pochodzenia była przymiotem znienawidzonego najeźdźcy. Poddaństwo nie mogło wejść w krew — krew się przeciw niemu burzyła. Toteż inna jest odporność Polaka na cenzurę niż na wschodzie: walka o wolność myśli wiązała się w Polsce ściśle z walką o wolność narodu — obie idee razem, w symbiozie, prowadziły do niepodległości.

Rozumiem pewne wahania w przyjęciu tej tezy, są objawy odchyleń od tej linii w obecnym tzw. „modelu" naszego życia politycznego. Ale „model" ten nie jest odziedziczony, nie wyrósł

z polskiej gleby, lecz jest pochodzenia obcego, jest w najdrobniejszych szczegółach kopiowany, wzorowany na „modelu" rosyjskim, rozwiniętym na imperialnym rosyjskim zapleczu historycznym Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego i Józefa Stalina: bez względu na to czy nacjonalistyczny czy internacjonalistyczny nosi płaszcz na barkach.

◆

Socjalizm zaszczepiony na tym zapleczu musi być swoisty i inny niż na zapleczach krajów o innej barwie kultury — mało ma wspólnego z socjalizmem naszych polskich bojowników o wolność człowieka.

Bliższą nam jest jego istota w ujęciu najsławniejszego może z socjalistów Jean Jaurès'a.

Zdaniem Jaurès'a socjalizm jest ustrojem, w którym

... w każdym człowieku w całej pełni winna być uszanowana ludzkość i podniesiona do najwyższego poziomu. Zaś ludzkość jest tam, woła Jaurès, tam tylko, gdzie jest wola człowieka czynna i jego stosunek do zbiorowości społecznej wolny i radosny..."

Takie oświadczenie nie uszłoby dziś zapewne Jaurès'owi płazem. Nie pomogłoby mu wiele powoływanie się w obliczu Małego Kodeksu Karnego na naszego znakomitego socjologa, przedwcześnie zmarłego prof. Stan. Ossowskiego. A jednak go zacytuję:

... „Najdonioślejszą może pozycją w skarbcu swobód demokratycznych jest wolność słowa. Zarówno ze względu na zdrowie obywateli, jak ze względu na pomyślny rozwój życia społecznego. Dopóki człowiek nie obawia się myśleć, dopóki nie obawia się mówić tego co myśli, dopóki może poddać otwartej krytyce wszystko to z czym się nie chce pogodzić, dopóty narzucone przez społeczeństwo (lub władzę: uwaga J. G.) ograniczenia swobody działania *mogą* nie wypaczyć jego charakteru, nie łamią one wówczas same przez się jego kręgosłupa moralnego, nie zagrażają żywości jego zainteresowań umysłowych. *Brak wolności słowa* natomiast godzi w to wszystko prawie co w naszym sformułowaniu miało stanowić cel ustroju demokratycznego. Przymus milczenia, albo co gorsza, przymus mówienia rzeczy niezgodnych z przekonaniami rujnuje poczucie godności własnej. *Gdy brak wolności słowa cechuje życie zbiorowości* w ciągu jakiegoś dłuższego okresu, gdy zaczyna się odczuwać ten stan jako coś normalnego, a nie jako gwałt przeciw któremu się człowiek buntuje, *zamierają* powoli zainteresowania sprawami społecznymi, ludzie ograniczają się do mówienia o rzeczach, które nie zagrażają żadnym niebezpieczeństwem, a z czasem ograniczają tak samo zakres swoich myśli. Myślenie ma także w znacznej mierze charakter społeczny: gdy znika możliwość dyskusji, gdy znika możliwość jawnego wyrażania swoich myśli, zwykłemu człowiekowi znika także ochota do myślenia. Nie chce się już myśleć".

Wyrazem wiary i optymizmu Polaków był kursujący w październiku 1956 r. slogan:

„Myślenie w Polsce ma kolosalną przyszłość".

Prof. Ossowski mówi dalej:

„Brak wolności słowa paraliżuje indywidualny rozwój umysłowy jednostek, a do stosunków społecznych wprowadza nieufność i niszczy głębsze ich warstwy. *Brak wolności słowa* dławi rozwój kultury, zabija jej bogactwo. *Społeczeństwo martwieje*, obniża się jego poziom umysłowy i moralny"*.

Władza nie jest na to czuła — postępuje tak, jakby tego pragnęła.

„Aby społeczeństwo stale ujarzmiać — pisze prof. Ossowski — nie wystarcza bezpośrednia presja środków policyjnych. Trzeba ponadto wywrzeć odpowiednią sugestię na umysły, a takiej sugestii staje właśnie na przeszkodzie wolność słowa. Dopóki istnieje prawo krytyki, dopóki nie jest zabroniony śmiech, którego lęka się wszelka tyrania, dopóty samowładcze zapędy organów centralnych nie są jeszcze groźne. *Skuteczny przymus ze strony władz wymaga dogmatu nieomylności władzy*, a ten dogmat nie daje się pogodzić z prawem swobodnej krytyki".

Bez tej krytyki nie ma kontroli społecznej a bez niej, zdaniem prof. Ossowskiego, jak pleśnią życie porasta fikcjami.

... „W krajach pozbawionych wolności słowa, powiada, uderza potęga fikcji społecznej. Sprawia ona, że życie społeczne rozwija się jakby na scenie, kiedy ludzie *udają, że wierzą* we wszystko co im się do wierzenia podaje — udają może przed samymi sobą — i kiedy nie wiadomo dokładnie gdzie się kończy życie 'na serio' a gdzie zaczyna się życie 'na niby' ".

Prof. Ossowski tak ocenia konstytucyjną obłudę dyktatury:

„Pod jej osłoną stopniowo, niepostrzeżenie, wytwarzają się nawyki ciągłości. Często dogodniej jest działać pod osłoną rzekomej konstytucji niż, przez jej jawne zniesienie wywołać odruchy buntu. Dlatego Juliusz Cesar nie chciał przyjąć korony..."

◆

Wcale nie twierdzę, że system u nas panujący jest jakimś wyrodkiem bez precedensu, ani też, że jest on *pur sang* komunistyczny. Precedensów ma nie jeden i nie są wcale komunistyczne.

Za Benjamin Constant'em przypomnijmy chociażby czasy Napoleona. B. Constant był republikaninem pierwszej fali, który stanął w opozycji do Napoleona. Dzieli on władzę absolutną na despocję i uzurpację. Pierwsza powołuje się na swe prawa boskie, druga na swe pochodzenie ludowe. Każda z nich ustosunkowuje się inaczej do swobód obywatelskich, zwłaszcza do wolności prasy.

---

* St. Ossowski: *Ku nowym formom życia społecznego*, Warszawa, grudzień 1956.

„Despotyzm — mówi Constant — dusi wolność prasy, a uzurpacja ją parodiuje. Otóż kiedy wolność prasy jest całkowicie zduszona, opinia publiczna zasypia, ale nic jej nie myli. Kiedy zaś przeciwnie biorą się do niej płatni pismacy, to dyskutują jakby chcieli przekonywać, unoszą się jakby napotykali sprzeciw i besztają, jakby ktoś mógł im na to odpowiedzieć. Ich absurdalne oszczerstwa poprzedzają barbarzyńskie wyroki, ich dzikie wybryki powodują bezpodstawne skazania. Despotyzm jednym słowem rządzi milczeniem i pozostawia człowiekowi prawo do milczenia; uzurpacja natomiast skazuje go na mówienie, tropi go w jego intymnym sanktuarium myśli zmuszając go do kłamania własnemu sumieniu, pozbawia go ostatniego pocieszenia, jakie pozostawia się skazańcowi" (*De l'esprit de conquête et de l'usurpation*, r. 1814).

A w innym miejscu:

„Despotyzm wytępia wszystkie formy wolności — uzurpacja ich potrzebuje, by usprawiedliwić rozwalenie tego co ona zastępuje. Ale przyjmując te formy ona je profanuje. Ponieważ istnienie opinii publicznej jest dla niej niebezpieczne, natomiast pozory tej opinii są jej potrzebne — ona bije jedną ręką społeczeństwo, by wytępić jgo rzeczywistą opinię, a drugą aby je zmusić do symulowania przeciwnej".

Ten klimat obłudy, w jakim działa władza absolutna w społeczeństwie „zarażonym ideą demokratyczną" kładzie swe piętno na całe życie intelektualne. Odczuwa to nauka humanistyczna, odczuwa to historia, która nie jest władzy obojętna skoro jest *„magister vitae"*.

W roku 1808 do swego cynicznego ministra Fouché'go pisał Napoleon:

„Pan minister policji i minister spraw wewnętrznych winni się zająć przygotowaniem i publikacją książek, które powinny tak przedstawiać nieład w przeszłości, że się z uczuciem ulgi weszło w epokę... (napoleońską — J. G.) etc..."

To samo nastawienie widzimy w faszystowskiej „De bonificia libraria" Mussoliniego. Goebbelsowi przyświeca w hitlerowskiej Rzeczy. Hitler bez obsłonek każe naukowcom kłamać dla dobra wielkich Niemiec. Historia — zwolniona z dyscypliny obiektywizmu — miała, jak się to patetycznie nazywało, służyć państwu, a ściślej państwu narodowo-socjalistycznemu. Przestawała być nauką, a stawała się apologetyką partii.

„Napoleońska" dyscyplina daje się we znaki i naszym historykom. Dość otworzyć „Zarys historii dyplomacji" Juliana Katz-Suchego, aby nie mieć co do tego wątpliwości. Katz-Suchy nie jest bynajmniej wyjątkiem: jest „w linii". „Historia dyplomacji" służy jako podręcznik — jest jedyną. Zupełnie przemilcza działalność misji pokojowej Dłuskiego w Paryżu; akcji Tytusa Filipowicza w Londynie, Rosji, Finlandii, Ameryce; Al. Dębskiego, Wład. Baranowskiego i innych. Pakt nieagresji z ZSSR z roku 1932

zamieszcza tylko w skorowidzu, a pakt nieagresji z III Rzeszą w roku 1934 nazywa „paktem przyjaźni"! Paktowi Hitlera ze Stalinem w r. 1939 poświęca... 9 wierszy choć dla wybuchu drugiej wojny światowej ma on znaczenie decydujące! Łatwo się domyśleć, że historia ta jest zrobiona *ad usum delphini* a także kto jest tym delfinem.

Gdy wydano rzetelną historię Polski prof. Wereszyckiego spowodowało to rozwiązanie Instytutu Pamięci Narodowej, winowajcę tego wydania. Dokumentacja historyczna odtąd jest skrzętnie filtrowana. Istnieją nienaruszalne tabu — o Katyniu nie wolno pisać. Już nawet godził się na to Chruszczow, a sprzeciwiał Gomułka. Wydanych w PRL pamiętników Becka zapewne Beck by nie poznał, z pamiętników ambasadora Francji, L. Noëla, nie podobna się doszukać bardzo wielu stron. Zresztą znajomość przeszłości zanika: dla nowych pokoleń życie zaczęło się od wczoraj. Jak ktoś z warszawskich wesołków powiedział: „Sieroty jesteśmy: nie mamy ani ojca, ani matki, partia nas z litości urodziła".

II

Gdy w analogiczny sposób podporządkowanie literatury partii stało się od zarania PRL hasłem władzy, uwolnienie literatury od politycznego nadzoru stało się od początku hasłem literatów: konflikt był nieunikniony.

Tymczasem w radości wyzwolenia następuje prawdziwa eksplozja kultury i wyż samopoczucia narodowego: Polacy mają pełną świadomość dobrze spełnionego obowiązku patriotycznego. Wiedzieli, że za wyzwolenie dobrze zapłacili — nie przyszło z łaski.

Jeszcze dymią domy, jeszcze bezdomni błąkają się po ugorach i po szosach, jeszcze nie pokonano głodu fizycznego, a już Polaków rozpiera jakiś nieposkromiony dynamizm ducha: teatry na kółkach wędrują po wiejskich wybojach, chłopi znoszą fortepiany na święta ludowe, na mickiewiczowskie uroczystości, krzyże i pamiątkowe tablice jak spod ziemi wyrastają na miejscach straceń: Polska się odradza w imponderabiliach.

Były to sceny wzruszające i wzniosłe.

Szczytowym punktem był chyba pochód w Warszawie po gruzach ruin spalonej stolicy, po lodzie od praskiej strony przez Wisłę, w śnieżnej zawiei, w zdartych i zniszczonych paletkach na otwarcie pośpiesznie odbudowanego teatru Polskiego na Obożnej, w którym nad mrokami polskiej makabry zaświeciły kinkiety Leona Schillera.

E pur si muove.

◆

Wyraz „rewolucja kulturalna" urodził się w Polsce przed Chinami. Włodzimierz Sokorski tymi słowami określał ówczesny stan umysłów w Polsce na zjeździe literatów polskich we Wrocławiu w roku 1947:

„Potrzeba nam nowego czytelnika i nowej literatury" — wołał. Ani jedno ani drugie nie rodzi się hokus pokus. Nie rewolucja ale ewolucja obowiązuje w kulturze, nie rozkaz ale powolna przemiana duchowa. Trzeba podnieść oświatę, znieść analfabetyzm, rozsiać po kraju biblioteki i domy ludowe, dać książkę do ręki, a w końcu dać strzechę i od tego należy zaczynać. Od trosk codziennych nie od razu szary człowiek przechodzi do przeżyć artystycznych.

Niecierpliwią się partyjni koryfeusze i estradowi rewolucjoniści dla których słowo kultura ma wydźwięk polityczny.

„Ani jednej Zdrowaśki, która nie miałaby aspektu politycznego!" — woła jeden z nich, Adam Polewka.

Z takich politycznych Zdrowasiek chcą zmontować nową literaturę. Tymczasem literatura może powstać tylko jako akt własnego przeżycia — cudzym poglądom na rzeczywistość pisarze poddawać się nie mogą. Tak zarysowuje się konflikt i tak się rodzi w cesarskich cięciach Sokorskiego, Żółkiewskiego, Putramenta *et consortes* martwo urodzony płód socrealizmu na czwartym z kolei Zjeździe Literatów w Szczecinie — dziecię opłakanych „błędów i wypaczeń", które charakteryzują okres przezwany minionym. Julian Przyboś, pierwszy prezes Związku Literatów, twierdzi, że nieszczęścia zaczęły się po oddaniu przez niego prezesury w ręce Leona Kruczkowskiego. Istotnie w ciągu pierwszych lat powojennych, dzięki eksplozji kulturalnej oraz nieumocnienia się jeszcze partii na fotelach władzy, literatura zakiełkowała, pojawiły się jej pierwsze kwiaty. Grupa „Kuźnica" wyraża gotowość pójścia na „manifest" Żółkiewskiego. Te szczere zapewne u większości wysiłki dają żałosne rezultaty. Literatura gaśnie. Wypruwa się z niej konfliktowość, szminkuje się marionetki bohatera pozytywnego, strzela się z moździerzy do grzechów kapitalistycznych, jak w kiepskim melodramacie triumfuje cnota nad którą pisarz trzyma aureolę! Ale wyraźnie impreza zawiodła. Zastosowano więc przymus.

Było to po zjeździe zjednoczeniowym PPS i PPR i założeniu w r. 1949 monopartii, która poczuła się bezkonkurencyjną panią sytuacji i zdecydowała siłą rządy w kraju sprawować. Stronnictwa Ludowe i Demokratyczne zachowano dla zmylenia oka i dołączono jako przyczepki do wozu PZPR, które w swym statucie ustanawia swą rolę w państwie jako „kierowniczą". O tych czasach

— lat siedem, do października 1956 — mówił na 8 plenum KC PZPR Władysław Gomułka:

„Spuścizna jaką ten okres pozostawił po sobie partii, klasie robotniczej i narodowi jest w niektórych dziedzinach przerażająca".

Taka była właśnie w literaturze. Położyła się ona na łopatki. Na próżno Jerzy Putrament (również, jak Przyboś, ex-ambasador PRL) usiłował jej miernotę tłumaczyć brakiem talentów. Zaraz po zawaleniu się okresu w 1956 r. otworzyły się szuflady i wydostały się z nich dzieła wartościowe, jakby pokutę sprawujące. To system robił z tych ludzi czupiradła. Reprezentacyjny Jarosław Iwaszkiewicz także nie przeszedł suchą nogą przez morze Czerwone, vide „Ucieczka Felka Okonia", w której za rozkład moralny chuligańskiej młodzieży oskarża... obcych agentów, polskich „kułaków", wroga ideologicznego. Inni w tym czasie wzbogacali poezję kantatami o Stalinie.

◆

Niepokojący był błąd optyki, fakt że ze szczytu piramidy władzy nie dostrzegano klęski: przeciwnie wzmacniano „śrubę" brnąc dalej. Na sprawozdawczej sesji o stanie literatury szara eminencja min. Kultury, Helena Zatorska, używała nawet miar przyjętych w przemyśle ciężkim do oceny twórczości literackiej: podawała statystykę „tytułów" rocznie, literaturę nazywała „masą towarową", kontyngensowała w pionie produkcji przekłady, ustalając kontyngensy według stopnia politycznego zaprzyjaźnienia — dlatego ponad połowę przydzielała tłumaczeniom z rosyjskiego, mimo że tak wysoki kontyngent musiało się wypełniać szmirami. Buble w sprawozdaniach statystycznych są oczywiście też honorowane. W tym świetle „polityka literacka" (*contradictio in adjecto*) jest właściwie tylko ekonomiką produkcji z jej bublami, deficytami, fasadową statystyką. Jak w ekonomice przemysłowej stosuje się „bodźce" i „premie" materialne, które dostają pisarze partyjni, a czasem bezpartyjni, boć 75% pisarzy do partii nie należy.

◆

Nie chcę powracać do październikowego przełomu, okresu, który po „okresie minionym" można nazwać okresem „minionych nadziei". Będzie on długo tentacją dla tych, którzy nie mogą rozwikłać tajemnicy jak to się stało, że rządy ideologiczne stały się praktyką kapralską 10 departamentu, że dyktatura proletariatu stała się dyktaturą nad proletariatem, prowadzącą do poznańskiego buntu robotników, jak to się stało, że leaderzy komunizmu znaleźli się za kratami w Piekiełku? Marksizm? *Farceur, va!*

Czy i Marks nie został uszminkowany na pozytywnego bohatera?

Znane jest powiedzenie Marksa o pisarzach: „Nad twórcą jest tylko Bóg".

Praktyka władzy literackiej jest tego pełnym zaprzeczeniem.

◆

Zaplanowanie twórczości przez referentów zawiodło. Nadzieje Włodzimierza Sokorskiego na szczecińskim Zjeździe w 1949 r. w ciągu 7 lat socrealizmu zwietrzały. Ci co zastępować mieli Boga nad twórcą (czy nie bunt szatanów?) ponieśli klęskę.

„Nowa literatura"? Wszechwładnie w cień ją zepchnął Józef Ignacy Kraszewski, który opanował rynek księgarski.

„Nowy czytelnik"? Wyciągnął on rękę po pożółkłe egzemplarze Mniszchówny, której cena na czarnym rynku prześcignęła antykwarską cenę biblii Księdza Wujka lub pełnego wydania dzieł Lenina.

Gdy po październiku przerzucono się na rentowność (polski libermanizm świtał przed radzieckim) okazało się, że nowa „baza czytelnicza" skurczyła się do przedwojennej.

Okres w którym słuchano głosu literatów był krótki. Dwa lata Przybosiowe — młócenia słomy, z której nie było pociechy — i rok Antoniego Słonimskiego od „października nadziei 1956" do „października pokuty 1957", kiedy zlikwidowano pisma literackie, które były heroldami wolności w roku 1956, zakazano nowych jak „Czarno na białym" i „Europa", rozwiano obietnice, przywrócono śrubę, wzmocniono cenzurę, której zniesienia w październiku 1956 r. żądali sami cenzorzy.

◆

Przypuszczenie że Związek Literatów Polskich jest wolnym głosem opinii literatów prowadzi do mylnych ocen. Związek Literatów znajduje się w takich warunkach jak inne stowarzyszenia społeczne. Czynniki „odgórne" zakreślają zakres jego możliwości. Zarządy wypełniają podyktowane im role. Po swym siedmioleciu prezesury Leon Kruczkowski na Zjeździe w 1956 r. bił się w piersi, że „nie mógł", że „musiał".

Prezes po-minionego siedmiolecia, Jarosław Iwaszkiewicz robi *bonne mine au mauvais jeu*. Naturalnie to literatom nie może się podobać, ale przedłuża się statutowo kadencję, aby można było dłużej nie liczyć się z „masami". Wiadomo, że zarząd nie jest zarządem literatów, ale zarządem „dla literatów", ułożonym w miarodajnych instancjach partyjnych, zatwierdzonym znaną metodą „demokracji z przymiotnikiem" — wybiera się go tak, jak Adam wybrał sobie Ewę w raju za małżonkę.

◆

Kiedy na zgromadzeniach literatów zapadają „trefne" uchwały o zniesienie Małego Kodeksu Karnego, albo kary śmierci, gazety mają zakaz podawania sprawozdań — najwyżej wydrukują rezolucję o Wietnamie, którą z obowiązku się uchwala wychodząc do szatni. O Związku głucho, a i Związek zapadł w milczenie. Mówić? To groch o ścianę. Czarne listy twardych karków w wydawnictwach eliminują „podejrzanych". Już podpisane umowy zostają zrywane, jak np. w moim wypadku.

◆

„Można jakoś żyć u nas, powiedział kiedyś Słonimski, trzeba tylko liznąć dwa razy do roku". Ale sam się od tego uchyla.

Niekiedy gdy rządząca ekipa zmarszczy brew, trzeba się też pokajać — bić się w piersi. „Żeby już tylko we własne, ale każą mi bić się w cudze" — skarżył się jeden z wybitnych profesorów. — „Tego nie potrafię". Jest to „model" ex-Oriente.

Obiegła Rosję fraszka o kajaniu się poety Jewtuszenki na żądanie Chruszczowa, za oklaski zbierane na Zachodzie:

Jewtuszenko:

„Ja swinja,
I ty swinja,
No ja tiepier
A ty wsiegda".*

Zresztą lizać... to także nie jest takie proste. Znowu trzeba oczy zwrócić ku wschodowi. Kiedy Chruszczow upadł i jego miejsce zajął Breżniew, inna fraszka pokwitowała go w Rosji:

„Udiwili my Jewropu —
Wot kakije czudiesa

Diesiat liet lizali żopu
*I nie znali czto nie ta"**.*

Trzeba umieć w porę wskoczyć w linię i właściwie obierać

* Ja jestem świnią i ty jesteś świnią, ale ty zawsze a ja od dzisiaj.

** Zadziwiliśmy Europę — takie oto były cuda, przez dziesięć lat lizaliśmy d... i nie wiedzieliśmy, że to nie ta.

obiekt do lizania. Trudne oczywiście — nie każdy potrafi. Pozostaje więc stara rada z Nowosilcowych czasów — nieprzedawniona rada:

„Przyzwyczaić się można
Do rany co boli,
Tańcować kiedy car każe,
Śmiać się... gdy pozwoli".

Literaci oczywiście nie rezygnują z walki o wolność słowa — świadczą o tym kryzysy i próby jak „List 34" w 1964 r., lub warszawski memoriał Igora Neverlego w r. 1966. Obie próby pozostały bez skutku. List 34 wywołał burzę, rozpętanie represji, dywersyjną kampanię na Wolną Europę, która o Liście dowiedziała się wyjątkowo późno. Ale to odwodowa *bête noire* — byłby na nią sposób, gdyby Włodzimierz Sokorski na swych falach otworzył stację „Swobodna Jewropa". Ale szkoda mówić. Los memoriału Neverlego jest znany: leży w aktach, a Neverly wyszedł z partii.

Na razie Wolna Europa rozbija wysiłki izolacji literatów od społeczeństwa. Opinię publiczną o literatach w swoisty sposób informuje Jarosław Iwaszkiewicz. Jego wywiad w „Życiu Warszawy" po Liście 34 wywołał nawet oburzenie: „Postulaty literatów wywołały *tylko opóźnienie...*, mówił, postulaty literatów spotkały się z *całkowitym zrozumieniem* (władz), co jest dowodem troski, jaką partia i rząd otaczają literaturę". I pocieszał, że będzie papier (a dotąd go w handlu nie ma), łudził, że zdobył wyższe honoraria (ale dla faworyzowanych, bo — jak mówią sąsiedzi — „my wsie rawny, no niekotoryje rawnieje""*).

A imponderabilia?...

Po co to zresztą? Konstytucja (art. 71) przecież zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń, wieców, manifestacji.

Gdy zamachowy rząd grecki te wolności odebrał podniósł się protest całego świata. My też tych wolności pragniemy.

My się obywamy: i nikt się nie wzrusza
Bo taką jest konstytucja Ojca Wirgiliusza.

January GRZĘDZIŃSKI

* Wszyscy równi, ale niektórzy równiejsi.

Obrońca Siedow

Adwokatowi Włodzimierzowi Lwowiczowi Rosselsowi

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Był trwożliwy i zdenerwowany, jak gdyby miedziany ptaszek tłukł się o miedziane ściany.

Olga pobladła, powoli położyła na stole widelec, potem nóż. Jej mąż spojrzał na zegarek i powiedział rozdrażnionym głosem, że jest idiotką. O dziesiątej godzinie wieczorem nie przychodzą. Przychodzą w nocy albo nad ranem. Każde dziecko to wie.

Włożył na siebie marynarkę i poszedł otworzyć drzwi.

Na progu zrobił głęboki wdech i gwałtownie szarpnął klamką.

Za drzwiami stały trzy kobiety. „Wydech i całkowite rozluźnienie mięśni", jak powiada trener od leczniczej gimnastyki.

— Czego sobie życzycie?

— Obrońca Siedow? Czy można z nim zobaczyć się?

— Proszę dalej, bardzo proszę...

Trzeba zlikwidować ten dzwonek w diabły... Kto będzie miał interes, niech stuka... Niech do tych drzwi *hurchocą,* jak mawiała jego niańka.

— Jak na rozmowy w zawodowych sprawach, godzina jest nieco spóźniona — powiedział nieco głośniej, żeby ta idiotka Olga usłyszała i uspokoiła się. — Ale proszę uprzejmie. To tędy, do gabinetu.

Okazało się, że sprawa jest brzydka. K o n t r r e w o l u c j a. W mieście Ińsku. Pracownicy rejonowego wydziału rolniczego — trzech agronomów i zootechnik. Straszne artykuły — 58-7 (szkodnictwo), 58-11 (organizacja kontrrewolucyjna), 58-14 (sabotaż) i jeszcze inne artykuły. Wszyscy czterej — skazani na rozstrzelanie...

— To jakiś jeden wielki koszmar — powiedziała jedna z kobiet, najmłodsza, wyglądająca jak komsomołka na propagandowym afiszu. — Jedno wielkie szaleństwo...

— Ka-siu! — gniewnie powiedziała druga, błysnąwszy szkłami *pince-nez*.

— W poszczególnych wypadkach zdarza się... — pokornie powiedziała ostrzyżona na krótko Kasia, ale natychmiast ją poderwało. — Cóż to, czy ja jestem jakąś *nepmanką*, żeby przypochlebiać się sowieckiej władzy. Naturalnie, to jest prawdziwy koszmar! Witeczek to kryształowy członek partii, a oni...

I uderzyła w bek, jak mała dziewczynka. Dwie pozostałe — i ta o surowym wyglądzie i ta zdetonowana — także rozpłakały się, zaczęły trząść się histerycznie.

Ale dlaczego to padło akurat na niego, na Siedowa, moskwicza, ponad miarę zawalonego robotą? Przecież w Eńsku nie brakuje adwokatów, to jest, przepraszam, obrońców. Doskonali obrońcy, na przykład Dobrolubow, albo Hasencwejg.

— Wszyscy odmówili. Nie mogą pisać odwołania. Nie mogą pomagać całkowicie zde-ma-sko-wa-nym wrogom ludu...

— A Hasencwejg?

— Tego sumienie ruszyło. Powiada: „Nie mogę, zagryzą mnie na śmierć, rodzony brat, Siemion Juljewicz, w aptece przedtem pracował, został uznany za wroga ludu. Jedźcie do Moskwy, do Siedowa, to świetlany człowiek..." I dał mi adres...

— Ale widzicie, rzecz w tym, że ja akurat mam...

— Przecież ich zabiją! — krzyknęła ta o surowym wyglądzie. I to, że krzyknęła „zabiją", a nie „rozstrzelają", uderzyło go jak nożem w serce.

W drzwiach zjawiła się Olga. Stanęła wyprostowana, zdecydowana i zimna, jak wtedy, gdy trzeba było załatwiać jakąś sprawę z teściową.

— Włodeczku — powiedziała głosem, który jak gdyby był nagrany na patefonowej płycie — czy pozwolisz na jedną chwilkę?

Kobiety patrzyły na nią z błagalnym strachem. Jej spojrzenie niczego im nie obiecywało.

— Oszalałeś — powiedziała do męża szeptem. — Taka ohydna sprawa! I do tego w Eńsku! Z jakiej racji masz tam jechać? — Podniosła głos. — Nie jestem żadnym potworem. Ale są przecież jakieś granice. Rozumiem, gdyby cię wyznaczono... Ale pchać się z własnej woli!

Wrócił do gabinetu rzeczowy i zwarty w sobie. Kobiety od razu pojęły, że wszystko stracone.

— Nie macie prawa odmawiać! — krzyknęła Kasia. — Jeżeli tak, to nie jesteście sowieckim człowiekiem, tylko tchórzem!

A ta o surowym wyglądzie, w *pince-nez*, powoli i ciężko upadła przed nim na kolana. I ta zagubiona uczyniła to samo. Kasia również uklękła i patrzyła na niego z dołu do góry z nienawiścią.

— Pojadę — powiedział przygnębionym tonem. — Oczywiście, pojadę...

◆

Kierownik konsultacji prawnej, Iwan Priachin, którego za plecami nazywano w biurze CKO „Robotniczą wtyczką", był człowiekiem ze społecznego awansu. Na ogół go szanowano i uważano za doskonałego chłopa. Wszyscy. Nawet stare zrzędy z przysięgłych adwokatów, które Kiereńskiego niegdyś traktowały po prostu jako Aleksandra Fiedorycza, nie mogący darować „tym nowym" ani ich barbarzyńskiego stylu, ani dzikich skrótów, jak MKCH, czy Narkomiust, czy tego CKO (członek kolegium obrońców), który przyszedł na miejsce szlachetnego słowa „adwokat".

— Nie, Włodzimierzu Nikołajewiczu — powiedział cicho „Robotnicza wtyczka". — Jak sobie chcesz, ale ja ci polecenia nie podpiszę. — I dodał jeszcze ciszej: — Pomyśl tylko jak ta sprawa wygląda!

— Prawo jest po mojej stronie! — powiedział Siedow.

Powiedział to specjalnie podniesionym, rozdrażnionym głosem, bo czuł wstręt do siebie samego. Słyszał w sobie jakieś ohydne błaganie, żeby kierownik okazał stanowczość i nie podpisał. Niechby na mocy swojej władzy odmówił w sposób zdecydowany i nieodwołalny, i wyjazd nie nastąpi.

— Owszem, owszem — powiedział „Robotnicza wtyczka". — Pod względem prawnym jesteście w całkowitym porządku.

— A kiedy rozprawa? W czwartek? — zagruchał tuż obok serdeczny głos Leni Sawickiego. — Niestety, akurat w czwartek jestem zajęty. Bardzo mi przykro! Proszę zapytać kolegów, może któryś z nich będzie mógł...

Nikt się nie odezwał. Najwidoczniej Sawickij wykręcał się od jakiejś nieprzyjemnej sprawy. Bardzo wielu postępowało tak samo...

Priachin uważnie obejrzał Lenię i jakąś zapłakaną staruszkę, która sterczała w udręce przed adwokackim biurkiem. Potem zwrócił się do Siedowa, westchnął i napisał, jak zawsze w takich wypadkach: „Konsultacja prawna numer taki-to poleca obrońcy takiemu-to prowadzenie sprawy kryminalnej, społecznej (niepotrzebne skreślić)...".

— Uważaj — powiedział zupełnie po cichu.

I złożył podpis: „Iwan Priachin".

Siedow odczuł ulgę. Taką samą niewytłumaczalną ulgę, jaką spostrzegał u oskarżonych, których bronił, po wydaniu wyroku.

Każdego wyroku, nawet najcięższego! Wszystko zadecydowane, podpisane, nie ma więcej sensu przejmować się.

A jednak znowu zaczął się denerwować. Ale już w inny sposób. Trzeba pędzić na dworzec po bilet. A przedtem do prokuratury, a jeszcze później do Ossoawjachimu, pożegnać się z Olgą (nie wiadomo co się może stać, koniecznie trzeba pożegnać się, jak należy).

Siedow wziął teczkę i złożył ceremonialny ukłon kolegom. Iwan uśmiechnął się do niego przyjaźnie. Cezar Matwiejewicz odprowadził jak gladiatora jakimś starorzymskim gestem. Lenia Sawickij pogładził go po rękawie. Pozostali — było ich teraz tylko dwudziestu, w tej błazeńskiej sali ze sztukaterią na suficie, niegdyś należącej do towarzystwa ubezpieczeń „Salamandra" — pozostali nie podnieśli głów.

„I oddział nie spostrzegł, że jeździec spadł z konia, i piosnkę — „Jabłuszko" dośpiewał wśród błonia". Tak powiedziano w wierszu jednego z komsomolskich poetów. Olga entuzjazmowała się poezją i w pamięci Siedowa mimowoli utrwalały się poszczególne zwrotki.

A jednak dostrzeżono. Na rogu Piatnickiej dogonił go Kostek Zwawicz. Chwytając oddech, powiedział: „No-no". Siedow nie mógł zwolnić kroku, więc pobiegli razem. Rozmowa toczyła się w biegu, niesamowita, jak wiele rzeczy dziejących się w owym czasie.

— Na złość mamie niech mi uszy zmarzną — powiedział Kostek. Powiedział to nonszalancko i niemal wesoło. Ale na twarzy widniało cierpienie jak u skrzywdzonego chłopaczka.

— Cztery wyroki śmierci — odpowiedział Siedow.

— Kropla w morzu. I bez żadnego skutku. Po prostu już za późno. Zanim zajedziesz, to ich tam już mogą... tego... Kiedy wydano wyrok? Przedwczoraj? Specjalny trybunał? To znaczy, że wyrok „ostateczny i nie podlegający apelacji"! To cóż ty myślisz, będą się patyczkować jeszcze przez całe dwa dni?

— Zaraz idę do... (wymienił imię i nazwisko Wielkiego Prokuratora), poproszę o wstrzymanie wykonania wyroku...

— Jako prawnik do prawnika? Z argumentami? Durniu! — z goryczą zawołał Kostek, szlachetny siwowłosy dzieciak, wierny przyjaciel. — Idź, idź, zanieś mu swoje argumenty! Dyskusja z nim łatwa. Ty w niego cytatem. A on w ciebie zesłaniem. — Kostek westchnął. — Albo katorgą...

— Ciszej — poprosił Siedow. — Oglądają się za nami.

Wątpliwe, żeby Kostek miał nadzieję i nawet chciał przekonać Siedowa. Po prostu potrzebował wygadać się, wykrzyczeć, wyładować się. Kto wie, może pomyślał, że wkrótce zabraknie

także Włodka Siedowa i już zupełnie nie będzie przed kim ulżyć sobie na duszy.

— Kogo my właściwie bronimy? Czyżby oskarżonego? Samych siebie! „Muszę zgodzić się z prokuratorem, że przestępstwo mego klienta zasługuje na najwyższy wymiar kary, krew ścina się w żyłach, gdy się myśli o tej potwornej przepaści upadku... Jednakże, biorąc pod uwagę wielki humanitaryzm naszej Konstytucji, proszę, jeżeli to możliwe..." I to wszystko, chociaż dobrze wiesz, że sądzą niewinnego. Bo przecież wiesz...

I nagle Kostek zamilkł równie niespodziewanie jak wybuchnął.

— No, dobrze. Wracaj zdrowo. Masz, poczytaj sobie w podróży.

Wsadził do kieszeni Siedowa dwa zwinięte w rulon numery czasopisma (zdaje się „Praworządność Socjalistyczna") i do bólu ścisnął mu rękę.

— Nie, Kostek — powiedział Siedow. — Nie wolno nam siebie oszczędzać. To obrzydliwe. A poza tym wszystkim mocno przesadzasz...

◆

Do związkowej prokuratury można było wejść zwyczajnie, bez przepustki, mimo że w innych, tysiąckrotnie mniej ważnych instytucjach przestrzegane były nadzwyczaj surowe przepisy przy wejściu i przy wyjściu. W tym wypadku otwarte na oścież bramy miały swój sens: każdy sowiecki człowiek pracy, który powziął podejrzenie w stosunku do kogoś co do szpiegostwa, dywersji, szkodnictwa, poplecznictwa kułaków, powiązań z wrogami ludu i różnych innych rzeczy, mógł o każdej godzinie dnia i nocy przyjść i zasygnalizować.

Po niekończących się korytarzach wałęsali się jacyś osobnicy o spojrzeniu szaleńców. Malutki staruszek w podniszczonym kolejarskim płaszczu surowo powiedział do Siedowa:

— Dłużej zwlekać nie wolno. *Oni* przygotowują zamach...

W poczekalni biura Wielkiego prokuratora na spotkanie Siedowa podniósł się referent — młody inteligentny Ormianin o twarzy śmiertelnie bladej ze zmęczenia i o czerwonych, opuchniętych powiekach. Trochę się znali: w trzydziestym czwartym albo piątym roku obydwaj brali udział w debacie na temat książki Paszukanisa i oceny ich zgadzały się ze sobą.

— A jaki jest wyrok? — zapytał referent, delikatnie dając do zrozumienia, że do Wielkiego prokuratora można dobijać się tylko w sprawach wyjątkowej wagi.

— Sprawa rolniczego rejonu w Ensku — powiedział Siedow. Naturalnie, powinni wiedzieć! O takich sprawach natychmiast

przysyłają specjalne doniesienia. Z napisem „szczególnie ważne" przychodzą informacje o kontrrewolucyjnych zgrupowaniach, o wszelkiego rodzaju wrogich kułackich wypadkach, przejawiających się w specjalnie ostrej formie (terror, dywersja, szkodnictwo i tak dalej). Sprawa eńskiego rejonu jest właśnie takiego rodzaju. Zapadły cztery wyroki śmierci!

Niestety, referent nie przypomina sobie tej sprawy. Z dziecinnym uśmiechem na ustach rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że przy takim nawale pracy, doprawdy, nie wolno od niego żądać znajomości szczegółów. Jeżeli jednak chodzi o cztery wyroki śmierci, to ostatecznie, może zdecyduje się zameldować.

Siedow pomyślał, że zawsze i wszędzie opracowuje się jakieś cenniki. Gdyby chodziło o dwa wyroki śmierci, to by na pewno nie poszedł meldować, a że są cztery, no, to już można.

Referent natychmiast wrócił i powiedział przyjemnym barytonem, którego ton zdradzał pochodzenie „z dobrej rodziny":

— ... Żałuje mocno, ale w żaden sposób nie może was przyjąć. — I dodał tonem zwierzenia: — Nie możecie sobie wyobrazić, jak bardzo jest teraz zapracowany...

— Ale przecież wyrok już się uprawomocnił. Trzeba posłać depeszę. Czy nie wysłalibyście depeszy, żeby tam zatrzymali się z wykonaniem?

— Już my znajdziemy sposób na zawiadomienie — wytwornie uśmiechnął się referent i wyciągnął białą, zniewieściałą dłoń: — Wszystkiego najlepszego.

Siedow pomyślał, że istotnie znajdzie sposób, wszystko zrobi, ma taką dobrą twarz... Żeby tylko nie zwlekać.

„Bo przecież ich zabiją!" — jakby krzyknął w nim ktoś obcy. Nie krzyknął „rozstrzelają", jak przystało na prawnika, lecz właśnie „zabiją"...

Do Olgi wpadł na pół godziny przed odejściem pociągu. Na rozmowę nie było już czasu. Po prostu uścisnęli się i ucałowali. Potem popatrzyli na siebie i raz jeszcze zwarli się w długim, rozpaczliwym pocałunku, po którym należy od razu chwytać czapkę i uciekać. Ale jeszcze przez całe pięć minut stali ze złączonymi rękami, pośrodku zastawionego biurkami pokoju wydawnictwa. I siedzący dokoła aktywiści, z kolorowymi odznakami w klapach, młodzi woroszyłowcy strzelcy, zawsze gotowi do przeciwlotniczej, przeciwchemicznej i sanitarnej obrony, przyglądali się im z powagą i szacunkiem.

◆

Siedow jechał w przedziale z wyścielanymi siedzeniami, zaś Maria Antonowna (tak nazywała się surowa kobieta w *pince-nez*)

— w „kombinowanym, bez miejscówek". Naturalnie, zaprosił ją do siebie.

Pozostali w przedziale we dwójkę, ponieważ inni sądziedzi przenieśli się od samego rana do znajomego towarzystwa na drugim końcu wagonu. Od czasu do czasu dochodziły stamtąd wybuchy śmiechu, młodzieńcze okrzyki, jakieś pieśni, a wszystkie skoczne i pełne werwy. Najczęściej śpiewali nową pieśń, która bardzo podobała się Siedowowi: „Potężną siłą wezbrana, nigdy niepokonana...".

— Przecież ja sama jestem agronomem — cicho mówiła Maria Antonowna. — Mogę przysiąc: tu zaszła jakaś tragiczna pomyłka... albo zbieg okoliczności... Boże, gdyby proces był jawny, gdybym mogła na nim wystąpić i zadać dwa, trzy pytania, oskarżenie ległoby w gruzach. Wiecie, przez cały czas pragnęłam tylko jednego — żeby z udziałem publiczności...

— Sto jedenasty artykuł Konstytucji przewiduje pewne odstępstwa od zasady jawnych procesów — ostrożnie zaprzeczył Siedow i poczuł, że się rumieni. — No, ale oczywiście... Mirabeau kiedyś powiedział: „Dajcie mi sędziego jakiego chcecie — niech będzie stronniczy, chciwy zysku, nawet niech będzie moim wrogiem, ale niech mnie sądzi na jawnej rozprawie".

— Przepiękne słowa! — westchnęła Maria Antonowna. — Jak dawno już ludzie wszystko zrozumieli. Więc dlaczego aż po dziś dzień... po dziś dzień...

— Bardzo proszę nie uogólniać — surowo powiedział Siedow. — Ta analogia jest nie na miejscu...

Boże mój, co się z nim stało! I to on, Włodek Siedow, centrum każdego towarzystwa, siwy epikurejczyk, dowcipniś, o którym Michał Jefimowicz Kolcow powiedział przy jakiejś okazji: „Oto ktoś, z kim nie byłoby nudno nawet w locie do stratosfery".

Maria Antonowna uważnie mu się przyjrzała. Przez usta przewinął się ledwie dostrzegalny gorzki uśmieszek. I natychmiast przestraszyła się, że zauważył i zrozumiał ten uśmiech.

— Ależ nie — powiedziała z pośpiechem — oczywista, macie pełną rację.

Siedow oświadczył, że sprawa jest bardzo ciężka. Zazwyczaj bowiem stosowana jest następująca praktyka: NKWD przekazuje do sądów sprawy najbardziej jasne i mówiące same za siebie. Jeżeli jest coś niewyraźnego, jakaś wątpliwość, wtedy wszystko przechodzi innymi kanałami. Tak że on naprawdę nie posiada żadnej pewności, że sprawa może upaść sama przez się. I stąd właśnie wynika jego niepokój...

Maria Antonowna od razu stęchła i zaczęła się śpieszyć do swego przedziału: już najwyższy czas. Bagaż zostawiła bez opieki. Siedow nie chciał jej zatrzymywać, chociaż wiedział, że żadnego

bagażu nie ma — ani walizki, ani koszyka, ani nawet damskiej torebki, zawierającej lusterko, grzebyk czy chustkę do nosa.

Podłożył pod głowę szorstki, zakurzony wałek i wyciągnął się na swojej półce. Byłoby po prostu głupio i nieprzezornie denerwować się przed rozpoczęciem takiej sprawy, zawczasu, jak mawiała jego niańka. Jakoś ostatnio zbyt często przypomina mu się nieboszczka. Może to dlatego, że pamięć o niej związana była nieodłącznie z najbardziej pogodnym okresem jego życia.

Wyciągnął z kieszeni pisma, które wsadził mu Kostek. „Praworządność socjalistyczną" i najświeższe numery dzienników. Najbardziej odpowiednia lektura w takim nastroju... Tak, artykuł wstępny... Wiersze jakiejś dziewczynki z szóstej klasy „B": „Gady obmierzłe, potrzykroć przeklęte, śmieliście zdradę w sowiecki wnieść dom! Sąd bezlitosny was zgniecie ze wstrętem, bo wyrok jeden jest: śmierć wściekłym psom!". „Zadanie prokuratury w świetle Konstytucji...". Przemówienie towarzysza Wyszyńskiego.

... Aha, tu jest sprawozdanie z wrześniowego zebrania moskiewskiego kolegium obrońców.

Siedow przybrał wygodniejsze położenie. Tak... „Polepszenie warunków materialnych... co najmniej siedemdziesiąt procent dochodów kolegium powinno być przekazywane na rzecz funduszu zarobkowego..." Tak... „Z gorliwością pozbawioną wszelkiej rozumnej treści..." Biedny Aleksandrow! „Brednie, trywialne, szkodliwe teoryjki..." Nie ma co, energiczny styl!

Siedow był nieobecny na tym zebraniu, właśnie spędzał urlop w Kisłowodsku. Później Cezar Matwiejewicz opowiedział mu szeptem różne okropności. Ale stary już zgłupiał, lubił grubo przesadzać. Można było wypytać innych, ale Siedow przyjął jako zasadę — nikogo i o nic nie pytać.

Ta-ak... „Kiedy towarzysz Kudriawcew mówił o możliwości, że w środowisku adwokackim ukrywają się szpiedzy, dywersanci, szkodnicy i inni wrogowie ludu, pewna część zgromadzonych zareagowała hałaśliwie na jego przemówienie".

Oczywista, to głupia szczeniakeria stosować obstrukcję podczas politycznego przemówienia. I, rzecz zrozumiała, nie ma dymu bez ognia. Jakieś tam wrogie organizacje, szkodnictwo, szpiegostwo, nie ulega wątpliwości, wszystko to istnieje, nie może nie istnieć! I całkiem możliwe, że sprawa owego eńskiego rejonu naprawdę została przesadzona ze strachu, zrobiona „pod propagandową kampanię". I co nadzwyczajnego w tym, że on, sowiecki adwokat (przepraszam, obrońca), jedzie po to, żeby wyjaśnić tę sprawę w zgodzie z sowieckim prawodawstwem?

W korytarzu wagonu zahuczały głosy. Drzwi odsunęły się z piskiem, jak gdyby zawrzeszczało prosię, i do przedziału weszło trzech młodzieńców. Sąsiedzi, którzy zapodzieli się przedtem.

Wszyscy nosili się z jakąś techniczną elegancją — wszyscy trzej w marynarkach z niebieskiej skóry, a jednemu z kieszeni sterczał przeraźliwie żółty koniec składanej metrówki.

Wszyscy trzej byli inżynierami. Jechali z budowy na Czyrczyku do kemerowskiego GRES'u, ale nie wiadomo dlaczego przez Moskwę i Jarosławl. Mieli jakieś mocno skomplikowane powiązania jednocześnie z Narkomtiażpromem i Narkomwodem. I wszyscy, przerywając jeden drugiemu, wypuszczali dowcipy na temat tych instytucji.

— Proszę tylko sobie wyobrazić — krzyczeli do Siedowa. — Nasz Miszka Leskow wyciągnął jedenaście norm. A ci nie chcieli go wysłać na zjazd stachanowców. Powiadają, że znajduje się na transportowej liście i musi jechać do Stalino na inny zjazd. Wyobrażacie sobie, jacy to biurokraci!

— A może szkodnicy — zachichotał drugi. — Co to, mało ich w naszym głównym zarządzie? Tak, na pewno jeszcze nie wszystkich wyłapali.

I wszyscy ponownie zaczęli wymyślać głównemu zarządowi, ludowym komisariatom i temuż Miszce Leskowowi, który z łatwością mógłby wyrobić dwadzieścia norm, gdyby nie wesoły tryb życia.

Siedow zgadzał się: ależ tak, naturalnie... I myślał z przykrością, że jest oddzielony od tych młodych i silnych szklaną ścianą, niezniszczalną i szczelną. Każdej chwili mogą znaleźć się w jego niespokojnym, groźnym świecie, ale on do ich beztroskiego świata nigdy już wejść nie potrafi.

◆

Prosto z dworca poszli do Sądu Okręgowego.

— Poczekam na dole — powiedziała Maria Antonowna. — Będziecie mniej skrępowani.

Podzielił jej zdanie: istotnie, to będzie mniej krępujące.

— Ale bądźcie łaskawi — poprosiła — podejdźcie od razu do okna... Dajcie znak. Albo machnijcie ręką, jeżeli oni... jeżeli ich jeszcze nie...

Obecny był tylko sekretarz sądu — starszy, bezbarwny jegomość w rosyjskiej koszuli. Typowy drobny sowiecki urzędas, postokroć ośmieszony przez Walentyna Katajewa, Zoricza i Arkadiusza Buchowa.

— W sprawie procesu rejonu? — tak się zdziwił, że nawet wstał z krzesła. — Niewątpliwie, wprowadzono was w błąd. Przecież to sprawa specjalna!

Siedow oświadczył, że orientuje się doskonale we wszystkim

i tym niemniej pragnie natychmiast zaznajomić się z aktami sprawy... Gdzie się znajdują?

Sekretarz odpowiedział, że nie ma prawa dawać wyjaśnień na takie tematy, że trzeba zaczekać aż przyjdzie zastępca przewodniczącego (sam przewodniczący zachorował). Ale i ten prawdopodobnie nie zechce rozmawiać...

— Nie, jednak was wprowadzono w błąd, nie zdajecie sobie sprawy, że...

— Gdzie są akta?

Sekretarz wahał się przez chwilę, wskazał spojrzeniem szafę wpuszczoną w ścianę: — I cóż to zmienia?!

Siedow odsapnął i podszedł do okna. Kiwnął głową, potem machnął parę razy ręką, znowu kiwnął...

Sekretarz zezował na niego podejrzliwie, wreszcie powiedział:

— Proszę, siadajcie. Towarzysz Koniuchow może się spóźnić. Wczoraj wyszedł stąd o czwartej nad ranem...

Zastępca przewodniczącego Sądu Okręgowego był przystojnym mężczyzną, po wojskowemu sprężystym, w zielonej stalinowskiej kurtce, z orderem Czerwonej Gwiazdy.

— Spóźniliście się — powiedział do Siedowa, nie prosząc go siadać. — Sprawa już poszła do wykonania.

— Akta są jeszcze na miejscu — powiedział Siedow bardzo, jak mu się wydało, stanowczo.

— Ciekawie byłoby dowiedzieć się, skąd wzięliście te informacje.

Co robić? Wpakować sekretarza? To przecież okropne, to zdrada! Ale co robić? Ostatecznie za to go nie rozstrzelają, najwyżej zwolnią.

— Mimochodem zasięgnąłem informacji — trzeba odpowiadać możliwie beztrosko. — A i sekretarz także potwierdził.

— Popow! Chodźcie-no ze mną!

Sekretarz ma spojrzenie zbitego psa, ręce się trzęsą.

— A co, ta s p r a w a jeszcze nie została załatwiona?

— Nie — tamten głośno przełknął ślinę. — Bynajmniej...

Zastępca przewodniczącego popatrzył badawczo na Siedowa.

— A czy wam, towarzyszu obrońco, nie wydaje się dziwne? Tutejsi obrońcy, którzy byli na posiedzeniu sądu, grzebali się w tym brudzie i krwi — tu podniósł głos — żaden z nich nie zgodził się jednak na napisanie skargi. A to dlatego, że im rewolucyjne sumienie nie pozwoliło. A wy, nawet dobrze nie znając sprawy, przypędziliście z Moskwy. Żeby ratować wrogów ludu? Tak?

A potem powiedział wyraźnie i dobitnie, jak gdyby dyktował dyktando:

— Oczywiście, zastosujemy odpowiednie środki, żeby się

zorientować. Żeby uwydatnić wasze oblicze po-li-ty-czne. Oraz mo-ty-wy...

— Wasza sprawa, żeby wyjaśnić — powiedział Siedow nieprzyjemnym głosem, jakim zwykł mawiać Karenin. — Nie przyjechałem, żeby kogoś tam ratować, tylko wypełnić zawodowy obowiązek. Zgodnie z sowieckim prawodawstwem...

Nabrał powietrza do płuc.

— Możecie mi odmówić. Na piśmie. A ja będę wtedy zmuszony zasygnalizować... (tu wymienił imię własne i odojcowskie Wielkiego Prokuratora), którego już informowałem o tej sprawie.

Boże drogi, jakich zwrotów trzeba tu używać: „Będę zmuszony zasygnalizować..." Brrr...

— Oto w jaki sposób rozpływa się cały sens pedagogiczny sądowego postępowania... — powiedział zastępca przewodniczącego z nieudaną goryczą. — Odroczenia, kasacje, superkasacje. — I dodał znużonym tonem: — Proszę zaczekać w poczekalni.

Drzwi zamykały się nieszczelnie i Siedow słyszał urywki rozmowy telefonicznej (widocznie, zastępca telefonował do chorego przewodniczącego):

— Ależ on przyciska... Wygląda na to, że wmieszała się Związkowa Prokuratura... Praworządnicy, *mać* ich taka owaka... Dobra... Zrozumiałe...

◆

Pięć potężnych, oprawionych w tekturę tomów. Nużąco jednostajny, kaligraficzny charakter pisma sekretarki, która najoczywiściej uczyła się jeszcze w starym gimnazjum, gdzie solidnie uczono — nie jak w dzisiejszych szkołach — wyraźnego pisma.

Doświadczony adwokat zawsze zaczyna lekturę od końca, od wyroku. Trzeba dowiedzieć się rzeczy najważniejszych.

„Prawicowo-trockistowska, szpiegowsko-dywersyjno-szkodnicza grupa..." Wszystko jak należy — zeznania świadków, przyznanie się do winy, dowody. I mimo wszystko jakaś bardzo dziwna sprawa!

Że użyto do zasiewów nienadających się nasion? Przecież i w tym okręgu i w dwóch sąsiednich posucha spowodowała nieurodzaj. Że umyślnie zarażali bydło? Przecież w całym kraju była epidemia epizootii... „Nikczemny zamach na Olgę Dubiak, stachanowkę rolną, uczestniczkę Wszechzwiązkowego Zjazdu kołchoźniczych przodowników pracy, której o mało co nie pokaleczył byk Pochmurny (kołchoz „Świetlista droga"), który przejściowo wściekł się na skutek zastrzyków trucizny, zrobionych w szkodniczym celu przez byłego zootechnika Rostowcewa..." „Były kierownik rejonowego zarządu, Osmołowski, wręczył poplecz-

kowi kułaków, Sierioginowi, 250 rubli, z podłym zamiarem zachęcenia go do wymontowania magneto z traktoru marki „Fordson", aby zawalić kampanię siewną..." „Ukryte szkodnictwo przy stosowaniu metod siewnych..."

Siedow kilka razy przerzucił stronice wszystkich pięciu tomów. Nigdzie żadnej wzmianki o ekspertyzie. Jakże to możliwe? To już zupełnie poza wszelkim poczuciem prawa!

A jednak ekspertyza była. Oto wnioski oskarżenia (nie wiadomo dlaczego w kopercie z napisem: „Osobiste papiery skazanych"). Dziwaczne wnioski: „Ustalenie danych faktycznych natrafiło na trudności...", „Należy założyć możliwość premedytacji...", „Prawdopodobna umiejętność szkodników zacierania śladów ich potwornych zbrodni uniemożliwiło ustalenie...". To mają być dokumenty prawne!

Nie wolno było robić notatek. Wynotowywanie uważano za ciężkie przestępstwo. Pozostawało tylko liczyć na własną pamięć. O, pamięć to on ma dobrą. Proszę, oto fragment z przemówienia towarzysza Wyszyńskiego, które czytał w „Sowieckiej Praworządności". Dosłownie:

„Trzeba przyjąć jako zasadę — tak zachowywać się wobec *każdej* osoby, żeby, jeśli okaże się wrogiem, nie była w stanie skorzystać w niczym z tej znajomości..."

To zapewne słuszne w warunkach kapitalistycznego okrążenia. Ale co to znaczy — z *każdym*?

Przed wieczorem do Siedowa, który znajdował się w narożnym gabinecie na drugim piętrze, przyszedł znajomy sekretarz.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział Siedow, który czuł się winnym w stosunku do nieszczęsnego sowieckiego urzędasa.

— Co mam wybaczyć? — smutno zapytał tamten. Siedow nie mógł odpowiedzieć: „Za to, że was wkopałem". Powiedział zupełnie co innego:

— Za to, że tak bezceremonialnie zająłem cudzy gabinet. Na pewno potrzebny jest komuś innemu.

— Nie — powiedział sekretarz. — Już mu jest niepotrzebny.

Siedow przypomniał sobie, że na białych drzwiach do gabinetu widnieją rysy i szczerby: widocznie tabliczkę odrywali w pośpiechu, razem „z mięsem".

— Chciałem mówić o czym innym... Myślę, że to niedobrze, że tak długo przetrzymujecie tę sprawę — oświadczył sekretarz i natychmiast zaczął machać rękami, w obawie, że Siedow zrozumie go niewłaściwie. — Ja to mówię nie w służbowym sensie... Przecież oni czekają na... śmierć... Pomyślcie tylko, jak oni się czują. To już lepiej od razu. Znam ich wszystkich... To nieduże miasto...

I zamilkł, połknąwszy ostatnie słowa. Niewątpliwie chciał

powiedzieć: „To są porządni ludzie". Siedow był czemuś pewien, że właśnie to...

◆

Następnego dnia odbyła się nowa rozmowa z zastępcą przewodniczącego. Potrzebne było upoważnienie na spotkanie ze skazanymi. I znowu odmowa. I znowu jak gdyby głosem Karenina Siedow powiedział:

— W takim razie proszę na piśmie, a ja już poinformuję...

— Cóż wy ciągle obracacie imionami — z obrzydzeniem powiedział zastępca przewodniczącego. — Chciałbym to jakoś zrozumieć. My tu prowadzimy śmiertelne starcie, a wy, kauzyperdy, wstawiacie nam paragraf między szprychy. Cóż to jest? — inteligenckie odchylenie, czy jeszcze coś gorszego?

— Przecież może wyjść na jaw, że są niewinni. Albo winni nie w tak wielkim stopniu. Moim obowiązkiem jest przyjęcie takiego właśnie punktu wyjścia...

Jegomość w zielonej stalinowskiej kurtce popatrzył na Siedowa smutnie i poważnie, niemal łagodnie.

— Nie może wyjść na jaw, że są niewinni, nie może. Kiedy odbywa się takie starcie... Nie może być, żeby byli czyściutcy. W tym cała logika walki.

Mimo wszystko Siedow otrzymał upoważnienie. Na zobaczenie się z trzema skazanymi — z Kuzinym, Chrienowskichym i Osmołowskim. Do odwiedzenia czwartego, Riazancewa, nie było żadnych podstaw. Do Siedowa zwróciły się trzy żony skazanych. Zaś czwarta, Riazancewa, zaraz po wyroku — jak opowiadają na mieście — zabrała swoje bliźnięta i wyjechała w nieznanym kierunku.

Krewni Riazencewa — a przede wszystkim jego brat, przewodniczący Rejonowego Związku Towarowego — wyrzekli się go. Ponieważ zdają sobie sprawę, że to nikczemni łajdacy, którzy zagubili wszelkie ludzkie podobieństwo, że to łotry, ci właśnie... których towarzysz obrońca z Moskwy usiłuje bronić z tak dziwnym uporem.

◆

Pociąg dowożący robotników do miejscowości K-sk przyszedł o godzinie dziesięć po jedenastej. Ponieważ jesteśmy w zmotoryzowanej epoce, dorożkarze zostali zlikwidowani, natomiast taksówek jeszcze nie wprowadzono. Zanim Siedow dowlókł się z dworca do więzienia, minęło jeszcze dwadzieścia minut.

Nad więzienną bramą paliła się lampa. Nie żaden reflektor, nie latarnia — po prostu lampa, ale o tak silnym świetle, że jakoś dziwnie wesoło wyglądała brama świeżo pomalowana na

zielono i drzwi do kontrolnego przejścia, obite błyszczącą ceratą.

Siedow dotknął drzwi — były zamknięte. Zastukał, potem po raz drugi, ale już znacznie mocniej. Leniwie prztyknęła zasuwka, otworzyło się okienko obserwacyjne. W okienku czapka z błękitnym otokiem, rumiana gęba, maleńkie oczka.

— Czego?

— Jestem obrońcą. Mam upoważnienie na rozmowę z aresztowanymi.

— Co znowu za obrońcy w nocy! W nocy wszyscy są oskarżonymi!

Okienko zatrzasnęło się. Wypadało odejść. Ale Siedow nie wiadomo czemu nie odszedł, przeciwnie, zaczął bić w drzwi rękami i nogami, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy matka zamknęła go na klucz. Jednak wata, obita lodowatą ceratą, prawie zupełnie tłumiła odgłosy.

Kiedy wreszcie Siedow wdarł się do wartowni, uzyskał bardzo mało. Strzelec zawołał dowódcę. Ale ten oświadczył, że jest tylko dowódcą warty, zaś prawdziwy komendant więzienia śpi, budzić go nie wolno, a do rozstrzelanych (przez cały czas nazywał skazanych „rozstrzelanymi"), bez pozwolenia komendanta też nie wolno.

Siedow z przyzwyczajenia zagroził im Prokuraturą i jeszcze jakąś inną władzą, ale ci jedynie zdziwili się. Napluć im na Prokuraturę.

Jak się wydaje, komendant więzienia obudził się sam... Przyszedł w wysokich butach, kawaleryjskich spodniach i liliowej nocnej koszuli z guzikami obszytymi białym płótnem. Wojskowy drelich pod pachą. Młody, kędzierzawy i smagły jak cygan. Na przedramieniu tatuaż — sierp, młot i gwiazda.

Komendant oświadczył, że upoważnienie z Sądu Okręgowego jest niezgodne z przepisami, że posiada swoją własną instrukcję, idącą po linii NKWD. A w niej powiedziano wyraźnie, kogo można dopuścić do skazanych, a kogo nie i o żadnych obrońcach nie ma tam mowy. Potem dodał, że Siedow na pewno nie wyobraża sobie jacy to zatwardziali i zawzięci wrogowie ludu ci właśnie, z rejonowego procesu.

A Siedow znowu gorąco zapewnił, że posiada nowe informacje i że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, chodzi o sądową pomyłkę. Czyżby komendant zechciał mu odmówić i wziąć na swoją odpowiedzialność życie niewinnych ludzi? Przecież prosi jedynie o rozmowę, żeby wykryć całą prawdę, nic więcej. I ostatecznie, czy komendant jest człowiekiem, czy nie?

Cyganiuk nareszcie wciągnął drelich na potężne ramiona i powiedział gniewnie, że owszem, jest człowiekiem, chociaż przy takiej pracy diabli wiedzą, kiedy się staniesz zwierzęciem. Bo

towarzysz obrońca pewnie sobie nie wyobraża, ile namnożyło się kontrrewolucyjnych gadzin i jakie niegodziwości wyprawiają, a jak sprytnie we dwoje młócą i ukrywają się — nie rozróżnić! Najbardziej zatwardziały szpieg, pracował w służbie czterech wywiadów, już go komendant z chłopakami prowadzi do pownicy... już po wszystkim, koniec, a ten krzyczy: „Niech żyje WKP! Niech żyje Stalin!" Jeszcze, gadzina, spodziewa się kogoś oszukać!

A on sam, komendant niby, przez te osiem miesięcy, odkąd tu pracuje, całkiem sobie nerwy poszarpał. Tu niedawno udało mu się urwać, spędził wieczór na samochodowej bazie u chłopaków, i cóż powiecie, towarzystwo śmieje się, powiada: — Osiwiałeś już, Loszka, już byś mógł zapisać się do związku starych katorżników politycznych.

I nagle zapytał rzeczowo, dlaczego rozmowa ma się odbyć tylko z trzema, przecież skazanych w tym procesie jest czterech. Siedow wyjaśnił.

— To mi nie odpowiada — oświadczył kędzierzawy. — A nuż ten czwarty także... z naszych... Jakże będzie z moim sumieniem, jeżeli nie sprawdzę? Jak uważacie?

Nagle Siedow przestraszył się. Już zbyt naiwnie zachowywał się ten młodzieniec jak na takie zajęcie, w zestawieniu z tym powiedzeniem „chłopcy prowadzą do piwnicy". Nie ulega wątpliwości, udaje, złapać chce. I nie na próżno w Sądzie Okręgowym tak łatwo dali upoważnienie. Naturalnie, zatelefonowali do niego, żeby nakrył...

— Prawo mnie do tego nie upoważnia — oświadczył zdecydowanie. — Trzymam się litery prawa.

— Prawo, prawo! — komendant nagle rozezłościł się. — Według prawa można im było już przed trzema dniami dać w czapę. A ty przecież powiadasz, że to nasi... Jakże nasze sumienie będzie wyglądać... Dobra, to ja już sam zadecyduję.

◆

Weszli i każdy z nich wyglądał jak sama śmierć. Przez dłuższy czas nie mogli zrozumieć, czego od nich chcą.

— Jestem waszym obrońcą — kilkakrotnie powtarzał Siedow. — Przyjechałem z Moskwy, żeby napisać skargę.

Kiedy do celi skazanych na śmierć przyszedł komendant więzienia, w nocy, a przy tym z braku doświadczenia wyprowadził od razu wszystkich czterech, cóż mieli myśleć i czego się spodziewać?

— A czy my także możemy składać skargę? — zapytał bojaźliwy człowiek o znużonych, z lekka zezujących oczach. — Prze-

cież myśmy z towarzyszem Riazancewym przyznali się do wszystkiego. Że niby, rozumie się, uprawialiśmy szkodnictwo.

Okazało się, że olbrzymi, ponury chłop o małpiej, mądrej twarzy to Osmołowski, mąż Marii Antonowny. Pierwszy przyszedł do siebie i zaczął opowiadać. To zupełnie dzika historia, te wszystkie oskarżenia. Chociażby te pieniądze, które wręczył rzekomo w celu zniszczenia traktoru. Istotnie dał dwadzieścia pięć rubli Wańce Sieroginowi, kierownikowi działu administracyjno-gospodarczego. Ale na pilśniówki. Dla Maszy. Wańka ma teścia — specjalistę od robienia pilśniowych butów.

— I nagle, proszę sobie wyobrazić, ten Wańka występuje przed sądem i zeznaje, że tak, Osmołowski kazał mi wyjąć magneto i, oprócz pieniędzy, obiecał przerzucić przez kordon, do Polski (diabli wiedzą dlaczego akurat do Polski? Że niby moje nazwisko kończy się na *„ski"*!) I wszyscy uwierzyli. Kiedy na rozprawie powiedziałem o pilśniówkach, cała sala w śmiech. A prokurator z pięć razy to wykorzystał: „Oto jak wyglądają pilśniówki *pana* Osmołowskiego!"

Witalka Chrienowskych, mąż Kasi, był zadziwiająco podobny do komendanta więzienia, jakby byli rodzonymi braćmi. Taki sam cyganiuk, młody, o płomiennych, zwariowanych oczach. I nawet słów używał podobnych.

— Cóż tu się wyrabia, towarzyszu obrońco? — zawołał na cały głos. — Swoi swoich! Co?

Riazancew, ciemny blondyn z wycieńczoną twarzą, trzy czwarte której zajmowały oczy, powiedział cicho:

— Tu jawnie działa wroga organizacja. Oszkalowali nas, specjalistów, żeby poderwać pracę w kołchozach. W rejonie nie został ani jeden agronom, ani jeden zootechnik. Zdajecie sobie sprawę, jaki to szatański, szkodniczy plan? Trzy razy o tym pisałem. Do NKWD. Żadnej odpowiedzi. Czyżby i tam siedzieli szkodnicy? Jakieś pogrobowe bękarty Jagody...

Czwarty z nich, Kuzin, milczał przez całą noc (rozmowa trwała całe pięć godzin). Tylko te trzy zdania:

— Nie jestem winien... Czworo dzieciaków... Jakżebym mógł się na to zgodzić!...

◆

Siedowa czemuś zbierał wstyd, gdy patrzył na przyjemną, znużoną twarz referenta, który oczywiście nie wysłał do Eńska żadnej depeszy. Ale ten, jakby nigdy nic, był w dalszym ciągu miły i życzliwy.

— Teraz koniecznie muszę do... (wymienił imię własne i patronomiczne Wielkiego Prokuratora). Okazało się, że ta sprawa jest sfabrykowana od początku do końca. To wołające o pomstę

naruszenie praworządności socjalistycznej... Całkowicie odpowiadam za te słowa!

Referent patrzył na Siedowa ze zdumieniem. Widocznie, od dawna już nie zdarzało mu się słyszeć tak zdecydowanej opinii. Nawet powiedział: „Ho-ho!" I poleciał referować.

Wielki Prokurator wyszedł zza biurka i z wyciągniętą ręką szedł na spotkanie Siedowa.

— A-a, to nasz agresywny adwokat — powiedział, wesoło pobłyskując szkłami okularów. — Przyznam się, że z satysfakcją wspominam nasze starcie. Bardzo proszę...

To był szlachetny sportowy gest; przed pięciu laty Siedow i Wielki Prokurator mieli okazję skrzyżować ze sobą szpady w głośnym procesie gospodarczego typu — chodziło o niedostateczną produkcję. Polemika była wtedy ostra i rzeczywiście nie pozbawiona błyskotliwości.

Na tamtym procesie stanowili s t r o n y. Byli, a przynajmniej wydawało się, że są na równej stopie, ale teraz Siedow czuł, że mu słabną kolana.

Przyszedł z zamiarem, żeby jak wtedy zachowywać się i mówić zimno i z żelazną logiką. Ale nic z tego nie wyszło. Przejmował się, krzyczał, rzucał jakieś hasła. Chaotycznie, żałosnym tonem opowiedział o pilśniówkach, o byku Pochmurnym, który „prawie wściekł się", i o magneto.

Wielki Prokurator słuchał tego wszystkiego z obrzydzeniem. („Być może — pomyślał nagle Siedow — z obrzydzeniem dobrego majstra, który zetknął się ze spartaczoną robotą"). Szybko coś zapisał w notesie, postukał ołówkiem po szkle, znowu coś zapisał. Siedow mówił coraz głośniej.

— Przecież to nasz wspólny chleb! Nasze święte zadanie! Nie dopuścić, aby w imieniu Republiki został wydany chociażby jeden jedyny niesprawiedliwy wyrok! Żeby nasze prawo...

I znowu Siedowowi wydało się nagle, że Wielki Prokurator patrzy na niego z jakąś dobroduszną litością, z jaką kiedyś w rodzinnej Kinieszmie patrzono na miejscowego głupka, Paszę nawiedzonego.

— Przyrzekam wam, że starannie zbadam tę sprawę — powiedział Wielki Prokurator ceremonialnie i uroczyście, a nawet z pewną przesadą. — *Sine ira et studio.*

◆

Po trzech miesiącach Wielki Prokurator przypomniał tę sprawę podczas swego wystąpienia na zebraniu pracowników służby śledczej Republiki.

— Właśnie niedawno mieliśmy do czynienia z gwałtownym

pogwałceniem socjalistycznej praworządności. W Eńsku skazano na podstawie artykułów 58-7, 58-11, 58-14 rejonowych specjalistów rolniczych, oskarżonych o zupełnie fantastyczne uczynki. Jak na przykład, „zamach na stachanowkę za pośrednictwem byka Pochmurnego". (Na sali śmiech). Ta wręcz nieprawdopodobna historia stała się możliwa w warunkach szkodniczej działalności przykładnie już ukaranych: prokuratora okręgu Nikiszyna, jego zastępcy Salzmana, przewodniczącego Sądu Okręgowego, Kalinina, jego zastępcy Koniuchowa, a także rozstrzelanych w następstwie kierowników rejonowego komitetu i rejonowego komitetu wykonawczego... (tu szedł długi wykaz nazwisk). Należy, towarzysze, uważniej przyjrzeć się, gdzie znajdują się korzenie tej sprawy, czy tam nie siedzi z całą rodzinką jakiś mądry, dobrze zamaskowany szpieg japoński...

I rzeczywiście po tygodniu wyszło na jaw, że w Eńsku rozrabiał szpieg. I właśnie japoński. Z całą rodzinką...

A tamtych czterech zwolniono. Z braku stanu faktycznego, pozwalającego na stwierdzenie przestępstwa. Siedowa też nie posadzili. To znaczy, wtedy nie posadzili...

Posadzono go znacznie później, w roku 1952. Na skutek zupełnie bagatelnej sprawy niejakiego Nosowa, który w kołchoźniczym sadzie ukradł dziewięć kilogramów gruszek. Siedow udowodnił na rozprawie, że pomimo ogólnie znanej obfitości w naszym kraju, ów kołchoźnik, obarczony liczną rodziną, nie miał czym żywić swoich dzieci. Rejonowy prokurator zwrócił się z pismem do odpowiednich czynników, dając poważną, polityczną ocenę wypadowi adwokata Siedowa i jeszcze mu przypomniał z przeszłości to i owo.

Jednakże Włodzimierz Nikołajewicz siedział całkiem niedługo: rok, trzy miesiące i siedem dni. Obecnie jest powszechnie szanowanym członkiem moskiewskiego kolegium obrońców (to jest adwokatów). A co do tamtych czterech skazanych na śmierć — wszyscy są żywi i zdrowi. Wszyscy już zostali dziadkami. Jeden z nich jest nawet członkiem WARWIL'u — Wszechzwiązkowej Akademii Wiedzy Rolniczej imienia Lenina.

Ilja ZWIERIEW

(Przełożył z rosyjskiego Józef ŁOBODOWSKI)

Smiercz

Galina Sieriebriakowa, córka zawodowych rewolucjonistów, ur. w 1905 r. Jest członkiem partii od r. 1919. Po zakończeniu wojny domowej, w której brała czynny udział, ukończyła Uniwersytet Moskiewski, a w r. 1925 rozpoczęła działalność dziennikarską, a potem literacką. W r. 1929 wydała książkę pt. „Kobiety w rewolucji francuskiej" a następnie zaczęła pracować nad trylogią o charakterze historyczno-biograficznym, poświęconą życiu i działalności Karola Marksa. Pierwsza część tej trylogii pt. „Młodość Marksa" ukazała się w r. 1936. W tymże roku — był to początek wielkich czystek — Sieriebriakowa została aresztowana i spędziła dwadzieścia lat w więzieniach i łagrach. Po uwolnieniu w r. 1956 kontynuuje działalność literacką. M.in. wydała książki „Wiersziny żyzni", „Pochiszczenie ognia" i „Priedszestwie". Niezależnie od tych książek Sieriebriakowa opracowała swoje wspomnienia pt. „Smiercz". Miały one ukazać się drukiem, lecz po usunięciu Chruszczowa — który specjalnie się nią opiekował — wspomnienia te w trakcie składania zostały skonfiskowane. Instytut Literacki otrzymał ze Związku Sowieckiego odbitki szczotkowe tej pracy, niestety z brakującymi stronicami i z kilkoma stronami uszkodzonymi. Braki te — choć dotkliwe — nie deformują jednak treści tego dokumentu.

Sieriebriakowa, mimo wszystkich przejść, należy dalej do partii, do jej najbardziej konserwatywnego skrzydła, usiłując przeciwstawiać nieomylną, czystą i sprawiedliwą partię — okrutnemu Stalinowi, jedynemu sprawcy wszelkiego zła. Jest ona klasycznym przykładem „rozdwojenia jaźni", tego prawdziwego przekleństwa systemu komunistycznego. Mimo tych zastrzeżeń pamiętnik Sieriebriakowej jest jednym z najważniejszych dokumentów epoki.

Poniżej zamieszczamy fragment wspomnień Sieriebriakowej. Całość ukaże się w Bilbiotece „Kultury" na jesieni rb.

Któregoś dnia, gdy pogrążyłam się w stanie absolutnej bezmyślności — krótka ucieczka od rozpaczy — odezwał się telefon. Odzwyczaiłam się od jego głosu. Tkwiłyśmy w samotności, w ciszy. Trzęsłyśmy ze strachu, słysząc dziecinny śmiech, głośne głosy ludzi.

— Galina Josifowna? — zapytał nieznajomy głos w słuchaw-

ce. — Tu mówi Agranow. Wyście przecież wysłali listy do Stalina i Jeżowa. Polecono mi odbyć z wami rozmowę. Dziś jeszcze o dziesiątej wieczorem proszę stawić się na rogu Spaso-Pieskowskiego placyku i Trubnikowskiego zaułka. Tam będzie czekał samochód. Podejdziecie do kierowcy i powiecie, że wasze nazwisko — Siemionowa. A tam, dokąd was zawiozą, też macie się zgłosić jako Siemionowa. Zrozumiałe?

I tak oto przez ten mrok, w którym trwałam bez snu i prawie bez pożywienia, przedarł się nikły promień światła.

O wyznaczonej godzinie zbliżyłam się do oczekującego mnie samochodu i wymieniłam nazwisko Siemionowej. Nie mówiąc ani słowa, szofer otworzył drzwiczki. Zajechaliśmy na Łubiankę, wóz zatrzymał się przy jednej z bram wjazdowych w zaułku. Weszłam. Już na mnie czekano. Winda wjechała wysoko. Wydawało się, że wydarzenia rozwijają się z błyskawiczną szybkością, ale... przesiedziałam w poczekalni całe pięć godzin i dopiero późną nocą sekretarz zawołał mnie do jednej z trzech szaf znajdujących się przy ścianie. Weszłam i znalazłam się w olbrzymim, jaskrawo oświetlonym pokoju. Za stołem zastawionym paterami z ciastkami i owocami, siedział Agranow i Jagoda. Obydwaj powitali mnie udanym przyjaznym uśmiechem. Podeszłam do nich i usiadłam w miękkim fotelu. Z nieszczerą troskliwością Agranow zaczął wypytywać mnie o moje sprawy życiowe. Tegoż dnia w „Izwiestjach" i „Gazecie Literackiej" znowu ukazały się oszczercze artykuły, oskarżające mnie o niesamowite zbrodnie.

— Pragniemy was uratować od straszliwej katastrofy, która jest nie do uniknięcia. Jesteście młoda, utalentowana — Agranow zaczął mnie wychwalać, żeby podkreślić, jak wiele mam do stracenia i jak pomyślnie ułożyłoby się moje życie, gdyby...

— Co mam zrobić? — przerwałam jego wywody.

— Opowiedzieć wszystko.

— Ale przecież w tym, co mam do opowiedzenia, nie ma nawet śladu czyjejkolwiek winy, gdyż w przeciwnym wypadku sama bym już dawno doniosła o tym partii. Ludzie w moim otoczeniu byli zawsze i w słowach i w czynach sowieckimi, partyjnymi ludźmi.

— Oszukiwano was.

— Kto wie, może istotnie tak było. Ale ja tego nie dostrzegałam. Cóż mogłam wiedzieć, przebywając w zamkniętym środowisku literackim, zajęta pisaniem moich książek?

— Proszę nam opowiedzieć o sobie, o życiu waszej rodziny.

Przez cztery godziny opowiadałam samą prawdę, w której nie było nic kompromitującego. Od czasu do czasu Jagoda albo Agranow przerywał mi, popisując się znajomością szczegółów, opuszczonych przeze mnie. Najwidoczniej, nasz dom znajdował

się już od dawna pod ścisłą inwigilacją. Tym lepiej — przecież życie moje i moich najbliższych zbijało wszelkie podejrzenia.

O świtaniu pozwolono mi wyjść. To samo powtórzyło się wieczorem następnego i trzeciego dnia.

— Mimo wszystko — powiedział Agranow trzeciej nocy — mówicie nieprawdę, ukrywacie najważniejsze.

— Nie, nie! — krzyknęłam. Moje siły były już na wykończeniu. Codziennie o dziesiątej godzinie samochód zawoził mnie na Łubiankę. O drugiej albo trzeciej w nocy, po wyczerpującym wyczekiwaniu, wpuszczano mnie przez drzwi w szafie do olbrzymiego gabinetu. Dopiero o piątej albo szóstej nad ranem odwożono mnie do mieszkania, ostatecznie wyżyłowaną krzyżowym ogniem pytań, który starano się osłodzić czekoladą i owocami, chociaż w ogóle ich nie tykałam.

— To jest łgarstwo — krzyczał do mnie Agranow.

— Zmyślone! — wtórował mu Jagoda.

Tym razem otworzyły się drzwi i wszedł sekretarz Centralnego Komitetu, Jeżow. Jego malutki wzrost i twarz starego karzełka wprawiły mnie w przerażenie.

— Ciągle jeszcze nie chce wam ułatwić zadania? — zapytał Jeżow, uśmiechając, się, co jeszcze bardziej pomarszczyło i wykrzywiło jego twarz.

— Trzeba wobec tego dojść do jakiegoś podsumowania — kontynuował Agranow. — Najważniejszych rzeczy jednak nam nie powiedzieliście. W grudniu 1934 roku, po zabójstwie Kirowa, szliście korytarzem w waszym mieszkaniu i zatrzymaliście się przy drzwiach gabinetu waszego męża. I usłyszeliście, że wasz ojciec...

— Ależ za pozwoleniem — zaczęłam krzyczeć — mego ojca wtedy nie było w Moskwie i przez całą zimę ani razu, słyszycie, ani razu u nas nie był...

— Proszę nie przerywać. Jak sobie wszystko przypomnicie, to potwierdzicie. Wasz ojciec mówił: „Sprzątnęliśmy Kirowa, obecnie czas zabrać się do Stalina".

— Kłamstwo! — zawołałam, nie panując już nad własnym oburzeniem. — Rozumiem, widocznie chcecie sprawdzić czy mówię prawdę, czy można mi wierzyć. Bo przecież wiecie doskonale, że to się nigdy nie zdarzyło.

Trzy pary oczu patrzyły na mnie wymagającym, przenikliwym spojrzeniem.

— Nie i jeszcze raz nie! Jestem komunistką i nigdy, słyszycie, nigdy nie poświadczę kłamstwu. Lepsza śmierć.

— Proszę zrozumieć — powiedział łagodnie Jeżow. — Jesteście pisarką i chcemy was uratować. Znajdujecie się na skraju przepaści. Złóżcie szczere zeznania i uniknicie aresztowania. Za kilka miesięcy powrócicie do partii i działalności literackiej. Bę-

dziecie mogli ponownie wyjść za mąż, znajdziecie szczęście. Wasze dzieci wyrosną w ludzkich warunkach.

W dalszym ciągu upierałam się przy prawdzie, której nie chcieli uznać.

— Proszę pomyśleć nad tym do jutrzejszego wieczoru.

Galina SIERIEBRIAKOWA

(Przełożył z rosyjskiego Józef ŁOBODOWSKI)

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 138 — WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK (1961-1966)

◆

OPERETKA

Str. 256. Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

◆

TOM 139 — ALEKSANDER HERTZ

REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE

Analiza współczesnej rzeczywistości amerykańskiej opracowana przez autora „Amerykańskich stronnictw politycznych".

Str. 260. Cena F 16,50 (24/6; dol. 3,50)

Modlitwa

Policjant szukał właściwego klucza. Miał ich wielki pęk, do każdego przywiązany był sznurkiem kawałek tektury z wypisaną kopiowym ołówkiem cyfrą.

— Proszę, niech państwo wejdą — powiedział otworzywszy drzwi. — Ach nie, zaraz przyniosę żarówkę, proszę poczekać.

Staliśmy przy otwartych drzwiach. Policjant wrócił się na korytarz i wykręcił skądś żarówkę, po czym wszedł do ciemnego pokoju. Przez ten czas Miklosz zwrócił się do mnie, zasłaniając sobą wejście.

— Nie wchodź tam, Szari — prosił.

— Nie jestem przecież dzieckiem — powiedziałam odsuwając go.

Pokój był ponury i brudny, bez okna. Na tynku widać było odstające wilgotne płaty. Jedna tylko żarówka błyszczała wydając zimne światło, zbyt słabe dla rozproszenia nagromadzonego mroku. Przy ścianie stało roztrzęsione stare biurko, ledwie wyłaniające się z ciemności, na którym można się tylko było domyślać kałamarza z wyschniętym atramentem i zakurzonego telefonu. Wyraźnie widoczne były tylko nosze ustawione tuż pod żarówką, której ostre światło jakby dodawało im znaczenia.

Na wierzchu leżał pomięty, gruby papier do pakowania. Policjant jeszcze go nie tknął, a już papier zaszeleścił i zafalował, jakby go coś od spodu poruszyło.

— Proszę cię, Szarika, wyjdź — błagającym głosem szepnął Miklosz.

Policjant cofnął rękę od papieru.

— Może naprawdę byłoby lepiej... — powiedział wahająco.

— Dajcie mi spokój — zniecierpliwiłam się. — Czego mam się bać?

— Nic nie wiadomo — powiedział Miklosz.

— Bywają niespodzianki — dorzucił policjant.

— Nie widziałaś jeszcze nigdy spalonych zwłok — argumentował Miklosz.

— Paskudny widok — potwierdził policjant. — Nawet dla mnie.

— Pewnie — powiedziałam do policjanta. — Ale jeżeli ja go wydałam na świat, to obojętne jak wygląda, ja mam z nim najwięcej wspólnego.

Policjant jeszcze czekał i nie podnosił papieru, choć trzymał go za róg.

— Twarz jest zupełnie zwęglona — powiedział niepewnym głosem.

— Poczekaj na korytarzu — prosił Miklosz.

— Niechże pan wreszcie podniesie ten papier — ostro nakazałam policjantowi. — Przecież to i tak nie jest mój syn.

Podniósł papier i złożył go starannie, jakby to był koc, po czym odsunął go na koniec noszy. Patrzyliśmy w milczeniu na owo coś, co już do niczego nie było podobne.

Ta chwila często mi się przypomina. Byłam najzupełniej spokojna. Taka pewna własnej prawdy! Nie zbladłam i nawet mi powieka nie drgnęła. Uczucia wdzierają się tylko do punktu, gdzie ślady życia dają się jeszcze rozpoznać, tak samo jak drzewa rosnąć mogą tylko poniżej granicy śniegów. Coś, co tak absolutnie przestało być żywą istotą, nie wywołuje żadnych uczuć. Trup na noszach przeszedł już więcej niż pół drogi od żywego stworzenia do prochu. Odepchnęłam policjanta, stanęłam przy noszach i pochyliłam się nad trupem.

— Od razu wiedziałam...

— Czy aby na pewno? — zapytał policjant.

— Bez żadnej wątpliwości.

— Stwierdzi pani podpisem, że to nie pani syn?

— Naturalnie — powiedziałam biorąc męża pod rękę. — No, chodźmy już stąd.

— Niech państwo jeszcze chwilę poczekają — wstrzymał nas policjant, wyjmując z kieszeni jakiś papier.

Jeżeli czujemy do kogoś niechęć, odkrywamy w nim coraz nowe wady. Najpierw irytowała mnie pedanteria policjanta, teraz jego uprzejmość mnie denerwowała.

— Przykro mi, że jeszcze państwa zatrzymuję, ale śledztwo wymaga, bym państwa o jednej rzeczy poinformował. Wczoraj, kiedy wykopaliśmy zwłoki, Ferenc Palik zeznał do protokółu, że to jest syn państwa.

— Co to za Palik? — spytałam.

— Młody człowiek, także uczeń.

— To kłamstwo. Denesz nie miał takiego kolegi.

— On z pewnością nie chciał nas wprowadzić w błąd — oświadczył policjant.

Nie dość że był pedantem, że był nieznośnie uprzejmy, ale na dokładkę cechował go upór.

— Od razu widać, że pan nie ma dzieci — żachnęłam się. — Taki smarkacz szuka tylko okazji, żeby okazać się ważnym.

— Nie miał powodu, żeby kłamać — upierał się policjant.

— Bez powodu też można kłamać — odparowałam.

— Ale on miał raczej powody do tego, żeby mówić prawdę.

— A może szukał sposobu, żeby was przechytrzyć? — rzuciłam.

— Proszę panią, ja spełniam tylko swój obowiązek — powiedział spokojnie. — Niech pani nie ma do mnie o to pretensji.

Odwrócił się, widocznie urażony, i zwracając się do Miklosza zaczął czytać protokół. Ów Ferenc Palik, znajdujący się w areszcie, stwierdził, że ubranie na zwłokach było takie same, jak ubranie Denesza Mozesza. Pamiętał to dobrze, gdyż prawie cały tydzień przebywali razem w sklepie monopolowym na ulicy Ganza pod trzecim, skoczył właśnie na obiad do domu, a wtedy przejeżdżał czołg i pociskami ostrzelał sklep. Kiedy wrócił, dom stał w płomieniach.

— To znaczy że nie widział momentu, kiedy pociski waliły w sklep — zauważyłam.

— W tym momencie go nie było — potwierdził policjant.

— Wiedziałam. No, chodźmy już, Miklosz.

— Zaraz, moja droga — mruknął, ale stał bez ruchu. — Czy mogę rzucić okiem na ten protokół?

— Proszę bardzo — powiedział policjant.

Patrzyłam niespokojnie na męża. Tak dobrze znałam jego twarz! Żyła na skroni nabrzmiała, chude policzki drgnęły. Całe życie spędzał w archiwach: teraz ujął papier za przeciwległe rogi i przyglądał mu się, jakby to był jakiś list Petrarki.

— Gdzie znajdował się grób? — zapytał.

— Na ulicy Ganza.

— Gdzie to jest?

— W Budzie, tam gdzie Zakłady Elektryczne Ganza.

Miklosz przenosił wzrok z papieru na policjanta i z powrotem. Obudził się w nim badacz, szukający potwierdzenia wydedukowanych wniosków.

— Czy grób znajdował się wprost na ulicy? Jak to jest możliwe?

— Naprzeciwko sklepu tytoniowego znajduje się klomb, roś-

nie tam nawet akacja. Prowizorycznie pochowano chłopca pod tą akacją.

Okulary Miklosza błyskiem potwierdziły logikę wyjaśnienia. Ilekroć w swoich badaniach natrafiał na błysk prawdy, razem się z tego cieszyli — on i jego okulary. Namiętnie gromadził wszelkie dane. Czy chodziło o fakty z młodości Dantego, czy z pobytu Petrarki w Akwizgranie, czy zniknięcia syna — patrzył na to niemal tak samo.

— Jak mój syn znalazł się w Budzie? — zapytał.

— Tego nie wiem.

— Chyba mosty były zamknięte dla ruchu?

— Tylko jeden, Most Łańcuchowy — wyjaśnił policjant.

— Chodźmy wreszcie — powiedziałam do Miklosza. — Przecież to nie nasz chłopiec.

— Zaraz, kochanie — odpowiedział, ale podszedł nie do mnie, tylko do noszy. Okulary mu błyskały, jakby się za nimi zapalały małe latarki. Dokładnie zdawałam sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Dane stają się faktami, ustawiają się w porządku, stają się silniejsze ode mnie.

Spojrzał na mnie wahająco.

— Czy przyjrzałaś się ubraniu? Materiał jest naprawdę taki sam, jaki miał Denesz.

— A więc poznają go państwo? — zainteresował się policjant.

Musiał dużo przebywać na otwartym powietrzu, bo twarz miał ogorzałą i słońce wypiło niebieski kolor oczu. To nie była jego wina, ale i to pogłębiało moją niechęć. Nie znosiłam go za to i za wszystko inne.

— Nie rozumiem — powiedziałam starając się opanować nerwowość i drżenie głosu. — Czego pan właściwie od nas chce?

— Ja? — zdziwił się. — Nic.

— Pewnie nigdy pan nie kupował cywilnego garnituru, ale może wie pan coś o tak zwanej konfekcji. Z każdego nowego gatunku materiału wytwórnie wypuszczają wiele tysięcy identycznych ubrań... Ja z zasady kupuję wszystko w domach towarowych. Garnitur męża to też konfekcja, kosztuje osiemset siedemdziesiąt forintów. No, niech pan powie, czy dwa takie same garnitury mogą stanowić jakikolwiek dowód?

— Mimo wszystko to ma jakieś znaczenie.

— Żadnego — zaprzeczyłam. — Zresztą nasz syn jest w Ameryce.

Policjant oniemiał.

— Teraz pani to mówi? — jego wyblakłe oczy wpatrzyły się we mnie, potem przeniosły się na Miklosza. — Mógł pan to od razu powiedzieć, jak rozmawialiśmy przez telefon.

— Nie powiedziałem? — wybąkał Miklosz i spod oka spojrzał na mnie.

— Nie.

— Bo właściwie to tylko przypuszczenie o tej Ameryce.

— Nie tylko przypuszczenie — powiedziałam.

— Czy korespondujecie państwo z synem? — zapytał policjant.

— Nie, on do nas nie pisał — powiedział Miklosz.

— A może przez kogoś mieliście państwo wiadomości?

— Nie.

— Skąd wobec tego przypuszczenie, że jest w Ameryce?

— Właśnie dlatego, że nie pisze — oświadczyłam.

To mu nie chciało wejść do głowy. Jakiś szef albo on sam doszedł do przekonania, że ten trup to Denesz Mozesz. Dlatego nie przyjmował do wiadomości niczego, co mogło podważyć to twierdzenie. Usiłowałam mu wyjaśnić, jaki jest nasz chłopiec. Nie interesuje się literaturą, czym różni się od nas. To absolutnie nowoczesny chłopak. Marzy o maszynach, ruchu i szybkości, a przede wszystkim o posiadaniu samochodu. Od wielu lat powtarzał, że jakby mógł, to by wyjechał do Ameryki. Zgodziłby się do mycia samochodów, byle by mieć własny... Jasne, że jak granica była otwarta, uciekł.

— Ale nie dał stamtąd znaku życia — upierał się policjant.

— Bo nie chciał nas narazić na kłopoty — powiedziałam. — Mąż jest naukowcem, filologiem, ja mam posadę w Akademii Nauk jako stenotypistka. Ledwie nas tolerują, a jakby się okazało, że nasz syn uciekł na zachód... Czy można się temu dziwić?

— Inni już dawno dali znać rodzinom — powtarzał swoje policjant.

Próżno starałam się opanować głos. Gniew we mnie wzbierał i słowa wybiegały na usta zanim je pomyślałam.

— Czy panu nie wstyd? — napadłam na niego. — To po prostu głupota z pana strony! Po co nas pan tu ściągnął? Czy jest pan zupełnie wyzbyty ludzkich uczuć? Już raz powiedziałam, widać, że nie ma pan dzieci. Matce żadne listy nie są potrzebne. Żadne wiadomości. I tak wie, że jej dziecko żyje. We mnie jest jakiś radar, wiem nawet, kiedy śpi, a kiedy czuwa. Czy jest chory, czy zdrów. W tej chwili wiem z całą pewnością, że niczego mu nie brak: ma auto, pracę, mieszkanie i przyjaciół. Pewnie, że chciałabym dostać od niego wiadomość. Długo z drżeniem czekałam na list, ale zawsze miałam pewność że mu jest dobrze, że jest szczęśliwy, że osiągnął wszystko, czego pragnął... A pan nas tu wzywa, powołuje się na zeznania jakiegoś głupiego wyrostka i wmawia w nas, że te zwłoki, to nasz syn... Nic z tego! Nie wierzymy, i już. Może pan nie ma złych intencji, i na pewno

kiedyś, jak pan zostanie ojcem, przykro panu będzie na wspomnienie tego postępku. Ale nam się to już nie przyda. Czy mój mąż zrobił panu coś złego? Nienawidzę pana... jest pan podły...

Myślałam, że się obrazi. Że się rozgniewa. Że zechce mnie ukarać za ten wybuch. Ale on tylko stał i patrzył na mnie swymi bezbarwnymi oczyma. Potem schował kartkę do kieszeni i starannie zapiął guzik. Wzruszył ramionami. Widać zrobiło mu się gorąco, bo zdjął czapkę i palcami przygładził włosy... Pod czapką miał białe, nie opalone czoło i ten biały pasek między ogorzałą twarzą i ciemnymi włosami był chyba jedynym miejscem, w którym nie był policjantem.

— Dla mnie to obojętne — powiedział po chwili niepewnie, jakby hamując zdenerwowanie. — Jeśli państwo sobie życzą, umorzę śledztwo.

— Czy można? — zapytałam.

— Jeśli państwo stwierdzą, że ten zmarły nie jest Deneszem Mozeszem, odnotuje się: tożsamości nie udało się ustalić.

— To nie jest nasz syn — powiedziałam.

— Proszę bardzo — powiedział. — Mogą państwo odejść.

— Chodźmy, Miklosz.

— Zaraz, kochanie.

Ale stał i patrzył na zwłoki. Znowu rozbłysły szkła jego okularów.

— Czy ten telefon działa? — zapytał.

— Tak — odpowiedział policjant. — Nakręca się najpierw zero.

— Do kogo chcesz dzwonić — zapytałam.

— Do Szandora.

— Po co?

— Muszę go o coś zapytać.

Pamiętam, że wtedy zaczęłam się bać.

— O tej porze Szandor ma pacjentów.

— Muszę go o jedną rzecz zapytać.

— Czy nie możesz później?

Podszedł do mnie i ujął mnie za rękę.

— Nie gniewaj się, Szari — powiedział. — Ale nie mógłbym tak żyć.

— Czy myślisz, że z tym będzie ci lepiej?

— Pozwoli pan, że zadzwonię? — zwrócił się do policjanta.

— Bardzo proszę.

— Chodźmy stąd, Miklosz.

— Zaraz, Szari — mruknął już przy telefonie. Starannie wytarł kurz ze słuchawki i nakręcił numer. — Czy mogę prosić pana doktora Tótha?

Próbowałam zdławić strach. Tak już musi być — tłumaczyłam sobie. Wszystkie żyjące stworzenia zabijają się nawzajem. Tylko my, matki, nie telefonujemy, nie zadajemy pytań, nie wypatrujemy listonosza. A jak przez szparę w drzwiach wpada kartka, truchlejemy z przerażenia. Zabijać można nie tylko w imię zła, ale także w imię piękna, dobra i prawdy. Można zabić dla jednej informacji. A przecież nie wiedzieć to mieć nadzieję. Tylko my, matki, nie staramy się dowiedzieć o tym, czego nie wiemy.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam w pracy. Dzwonię z komendy policji. Nie wiesz, czy nasz syn Denesz miał w uzębieniu jakąś plombę albo co innego, po czym można by go zidentyfikować? Jeśli możesz to sprawdzić bez wielkiego kłopotu...

Są przyjaciółmi od dzieciństwa, ale każda ich rozmowa jest równie uprzejma. Słuchając można sobie wyobrazić, że po każdym zdaniu następuje ukłon. Miklosz podziękował za informację. Nie zapomniał o pozdrowieniach dla Ilony. Obiecał zadzwonić z domu, znowu przeprosił, wreszcie odłożył słuchawkę. Podszedł do mnie.

— Wyjdź na korytarz, kochanie.

— Czemu?

— Na ostatnim trzonowym zębie miał złotą koronę.

— Ja też chcę zobaczyć.

— Będziemy musieli otworzyć szczęki.

— Nie bój się o mnie, Miklosz.

— To nie jest przyjemny widok — wtrącił policjant.

— Dlaczego chcesz koniecznie przy tym być? — zapytał Miklosz.

— Niech pani tylko wyjdzie na korytarz — namawiał policjant.

— Zaraz za tobą wyjdę — powiedział Miklosz.

— Chcę sama zobaczyć — powiedziałam.

— Czemu? — zapytał błagalnie.

— Tylko własnym oczom uwierzę.

Zbladł.

— No to proszę — powiedział urażonym tonem.

Uzębienie było najlepiej zachowaną częścią zwłok. Światło padające z góry dobrze oświetlało dolną część twarzy. Policjant otworzył składany nóż, usłyszałam zgrzyt ostrza na zębach. Szybkim ruchem odsunęłam policjanta, potem Miklosza i pochyliłam się nad trupem.

Boże, uczyń, by na zębie nie było korony! Uczyń, by stała się ciemność. Uczyń, by mgła osiadła nam na oczach. Uczyń, żebym nic nie widziała i nic nie słyszała. Uczyń, bym mowę straciła...

Błysnął złoty punkcik jak mała złota iskierka.

— Miał pan rację — powiedziałam do policjanta. — To mój syn.

— Poznaje pani?

— Tak.

Pojechaliśmy do domu tramwajem. Zachowywaliśmy się jak każdego innego dnia: Miklosz przyniósł drzewo, jak rozpaliłam w piecu. Prowadziliśmy bardzo skromne życie. Nie chodziliśmy do kina, bardzo rzadko do teatru, i to tylko na sztuki klasyczne. Tylko jeden jedyny raz jedliśmy kolację w restauracji, w 1954 roku, siedemnastego stycznia, żeby uczcić ukazanie się w druku pierwszej po trzech latach pracy Miklosza o Petrarce. Jadamy w domu, ja gotuję, zawsze proste dania nie wymagające długich przygotowań.

Tego dnia zjedliśmy jajecznicę, dziesięć deka szynki, popiliśmy herbatą. Tacę doniosłam z kuchni bez wypadku. Jadłam. Nie czułam bólu. Nic nie myślałam. Miałam tylko wrażenie, że to nie ja jem jajecznicę. Nie rozmawialiśmy, ale nie mieliśmy zwyczaju dużo mówić. Kiedy dolewałam mu herbaty, Miklosz zapytał:

— Czy jesteś zmęczona?

— Czemu pytasz?

— Może masz ochotę na trochę muzyki?

— Bardzo chętnie.

Nie mamy radia. Dwudziesty wiek reprezentuje u nas tylko stara maszyna do pisania, no i telefon. Tyle, że wystawiliśmy go do przedpokoju na skrzynię z brudną bielizną, bo żadne z nas go nie lubi. Miklosz zadzwonił do Szandora.

— Wybierają się do kina — powiedział. — Ale zostawią dla nas klucz pod wycieraczką.

Skończyliśmy kolację. Wciąż jeszcze nic nie czułam, może tylko trochę znużenia, które jakby mnie z tyłu hamowało. Ale jak się odświeżyłam i przebrałam, a potem wyszliśmy na chłodne powietrze, zmęczenie ustąpiło.

Mieliśmy zwyczaj w każdą środę razem z Tóthami słuchać muzyki z płyt. Nieraz gospodarze mieli inny program, wtedy zostawiali nam klucz i zapalone światło w przedpokoju. Tym razem w mieszkaniu było ciemno. Nie mogliśmy znaleźć po ciemku kontaktu, macaliśmy ściany, w pewnej chwili wpadliśmy na siebie. Głośno się roześmieliśmy i nagle umilkliśmy. Staliśmy w ciemności bez ruchu. Nie wiem jak długo, może bardzo długo, bo po ciemku czas inaczej biegnie.

— Gdzie jesteś ? — zapytał Miklosz.

— Tutaj.

— Sprawdź, czy kontakt nie jest za tobą.

— Nie, nie ma.

Znowu milczeliśmy. Straciłam orientację, zapomniałam, z której strony są drzwi wejściowe i skąd słyszałam głos Miklosza. Wstrzymałam oddech, jakby mi to mogło pomóc w przeniknięciu ciemności. Ale zabrakło mi tchu i musiałam głośno odetchnąć.

— Czy płaczesz? — zapytał Miklosz.

— Nie.

— Przecież słyszę — upierał się.

— Źle słyszysz.

— Nie potrzebujesz się wstydzić — powiedział.

— Ależ ja wcale nie płaczę, Mikloszu.

Naprawdę nie płakałam. Nie odczuwałam nawet nic szczególnego, ni żalu, ni smutku, ni wzruszenia. Wreszcie Miklosz znalazł kontakt i gdy go przekręcił, od razu na mnie skierował wzrok. Byłam spokojna i miałam suche oczy.

— Czy chcesz *Requiem?* — zapytał.

— Dobrze.

— Które?

— Które wolisz.

— Może być Mozart? — zapytał.

— Dobrze.

Założył płytę. Usiedliśmy tak, żeby nie patrzeć na siebie wprost: on patrzył na głośnik aparatu, ja na jego ostro zarysowany podbródek, garbaty nos i wklęśnięte policzki. Twarz jego, już zmieniona przez starość, była i bardzo znajoma, i trochę już obca. Pamiętam, że oświadczył mi się przy klombie pelargonii w ogródku rodziców. Był przystojniejszy niż dzisiaj, pełniejszy, bardziej pociągający i bliższy. Ze wszystkich cech jedna mu pozostała: uczciwość. Jest uczciwy nie tylko w stosunku do ludzi, ale także do swojej pracy. To, co wie o literaturze włoskiej, to także wie w jakiś purytański sposób, bezkompromisowo. Przed siedmiu laty krytyka nazwała go idealistą: z tego powodu przez trzy lata zarabiał tylko lekcjami języka włoskiego, ja także straciłam pracę w gimnazjum. Miłości nie można ze wszystkiego obedrzeć: czas nie naruszył jego uczciwości i to w nim kochałam.

Kiedy zabrzmiał *Agnus Dei,* powiedział:

— Nawet naprzeciw śmierci można iść z ufnością.

Drgnęłam. Bardzo lubiłam Mozartowskie *Requiem,* ale teraz ledwie chwytałam fragmenty melodii. Nie zrozumiałam, co ma na myśli.

— Czy chodzi ci o Denesza? — zapytałam.

Skinął głową. Trochę mi było wstyd, bo słuchając muzyki ani razu nie pomyślałam o synu. Czułam się jakaś odrętwiała, jakbym wzięła dużą dawkę środka uspokajającego. Ale jak Tóthowie wrócili do domu, coś się we mnie poruszyło.

Nie ja ich sobie wybrałam za przyjaciół, dostałam gotowych. Razem z Mikloszem. A przecież Miklosz i Szandor to zupełne

przeciwieństwa. Całe ich życie było odmienne. Myśmy mieli zawód, oni pasje. Ja nosiłam ubrania, Ilona się stroiła. Mieli wszystko, a stale coś kupowali wydając więcej, niż mieli gotówki. Dużo bywali, wszędzie chodzili: na plażę, na mecze, do restauracji. Jak się ta przyjaźń utrzymała, było dla mnie zagadką. Wiem, że Szandor bardzo Miklosza szanuje, ale szanują go wszyscy.

Kiedy wrócili do domu, poczułam, że coś się ze mną dzieje. Człowiek, który nie wiedział, czym jest ogień, i nagle przeżył pożar, musi się tak właśnie czuć. Póki coś nie ma nazwy, to tak, jakby tego nie było. Tóthowie uważali, żeby ognia nie nazwać po imieniu. Może dlatego tak mi się serce ścisnęło.

Tóthowie byli strasznie ruchliwi, żywi. Staliśmy we czwórkę, namawiali, żeby posłuchać nowej płyty, właśnie dziś ją kupili, Vivaldi. Może zostaniemy na kolacji? A może napijemy się kawy? Mają doskonałą neskę, prawdziwą, dostali paczkę ze Szwajcarii.

Na wszystko odpowiadałam przecząco. Bardzo dziękuję, pójdziemy już do domu.

— W takim razie — powiedział Szandor — odwiozę was.

— Jak to odwieziesz? — zdziwił się Miklosz.

— Swoim autem.

— Masz auto? — zdumiał się Miklosz. — Od kiedy?

— Od dzisiaj.

— Chyba żartujesz.

— Nie, naprawdę.

— Skąd ci przyszło do głowy kupować samochód?

Idąc po schodach wyjaśnił nam to. Wtedy coś mnie w środku ścisnęło i ślina w ustach stała się gorzka. Mówił, że nie ma większej przyjemności, że każdy człowiek marzy o pokonywaniu szybkości, że tylko samochód może zaspokoić to pragnienie, że odurzenie jazdą to najnowszy narkotyk wynaleziony przez człowieka.

Szandor jest masywnym mężczyzną, waży chyba z dziewięćdziesiąt kilo. Aż auto jęknęło, kiedy wsiadał. Nie na wszystkich ulicach paliły się wtedy latarnie, więc musiał włączać reflektory, tworzące jakby biały tunel. Gnał szybko, bo ruch był mały, ludzi prawie nie spotykaliśmy, chociaż od pewnego czasu zniesiono już godzinę policyjną. Nic nie mówiliśmy, choć wyczuwałam, że Szandor ma ochotę pogadać, tylko hamuje go wzgląd na mnie. Z trudem powstrzymywał radość i dumę.

— Jak ci się podoba głos motoru, Miklosz?

— Nie mam pojęcia, jak należy na takie pytanie odpowiedzieć. Przecież wiesz, że nie mam pojęcia o samochodach.

— Pozujesz — uśmiechnął się Szandor. — Pan historyk literatury z pogardą spogląda na szoferski gatunek... Tak się mówi?

— Tak.

— Co za mędrzec to wymyślił?

— Kayserling.

— No, ale samochody musiały wtedy być bardzo prymitywne... Szari, czy czujesz, jak działa ogrzewanie?

— Czuję.

Robiło mi się niedobrze. Nie z żołądka. Łykałam ślinę, a z nią razem głosy, które chciały się ze mnie wydostać i nieartykułowaną czkawkę... U wjazdu na most stali jeszcze wtedy żołnierze na warcie. Przelotnie ich zauważyłam.

— Ja bym ci poradził — odezwał się Szandor. — Kup sobie także samochód.

— Co takiego? Ja? Samochód? — Miklosz zdębiał. — Chyba bym zwariował.

— Wystarczy wpłacić dwadzieścia tysięcy. Resztę będą potrącać z pensji na uniwersytecie. W ciągu dwudziestu lat nie odczujesz nawet spłat.

— Po pierwsze nie mamy dwudziestu tysięcy — powiedział Miklosz. — A po drugie nawet bym nie wiedział, co robić z autem.

— E, poza — machnął ręką Szandor.

Zaczął opowiadać, że i ten sobie kupił samochód, i tamten, a trzeci właśnie ma zamiar. Wszystkim znudziła się ta groszowa bieda. Pożyczki dają na siłę, lekarze zarabiają bez liku, każdy chce żyć, oddychać, bawić się. Co krok to Moskwicz. Przedtem nawet marzyć było trudno. A Miklosz mógłby się zakrzątnąć i przetłumaczyć dla Teatru Narodowego jakąś sztukę Goldoniego, nie spadłaby mu korona z głowy.

— Głupie gadanie — powiedział Miklosz.

— Bardzo mądre gadanie — odparował Szandor. — Już widzę, jak Szari ładnie wygląda przy kierownicy...

Wtedy zrobiło mi się słabo.

— Stań zaraz! — krzyknęłam i przykryłam usta dłonią.

Przestraszony zahamował w miejscu. Tuż obok na rogu była kawiarnia, tam wbiegłam. Wszystkie oczy od stolików skierowały się na mnie, przebiegłam z dłonią przy ustach do marmurowych schodów prowadzących w dół. Zamknęłam się i jakby się jakaś grobla przerwała, wyszło ze mnie wszystko: lament, płacz i rozpacz.

Widocznie i z zewnątrz można było drzwi toalety otworzyć, bo jak przyszłam do siebie, stała obok kobieta i pomogła mi się podnieść. Łzy stopniowo przestawały płynąć.

Kobieta zdjęła z małego stołeczka talerz z drobnymi pieniędzmi i powiedziała:

— Niech pani sobie siądzie i odpocznie trochę.

Usiadłam. Wydawało mi się, że wszystko ze mnie wyszło, że jestem od wewnątrz pusta i dźwięczę jak martwa muszla. Otarłam sobie twarz chusteczką.

— Niech pani się nie śpieszy — poradziła.

— Kiedy na górze czekają na mnie.

— Niech jeszcze poczekają — powiedziała, jakby lepiej ode mnie znała biologię smutku. — Pani jest ważniejsza.

Posłuchałam jej. Z kawiarni przesączała się muzyka. Kobieta o nic nie pytała, nic nie mówiła, nawet na mnie nie patrzyła, ale czułam jej obecność. Było mi z tym dobrze jak choremu, który wie, że nie ma dla niego ratunku, ale uspokaja go myśl, że ktoś przy nim czuwa.

— A teraz niech pani przymknie oczy i spokojnie jeszcze posiedzi — powiedziała, kiedy sięgnęłam po torebkę. — Powieki ma pani okropnie zaczerwienione.

Zamknęłam oczy. Nie wiem, jak długo to trwało, ale kiedy je otworzyłam, kobieta stała nade mną ze szklanką wody. Wypiłam i podziękowałam.

— Niech pani nos upudruje — przykazała.

— Nie mam pudru.

— Proszę wziąć mój.

— Dziękuję.

Wcisnęła mi do ręki puszek, a kiedy spostrzegła, że niezdarnie się do tego zabieram, sama mi upudrowała nos.

— Teraz może pani iść.

— Dziękuję za życzliwość — powiedziałam.

— Nie ma za co. Ja już niejedną taką widziałam.

— Czy mogę dać pani parę groszy? — zapytałam.

— Innym razem — uśmiechnęła się.

Poczerwieniałam.

— To przecież pani praca, za to można przyjąć pieniądze — powiedziałam.

— Ale nie w takich wypadkach.

— Przepraszam.

— Nie ma za co.

— Pani była dla mnie taka dobra — powiedziałam.

— Jesteśmy wszystkie takie same.

— Jeszcze raz dziękuję.

— Proszę bardzo.

— Do widzenia.

— Wszystkiego dobrego...

Zastałam teraz Miklosza na przednim siedzeniu, majstrował coś przy kierownicy, kręcił, przyciskał guziki — zupełnie jak mały chłopak. Szandor żywo mu wszystko wyjaśniał.

— Pierwszy bieg ma największą przekładnię. W domu ci to narysuję.

W lusterku widziałam twarz Miklosza. Okulary mu błyszczały: znowu się czegoś nauczył.

— Lepiej się czujesz? — zapytał.

— Powiedz, kupimy auto? — zapytałam.

— Skądże znowu — powiedział. — Nie mamy przecież tyle pieniędzy.

Zamienili się miejscami. Zdążył jeszcze przycisnąć klakson. Ruszyliśmy.

Uczyń, Boże, by mu dano do tłumaczenia sztukę Goldoniego. Uczyń, by zdobył powodzenie, pieniądze, samochód. Nie przestanie i wtedy być uczciwy. To najczystszy człowiek, jakiego znam. Uczyń, bym już nie płakała. Uczyń, bym za siebie nie spoglądała, nawet przez chwilę.

István ÖRKÉNY

(Przekład z węgierskiego)

«Wenecja»

Z serii:
„Za Waszą i Naszą Wolność"

Niewiele o nim wiedziałem. Według otrzymanego „grypsu" z getta od „Rudego Pawła" z bojowej grupy, skoncentrowanej w „szopie szczotkarzy" można go było spotkać tylko w godzinach popołudniowych na placyku, zwanym „Wenecja", przy wysokich numerach ulicy Wolskiej. Określono mi go jako osobę średniego wzrostu, o ciemnych włosach, czarnym zaroście, podobny do Żyda i jako znak szczególny, że miał drewnianą nogę.

Znany był na całej Woli.

Był „królem" złodziejaszków, kieszonkowców i marewicherów. Jemu wszyscy podlegali. On przygotowywał „robotę", wysyłał ich, następnie jemu dostarczano zdobyte przedmioty.

Placyk „Wenecja" był jego własnością, na tym placyku stała karuzela.

Na placyk wchodziło się przez drewniane drzwi, umieszczone w dość wysokim, niebardzo szczelnym drewnianym płocie. Po prawej stronie placyku, przy ścianie sąsiadującego budynku stała właśnie ta karuzela, po lewej leżała duża, wysoko ułożona kupa kamieni do brukowania ulic, tak zwane „kocie łby". Ta kupa kamieni zasłaniała widok na stary drewniany, parterowy budynek, prawdopodobnie przerobiony z dawnej szopy. W tym budyneczku były dwie izby mieszkalne, mała kuchenka i moc zakamarków.

To był „zamek króla na Woli".

Jak się później dowiedziałem nazywał się Kowalski..

Przy poznaniu się z nim wymienił tylko nazwisko. Może miał jakiś pseudonim wśród swoich „podległych"; wobec mnie operował tylko nazwiskiem i był bardzo zadowolony, gdy zwracałem się do niego per Pan Kowalski.

Miałem dużo wątpliwości, czy udać się do niego, po tym co się o nim dowiedziałem. Nie mogłem sobie wyobrazić co wspólnego może mieć taki człowiek, z takiego środowiska, z konspiracją, szczególnie z akcją udzielania pomocy Żydom w getcie. Ale wskazówka „Rudego Pawła" była wyraźna: człowiek pewny.

Na kilka dni przed decyzją skontaktowania się z nim obejrzałem sobie dokładnie „Wenecję" i wszystko co ją otacza. Okazało się, że karuzela jest czynna tylko raz w tygodniu, w niedziele popołudniu i obsługuje ją żona Kowalskiego. W tygodniu natomiast przychodzą tam różne wyrostki obu płci i załatwiają jakieś interesy: bo co kto przychodzi, Kowalski kulejąc, wchodzi z nim do domku.

Zadanie było pilne i bardzo ważne.

Było to w okresie przygotowań do zbrojnego oporu w getcie, w którym po kilkakrotnie przeprowadzanych „selekcjach" — co się równało wysyłkom do obozów zagłady — z powyżej pół miliona Żydów pozostało zaledwie około 40 tysięcy i ci już wiedzieli jaki los ich czeka.

Zdecydowałem się na spotkanie z Kowalskim. Z „królem" złodziejów na Woli.

Pewnego dnia, w godzinach popołudniowych udałem się na Wolską do „Wenecji" ażeby porozmawiać z Kowalskim i zaproponować mu zadanie jakie należało przeprowadzić. Chodziło o przedostanie do getta trochę broni, amunicji oraz materiałów wybuchowych do własnej produkcji granatów i min. Produkcją tą zajmował się członek bojowej grupy u „Szczotkarzy", Michał Klepfisz, inżynier z zawodu.

Zgodnie ze wskazówką miałem przy spotkaniu powołać się na „Krzywonosa"; był to również członek grupy bojowej i przyjaciel „Rudego Pawła".

Widocznie „Krzywonos" był dobrze znany Kowalskiemu, gdyż przy słowie, że jestem od „Krzywonosa" bardzo się ucieszył i tak mocno uścisnął mi rękę, że trwało kilka sekund, zanim mogłem wyprostować palce.

Natychmiast zaprosił mnie do domu i od razu pojawiła się na stole „matka". Opowiadałem mu co się dzieje w getcie i na co się szykuje. Posiadaliśmy trochę krótkiej broni, amunicji, benzyny, prochu, kwasu solnego i kilka granatów zaczepnych. Chcemy to przedostać do getta. Sposobów jest kilka. Poprzez furmanów platform, które przywożą do getta dla szopów materiały lub żywność; przeszmuglować poprzez cmentarz żydowski, lub przez kanały. On, jak nam wiadomo, ma możliwość nawiązania kontaktów z furmanami, a do szmuglu przez cmentarz żydowski lub kanały ma swoich wykwalifikowanych „chłopców". Gdyby szło przez furmanów, ustalilibyśmy zewnętrzny znak na plat-

formie, że zawiera „towar". To byłaby zwykła lampa naftowa, taka jaką się wiesza przy wozach, tylko szkła byłyby pomalowane na wpół na czerwono, na wpół na niebiesko, a nie całe na niebiesko, jak obowiązywały przepisy zaciemnienia. Już tam w getcie według tego rozpoznają, że platforma posiada ładunek i zajmą się zabraniem go. Oczywiście będą to małe paczki.

Jeśli chodzi o drogę przez cmentarz żydowski, to wskażemy dokładnie miejsce, gdzie paczki mają być pozostawione, skąd będą później przez naszych zabrane. Odnośnie kanałów, to czekam na dokładny plan trasy, który mu później doręczę.

Kowalski spokojnie mnie wysłuchał, nie odezwał się ani słowem. Jak skończyłem, nalał następne dwie „setki", podsunął mi zagrychę.

Wychyliliśmy.

Powoli dłonią wytarł usta i dalej milczał. Oczy mu się zaszkliły. Miałem jakoś przekonanie, że nie pod wpływem alkoholu, gdyż widać było, że ma „spust" odpowiedni do zawodu, lecz pod wpływem wrażenia, jakie zrobił na nim mój plan.

Wykorzystując jego milczenie, napomknąłem jeszcze raz jaka jest sytuacja w getcie i że liczymy na jego pomoc.

Kowalski ciągle milczał. Byłem pewny, że znowu napełni szklanki. Ale, nie, wódki więcej nie tknął. Poczęstował mnie papierosem, sam również zapalił, mocno się zaciągnął i nadal milczał.

To uciążliwe milczenie trwało kilka minut.

Naraz zapytał mnie co słychać u „Krzywonosa". Byłem zaskoczony. W takiej chwili kiedy ja czekam z niecierpliwością na jego odpowiedź w tak ważnej sprawie, on kieruje rozmowę na inne tory. Widocznie zląkł się, to nie praca dla właściciela „Wenecji" i „króla" na Woli.

Odpowiedziałem mu, że „Krzywonos" jak i inni pozostali w getcie szykują się do walki na śmierć i życie, właściwie tylko na śmierć, bo wyjścia z takiej sytuacji nie ma, jest tylko możliwość brania ceny za życie, czyli śmierć za śmierć. Naszym obowiązkiem jest pomóc im póki możemy.

Kowalski ciężko się podniósł, poprawił sobie protezę nogi i zapytał kiedy mogę znowu przyjść. Odpowiedziałem, że mogę przyjść kiedy będzie miał coś konkretnego w tej sprawie.

Znowu mocno mi uścisnął rękę i powiedział: Spokojna głowa, przyjdź pan za cztery dni o tej samej porze, a ile tego materiału będzie? Niestety dużo tego nie było: 2 waltery, 2 wisy, po kilkadziesiąt sztuk amunicji, 10 litrów benzyny, litr kwasu solnego, 3 kilo prochu, 4 granaty ręczne, kilka paczek nabojów do KB. „Towar" sami dostarczymy na miejsce, które on wskaże.

Po 4 dniach ta sama procedura, mocny uścisk dłoni, „matka" i zagrycha na stole i... tajemniczy uśmiech na twarzy Kowalskiego.

Nawiązał kontakt z jednym z furmanów platformy; „towar" ma być zapakowany w małych paczkach: dobrał sobie do pomocy dwóch zaufanych wyrostków. Materiał przez nas dostarczony dotarł do „Rudego Pawła" w odstępach jednego tygodnia.

Kowalski nie chciał przyjąć żadnego wynagrodzenia, ani zwrotu „kosztów własnych". Nigdy nie udało mi się ustalić jakie stosunki poprzednio łączyły „Krzywonosa" z Kowalskim, że ten ostatni, z takiego środowiska, podjął się i wykonał tak niebezpieczną pracę, oraz jakie pobudki nim kierowały. Nie ulega wątpliwości, że w walce z okupantem brały udział wszystkie warstwy społeczne, w niektórych wypadkach nawet te z „dna". Ale co innego walczyć z okupantem a co innego pomagać prześladowanym Żydom, choć właściwie to też był jeden z odcinków walki, ale na to było mniej chętnych.

Następne moje spotkanie z Kowalskim było już po wojnie, kiedy w czerwcu 1945 przyjechał do mnie do Łodzi. Ale o tym i ostatnim spotkaniu później.

19 kwietnia 1943 roku nad ranem wybuchło powstanie w getcie.

Po dwóch tygodniach walk przeciw po zęby uzbrojonemu okupantowi, część powstania zaczęła wygasać. Powstańcy już prawie bez broni i amunicji, zaczęli się cofać z pozycji na pozycję, a wokoło szalały pożary i wybuchały podminowane domy. Grupa „Rudego Pawła" w liczbie około 30, składająca się przeważnie z tak zwanych bezpartyjnych, szmuglerów i tragarzy, przygotowywała się do opuszczenia płonącego getta, po uzgodnieniu z dowództwem Żydowskiej Organizacji Bojowej, któremu podlegała. Dla schronienia się tej grupy była przygotowana willa na linii Warszawa-Otwock, między Falenicą a Miedzeszynem.

Grupa wydostała się z getta i obsadziła pusto stojący dom przy murze po aryjskiej stronie. Tam przebywała jedną noc. Po nawiązaniu kontaktu z punktem konspiracyjnym po aryjskiej stronie, następnego dnia podjechał wynajęty karawan z trumną. Kilku wsiadło do karawanu, udając rodzinę „nieboszczyka" i w ten sposób zainscenizowano pogrzeb. Karawan nie zwracając niczyjej uwagi obrócił kilka razy i w ten sposób cała grupa wydostała się z Warszawy i została umieszczona we wspomnianej willi. Niestety, długo ta rzekoma wolność nie trwała. Przez nieostrożność i brak zimnej krwi jednego z wystawionych na czujki, grupa została zdekonspirowana. Zaalarmowana żandarmeria usiłowała otoczyć willę, jednak kilkunastu udało się przerwać pierścień i zbiec ostrzeliwując się po drodze. Ta gonitwa trwała aż do Józefowa przed Otwockiem. Z tych 30 pozostało przy życiu

tylko pięciu, w tym „Rudy Paweł" i „Krzywonos". Obaj przedostali się do Warszawy i Kowalski ich ukrył u siebie.

Po kilku tygodniach ich pobytu u Kowalskiego, nie wiadomo jakim sposobem ktoś o tym się dowiedział i sypnął.

Pewnego dnia przyszli do Kowalskiego niemiecki żandarm i polski urzędnik Kripo (kryminalna policja). Zażądali wydania ukrytych Żydów i wysoki okup od Kowalskiego, żeby go nie „skrzywdzić", gdyż za to grozi jemu i rodzinie śmierć. Na pewno od ukrywających Żydów pobiera wysoką opłatę, więc oni też chcą z tego skorzystać. Kowalski zaprzeczył, że ukrywa Żydów, mogą zrobić u niego rewizję, ale przy tej okazji dla „omówienia" sprawy zaprosił na wódeczkę. W rozmowie chciał się koniecznie dowiedzieć czy poza nimi, jeszcze ktoś jego podejrzewa o ukrywaniu Żydów i czy ktoś inny jeszcze wie o ich wyprawie do niego, bo dziś oni, a jutro inni i tak pójdzie w kółko i nie będzie miał spokoju, w tych czasach z takimi sprawami nie ma żartów, można niewinnie być skrócony o główkę. Tłumaczył im, że jest zwykłym złodziejaszkiem, obecnie bezrobotny, ale dla „sztamy" jest gotów postarać się o trochę pieniędzy, żeby ich wyprawa do niego nie była na darmo. Gadu, gadu, jedna szklaneczka, druga szklaneczka i... Kowalski sypnął truciznę do ich wódki i obaj zostali otruci. Otruci na śmierć, bez zająknięcia. Kowalski, żona, „Rudy Paweł" i „Krzywonos" zajęli się truposzkami i wszelkie ślady ich pobytu zostały zatarte. Najzwyczajniej pocięto ich na kawały i usunięto. A zdobycz: 2 pistolety z amunicją.

Tym niemniej „Rudy Paweł i „Krzywonos" musieli opuścić swoją kryjówkę; było bardzo niebezpiecznie pozostawać w niej dalej; Kowalski ze strachem oczekiwał jakiejś następnej wizyty. Ale widocznie żandarm i agent policji przyszli na własną rękę i nikt o ich wyprawie do Kowalskiego nie wiedział, bo nikt więcej nie przychodził.

„Krzywonos" pojechał gdzieś na prowincję a „Rudy Paweł" przyszedł do mnie na ul. Chłodną Nr 17, gdzie był punkt konspiracyjny Bundu i Żydowskiej Organizacji Bojowej. Jaki los spotkał „Krzywonosa" nie wiem. „Rudy Paweł" natomiast był nadal czynny w konspiracji. Władał dobrze językiem niemieckim, miał nawet lekki akcent wiedeński, bo chodził jako młodzieniec do szkoły we Wiedniu. Miał fałszywą kenkartę na Volksdeutscha, na nazwisko Paul Gelber i takież papiery, że jest zatrudniony w dziale finansowym niemieckiego Zarządu miasta Warszawy. Papiery te dostałem od P.P.S. Wykorzystał te możliwości, jeździł często do Otwocka, gdzie przebywali niemieccy żołnierze ranni, na rekonwalescencji. Nawiązywał z nimi kontakty i nieraz udało mu się za kawę i słoninę kupić krótką broń.

W dniu wybuchu Powstania Warszawskiego „Rudy Paweł"

udał się do znajomych na Powiśle, miał tam wydostać trochę amunicji. Powstanie zaskoczyło go tam, nie zdążył wrócić na Chłodną. „Rudy Paweł" zgłosił się natychmiast do dowódcy odcinka, walczył tam na barykadach, i trzeciego dnia Powstania zginął przy Ubezpieczalni Społecznej.

Któregoś dnia, w czerwcu 1945 roku, przybył do mnie do Łodzi, zupełnie niespodziewanie Kowalski. W jaki sposób dowiedział się o moim nazwisku i adresie w żaden sposób nie chciał wyjawić. Wówczas właśnie opowiadał mi całą historię ze zlikwidowanym żandarmem i agentem kripo, co się całkiem zgadzało z tym co, mi o tym opowiadał „Rudy Paweł". Kowalski prosił mnie o wydanie zaświadczenia, że podczas okupacji ukrywał bojowników z getta i pomagał mi w dostarczaniu broni dla walczących w getcie. Po kilku tygodniach przybyła do mnie żona Kowalskiego w żałobie. Z płaczem opowiadała mi, że na początku lipca 1945 roku, mieszkali już na Pradze, pewnej nocy przybyli do nich dwaj panowie, przedstawili się jako funkcjonariusze U.B. i zażądali pokazania im piwnicy, gdzie według ich wiadomości, Kowalski ukrywa broń. Kowalski ubrał się i zeszedł z nimi do piwnicy. Żona zaniepokojona długą nieobecnością męża, zeszła do piwnicy i tam zastała stygnące zwłoki zastrzelonego męża. Dlaczego Kowalski został zamordowany nie wiadomo.

Tak skończył tak zwany „ciemny typ" o ludzkim i odważnym sercu.

Dawid KLIN

WYDAWNICTWA POLSKIEJ FUNDACJI KULTURALNEJ

KSIĄŻKI WYDAWANE W SERIACH PO PIĘĆ KSIĄŻEK

KAŻDA SERIA (5 KSIĄŻEK) KOSZTUJE:

30/-; NF.24; US.$5; A.$4

Koszt przesyłki w W. Brytanii 3/-

w innych krajach 10% ceny serii

40 tomów ukazało się dotąd w stałych seriach.
63.500 książek dotarło do rąk czytelników
na wszystkich kontynentach.

Oprócz kompletów — ukazały się następujące książki:

M. Kukiel, „OD WIEDNIA DO MACIEJOWIC", szkice historyczne, str. 176. Cena: 15/-; US. $ 2,10; NF. 12; A. $ 1,90.

„THE CRIME OF KATYN" (po angielsku) z przedmową gen. W. Andersa. Facts and Documents, XV-303 str., 30 ilustracji. Cena: 37/6; US. $ 5,50; NF. 26; A. $ 4,70.

W. Solski, „BAJKI NA CODZIEŃ" z ilustracjami D. Laskowskiej, str. 72, 40 kolorowych ilustracji. Cena: 12/-; US. $ 1,75; NF. 8,75; A. $ 1,50.

J. Mackiewicz, „LEWA WOLNA", powieść, str. 460, płócienna oprawa. Cena: 42/-; US. $ 6; NF. 29,50; A. $ 5,25.

K. Wierzyński, „MOJA PRYWATNA AMERYKA" z ilustracjami M. Kościałkowskiego, str.. 250, płócienna oprawa. Cena: 30/-; US. $ 5,00; NF. 24,00; A. $ 5,25.

Marian Hemar, „IM DALEJ W LAS" (drugie wydanie), płócienna oprawa. Cena: 12/6; US. $ 2,00; NF. 9,00; A. $ 1,50.

Z. Czermański, „KOLOROWI LUDZIE", płócienna oprawa. Cena: 21/-; US. $ 3,00; NF. 15,00; A. $ 2,65.

Wydawnictwa Polskiej Fundacji Kulturalnej są do nabycia:
we wszystkich polskich księgarniach;
w przedstawicielstwach „Dziennika Polskiego";
w Polskiej Fundacji Kulturalnej
9 Charleville Road, London W.14., England.

Cocktail party

Gospodarze zamierzali wydać tu cocktail w stylu klasycznym, ale w Polsce wszystko ulega odchyleniu narodowemu i zamiast trwać na stojąco z kieliszkiem na wysokości śledziony, goście obsiadują kanapy i krzesła w pozach niewymuszonych, zaś rozmowa zmajoryzowana zostaje przez paru chętnych i obrotnych w języku. W ten sposób indywidualizm pogawędek ulega terrorowi zbiorowego popisu, elokwentni i jadowici używają sobie na nieśmiałych, subtelnych i tępszych, przy zaległonej aprobacie reszty. Złośliwość rządzi tu każdym odruchem. Natychmiast po okrzyku: — Co za obicia ścian! Gdzie państwo zdobyli tak wspaniałe draperie? — następują porozumiewawcze spojrzenia za plecami gospodarzy, znaczące pogardę dla ich okropnego gustu. — W Londynie — odpowiada gospodarz, lub jego żona. — W Liberty's. Proszę sobie wyobrazić, złapaliśmy ostatnie kilkanaście metrów tego materiału... — Pan domu jest przedstawicielem międzynarodowego koncernu farmaceutycznego: oczywiście posadę tę uzyskał za pozwoleniem władz polskich, stąd stały paszport zagraniczny, oraz kordialne stosunki z zaludniającymi Warszawę cudzoziemcami. Ponadto ma willę w dzielnicy dla dyplomatów, oraz instalację sanitarną i sedes wprost z Ameryki: tajemnicą pozostaje nie jak to zdobył, lecz jak to przywiózł, musiał bowiem uzyskać zwolnienie od cła; chętnie też pokazuje klozet jako wielką zdobycz swego życia. Zamożność i przydatność warunkują jego drobne ekstrawagancje jak skłonność ku stosunkom towarzyskim z intelektualistami: płaci zresztą za tę słabostkę wystawnymi przyjęciami i niezwracaniem uwagi na pokpiwania ze swych szlachetnych snobizmów. Taki Hojda, na przykład, mówi: — Nie do zniesienia, co oni tu ponawieszali na ścianach! Szlafrok-gigant... — tak, że pan i pani domu muszą troskliwie udać, że

nie słyszą. — Barek w bibliotece miałem w początkach planu sześcioletniego — informuje Larbiński Elżbietę, zaś Hojda prostuje: — Nie kłam, miałeś już za Stalina, zrobiony przez prywatnego stolarza. — Może trochę zupy rakowej w filiżance? pyta pani domu z wytrenowaną słodyczą. — Zupa rakowa o tej porze roku? — dziwi się łagodnie Elżbieta. — Szyjki rakowe z puszki, oczywiście — wyznaje gospodyni — ale krem wychodzi całkiem jadalny. — Wyobraź sobie jaki Rybicki jest genialny — mówi Hojda. — Spotykam go wczoraj „Pod Gwiazdami" z zupełnie nowym kotem, siedemnastka, noga, oko, włos, ząb, mówię ci, na eksport. Jest Kostkowski, który mówi: „Ty, Rybicki, co ty tu pracujesz, ja znam tę dziwę, ona ma narzeczonego?" Na to Rybicki: „Ja nie jestem zazdrosny..."

— Rybicki — uśmiecha się wąsko Andrzej — bywa ostatnio w ambasadach na cocktailach jako urzędnik od kontaktów kulturalnych z zagranicą. Feruje wyroki o książkach i filmach. Powiedział mi niedawno, że nie pojmuje dlaczego artyści nie są w stanie stworzyć bohatera pozytywnego naszych czasów i że państwo marnuje pieniądze na tych, którzy tego nie potrafią. — Może proponuje siebie jako model? — śmieje się Hojda. — Mnie już nic nie dziwi. — Andrzej Felak! — podchodzi Klara Onyx. — Nie widziałam pana wieki całe. Co słychać? — Andrzej mówi co słychać, zaś myśli o rozmowie z Maleckim. Malecki rzekł dziś w redakcji: — Czytałeś *Die Welt?* Z przedwczoraj?

— Nie — rzekł Andrzej zaniepokojony: Malecki zwiastuje z reguły przykrości.

— Piszą o tobie. I to dużo. Zresztą w innych niemieckich gazetach także. Zwłaszcza w Berlinie Zachodnim. Nasładzają się tobą, aż dusza rośnie, że Niemcy tak piszą o Polaku...

Andrzej czuje mdłości koło serca. Nie szuka długo. Niemieckie pisma z ostatnich dni powołują się na korespondencję Grohmanna z Warszawy o prześladowaniach i cierpieniach znanego polskiego publicysty, Andrzeja Felaka, który w swej nowej książce o Niemczech usiłował zawrzeć trochę prawdy; jeden z piszących wspomina wprawdzie, że przeczytał uważnie książkę Felaka, ale nie znalazł tam upragnionego przez Niemców obiektywizmu w traktowaniu zagadnień spornych, skoro jednak donoszą z Warszawy, że nawet za taką książkę Felak zbiera cięgi, znaczy to, że sens jej jest pozytywniejszy, niż by się na oko wydawało; w jakimś berlińskim czasopiśmie znalazł emfatyczne zaproszenie do odwiedzin Berlina Zachodniego, miasta frontowego, gdzie dialog o przeciwnościach między Wschodem a Zachodem nabiera rumieńców autentyczności: autor artykułu dodał, że dopiero tak rzetelny i wnikliwy dziennikarz, jak Felak, zdoła spożytkować tę okoliczność dla dobra skłóconej ludzkości. To było perfidne zdanie:

wrabiało Andrzeja w katastrofalną spółkę, której nie przewidział. Ta afera, nie wywodząca się w gruncie rzeczy nawet z pozorów prawdy, przeobrażała się w klęskę. Należało przeciwdziałać, ale jak, którędy, przeciw komu, z kim?

Z otwartych drzwi przestronnego pokoju w kolorze cielistego drzewa (którym wyłożone są ściany), nadchodzi Grohmann, niemiecki efeb prasowy w sosie anglosaskiej elegancji, wypracowanej przez wielkie domy towarowe cudu gospodarczego. Z cielistego wnętrza słychać przycięty do obowiązujących półtonów głos Elli Fitzgerald: włamana w stereofonię Ella żyruje przywitanie Grohmanna wysterylizowanym ze smutku bluesem. — Hi... — mówi Grohmann do Andrzeja. — *May I ask you:* zadowolony? *Zufrieden? Happy?*

Andrzej uśmiecha się kwaśno: — To nie było zbyt ostrożne.

— Co? — na twarz Grohmanna nasuwa się czujność, jak klisza epidiaskopu zastępująca uprzednią kliszę: swobodne rozbawienie.

— Pan już wie co.

— Mój drogi — broni się Grohmann — z dnia na dzień stał się pan bohaterem, przynajmniej w Niemczech. Nie można ciągnąć zysków ze wszystkiego.

Andrzej myśli, że można, tylko ty o tym nie wiesz, głupcze; ty i twoi napełniacze lodówek homarami; teoria służby, mecenat dla ludzi zdolnych w dziejach świata, co ty o tym wiesz, ty złotowłosy słoniu? najlepiej płacą ci, których w duchu uważa się za łotrów i durniów!

— Nie rozumiem — ciągnie Grohmann trochę ironicznie — jak pan chce pogodzić krytykę oficjalnych posunięć z miłością i faworami ze strony rządzących? Na coś trzeba się zdecydować.

— I nie zrozumie pan nigdy — uśmiecha się Andrzej — bowiem wychodzi pan ze złego założenia. Ja niczego nie krytykuję. Nie naruszam wskazań nienaruszalnych. Posługuję się tylko własnym spojrzeniem, czyli moim narzędziem pracy. W „Pikielhaubie" nie znajdzie pan słowa, ani myśli, które naruszyłyby linię zakreśloną przez interesy mojego narodu i jego kierownictwo. Taka jest prawda o tej książce.

— Chwileczkę — Grohmann wyjmuje długopis i blok notesowy — zaraz to zapiszę. Żeby nie było potem żadnych nieporozumień.

— Czy pan oszalał! — szepcze Andrzej. — Tu, na oczach wszystkich! — Andrzeja ogarnia panika, cokolwiek powiem obróci się przeciwko mnie! — Dla niektórych — szepcze mu Grohmann, przepraszająco i konfidencjonalnie — stał się pan od przedwczoraj bojownikiem o postęp i swobody w komunizmie...

— Wydaje się być lekko przestraszony tym co uczynił, reakcja Andrzeja zaskakuje go.

— Niech się pan nie wygłupia, Grohmann — mówi Andrzej dość sztywno, jakby ostrzegając przed posuwaniem żartów zbyt daleko.

Grohmann przepływa do tyłu, wciągnięty przez wiry cocktailowego przyjęcia. Elżbieta mówi: — Jędrusiu, czemu jesteś tak zwarzony? Stało się coś? — i tonie w przypływie odezwań z różnych stron. Larbiński uśmiecha się krzywo i mówi: — *Ça va?* — co oznaczać ma, że językiem francuskim posługuje się na zasadzie impulsu. Hojda rozmawia z panią domu, tak obłożoną podkładem i *make-up'*em, że twarz jej przypomina maskę pośmiertną w kolorze beżowym; Hojdzie podoba się ten produkt wielkoprzemysłowej urody, odlew kosmetyczny, triumf współczesnej chemii, destylującej piękność z węgla brunatnego, siarki i tłuszczów zwierzęcych; Hojda jest świeży, zachwyca go ciągle jeszcze blask neonów odbity w mokrym asfalcie. Larbiński steruje ku Elżbiecie, osadza ją wreszcie w kącie rozbudowanej przesadnie biblioteki i coś do niej mówi: Elżbieta uśmiecha się głupiutko; Andrzej nie lubi tego uśmiechu: zna skoncentrowaną uwagę poza nim, nawijającą systematycznie zaplanowane zdarzenia, z których on, mąż, nie może być zadowolony. Pociesza się, że w Warszawie sądzą mylnie, iż ona rżnie się z każdym z kim sobie choć trochę porozmawia, ale ja jeden wiem, jak jest naprawdę: to stare, zimne próchno spuszcza się tylko przy wkładaniu nowych pantofli ze ściętym szpicem prosto z Paryża; ja jeden coś tam z nią potrafiłem, ale inni... zresztą było to dawno, teraz już jedyną jej namiętnością jest imponowanie; ten głupi kutas Larbiński łudzi się, że będzie coś z tego miał! Czuje naraz do Elżbiety niechęć, a nawet głęboką odrazę: nigdy tak źle o niej nie myślał, jak w tej chwili; zastanawia się, czyżby instynkt każe mi na nią pluć i topić ją w obrzydliwościach?

Natyka się na Lavertisse'a: strach przepływa mu wokół głowy jak tłuste plamy na wodzie. Andrzej dręczy się, kto tu donosi? wyobrażam sobie raporcik o mnie; teraz jeszcze z tym trzeba porozmawiać na oczach wszystkich. Lavertisse'a nie jest łatwo obejść: ma szerokie bary spowite w wymięty tweed; w rudawej, skudlonej brodzie tkwi fajka, wzmacniająca głos jak mikrofon. — Marzyłem, żeby pana spotkać, *cher* Felak — mówi Lavertisse i przeciera rzadko myte, zaropiałe oczy: jak na Szwajcara jest wyjątkowo niechlujny, co ma podobno jakieś związki z inteligencją, gdyż uchodzi za gwiazdę w swym zawodzie. — Niech mi pan coś powie o Mikołaju Planku. Co to za historia? Najpierw zaskakujące informacje w *Wieczorze Warszawy,* a potem atak w *Teraźniejszości*? Dlaczego oni go tak wdeptują w ziemię?

— Plank... — mówi Andrzej wymijająco — przemiły człowiek. Ulubieniec stolików w Spatifie. Ale w gruncie rzeczy...

— Świat się nim interesuje — zauważa Lavertisse, raczej obojętnie. — Interesowałby się jeszcze bardziej, gdyby Plank coś robił, pisał książki, kręcił filmy.

— Lenistwo jest jego ideologią. Nie chce mu się nic robić, więc po prostu nic nie robi.

— A może mu nie pozwalają, uniemożliwiają. Co za bzdura! Inny naród zarabiałby na nim dewizy.

— Wierzy pan w bajki. Kto mu nie pozwala? Zresztą, ja się nie znam na Planku. O, ma pan Loranta, on panu wyjaśni.

Podchodzi Lorant, pachnący *Old Spice After Shave.* — Spóźniłem się — mówi. — Przepraszam. — Dlaczego nas — uśmiecha się Andrzej. — Przeproś gospodarzy. — Przeprasza się tylko, tych, którzy naprawdę coś znaczą — mówi Lorant. — Co za fatalne tartinki! Dają tu jeść jak w stołówce ministerialnej. — Andrzej czuje się teraz pewnie: we troje z Lorantem stanowią grupkę jakby nieco lepszą od reszty, nie podlegającą posądzeniom. — Lavertisse męczy mnie o Planka — mówi Andrzej. — Powiedz mu coś. — Plank? — mówi Lorant lekko. — Czarujący tandeciarz. No, niech pan powie, Lavertisse, kto pana zdaniem jest prawdziwszym i użyteczniejszym sprzymierzeńcem wolności: ten osławiony Plank, czy nasz przyjaciel Felak?

Andrzej myśli sobie, że to są śliskie żarty, protekcjonalne szyderstwo i trochę robienie z niego wała: Lorant nie powinien tak się bawić, Lorant-sojusznik. Andrzej opracowuje soczystą kontrę, ale postanawia na razie spasować. Lavertisse zagrzebuje chytry, pogardliwy uśmieszek w brodzie. — Oczywiście — mówi — że nasz kochany Felak. — Chwilę jakby się zmaga ze sobą, po czym wypala: — Ci, którym w łonie komunizmu powodzi się doskonale, są najlepszymi sprzymierzeńcami wolności i... Ameryki. To znaczy, chciałem powiedzieć, Coca Coli, krążowników, szos i plaż w Kalifornii.

Lorant zgadza się z Lavertisse'm, ale mówi: — To nie takie proste... — na wszelki wypadek. — Taki Plank, w każdym razie, uważa nas — zatacza ręką po cocktailowym salonie — za zwykłe świnie. Gdyby go tu wpuścić upiłby się i obrażał wszystkich wokoło. Powinno to pana usposobić dla niego przychylnie, Lavertisse, no nie?

W oczach Lavertisse'a stęża się przez chwilę niekontrolowana odraza: nie znosi Loranta i pragnie to ukryć. — Dlaczego mamy się orientować w waszych polskich rozliczeniach moralnych? — mówi. — To takie skomplikowane. I trudne. I nudne.

Andrzej myśli, że w istocie, gówno wiecie i tak jest lepiej dla was i dla nas; po co macie się wtrącać w nieswoje sprawy

i wiedzieć, jak jest naprawdę. Chce usunąć się dyskretnie, lecz Lavertisse przytrzymuje go za łokieć, podczas gdy Lorant przesuwa się w bok na pracującej bez przerwy, ruchomej taśmie.
— Mam wiadomości o pana podróży — mówi cicho. Teraz Andrzej manewruje, ażeby znaleźć się z Lavertisse'm na uboczu i jak najdalej: Lavertisse znany jest ze swych stosunków z ambasadą amerykańską, tylko on liczy się dla niej z pęczka zagranicznych korespondentów w Warszawie; Andrzej zna tych zarozumialców z zachodnich agencji, znudzonych, dłubiących palcami w nosie, sprytnych i ograniczonych, szwendających się po Grandzie, Bristolu i meczach międzypaństwowych (gdzie węszą za manifestacjami wrogości wewnątrz obozu pokoju), zna ich zapuszczone biura, zaśmiecone kartonami po papierosach i starymi rocznikami statystycznymi, z których wyskrobują kto jest kim i co jest jak; w gruncie rzeczy nie wiedzą nic o najprostszej zależności człowieka od człowieka i urzędu, nic poza utartymi uniwersalnymi sloganami, które czasem do czegoś pasują. Ale Lavertisse jest inny: jest wnikliwy i na swój sposób potężny, reprezentuje jakieś wpływy, nieskoordynowane, lecz realne i sięgające daleko.
— No i co? — pyta Andrzej, trochę nerwowo, gdy przystają w kącie rozległej biblioteki, w bezpiecznym oddaleniu od Larbińskiego i Elżbiety.

Lavertisse uśmiecha się pobłażliwie. — Chyba załatwią panu tę podróż-*monstre* — mówi.

— Mówił to panu ktoś?

Lavertisse uśmiecha się jeszcze pobłażliwiej. — Przecenia pan moje możliwości, *cher* Felak. Po prostu wyobrażam sobie, że w jednym z dobrze odseparowanych od ulicy gabinetów ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie usiadło kilku *gentleman*'ów aby zastanowić się nad rozdziałem ułatwień, pomocy, gratyfikacji i stypendiów dla obywateli tego kraju. Padło nazwisko „Felak" i posypały się uwagi: „Dobrze ubrany", „Nowe pokolenie komunistów", „Zawsze ogolony", „Człowiek zachodniej cywilizacji", „Ma bardzo elegancką żonę", „Cała Polska go czyta", „Uznanie tu i tam", „Co innego pisze, co innego mówi"...

— Ostatnia uwaga jest pańska, Lavertisse, a nie Amerykanów — uśmiecha się Andrzej twardo.

— Czyli odmawia pan Amerykanom nawet elementarnej spostrzegawczości, nie mówiąc już o inteligencji — kiwa głową Lavertisse. — Niładnie. I dlatego chce ich pan strzelić na tak grubą forsę... Może zresztą ma pan rację? Może mówią: „On nie może inaczej. Musi. Jest zbyt liberalny, wyrozumiały, tolerancyjny, by być nieuczciwym, jeśli więc pisze o nas świństwa, to dlatego, że musi..." — Ssie fajkę z wyraźną ekscytacją, jak obserwator pożerających się wzajemnie żyjątek.

— Nie rozumie pan delikatności mej sytuacji — mówi Andrzej spokojnie. — W ramach tego co można, robię maksimum co powinno nas łączyć, a nie dzielić.

— Nas?

— Nas, to znaczy rozsądnych, światłych ludzi dobrej woli na całym świecie, po obu stronach wielkiego rowu...

Lavertisse myśli, że w tym kraju narodziła się nieznana dotąd kasta ludzi, którzy sposobem zachowania, ubierania i nieobowiązującymi deklaracjami podlizują się Amerykanom. Głupi Amerykanie żywią ich, karmią na cocktailach, obsypują podarunkami przy pomocy swych fundacji, ci zaś, po powrocie do domu, wypisują przestarzałe, tandetne oskarżenia z czarujących uśmiechem na ustach. Bo muszą. Tak przynajmniej twierdzą, że muszą. Co zmusza ich do podłości oprócz zachłannego sprytu, który tkwi w nich samych? — Wie pan — zauważa Levertisse. — Pakowski mówił mi o sobie to samo. Że jest światły, rozsądny, pełen dobrej woli do zasypywania rowów odgradzających od siebie ludzi dobrej woli.

Andrzej przygryza wargi i zapala papierosa lekko drżącymi palcami; casus Pakowski jest rzeczywiście niemiły i brzydko pachnący: ten młody redaktor naczelny jednego z tygodników zaproszony został niedawno do Szwajcarii przez gazetę, którą reprezentuje Lavertisse; tam fetowano Pakowskiego z czułością jako przedstawiciela nowego, obiecującego pokolenia, zaś Pakowski wygłaszał przemówienia ociekające liberalnym humanitaryzmem i deklarował w rozmowach swój niebotyczny podziw dla osiągnięć współczesnej, szwajcarskiej demokracji, nazywając ją zegarmistrzowsko doskonałym systemem społecznego współżycia; po czym przyjechał do Polski i opublikował serię artykułów, z których Szwajcaria wyłoniła się jako śmietnik zdegenerowanych stosunków międzyludzkich, oaza moralnej deprawacji i organizowanego przy pomocy matactw finansowych dobrobytu. — Mam od niego listy — mówi Lavertisse — które pisał do mnie z Genewy i Zürichu. Roztapiał się z zachwytu nad naszymi instytucjami. „Czuję się tu jak Piotruś Pan...", pisał. W kilka tygodni później otworzyłem numer jego pisma. Same inwektywy, ale jak ślicznie dobrane! Oczywiście, przy pierwszym spotkaniu schwycił mnie za ramiona i powiedział: „Pan mnie zrozumie! Nie mogłem inaczej! Wymagano tego ode mnie! Inaczej straciłbym stanowisko!" Powiedziałem: „Przecież nie przystawiano panu rewolweru do skroni. Tu jest Polska, a nie Rosja. Polscy komuniści twierdzą, że to nie to samo". Krzyknął: „Prawie przystawiano!" Pomyślałem sobie o nim, że jest zwykły łobuz, ale że Szwajcaria nie zbankrutuje z powodu jednego drania, który naciągnął ją na miesiąc dobrego życia.

Andrzej myśli, jacy oni głupi, nawet ten Lavertisse; niebawem go odwołają z Warszawy, wszystko przyschnie, a za dwa lata Pakowski pojedzie znowu na koszt zapraszających, dla odmiany do Danii, aby zasypywać rowy dzielące Duńczyków od ludzi dobrej woli; i słusznie; tak trzeba; jak są głupcy niech płacą... — Czy wie pan co Lewinson powiedział o artykułach Pakowskiego? — pyta Andrzej ironicznie. — Że to czystej wody schematyzm i że społeczeństwo polskie oczekuje czegoś lepszego od swych dziennikarzy. Co pan na to?

— Lewinson jest przyzwoitym człowiekiem.

— I ja tak sądzę. Ale nawet najprzyzwoitsi popełniają błędy, prawda?

Lavertisse patrzy w zadumie na sylwetki pochłaniaczy tartinek, snujące się miękko w tle. — Co ma pan na myśli? — pyta ostrożnie Andrzeja.

— Hecę w Niemczech, wywołaną przez Grohmanna. Zdaje się, że mogę pożegnać się z podróżą do Ameryki. Załatwiliście mnie skutecznie. Czy sądzi pan, że Lewinson wypuści mnie teraz z kraju, mnie, autentycznego rzecznika nastrojów krytycznych? — w głosie Andrzeja rozbrzmiewa dumna gorycz wypróbowanego herolda spraw słusznych i pięknych.

— *Cher* Felak — uśmiecha się Lavertisse — my możemy dwoma depeszami zakończyć pańską świeżoupieczoną karierę opozycjonisty. Czytałem „Pikielhaubę". Wystarczy napisać o niej prawdę, aby Lewinson błagał pana o wyjazd do Ameryki. Czy chce pan, abym to zrobił? Ja, Grohmann i jeszcze paru innych?

Andrzej zaciąga się głęboko papierosem i wypija wolno koniak z pękatej banieczki; patrzy przenikliwie w oczy Lavertisse'a, produkując w ten sposób nacisk subtelnej porozumiewawczości. Mówi: — Nie. Niech pan tego nie robi.

— No, no — kiwa głową Lavertisse, z niekłamanym podziwem. — Gra pan wielką grę, *cher* Felak.

Andrzej upewnia się gorączkowo, moja szczerość musi go jakoś zobowiązywać! Jeśli tak nie jest, zapłacę za nią grubo! — Ale gdy jutro przeczyta pan w prasie moje oświadczenie — mówi spokojnie — o tym jak zachodnioniemieccy pismacy posługują się moją książką dla prowokacji i przypisują mi myśli, których nigdy nie miałem, niech pan wie, że napisałem je pod presją i terrorem. Że zostałem do jego napisania zmuszony.

Podziw Lavertisse'a nabiera cech szacunku: pochyla głowę przed majstersztykiem. Myśli, że to wielka sztuka, wymagająca talentu i odwagi, by zbierać zyski za służalczość i opozycyjność jednocześnie, za sprzedajność i nonkonformizm naraz. W gruncie rzeczy, kto jest dziś w Polsce sojusznikiem Zachodu: ludzie idei, czy kombinatorzy i zręczni karierowicze? — To pan rozkłada komunizm od wewnątrz, *cher* Felak — uśmiecha się ciepło. — Trudno jest nie być panu za to wdzięcznym... — Waha się, jakby wystrzegając zbyt natarczywej obraźliwości. — Wydaje mi się, że Amerykanie rozumieją to...

Andrzej wie od razu jak zareagować na tę nieznaną mu dotąd, zgryźliwą otwartość: Lavertisse powiedział coś obelżywego i niebezpiecznego z nonszalancją, na jaką nikt z nich nigdy sobie wobec niego nie pozwolił, Andrzej wie jednak, że inwektywa jest tu wyrazem bezsilności, maskuje gniew, że muszą płacić grubo tym, którym nie mają ochoty płacić. Uśmiecha się z wyższością: — Zachód usycha z braku ideologii. Nie potraficie opracować haseł, musicie więc żywić się nadzieją, skleconą z obstrukcji i negacji. Tak, tak, Lavertisse, to przykre, ale z braku zapalającego wyobraźnię i sumienia programu musicie oprzeć się i budować na mojej chęci konsumowania i profitowania...

— Tak, tak — zgadza się chętnie Lavertisse — my wolimy w końcu tych, którzy nie mają trudności. *A propos,* dlaczego Mikołaj Plank nie towarzyszy panu Larbińskiemu do Paryża, wraz ze swoimi filmami? Mówi się o nich, że są rewelacyjne.

— Czy ja wiem? — uśmiecha się Andrzej. — Chyba nie może dostać paszportu.

— Dlaczego?

— Może coś ukradł? Może zmalwersował? On zawsze ma trudności. Dlaczego pan się nim interesuje? Przecież wolicie tych co nie mają trudności.

Kiedy Lavertisse, zagadnięty przez panią domu, wycofuje się dość niezręcznie, Andrzej oklejony jest potem: koszula lepi mu się do pleców, serce bije nierówno, męcząco. Myśli gorączkowo, lecz trzeźwo, że nie ma rady, muszę się porozumieć z Lewinsonem! Jakże zdobywać moralny autorytet, gdy każdy może mi bezsensownie ubliżyć za to, że nie szukam zatraceńczej walki? czy grzechem jest konstruktywny pokój ze wszystkimi? jak uchronić się przed wrogością, wyciągającą zewsząd ręce po człowieka? dlaczego, w końcu, mi na tym zależy, ażeby zbierać żniwo po obu stronach tej rozpadliny poprzez pękniętą na dwoje ludzkość: z jej dna dochodzą brzydkie opary i wonie, każdy ucieka najdalej od tego rozognionego jak blizna przedziału, chroni się w głąb bezpiecznego, raz wybranego miejsca na ziemi. I tylko on, Felak sprawiedliwy, Felak odważny, pochyla się nad przepaścią, przyprawiającą o zawrót głowy, i czegoś szuka. Czego szuka? Przecież nie płaskich zysków. Szuka swojej wielkości, swojego moralnego pomnika, który stanie kiedyś, ozdobiony złotymi zgłoskami pochwał i faworów z obu stron.

I znów Lorant: podchodzi swobodny, łaskawy. — Andrzeju

— mówi — coś mi się zdaje, że załatwiłem ci ostatecznie ten wyjazd do Ameryki, skąd powrócisz w glorii.

— Ach, to świetnie — mówi Andrzej zdawkowo. — Zawsze wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. — Ani przez chwilę nie wierzy, że Lorant cokolwiek załatwiał: prawdopodobnie dowiedział się od kogoś, że wyjazd Andrzeja jest realny i nie omieszkał natychmiast przypisać sobie całej zasługi.

Leopold TYRMAND

Fragment z książki pt. *Życie towarzyskie* i uczuciowe, która ukaże się w bieżącym roku w *Bibliotece „Kultury"*.

List z Ameryki

NOWY SĄSIAD — NATHAN

Piękną Judy wyrzucono z trzaskiem za pijaństwo i nocne igraszki. Na jej miejsce zjawił się Nathan: człowiek po czterdziestce cierpiący na chorobę Parkinsona. Widziałem jak wnosi swoje walizki na górę i pomogłem mu. Wieczorem tego samego dnia Nathan przyszedł do mnie i otworzył przede mną serce. Otóż tak jego, jak i piękną Judy wyrzucono z poprzedniego miejsca zamieszkania za niemoralne prowadzenie się. Nathan, jako człowiek chory, nie należy do zdobywców kobiet, pewnego jednak dnia poznał jakąś dziewczynę i ta zamieszkała u niego, dzieląc z nim stół i łoże, pod jednym jednak warunkiem: Nathan musiał zaakceptować jej kochanka, Mulata.

— Zgodziłem się — powiedział Nathan. — Jestem chory i nie liczyłem nigdy na to, że będę miał jakąś dziewczynę; tak więc wziąłem ją do siebie, i wychodziłem kiedy tamten przychodził. Ale po jakimś czasie właściciel domu wezwał mnie do siebie i powiedział mi, że muszę ją wyrzucić albo wyprowadzić się ponieważ moje życie prywatne stanowi obrazę moralności i sąsiedzi skarżą się na mnie. Płakałem jak dziecko i mówiłem mu, że jestem chory i że żadna kobieta nie chce żyć ze mną, ale to nie pomagało. Tak więc wyprowadziłem się, a ona odeszła. I teraz będę sam.

— Nie będziesz sam — powiedziałem. — Znajdziesz jakąś inną kobietę.

— Znowu z Mulatem?

— To lepsze od niczego.

— Może. Ale nie powinien mnie wyrzucać. Znał mnie tyle lat i wiedział przecież, że jestem wstrętny.

Istotnie, nie należy on do urodziwych; jego prawa ręka drży bez przerwy; prawa połowa jego twarzy jest sparaliżowana

i Nathan wygląda jak zły i zabawny duch z jasełki. Od czasu do czasu spotykamy się na schodach czy też na parkingu i pytam go zawsze o jego sprawy. To nieprawda, że chorzy nie lubią aby przypominać im o ich chorobie. Nathan uwielbia rozmowy na temat swojej choroby, lekarzy i cen artykułów medycznych; Nathan którego życie erotyczne stanowi od lat dwudziestu nieprzerwane pasmo klęsk, uwielbia rozmowy na temat kobiet; tak więc, jeśli o niego chodzi, jestem dobrze poinformowany.

Któregoś dnia siedząc na słońcu usłyszałem głośne klaskanie, podobne do tak zwanego bicia po mordzie. Chyżo pobiegłem w tamtą stronę i istotnie miałem możność zaobserwowania jak jakaś młoda osoba bije Nathana po twarzy, po czym pędem biegnie do swego samochodu i znika.

— Nic jej nie powiedziałem — rzekł Nathan trzymając się za spuchniętą jagodę. — Po prostu poznaliśmy się, zaprosiłem ją na kawę i powiedziałem, że zawsze może do mnie przyjść, nawet jak mnie nie ma, ale pod dwoma warunkami.

— I co to było?

— Nie wolno jej kraść i przyprowadzać kochanków.

— A skąd ty wiesz, że ona by kradła i przyprowadzała kochanków?

— Jeśli przychodzi do mnie? Przecież jestem wstrętny...

— Jesteś idiota — powiedziałem. — I jesteś również tyranem.

To prawda; każdy chory jest tyranem; tyranem jest również Nathan, który zwala się do mnie rano i ględzi godzinami o swojej chorobie, o złych kobietach, o złych ludziach. Niekiedy wożę go jego własnym samochodem gdyż prawo jazdy Nathana opatrzone jest stemplem *limited,* co w jego wypadku oznacza, iż nie wolno mu oddalać się od miejsca zamieszkania o więcej niż dziesięć mil. Czasem wożę go na lotnisko i Nathan obserwuje lądujące i startujące samoloty. Chciałem go wziąć ze sobą, lecz nie pozwolono mi. Nathan jest chory i nie powinien latać.

Nathan tyranizuje mnie i nienawidzę go nienawidząc własnej nienawiści; i wiem, że ilekroć razy zapuka do mych drzwi otworzę mu i słuchać będę jego nieartykułowanego bełkotu. Nathan nie ma dokąd iść; rodzice przysyłają mu trochę pieniędzy; pomaga mu bogata siostra, jednak nie pozwalają mu się żenić, twierdząc, iż kobieta która go poślubi uczyni to tylko dla pieniędzy. Tak więc Nathan był sam a teraz ma mnie a ja mam jego i nienawidzimy się nawzajem; ale w końcu lepsze to od samotności, królowej chorób.

William, mój inny sąsiad, powiada, że dla niego Freud jest przede wszystkim moralistą. Freud pochylony nad nędzą ludzką powiedział światu, iż człowiek nie jest brudny, nikczemny, zawstydzający; Freud związał człowieka do kupy, wyjaśniając przyczyny schorzeń i wskazując je. Myślę, iż w tym co mówi William jest dużo prawdy; zresztą w tym kraju Freud uważany jest za świętego i nawet gdybym myślał inaczej, nie powiedziałbym tego. W czym jednak Freud może pomóc Nathanowi który, mówi o sobie, że jest wstrętny; który z własnego nieszczęścia zbudował sobie kapitał, egzystencję, filozofię; nie wiem tego.

Któregoś dnia Bruce i ja poszliśmy na piwo a w parę minut później przyszedł Nathan i usiadł przy ladzie prosząc o Coca-Colę, właściciel baru powiedział mu, że nie ma Coci i Nathan wyszedł uderzając głową o szyld *„With Cola things are going better".*

— To nie jest dobre dla przedsiębiorstwa — powiedział właściciel baru. — On tu siedzi godzinami i obserwuje ludzi. A ci co tu przychodzą, chcą mieć przecież dobry czas, nie? A któregoś dnia on tu przylazł a Freddy był już równy i powiedział mu, żeby przestał się trząść, a ktoś ujął się za nim i Freddy dostał po zębach i kotłowali się tu przez dziesięć minut zanim nie zabrała ich policja.

Ale kim był ten człowiek? Wracałem do domu i byłem bardzo szczęśliwy tego dnia myśląc kto to nakładł Fredowi po ryju; i wszystko ukazało mi się nagle w innym świetle; zrozumiałem, że nikt z nas nie bywa samotny całkowicie; samotny bez nadziei; i kładąc się spać pomyślałem sobie, iż muszę uczynić coś dobrego dla Nathana. Znajdę mu dziewczynę i będę żyć z nią kiedy jego nie będzie. W końcu on ma więcej pieniędzy ode mnie. Tym pokrzepiony, usnąłem.

Czarny kaczor z Malibu

Szwendając się bez sensu po mieście, pojechałem pewnego dnia do Malibu i stanąłem na molo czekając na prom obok jakiegoś starego człowieka, który usiłował złowić rybę. Kiedy był już bliski sukcesu, z wody wychynął czarny kaczor i połknął rybę zerwawszy ją z haka. Stary człowiek wpadł we wściekłość.

— Znowu się tu pojawił, skurwysyn — krzyczał tupiąc nogami. — Ile razy mam już rybę na haku, tyle razy ten skurwysyn zrywa mi ją i ucieka, jakby w całym Pacyfiku nie było innych ryb oprócz tej, którą ja właśnie łowię. Ja go znam, tego skurwysyna. Raz mi wlazł na hak a kiedy go odczepiłem, uszczypał mnie w rękę.

Znów zarzucił wędkę i staliśmy tam razem w słońcu patrząc na wodę a kiedy stary poderwał wędkę, czarny kaczor z wdziękiem zerwał ją z haka i odpłynął. Wściekłość rybaka przeszła wszystkie pojęcia.

— Zastrzelę skurwysyna — krzyczał. — On mi to robi specjalnie na złość. Znam go od roku. Od roku nie złowiłem ryby a to jedyna przyjemność jaką mam od czasu jak pogrzebałem żonę. Nie mam nikogo na świecie; wędka, licencja, benzyna, to wszystko kosztuje. On się uwziął na mnie. Zastrzelić tego drania, to jeszcze nagroda.

Odszedłem; po kilku dniach wróciłem tam znowu i słyszałem skrzekliwy, ostry głos starego; powiedziano mi, że on tak szaleje od roku. Stary nazywa się Douglas, ale dla przyjaciół, jak to sam mi powiedział, jest po prostu osobnikiem imieniem Doud. Tak więc, odwiedzam czasem starego Douda kiedy łowi ryby w Malibu, słyszę jego misternie skonstruowane przekleństwa i widzę wspaniale poruszającego się kaczora, odpływającego z rybami Douda. A potem Doud idzie do samochodu i jedzie do Westood gdzie jest barmanem i przez całą noc sprzedając piwo opowiada o czarnym kaczorze i o jego nikczemności.

Tydzień temu, jadąc do Santa-Monica na lotnisko, miałem jeszcze nieco czasu i pojechałem zobaczyć jak idą sprawy starego Douda. Na molo było pusto i cicho; Doud siedział patrząc w przygnębieniu na swoje chude piszczele. Wędkę odrzucił.

— Co jest, Doud? — zapytałem. — Ryba nie bierze?

— Bierze — powiedział.

— Dlaczego nie łowisz?

— Nie mam nerwów do tego — powiedział. — Wiesz, tego skurwysyna już nie ma?

— Kaczora?

— Tak. Nie ma go już od paru dni.

— Przykro mi — powiedziałem. — Muszę już iść na lotnisko.

— Nie ma go — powiedział Doud. — Po prostu go nie ma. Czy opowiadałem ci, jak mi wlazł na hak a ja go odczepiłem i darowałem mu życie a ten czarny skurwysyn uszczypał mnie w grabę?

— Nie — powiedziałem. — Nie mówiłeś mi tego. A teraz muszę już iść.

I już nigdy nie widziałem starego Douda łowiącego ryby na molo w Malibu; często, myśląc o nim, przypominam sobie to, co przeczytałem kiedyś, że człowiek starzeje się nie poprzez lata, lecz tylko dlatego, że zdradza swoję ideę; i że kiedy umiera twoja idea, umierasz i ty.

Opis oglądania

Jedną z rzeczy które zadziwiają mnie w Stanach jest tak zwany *show*. Ta nazwa nie oddaje precyzyjnie kryjących się za nią treści; ale patrząc na przykład na „Alan Burke Show" wiemy, iż mistrz prowadzący tę imprezę, poważny brodacz upozowany na Mefista, będzie lżyć swych gości, wyrzucać ich precz; patrząc na „David Susskind Show" wiemy, że Susskind jest człowiekiem czarującym i nie każe nikomu wychodzić za drzwi; patrząc na „Joe Pyne Show" z góry wiemy, że mamy do czynienia z tak zwanym człowiekiem szorstkim, lecz to wszystko. Nie wiemy nic o gościach, którzy wystąpią dziś wieczorem; nie znamy również treści która wypełni ten wieczór. Gościem może być oficer policji, walczący z Cosa Nostra; pisarz Norman Mailer lub tancerka prezentująca swe wdzięki w nocnym lokalu. Pamiętam, że w Niemczech urządzono kiedyś podobną imprezę; impreza upadła jednak, gdyż prowadzący wieczór zadał gościom pytanie: „Cóż to jest? W oborze stoi — Kaśka ją doi". Impreza upadła gdyż tłumnie zebrani przedstawiciele narodu poetów i myślicieli nie byli w stanie sklecić odpowiedzi.

Pyne jest w tej chwili chyba najpopularniejszym organizatorem tego rodzaju imprez. Zdaje się, że to „Time" nazwał go złym człowiekiem roku, na co Pyne, w sensie filozoficznego wyjaśnienia, oświadczył, że kiedy był dobrym człowiekiem zarabiał tylko czterdzieści kawałków rocznie, a teraz, już jako nikczemnik, zarabia ponad czterysta tysięcy. Zważywszy położenie nieszczęśnika zarabiającego czterdzieści tysięcy zielonych rocznie, musimy jego wyznanie potraktować jako całkowicie szczere i całkowicie nas zadawalające.

Pyne jest przystojnym człowiekiem po czterdziestce i potrafi swoich gości trzymać krótko przy zębach. Nie wyrzuca ich co prawda za drzwi, jak Alan Burke, który oponentom przerywa zwracając się do swych pomocników: „Wyrzucić won tego wszarza! Co ten idiota tu robi?" Pyne do końca usiłuje przeciwników pognębić intelektualnie i kiedy nie udaje mu się to, pyta: „Jaki jest pański stosunek do wojny w Wietnamie?". Jeśli pytany odpowie na przykład: „Nienawidzę tej wojny" — Pyne wytknie swemu rozmówcy brak patriotyzmu i zrozumienia polityki amerykańskiej; jeśli zaś człowiek zapytany odpowie, iż wojnę tę całym popiera sercem, Pyne zwróci mu gniewną uwagę że wojna nie jest sprawą, którą można lubić. Jeśli zaś ten system zawiedzie, Pyne przyczepi się do podatków, czy czegoś w tym rodzaju i ponieważ mało jest na tym świecie ludzi doskonałych uda mu się wreszcie znaleźć jakiś punkt i wykończyć przeciwnika.

Tej zimy często padał deszcz w Kalifornii i godzinami siedziałem przed telewizorem. Widowiska telewizyjne nie wnoszą w rozumienie życia nic rewelacyjnego: Gośćmi są czarownicy, politycy, pro i contra segregacji rasowej, miłośnicy rewolucji seksualnej,

duchowni i zwolennicy zabiegu przerywania ciąży, natomiast uczą nas one jednego — zrozumienia istoty wolności słowa. Obserwując „Joe Pyne Show" widziałem i słyszałem ludzi nazywających Prezydenta Johnsona bandytą i dopominających się o sąd nad nim, jako nad zbrodniarzem wojennym. Trudno mi wyobrazić sobie — mimo całego szacunku dla nowego kanclerza Niemiec z uwzględnieniem jego świetlanej wręcz przeszłości — abym w Niemczech ujrzał i usłyszał pewnego dnia człowieka, który głośno powie swoje imię i nazwisko i oświadczy że członek organizacji o charakterze zbrodniczym nie nadaje się na głowę państwa. Czy jest to możliwe we Francji, w Anglii; i jak by to było w mateczce Rosji?

Ale człowiek miotający klątwy na prezydenta najpotężniejszego kraju świata znika; na jego miejsce zjawia się pani, która o sobie mówi że jest czarownicą i że żyje już od lat ośmiuset. Pani ta trzyma na szyi olbrzymią jaszczurkę. Ledwie przebrzmiały jej skrzydlate słowa a już na jej miejsce zjawia się człowiek protestujący przeciw projektowanej ustawie o legalizacji zabiegu przerywania ciąży. Bredzi: skończył swoje i przepadł ze sceny, teraz pojawia się pierwszy człowiek, który wyskoczył z samolotu bez spadochronu — spadochron podał mu w powietrzu inny skoczek. Wybełkotał swoją kwestię; zastępuje go inny, który napisał książkę o tajemnicach Hollywood. Istotę dyskusji stanowi fakt, iż podobno Tony Curtis — aktor grający w filmie „Some like it hot" wraz z Marilyn Monroe — odpowiedział, na pytanie dziennikarzy co czuł kiedy całował nieodżałowaną MM: „To było tak, jakbym całował Adolfa Hitlera". Odchodzi; jakiś starzec zajmuje jego miejsce i pyta dlaczego w boksie zawodowym zawodnikowi wagi ciężkiej nie wolno tłuc zawodnika wagi piórkowej i że w związku z tym on uważa, że Amerykanie nie powinni walczyć w Wietnamie a wybrać sobie nieco poważniejszego przeciwnika. Na pytanie Pyne czy porównuje wojnę w Wietnamie do walki bokserów odpowiada, iż chodziło mu o metaforę o charakterze filozoficznym. Wygwizdany odchodzi; na jego miejsce zjawia się pani-Murzyn, kobieta-szpieg, komunista-agent prowokator pracujący niegdyś dla FBI. Pani-Murzyn napisała teraz książkę o swych przejściach w charakterze podwójnego agenta. Jej zeznania nie wnoszą nic ciekawego do naszej wiedzy o patriotach komunistycznych, z wyjątkiem tego co mówi na temat dyskryminacji w partii, antysemityzmu i tego wszystkiego co znamy choćby z artykułu Juliusza Mieroszewskiego pt. „Mein Kampf" opublikowanego w „Kulturze".

Alan Burke w jakiś sposób naśladuje Pyne'a. Jednak Pyne w jakiś sposób robi od czasu do czasu dobrą robotę; Burke jest podobny zapaśnika walk wolnoamerykańskich. Jest bezczelny,

krzykliwy, chamski i brutalny. Ponieważ nosi brodę i okulary uchodzi za rodzaj autorytetu naukowego we wszystkich sprawach: począwszy od tego w jaki sposób powinien prowadzony być pojedynek a skończywszy na sprawie Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Osobiście nie lubię tego pętaka od czasu jak obwieścił wszystkim, iż James Joyce jest niczym więcej jak tylko pisarzem pornograficznym. Ponieważ, jak powiedziałem, Burke nosi brodę nie trudno wyobrazić go sobie na Sycylii gdzie zapewne nazywano by go *commandatore* lub *professore*.

„David Susskind Show" nie należy do agresywnych. Susskind jest człowiekiem olbrzymiego wdzięku i taktu i dlatego udaje mu się czasem pokazać ludzi i ich myślenie nie obrażając ich przy tym i nie ośmieszając. „Johnny Carson Show" jest podobno najzabawniejszy. Wystarczający powód aby się tym nie zajmować.

Ze świata grozy

W „Los Angeles Times" przeczytałem następującą historię: Amerykanie zlikwidowali jakąś wieś w Wietnamie, stanowiącą punkt przerzutowy partyzantów. Po akcji reporter podszedł do jakiegoś żołnierza, który wyglądał na wyraźnie rozwścieczonego, i zapytał go co myśli o tym wszystkim.

— Ach — powiedział żołnierz — obrzydło mi to wszystko. Rozumiem, że jest wojna, rozumiem, że zabijamy komunistów bo inaczej oni zabiją nas — ale zabijać krowy i szczeniaki, to zupełnie co innego. Tego nie powinno się od nas wymagać.

Przeczytawszy powyższe uszczęśliwiony pobiegłem do Williama. Bill przeczytał i powiedział że to nie jest znowu aż takie curiosum. Pokazał mi inny wycinek gazetowy. Była tam historia o człowieku pracującym w więzieniu Alcatraz i od dwudziestu lat taszczącym ludzi do komory gazowej.

— Strażniku — powiedział reporter. — Pan ma okropny zawód. Co panu pomaga w wykonywaniu tych przeklętych obowiązków.

— Nie wiem — powiedział strażnik po chwili namysłu. — Ja po prostu lubię ludzi, to wszystko.

Epoka komputerów

Czytając pisma codzienne i przeglądając tygodniki ilustrowane mam często okazję czytania i oglądania dowcipów na temat komputerów. Jak wiadomo przed paru laty eksperymentowano z komputerem-swatem. Kandydat na małżonka i kandydatka na

małżonkę powierzali swe przyszłe szczęście komputerowi dostarczając mu danych na temat swych upodobań, uzdolnień, zalet i wad; komputer dokonywał błyskawicznej selekcji. Ten przerażający pomysł jest tematem wielu komedii i dowcipów, niemniej sprawa komputera jest wciąż aktualna.

Alan Burke, którego niecierpię tak jak i Nathana, jest mi potrzebny tak jak i Nathan; parę dni temu patrząc na jego *show* miałem okazję zapoznania się z profesorem R. Profesor R. pracuje nad komputerem, który ma zrewolucjonizować zagadnienia sądownictwa. Po prostu nie będzie potrzebny sąd nad człowiekiem, który, dajmy na to, wypatroszył sześć osób w San Francisco. Policja dostarczy komputerowi danych dotyczących miejsca zbrodni, charakteru zbrodni, przeszłości oskarżonego a komputer błyskawicznie przeanalizuje te elementy i wyda wyrok. Profesor skończył i wodził triumfalnym wzrokiem wzrokiem po zebranych. Ludzie wstawali i zadawali mu pytania, na które profesor odpowiadał w sposób logiczny. A co, zapytał ktoś, jeśli zeznania świadków okażą się nieprawdziwe. Jeżeli zabójca, którego świadek widział z odległości dwustu yardów, okaże się kim innym lub kimś podobnym do samego profesora R.? Profesor odpowiedział na to w sposób naukowy tak jednak zawile, iż nie jestem w stanie przytoczyć jego odpowiedzi. Wtedy podniósł się inny przedmówca, który był profesorem prawa, i usiłował ośmieszyć profesora R.; również i te zarzuty profesor R. odparował zwycięsko opatrując je szyderczymi komentarzami. Triumf profesora R. i jego przerażającego komputera wydawał się całkowity. W tym momencie brutalny Burke powiedział do niego:

— A jednak profesorze zapomniał pan o jednej rzeczy. Pański komputer wykluczą omyłkę. Jednak wiara w sprawiedliwość polegać musi równie i na wierze w omyłki. Tak więc sędzia pochylony nad oskarżonym może się omylić na jego korzyść lub niekorzyść. Ale wyrok człowieka nad człowiekiem musi polegać na miłosierdziu, na tym co sędzia czuje do człowieka wbrew oskarżonemu. Czy wbudował pan guzik opatrzony czerwonym światłem z napisem *charity?*

Profesor nie wbudował tego guzika i przyznał, iż jest to niemożliwe. Kładąc się spać, pomyślałem sobie, że pomyliłem się w stosunku do brutalnego brodacza Burke'a; a usypiając doszedłem do przekonania, iż jednym z najpiękniejszych doświadczeń życiowych jest pomyłka, tak długo jak lubi się ludzi i świat.

Chemia

Graham Greene w swej książce „Our Man in Havana" pisze,

że tematem numer jeden rozmów w Hawanie jest sex. Powyższa obserwacja uczyniona przez mistrza prozy katolickiej świadczy, iż Greene nie spędził ani godziny swego życia w Los Angeles. Należy przypuszczać jednak, iż jest to strata najmniej bolesna ze wszystkich, z punktu widzenia hrabstwa Los Angeles.

Stendhal w rozdziale poświęconym Irlandii pisze, iż w życiu Irlandczyka postacią najbardziej straszliwą jest ksiądz wkraczający w życie człowieka i niszczący je według swych idiotycznych dogmatów; nad życiem duchowym mych przyjaciół czuwa psychoanalityk. Oczywiście frustracja jest zagadnieniem numer jeden. Ponieważ jednak, jak już pisałem, psychiatra jest ostatecznym autorytetem we wszystkim: począwszy od kupna samochodu aż do koloru trumny, nie ośmielę się zabrać głosu w tej sprawie.

Czuję się ogłupiony sexem. Tu każda reklama poparta jest seksualnym symbolem. Siedząc na lotnisku i czekając na swój lot czytam często pismo „Pilot and Plane". Na ostatniej stronie tego pisma widzę ilustrację samolotu Piper Cherokee. Na skrzydle samolotu stoi powabna blondyna a wiatr owiawszy sukienkę wokół jej smukłych nóg obnaża w sposób dyskretny lecz jednoznaczny jej kuszące wdzięki. Podpis: KOCHANIE. Kiedy pierwszy raz polecisz naszym nowym Cherokee 140 i wylądujesz miękko i bezpiecznie, nie pomyślisz inaczej o Cherokee jak: KOCHANIE. Na drugiej stronie czasopisma artykuł: „Sex and the simple engine". Autor, badacz, naukowiec, opisuje co działo się pewnego dnia na lotnisku kiedy przeszła dziewczyna w mini-sukience powyżej kolan. Mechanik nalał benzyny 92 miast 82; ktoś popatrzył chwilę na dziewczę i obliczył TC (*True Cors*) 300 zamiast 030, co w konsekwencji miast zaprowadzić go na północo-wschód zaprowadziło go na północo-zachód. Jeszcze ktoś tam popełnił inną straszliwą omyłkę, która w konsekwencji pozbawiła go licencji pilota. I tak dalej; i tak dalej.

Siedząc przed telewizorem widzę setki razy dziennie reklamy rozmaitych środków medycznych, kosmetycznych, spożywczych; każda z nich jest misternie skomponowanym scenariuszem, dowodzącym, iż używanie tego właśnie środka uchroni cię od klęski erotycznej, co w konsekwencji uchroni cię od utraty żony, pracy, przyjaciół; uchroni cię od alkoholizmu, rozpaczy, samotności. Chłopiec z dziewczyną wracają do domu; on chłodno się z nią żegna, a ona idzie do przyjaciółki i powiada: „Uścisk dłoni miast pocałunku". Przyjaciółka skupia się przez chwilę w sobie i wreszcie, z męką wyraziście malującą się na twarzy, powiada: „Czy jesteś pewna iż twój oddech jest OK. „Ależ ja myję zęby" — powiada nieszczęsna. „To nie wystarcza. Musisz używać — etc. etc.".

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ — ZALEDWIE JEDEN TYDZIEŃ

PÓŹNIEJ. Ta sama dziewczyna z tym samym chłopakiem wracają późno do domu. Tym razem on nie podaje jej ręki, ale namiętnie ją obejmuje i zamyka jej usta długim, przeciągłym pocałunkiem, który wstrząsa do głębi jej jestestwem. Ona poddaje mu się. Zaciemnienie; rozlegają się nad nimi chóry aniołów i my wiemy, my wierzymy, my jesteśmy najszczęśliwsi na świecie wierząc, iż wywiązała się sytuacja, o której rosyjska pieśń ludowa powiada:

„Pareń diewuszku j.....,
Choczet paznakomit sia..."

Głos *speaker*'a: „Nasz taki a taki produkt uchroni cię od samotnego powrotu do domu". I znowu chóry aniołów.

Inna reklama: młodzi mają się ku sobie, on wyciąga ku niej drżącą dłoń, ona podaje mu swoją i nagle — trzask — on nie trzyma w dłoni jej pięknych szponów, on trzyma... szczotkę. *Speaker* mówi tonem zagniewanego Pana Boga karcącego Onana: „Czy on chciałby ściskać szczotkę miast twojej dłoni? NIE: Tydzień później: dziewczyna użyła środka zmiękczającego skórę i widzimy, że tym razem on trzyma jej dłoń aby potem, ruchem szalonym i spragnionym przytulić jej ciało do siebie i — jak powiadał niezastąpiony Tadeusz Dołęga-Mostowicz — „Ciała ich splotły się w zagadkowy hieroglif natury".

W każdym Drug Store można nabyć publikacje poświęcone życiu erotycznemu samicy ludzkiej. Mój znajomy lekarz nie bez racji powiada, że istnieją tysiące publikacji poświęconych zagadnieniu w jaki sposób samica ludzka powinna zostać zaspokojona; nie znana mu jest natomiast ani jedna książka wyjaśniająca w jaki sposób samica ludzka powinna uszczęśliwić mężczyznę. Książki te zostały przeważnie napisane przez lekarzy-psychiatrów i oparte są na autentycznych wypadkach; każdy z tych wypadków został opatrzony fachowym komentarzem ze szczególnym uwzględnieniem symboli erotycznych.

Książki tego rodzaju rozchodzą się w milionach egzemplarzy a autorzy ich zarabiają ciężkie pieniądze. O wartości naukowej tych publikacji trudno wyrokować; być może iż jedna na sto jest rzeczywiście w jakiś sposób pożyteczna. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, iż ta ofensywa sex'u, począwszy od reklam mydła i szpilek do włosów, wykorzystywana jest przez cwaniaków, żerujących na tym tak, jak na każdym ludzkim pragnieniu zawsze żerowano. I nie mogę oprzeć się wrażeniu, iż za tymi tysiącami publikacji wciąż jeszcze kryją się marzenia o dobrych mężczyznach i kobietach, i o tym, co kiedyś nazywano miłością a co dziś nazywa się już tylko chemią.

Szkoła

Szkoła lotnicza której jestem uczniem, jest szkołą prywatną. Właścicielką szkoły jest Mrs. Betty Miller, wyjątkowa przystojna i miła kobieta, która jest najlepszym lotnikiem-kobietą świata i która pewnego dnia przeleciała ze Stanów do Australii jednomotorowym samolotem. Szkoła obwieszona jej dyplomami honorowymi, nadanymi jej za zasługi na polu krzewienia lotnictwa; pucharów jej nie jestem w stanie zliczyć. O szkole tej chciałbym napisać parę słów, gdyż wydaje mi się w jakiś sposób charakterystycznym zjawiskiem.

Ucząc się pilotażu w Europie byłem przez cały czas obwarowany zakazami i przestrogami. Nie wolno mi było właściwie niczego, gdyż wszystko połączone jest z niebezpieczeństwem; nie wychylaj się ponad sześćdziesiąt stopni na skrzydle; nie podnoś i nie opuszczaj nosa powyżej czy poniżej trzydziestu stopni; a przede wszystkim — nie ufaj samolotowi. W Ameryce jedną z pierwszych lekcji jest spadanie przy wyłączonym *(power-off)* silniku i przy włączonym silniku *(power-on)*. Dla nowicjusza nie jest to przyjemne. Spadanie w pozycji *power-off* odbywa się następująco; zamyka się prawie do końca przepustnicę i ciągnie się ster ku sobie tak długo, aż nos samolotu uniesie się krytycznie; wtedy zapala się światło ostrzegawcze i samolot spada. Tak więc, trzeba natychmiast opuścić nos, przez co redukuje się kąt natarcia; otwiera się przepustnicę i samolot wyłazi z tego. Nie jest to przyjemne, ale w tym kraju uczą czegoś wręcz przeciwnego; absolutnego zaufania do samolotu oraz tego, iż mając zaufanie do samolotu możesz ufać sobie i wykaraskać się z każdej sytuacji. Lubię to właśnie; chcę nareszcie ufać innym ludziom, że zbudowany przez nich przedmiot jest dobry i bezpieczny. Zbyt długo żyłem w kraju, w którym spuszczenie wody w klozecie mogło spowodować zawalenie się domu, naciśnięcie klamki spadek napięcia prądu w całym województwie; i nie chcę już dłużej, patrząc na ogólny widok rzeźni na Pradze, wpadać w zadumę na temat ciemnych sił przyrody, które ujarzmił człowiek — jak o tym napisał Jerzy Zaruba.

Również nauka nawigacji odbywa się inaczej. W Europie była to męka i nuda; nauczyciel rozkładał mapy, kreślił na nich linię i ględził. Amerykanie wyświetlają filmy, produkowane o ile pamiętam przez firmę SANDERS. Filmy te stanowią ilustrację; są zabawne i dowcipne; Amerykanie atakują wyobraźnię człowieka poprzez obrazy, poprzez sytuacje; obrazy są nieraz ciekawe a przede wszystkim tak atrakcyjne, że nawet największy tępak

obserwuje je z zainteresowaniem. W ten sposób człowiek uczy się szybciej; wiele szkół prywatnych robi z kogoś, kto już ma prywatną licencję, zawodowego pilota w cztery i pół miesiąca, co jest rzeczą zmuszającą do szacunku.

Nasz nauczyciel Ray jest starym pilotem i był przez lata instruktorem pilotażu, ale pewnego dnia rzucił to, gdyż musiał uczyć kobiety. Tu trzeba dodać, czytałem to w piśmie lotniczym, iż panie absolutnie nie nadają się na instruktorów pilotażu z powodu idiotyzmu. Myślę, iż każdy myzoginista będzie szczęśliwy przeczytawszy powyższe.

Uczniowie przychodzący wieczorem dzielą się na dwie zdecydowanie przeciwstawne sobie kategorie. Jedni przyjeżdżają Jaguarami, Porschami i Fordami-Cobra; drudzy samochodami starymi i biednymi. Ci właśnie są dobrymi pilotami; oczy zamykają im się ze zmęczenia, piją bez przerwy kawę, często zasypiają, ale Ray nie budzi ich nigdy. To robotnicy, którzy chcą zostać zawodowymi pilotami. Ci latają dobrze i zdają pisemne egzaminy; nie mają ani czasu ani pieniędzy do stracenia. Jeżdżący Jaguarami i Porschami nie uważają na lekcjach; ci mają czas, aby wynająć sobie instruktora, który wbije im do głowy to, czego nie wbije im Ray i płacą pięć dolarów za godzinę. Ci pilotami nigdy nie będą, choć właściwie, pieniądze robią cię dobrym pilotem.

Jeden ze śpiących nazywa się Jerry i wygląda jak bandyta z filmu o Dzikim Zachodzie. Jego ponurą gębę wykrzywia czasem uśmiech tak straszliwy, że wielokrotnie patrząc na niego, myliłem się z przerażenia w najprostszych obliczeniach. Jerry wrócił z Wietnamu i odwala szkołę na zasadzie „GI bill". Jerry odwozi mnie czasem do domu; Jerry jest milczący, a jeśli rzuca przed siebie kwiaty swych myśli, to porównać to mogę tylko do pewnego marynarza z Odessy, Wasyla, którego poznałem w Haifie i który potrafił kląć przez piętnaście minut, nie powtarzając się słowem. Tu trzeba dodać, iż pomysłowość Amerykanów jest równie zastanawiająca; z tym jednak, że Amerykanie w przekleństwach są bardziej precyzyjni, podczas gdy Rosjanie zdradzają wyraźne zamiłowanie do ekstazy religijnej.

— Jerry — powiedziałem kiedyś do niego. — Dlaczego chcesz zostać zawodowym?

— Ty tego nie zrozumiesz — powiedział Jerry. — Ja właśnie wróciłem z tej pierdolonej wojny. Kiedyś przeleciałem nad liniami. To było wcześnie rano. Ty nie wiesz jak pięknie wygląda las, kiedy rano nad nim przelatujesz. Jak pięknie i spokojnie wygląda ziemia. I kiedy patrzysz na nią z góry, nigdy nie wierzysz w to, że tyle na niej zła i nieszczęść.

Ponury Jerry powiedział właściwie wszystko i każdy pilot zgodzi się chyba z tym. Autor „Nocnego lotu" napisał, iż zawsze

czuł się niespokojny, kiedy niebo było zbyt błękitne i zbyt spokojne; spokój bezchmurnego nieba zawsze przynosił jeśli nie burzę, to silny wiatr, co jest prawdą. Nie wiem dlaczego to co powiedział przerażający Jerry jest dla mnie najpiękniejszą rzeczą, jakiej dowiedziałem się o lotnictwie.

Bruce, mój sąsiad instruktor, twardy, zimny i przystojny jak diabeł, wyśmiał mnie kiedy powtórzyłem mu oświadczenie straszliwego Jerry'ego zapomniawszy dodać, iż to nie moje własne słowa.

Jesteś głupcem, Marek — powiedział. — Kiedy latasz, to podlegasz przecież innemu ciśnieniu. To jest chyba jasne, nie. Gdyby było inaczej nie potrzebowałbyś maski i oxygenu kiedy jesteś na dwudziestu tysiącach. I jeszcze jedna rzecz; kiedy lecisz, to nie patrz na ziemię a na altimeter i MC. To na pewno będzie lepsze dla ciebie, jeśli ci zależy aby wylądować.

Nienawidziłem go tego dnia: nie mogę jednak myśleć o nim inaczej jak o piekielnie dobrym instruktorze. Hemingway napisał kiedyś, iż najbardziej zdumiewającym człowiekiem, którego poznał, był pewien portier hotelu w Kairze. „Jedną ręką otwierał drzwiczki samochodu — powiedział Hemingway — drugą zdejmował czapkę, a trzecią wyciągał po napiwek". Człowiek ten w porównaniu z Bruce'em wydaje się śmiesznym w swej niezgrabności tworem natury. Bruce potrafi jedną ręką pchać elewator, podczas, gdy ja ciągnę, drugą ręką zamykać przepustnicę, podczas gdy ja usiłuję ją otworzyć; trzecią ręką wydziera mi mikrofon z ręki, przez który ja usiłuję połączyć się z Santa Monica Ground Control o frekwencji 121.9 i łączy się z Wieżą o frekwencji 120.1; czwartą ręką zamyka „flapsy", podczas gdy ja usiłuję je otworzyć; i wreszcie, ostatnią ręką klepie mnie po plecach i mówi, że czynię dalsze postępy.

Śmierć prawdziwego człowieka

Dzisiaj, piętnastego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku dostałem wiadomość o śmierci mego wydawcy, Doktora Josefa C. Witscha. Czternaście miesięcy temu, J. C. W. obchodził sześćdziesięciolecie swych urodzin, a wtedy my, autorzy domu wydawniczego Kiepenheuer Witsch, pisaliśmy o Nim do księgi pamiątkowej, którą wydano w Jego wydawnictwie i w tajemnicy przed Nim, aby sprawić mu niespodziankę. Wkrótce potem J. C. W. zachorował, a teraz odszedł drogą wszystkich ludzi.

Ale droga, którą zmarły szedł za życia nie była drogą wszystkich. Zmarły był człowiekiem kochającym literaturę; kochającym

ludzi piszących i pomagającym im. Był człowiekiem wielkiej siły; wiedział o tym i potrafił innym dać siłę. Przez lata dodawał mi otuchy; martwił się kiedy przynosiłem mu rzeczy kiepskie i cieszył się, kiedy przynosiłem mu rzeczy nieco lepsze. J. C.W. był walczącym katolikiem; katolikiem pozbawionym hipokryzji a więc typem katolika znanym raczej z literatury — o charakterze dydaktycznym a nie z życia. Był walczącym anty-komunistą; był anty-faszystą; próbując uciec z Niemiec został zatrzymany na granicy szwajcarskiej i odesłany do Niemiec. Kiedyś, kiedy powiedziałem mu, iż pewną książkę uważam za utwór pornograficzny odparł: „Jesteś głupcem. To jest książka o miłości. Każda książka o miłości jest książką o Bogu".

Był człowiekiem wielkiej siły fizycznej i wielkiej urody. Mając lat sześćdziesiąt wyglądał na mężczyznę po czterdziestce. Prowadził samochód po ulicach Kolonii z przeciętną szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Mówił z silnym akcentem ludzi urodzonych i wyrosłych w Kolonii i diabelnie ciężko było się z nim porozumieć; sam o sobie powiadał, iż kolończyka rozpoznałby bez trudu, nawet gdyby spotkał się z nim na Saharze i gdyby zaczęli mówić po francusku. Nasza literatura straciła w Zmarłym wielkiego przyjaciela. Tak więc, niech pamięć o nim będzie święta, lecz niech nie będzie spokojna. Niech stanie się pamięcią nawołującą do walki, do prawdy, do niszczenia przemocy: do gromienia głupoty — taką, jakim było życie tego pięknego i niespokojnego człowieka.

(W zastępstwie Wacława Zbyszewskiego — Marek Hłasko.)

Sprawiedliwy z Sodomy. Dalszy ciąg mojej kariery w przemyśle filmowym

Larry jest producentem filmowym i wygląda tak, jak powinien wyglądać producent; jest ciężki, słoniowaty, niewyspany, pali cygaro i ożywia się tylko na dźwięk telefonu. Pozner w swym reportażu o Hollywood, pisze o roli telefonu. Tu istotnie każdy czeka na telefon. Telefon może z żebraka uczynić człowieka pracującego; z maszerującego na piechotę — właściciela samochodu Lincoln-Continental; z wszarza nie mającego czym zapłacić za mieszkanie — właściciela apartamentu. Telefon może również pozbawić się wszystkiego co masz i sprawić, że nikt cię nie zapyta jak ci idzie. Tak długo, jak sympatyczny głos panienki z General System nie oznajmi ci, że na skutek niezapłaconego rachunku, nie będziesz już miał telefonu. I wtedy jesteś już niczym.

Larry zadzwonił do mnie i powiedział mi, iż chce się ze mną

spotkać; Larry przysłał po mnie samochód i kazał mi podać filiżankę kawy, po wypiciu której uwierzyłem po raz pierwszy w życiu, że istnieje zło absolutne. Larry kazał mi opowiedzieć sobie o mnie; wypytał mnie o stan mego zdrowia; o mój stosunek do religii, skrzywił się niechętnie kiedy powiedziałem mu, iż życiu religijnemu nie poświęcam wiele czasu; wypytał mnie o moją żonę i zapałał oburzeniem, kiedy po długiej rozmowie przyznałem mu się, iż przed wstąpieniem w związki małżeńskie miałem przedtem dwie kobiety. Ochłonąwszy i uspokoiwszy się na widok mej skruchy i wstydu, Larry zapytał mnie ile zarabiam, co jem na śniadanie, a wreszcie oświadczył mi, iż będzie mówił do mnie nie jak producent, ale jak ojciec, gdyż jestem wyjątkowo luby sercu jego. Larry następnie począł mówić o sobie; skreśliwszy w kilku mistrzowskich zdaniach swoją trudną młodość, służbę w wojsku przebyte choroby, powiedział mi, iż muszę szczególnie uważać, gdyż w tym mieście jest wielu łobuzów, którzy będą mi obiecywać złote góry, wykorzystają mnie i nie zapłacą mi ani grosza. Ale nie będzie tak. Nie stanie się tak, ponieważ on, Larry, otoczy mnie swoją osobistą opieką; udzieli mi wskazówek i obroni mnie przed ludzką nikczemnością. Wreszcie Larry zakończył stwierdzeniem, że w tym mieście był do tego czasu jeden tylko człowiek uczciwy; ale teraz jest już nas dwóch.

— OK — powiedział Larry. — Ja chcę zrobić film o człowieku, o włóczędze, który pewnego dnia odkrywa w sobie miłość do Boga — Larry zaszlochał rozdzierająco; ukoiłem go; Larry mówił dalej: — i ten pierdolony włóczęga, ten zasrany skurwysyn pewnego dnia rozumie, iż nie warto żyć bez Boga i staje się innym człowiekiem. I co ty na to?

Powiedziałem szczerze, że pomysł jego jest niczym innym jak monumentem myśli ludzkiej, a kiedy Larry chciał mi przerwać, zgromiłem go za niewiarę w potęgę własnego umysłu.

— Jest tylko jedna rzecz — powiedziałem. — Jako dziecko przeczytałem opowiadanie o włóczędze którego wynajął misjonarz, aby go łódką zawiózł do Indian. Nudzili się jak dwa psy i ten misjonarz chciał nawrócić tego włóczęgę, ale ten powiedział, że nie wierzy w Boga i koniec. Wreszcie złapali ich Indianie. Przywiązali ich do słupa i kazali misjonarzowi wyprzeć się Boga, gdyż inaczej spalą go żywcem. Misjonarz wyparł się, bo nie miał wyboru. Ale włóczęga stanowczo odmówił. „Ja tam nic się na tym nie znam — powiedział. — Ale mój ojciec wierzył w Boga, a był to tęgi pijak i najsilniejszy człowiek w stanie Kentucky. I dziadek mój też wierzył w Boga, a był z niego najlepszy gracz w pokera i miał najszybszą prawą rękę. Ja się na tym nic nie znam; ale to jest Bóg ojców moich". Misjonarza puścili, ale tego włóczęgę spalili żywcem.

— Kto to napisał? — zapytał Larry blednąc gwałtownie.

— O ile pamiętam Jack London.

— Nic się nie przejmuj — powiedział Larry. — Jedź do domu i myśl nad tym.

— A co z prawami?

— Zostaw to mnie. Ja wiem jak to ukraść.

Uskrzydlony tą myślą wróciłem do domu. Szybko połączyłem się z przedstawicielstwem firmy Jaguar i zapytałem, ile kosztuje najlepszy model. Zamówiłem; zadzwoniłem do pięknej Judy i zaprosiłem ją na wycieczkę do Palm Spring. Kazałem sobie przynieść z Super-Market butelkę whisky. Zamówiłem długodystansową rozmowę z Paryżem; wymówiłem mieszkanie i właśnie czytając gazetę szukałem ogłoszenia dotyczącego domu z basenem pływackim, kiedy zadzwonił telefon. To był Larry; mówił jak stary i chory człowiek. Płakał i trząsł się, a wreszcie powiedział mi co się stało: projekt, *nasz* projekt już w międzyczasie ukradli inni.

Marek HŁASKO

Wiosna w Grecji

„Cokolwiek powiesz o ojczyźnie mojej, pamiętaj, że nie jest ona tą Andromachą z Iliady, która pamięć o swym bohaterze zatraciła w objęciach pośledniejszego męża" (Nikos Kanzantzakis).

Thalatta! Thalatta! Morze na horyzoncie! Cóż za wspaniały błękit! Lecz moja sąsiadka nie odchyla powieki.

Diabli mnie biorą na tę wiecznie zaspaną kupcową z New Jersey. Przeleciała setki kilometrów odrzutowcem, by obejrzeć cuda tej ziemi. A gdy znalazła się w Grecji, nie ma ochoty spojrzeć na krajobraz. Śpi w autobusie. Śpi na statku. Śpi w samolocie. Nie chce oglądać ruin, gdyż boi się węży. Nie wysiada z autobusu pod Termopilami, gdyż słyszała od znajomej, że Grecy wyrywają kobietom torebki. Co pół godziny budzi się na chwilę z drzemki, by zadać mi dwa, wciąż te same, pytania:

— Czy w Polsce są pogromy? Czy zna pan Idę Kamińską?

Oświadczam jej, zirytowany upałem, że w Polsce pogromów nie ma, a Idy Kamińskiej nie znam.

Otóż to: można sobie wybrać zawód, można sobie wybrać żonę, ale w epoce masowej turystyki nie można sobie wybrać towarzysza podróży. Więc od kilku dni jestem *kupcowae adscriptus*. Dopiero na Krecie drogi nasze się rozchodzą. Ona płynie statkiem, by pospać na wyspie Chios, a ja lecę na Rodos, by obejrzeć Lindos.

Ta podróż pełna jest emocji. *New places, new faces.* W Kalampaka, w drodze na Meteorę, nie zmrużyłem oka do białego rana, gdyż w pobliżu naszego hotelu, u chłopa w stajni, przez całutką noc krztusił się osioł przechodzący mutację głosu. Straszliwa to była przykrość dla ucha, dająca się porównać jedynie z chińską torturą dzwonu.

Tutaj zaś, na Rodos, daje mi się we znaki przepity bas pewnego dziennikarza z Berlina, który tłumaczy mi nieustannie, że „nic się takiego w Grecji nie stało", „nie powinniśmy ulegać propagandzie płynącej ze wschodu", „daj, Boże, krajom Europy Środkowej i Wschodniej taką 'niewolę' aż do końca świata", „zażegnano czerwone niebezpieczeństwo", „grupka studentów, pięknoduchów w kawiarniach i zgranych politykierów, to jeszcze nie naród grecki", „sam fakt, że Moskwa podniosła krzyk, wyjaśnia wszystko".

Gadatliwy Berlińczyk nie może wyjść ze zdumienia, że mając do wyboru świetny *„Kreuzritterwein"*, którego butelkę zdobi obrazek rycerza zakonnego w białym płaszczu z czarnym krzyżem, a ćwiartkę jasno różowego „Minosa", wybieram cieńkusz z Krety.

— Mieszkali tutaj Joannici — uspakaja mnie żartem — a nie Krzyżacy!

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — bronię swej zastarzałej alergii — choćby po kilkuset latach.

— Czyżbyśmy się mniej „lubili" — uśmiecha się ironicznie — niż Grecy z Turkami?

W przepięknym Lindos na Akropolu, w cieniu świątyni Ateny z czwartego wieku przed Chrystusem, częstuje mnie opowieścią o dobrodziejstwach, jakie spływały na ten kraj i jego mieszkańców w czasie niemiecko-włoskiej okupacji Grecji.

— Po kapitulacji, gdy Anglicy wywozili naszych żołnierzy z Rodos do Aleksandrii — powiada, oddając się wspomnieniom — ludność wyspy żegnała ich ze łzami w oczach, jak przyjaciół. Nic dziwnego: broniliśmy jej często przed samowolą czarnych koszul. Popędliwym Włochom brakowało taktu w obejściu z tubylcami. Czy da pan wiarę — w oczach mego rozmówcy dostrzegam błysk oburzenia — że oni zabraniali chłopom malować domy na biało i niebiesko, węsząc w tym demonstrację patriotyczną! Lub, co gorsza, ostrzeliwali ze swych ścigaczy łódki rybackie na których biedota przeprawiała się z wysepki na wysepkę bez przepustki komendanta portu!

— Ach, ci Włosi! — oburzam się razem z nim, po czym zapytuję go uprzejmie, czy słyszał o likwidacji getta na Rodos? Spędzono Żydów na stary frachtowiec. Na pełnym morzu statek zatopiono. Na niemieckich motorówkach, które krążyły wokół miejsca zbrodni, oprawcy z karabinami przy policzkach czuwali już nad tym, by dobrzy pływacy nie uszli śmierci. Jakiś ponury żartowniś z „Einsatz-Gruppe" nazwał tę operację „strzelaniem do kaczek". Można o tym przeczytać w pracy Joachima Kaisera *„Griechenland oder die Last des Gestern"* („Grecja albo ciężar dnia wczorajszego").

— Coś by się o tym słyszało — mój przygodny znajomy

wachluje się słomkowym kapeluszem. — Byłem w czasie wojny na tej wyspie i nic mi o tym nie wiadomo.

Najwyraźniej stracił ochotę do dalszych rozważań nad najnowszą historią Europy. Jak nadąsany chłopiec, kopiący przed sobą kamyki, czubkiem sandałka płoszy jaszczurki, wygrzewające się wśród trawy, maków i ruin.

— Nasze pokolenie musi wymrzeć — wzdycha po chwili — a wtedy ludzie łatwiej się ze sobą dogadają!

Pewnie ma rację.

O ileż milsze jest moje spotkanie na wyspie Eginie z uczniami przedostatniej klasy (*unterprima*) gimnazjum klasycznego im. Apostołów w Kolonii nad Renem! Wnuczek Adenauera jest między nimi. Wysoki, suchy jak szczapa. Chodzi do tej samej szkoły co jego dziadek. Chłopcy podróżują po Grecji pod opieką wytrawnych hellenistów. Lekcje odbywają się wśród starożytnych świątyń. Nieustanna wizja lokalna. Który z naszych polskich filologów klasycznych mógł za młodu w podobnych warunkach poznawać skarby i cuda zamierzchłej przeszłości?

Opalając się na świętych kamieniach bogini Afai, rozmawiamy o możliwości wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie. I nagle — nie dowierzam swym uszom: większość uczniów chce się zapisać do legionu ochotniczego i bić się w obronie Izraela.

Redaktor szkolnej gazetki wyjaśnia mi:

— To jedyna dla nas szansa, by oczyścić się z hańby.

Nadchodzą belfrowie. Na wszelki wypadek zmieniamy temat.

◆

Płyniemy śnieżnobiałym parowcem z Pireus do Mykonos (Baedeker wyjaśnia: *„Mykonos has 360 churches for not more than 3.000 inhabitants"*) a stamtąd na Delos czyli na wędrującą wyspę Ortygię, gdzie — jeśli zawierzyć dobrej pamięci Jana Parandowskiego — ścigana przez zazdrosną Herę Letona vel Leto powiła kochliwemu Zeusowi Apollina i Artemidę. Statek powinien się więc nazywać „Leto", ale nazywa się „Leta". Czyli: rzeka Zapomnienia. Po wypiciu łyku wody z Lete, jeśli ufać mitologii, dusza zmarłego traci pamięć o wszystkim co widziała i przeżywała na ziemi. A zatem wymarzona nazwa statku dla emigranta, od lat nie mogącego się pogodzić ze swym życiem pozagrobowym. „Wyleciała dusza z ciała, siadła na murawie" — jak śpiewano na Wileńszczyźnie. Na próżno, moja Leto! Od razu przypomina mi się na twym pokładzie (ach, to nasze nieuleczalne „przypomina mi się"!) że podobnym statkiem, pod polską banderą, płynąłem jako dziecko z Gdyni do Helsinek. Ojciec wziął mnie

ze sobą na pierwszy rejs statku z którego byliśmy wówczas tak dumni że aż guziki pękały nam na wypiętej piersi.

— Polski statek! — mówił uradowany, okularki zaszły mu parą — widzisz, nasza flaga?

I głaskał ręką burtę wodnego pojazdu. Czulej niż ułan swego siwka. Obejmował marynarzy, częstował ich papierosami. Święto! Wielkie święto!

W rzeczy samej, przyjemny był ten dziewiczy rejsik. Żegnał nas hydroplan z Pucka, z fasonem przelatując nad masztem. Gołym okiem można było dojrzeć złoty ząb w uśmiechniętej buźce pilota. Panowie śpiewali „Hymn Bałtyku" Nowowiejskiego, panie pozdrawiały rybackie kutry batystowymi chusteczkami. A gdy zepsuł się motor i kapitan oznajmił nam przez tubę, że „maszynista poszedł na herbatę", posoleni rozpryskiem fali, odurzeni wiatrem i radością posiadania swobodnego dostępu do morza, zataczaliśmy się ze śmiechu po pokładzie. Jeszcze się święty brzeg ojczysty nie rozpłynął na widnokręgu, a już niektórzy pasażerowie, nie panując nad nostalgią, zaczęli pić za szczęśliwy powrót i pomyślność żeglugi polskiej. Zmożony wódecznością Kornel Makuszyński, najmilsza kaczka dziennikarska jaka kiedykolwiek pływała po Bałtyku, zasnął w łodzi ratunkowej. Ludziom pióra już wtedy było więcej wolno niż zwykłym śmiertelnikom. Spróbowałby tak dentysta lub urzędnik magistracki wpełznąć w biały dzień pod brezent tej łodzi! Siłą by go stamtąd wyciągnęli!

— Nie budzić mistrza — powiedział kapitan statku — niech wypoczywa!

A tutaj ta modra farbka morza Egejskiego. Pewnie by się inaczej nazywało, gdyby ojciec Tezeusza, nieszczęsny Aigeus, widząc że powracający z Krety okręt syna czarne rozpiął płótna, nie rzucił się z rozpaczy do morza. Zaszła pomyłka: Tezeusz w pośpiechu założył niewłaściwy żagiel. Podobno raz w roku, przy pełni księżyca, można ich dostrzec na dnie morza: ojca i syna, spowitych w żałobny żagiel.

Ale wracajmy czym prędzej do współczesności, skoro w asyście brodaczy w długich po kostki, wzdętych wiatrem sutannach wkracza na pokład nowoobrany, a właściwie nowomianowany, arcybiskup Aten i „całej Grecji" Hieronimos Kotsonia. Załoga statku osuwa się na kolana i całuje go w rękę. Kapitan „Lety" daje znak białą rękawiczką i w sekundę później z gardzieli komina wydziera się ogłuszający ryk radości. Przerażone mewy koziołkują w kłębach pary. Hieronimos zdejmuje okulary słoneczne i pozdrawia nimi turystów.

Brat kapitana naszego statku ożenił się z Polką. Wobec czego spotyka mnie niezasłużone wyróżnienie: zasiądę w jadalni, do stołu wraz z arcypasterzem i jego świtą. Przynajmniej na coś

przydają się małżeństwa Greków z Polkami. Dostojny pasażer, jak słyszę, zmęczony jest uroczystościami intronizacyjnymi, jakie wczoraj odbywały się w ateńskiej katedrze i wraca odsapnąć na swoją cudami słynącą wyspę Tinos. Co roku, piętnastego sierpnia, tysiące pielgrzymów przybywają na Tinos, by pomodlić się przed okopconą ikoną w srebrnej sukience, a w procesji wspinającej się z brzegu morskiego na okolone pomarańczowym gajem wzgórze można dostrzec fiolety biskupów kościoła rzymskiego. Wyspy, jakie z porykiwaniem komina mijamy po drodze, pozdrawiają archimandrytę w sposób niezwykły: przy pomocy zwierciadlanej sygnalizacji. Setki roziskrzonych w słońcu luster, lusterek a nawet blaszanych płytek. Salwy światła w zieleni. Oślepiający gwiazdozbiór w samo południe. Widok niezwykły.

Hieronimos, zaledwie 62- letni dostojnik kościelny, a więc — „młokos" (jak twierdzi synod, złożony z samych Matuzalemów), profesor uniwersytetu w Salonikach, do niedawna kapelan dworu królewskiego, zastąpił 87-letniego Chryzostomosa, który należał do szczególnie zaciekłych przeciwników pojednania z Rzymem. Mówią, że ilekroć w jego obecności poruszano sprawę „braci rozłączonych", ogarniał go święty gniew. Nieprzejednany Chryzostomos nie mógł wybaczyć patriarsze Konstantynopola Athenagorasowi, „pocałunku pokoju", wymienionego z Pawłem Szóstym na Ziemi Świętej w r. 1964. Nie ma więc co rozpaczać nad odsunięciem zaciekłego Chryzostomosa, aczkolwiek wtajemniczeni w arkana polityczno-kościelnego labiryntu dzisiejszej Hellady utrzymują, że stolec arcybiskupi opuścił nie tylko z racji podeszłego wieku. „Zdjęto go" — jak się to mówi w najnowszej polszczyźnie — także i z tego względu, że kwietniowy przewrót wojskowy nie przypadł mu do gustu. Jeśli zważyć, że przeciwstawianie się władzy nie leży w tradycji kościoła wschodniego, można podejrzewać, że sędziwy Chryzostomos, nie wtajemniczony na czas przez spiskowców w plany przewrotu, poczuł się dotknięty w swej dumie. Schodząc ze sceny, nie taił swego rozgoryczenia.

— Strzeżcie się długowieczności — miał rzec na pożegnanie do innych siwych brodaczy w sutannach — możecie bowiem dożyć czasów nieprzyjemnych. Niepotrzebnie zezwoliłem okulistom na zdjęcie mi katarakty z oczu: widzę teraz kolebkę demokracji w koszary przemienioną.

Natomiast jego następca, delikatnie dziobiąc łyżeczką porcję waniliowych lodów, jest innego zdania:

— Niebo zesłało nam tych ludzi — mruży żwawe oczka — we właściwym momencie: na pięć minut przed wybiciem dwunastej.

Wiemy więc do czego służy niebo: do zsyłania na ziemię

generałów i pułkowników we właściwym momencie, na pięć minut przed wybiciem dwunastej. *Gesta Dei per generalos.*

— Być może — ciągnie Hieronimos — że 262 namiestnik na tronie Piotrowym odwiedzi 262 biskupa na tronie apostoła Andrzeja. Nie brak takiej przepowiedni. Tymczasem musimy unowocześnić nasz kościół. To najważniejsze. Na osiem tysięcy księży mamy tylko trzystu duchownych z wyższym wykształceniem, tysiąc dwustu ukończyło szkołę średnią, a sześć i pół tysiąca zaledwie otarło się o szkołę elementarną...

Mam ochotę zauważyć, że większość apostołów nie miała matury, ale nie wypada w towarzystwie entuzjasty Oświecenia występować w roli ciemnogródzkiego zacofańca. Życzę więc grzecznie dostojnemu interlokutorowi powodzenia w zbożnej pracy, a on mi z tą samą uprzejmością oświadcza, że Polska to wspaniały naród. Ucieszyłem się, rzecz jasna, bo któż z nas nie lubi zasłużonych komplementów; radości mojej nie zmąciło nawet zdanie, jakie dosłyszałem w chwilę później, gdy arcybiskup Aten zaszczycał z kolei rozmową dziennikarza z Kopenhagi:

— Dania, to wspaniały naród!

Światły Hieronimos z pewnością ma rację. Wszystkie narody na tym padole w jakiś tam sposób są wspaniałe. Ale, jak te zwierzęta w książce Orwella, może niektóre z nich są jednak nieco wspanialsze?

Ale oto i piękna wyspa Tinos. Na udekorowanym molo czekają na arcybiskupa aż dwie kompanie honorowe. Piechota i marynarka wojenna. I dziarski huf policji. Słońce na ostrzu bagnetów. Na piersiach brodacza, który przed zejściem na ląd zdążył się w kajucie przebrać w ornat złocisty, pali się krzyż rubinami zakrwawiony.

Coś się tutaj nie zgadza — odzywa się we mnie zakapturzony pacyfista — czy nie należałoby dokonać wyboru? Albo ten krzyż, symbol męczeństwa, albo te bagnety, przyrządy do wypruwania ludziom flaków...

Oficerowie, wyprężeni jak struna, w hełmach bojowych, oblepieni orderami, podchodzą do Hieronimosa. Zgrabnym, baletowym ruchem opadają na jedno kolano i całują go w rękę. Komendant policji z szablą obnażoną, ze ślepiem rozmodlonym, cmoka arcypasterza tak głośno, że słychać ten cmok z odległości kilkunastu metrów. Jakby korek wyskoczył z butelki.

Dobrze, że tego nie widział jakiś „czerwony pismak" z Warszawy — oddycham z ulgą — gotów jeszcze napisać o sojuszu kleru i wojska, o naturalnej wspólnocie interesów, o soldatesce wodą święconą skropionej. A przecież każde dziecko w Kraju i na emigracji wie, że „komuniści zawsze kłamią"...

◆

Słońce już przypieka, chociaż to dopiero ranek i spracowanym Kariatydom w Erechtejonie — wszystko na ich głowie! — jeszcze nie spływa pot z kamiennego czoła. Czekając u wylotu placu Syntagma na przejazd królewskiego orszaku, rozmyślam w tłumie gapiów nad losami instytucji monarszej w Grecji nowoczesnej. Herb suwerena zdobi piękna dewiza: „Moja moc bierze się z miłości narodu". Ale rozmaicie z tym afektem greckim do tronu w przeszłości bywało. Grecja nie miała szczęścia do swych koronowanych głów i półgłówków. Pierwszego z nich, Ottona Wittelsbacha, który zasiadł na tronie w 1832, zmiotło powstanie. (Ateny liczyły wówczas zaledwie osiem tysięcy mieszkańców! Dziś zaś, zrośnięte z Pireusem, zbliżają się do dwóch milionów). Jerzego Pierwszego z rodu Schlezwig-Holstein-Sonderburg-Glücksburg, zgładzono. Syn jego, Konstantyn Pierwszy, stracił tron najpierw w 1917, a po raz wtóry w pięć lat później. Aleksandra Pierwszego — o czym ze zgrozą mówiły moje praciotki — ugryzła śmiertelnie małpa, której zęby zatruć mieli perfidni spiskowcy. Coś dla Agathy Christie. Jerzemu Drugiemu, synowi Konstantyna Pierwszego, berło dwukrotnie wypadało z ręki. Jedynie rodzic obecnego monarchy, Paweł Pierwszy, chociaż tron jego chwiał się niejednokrotnie, zdołał się na nim, przy boskiej i amerykańskiej pomocy, utrzymać przez lat siedemnaście, aż do śmierci w r. 1964. O obecnym pomazańcu (w chwili oddawania niniejszych impresji do druku zasiadał jeszcze na tronie) ironiści ateńscy szepcą sobie na ucho, że ugryzł go stary Georgios Papandreou, i to tak jadowicie że generalskie antytoksyny, silniejsze od zatrucia, już mu nie pomogą...

Nie, ten wysportowany dryblas w galowym mundurze nie wzbudza we mnie przesadnego zachwytu. Twarz nieskażona nadmiarem wysiłku myślowego, aliści rozjaśniona niepokojącym zadowoleniem z własnej przeciętności. Konfekcyjny uśmieszek ulubieńca bogów, przyzwyczajonego do pozdrawiania swych wielbicieli. Uzębienie odsłonięte na roścież, jak na reklamie pasty do zębów. Dobry jeździec, premiowany żeglarz, ale na tym i koniec kwalifikacjom. Ale nie ambicjom! Dłoń w białej rękawiczce nakreśla niedbałe kółka w powietrzu wokół wypomadowanej skroni. Czapa jakby za duża. I za wiele tej operetkowej lamety na piersiach. Tych sznurów, szarf, gwiazd, blaszek i frędzli. Anachroniczna figura.

Obok niego, w koronkach, w kapeluszu większym od młyńskiego koła, trzepoce przyklejoną rzęsą „Frideriki-Friki". („Fryderyka-Okropność" — jak ją nazywa ludek ateński). „Odkąd poznałem tę hanowerską kwokę bliżej — miał kiedyś powiedzieć b. premier Kanellopoulos — przestałem się gorszyć postępkiem Raskolnikowa". Sztywna, odęta, jakby niezadowolona z podda-

nych swego syna. A przecież dzień — jeśli wierzyć plakatom rozklejonym na mieście — jest niezwykły. Imieniny króla, Te Deum w katedrze. Dwa razy po sto jeden wystrzałów armatnich odpalono na szczycie Likabetu, bo to i świętego Konstantyna obchodzimy dzisiaj i narodziny następcy tronu, Pawełka, który ma ocalić dynastię przed złymi figlami Nemezis.

Mimo tych dwóch arcyhistorycznych wydarzeń entuzjazm Ateńczyków, jak spostrzegam, jest raczej umiarkowany, lubo za podwójnym szpalerem uzbrojonych po zęby „zielonych beretów", nie spuszczających na moment oka z przechodniów równie podejrzanych jak niżej podpisany, co chwilę jakiś ostrzyżony na jeża rojalista o fizys zawodowego tajniaka-dusiciela, podrzucając bokserskie łapy w górę, zagrzewa ospałych do oklasków. Takich „zagrzewaczy" oglądałem kiedyś na stadionie piłki nożnej, na mistrzostwach świata w Szwecji. Tylko że tam tłum chętnie pozwalał sobą dyrygować i na znak wodzireja zamieniał się w orkan czy w inną trąbę powietrzną, podczas gdy tutejsze brawa — jeśli wolno się posłużyć niezbyt eleganckim wyrażeniem, zaczerpniętym z języka sfer teatralnych — przypominają „klepanie chudej baby po d...". Minęły te czasy, gdy zwożone do stolicy wieśniaczki na widok Fryderyki, czołgając się z krzykiem na bruku, rzucały się do ucałowania rąbka szaty królewskiej, zresztą szaty niebrzydkiej, bo sprowadzanej samolotem od Diora z Paryża. Rozżalona kamaryla twierdzi, że telewizja, która niepotrzebnie pokazuje prostaczkom zdjęcia z obcych krajów, odbija się niekorzystnie na odwiecznym zamiłowaniu ludu greckiego do podobnej liturgii patriotycznej; naród jest zdrowy, natomiast te nowe wynalazki są szkodliwe. Ledwie nadjeżdżają limuzyny rządowe, pyszne krążowniki szosowe ozdobione proporczykami i generalskimi gwiazdami, nasz etatowy entuzjasta puszcza się w istny taniec św. Wita.

— Niech żyje rząd! — ryczy jak ranny bawoł — Niech żyje Wielka Rewolucja Narodowa!

Ale poza nim, łapsem z dziada-pradziada, i kilkoma policjantami w białych kaskach, jakoś nikt nie szaleje ze szczęścia na widok zbawców ojczyzny. Parafrazując znane powiedzenie Brechta, można by powiedzieć, że lud raz jeszcze zawiódł zaufanie swoich przywódców; należałoby go więc za karę rozwiązać i na jego miejsce wybrać inny, powolniejszy.

Skoro nastrój w centrum miasta coraz to osobliwszy, oddalmy się lepiej w stronę Akropolu. Naprzód, szlakiem „Przechadzek ateńskich" Witwickiego! Aliści rychło nowy wyłania się kłopot: jakiś obszarpaniec uwziął się w pobliżu agory, by za trzy drachmy wyczyścić mi buty. Nie korzystałem z usług czyścibutów w Nowym Orleanie ani w Palermo ani w Barcelonie, więc i nie skorzystam z nich w Atenach. Lecz kudłaty syn Hellady nie daje

za wygraną. Dla świętego spokoju gotów jestem ulec jego namowom, gdy nagle wzrok mój pada na jego nazwisko, wypisane atramentowym ołówkiem na przenośnej skrzynce z przyborami do czyszczenia obuwia. Temu huncwotowi na imię — Orfeusz! Przerażony, cofam nogę. *Non sum dignus,* żeby syn Kaliope klęczał u moich stóp. Niech czyści buty Wierzyńskiemu czy Miłoszowi! Ale nie mnie!

Uchodzę w zaułek, ale nie za szybko, by tajniacy jego królewskiej mości nie pomyśleli, że z krócicą w rękawie bruździę przeciwko Wielkiej Rewolucji Kwietniowej, przez garnizonowych liryków nazywanej „Przebudzeniem Narodu".

◆

Ale może nie wolno bluźnić przeciw zgrai Aresa?

Nie zdziwię się, jeśli nasi antykomuniści, którzy tak chętnie wypędzają diabła przy pomocy Belzebuba, przyjmą niniejsze zapiski z wyraźnym niesmakiem. Ktokolwiek jednak sądzi, że „wolny świat" nie ma obowiązku przestrzegania zasad, które zaleca innym, powinien mieć odwagę przemyślenia swej postawy aż do żałosnego końca i za najlepsze lekarstwo na komunizm uznać hitleryzm. Ale do takiej końskiej kuracji, której powodzenie nie gwarantowałoby pacjentowi życia innego poza wiekuistym, kwapią się, na szczęście, tylko nieliczni fanatycy i zbłąkańcy. Nie ma się co łudzić: gdyby w Grecji doszło jutro do przewrotu komunistycznego, nowi władcy z pewnością obeszliby się ze swoimi przeciwnikami politycznymi o całe piekło okrutniej niż obecni monarchofaszyści obchodzą się z lewicą; wiemy coś o tym, nasza wiedza o losach opozycji w krajach rządzonych przez dyktaturę komunistyczną jest aż nadto bogata. Ale czy z takiej właśnie, bolesną empirią nasyconej wiedzy o świecie, którego nie aprobujemy, może wynikać przyzwolenie na gwałcenie zasad w imię których bronimy zupełnie innej wizji przyszłości? Za nic w świecie!

Jak też wygląda „nowa rzeczywistość" w ojczyźnie Sokratesa, Platona, Peryklesa, zbudowana na gruzach „haniebnej sejmokracji"? Jak wygląda ta przedrzeźniona powtórka z historii starożytnej, do której doszło w 2371 lat po zwycięstwie Sparty nad Atenami? Młody poeta, pokazując mi z dachu swego domu oświetlony reflektorami budynek parlamentu, mówi otwarcie:

— Nieboszczyk w aureoli. Grabarze oświetlili kostnicę.

Naturam expellas furca, tamen usque recurret — ostrzegał stary Horacy. Mimo to odświętny sztywniak w todze Katona, premier Konstantyn Kollias, i minister spraw wewnętrznych brygadier Stylianos Pattakos, groźnie nasrożony brwiami z czarnej

waty orator z bożej niełaski, radzi, by jak najśpieszniej zmienić wiekowe przyzwyczajenia swych rodaków, z tym najniebezpieczniejszym nawykiem na czele: z zamiłowaniem do anarchizującej swobody, które w języku „odnowicieli", oczywiście, nazywa się „warcholstwem". Skąd my to znamy? Ten ulubiony lek stójkowych, pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, tą samą mentalnością sprzymierzonych, to szalbierskie panaceum z naklejką „Porzundek musi być"?

Dzieło „Wielkiej Naprawy", jakie umundurowanym wychowawcom przyświeca w słowie i piśmie, jak dotychczas, ogranicza się do istnej inflacji zarządzeń policyjnych i odezw patriotycznych, do głośnego drapania paznokciem po murze obojętności publicznej. O jakiejś gruntownej przebudowie społecznej, o wyrównaniu rażących kontrastów, o odważniejszej reformie gospodarczej, jaka niekiedy cechuje ludzi finansowo uzależnionych od swoich skończy się — *utinam falsus vates sim!* — na posypaniu pudrem tych licznych ran nie zagojonych, które pewne połacie kraju pod względem gospodarczym upodobniają do Persji lub zaoceanicznych republik bananowych. Obrońcy nowego ładu z wyrozumiałością, jaka nie kiedy cechuje ludzi finansowo uzależnionych od swoich łaskawców, tłumaczą niecierpliwcom: „Dajcie naszemu rządowi cztery lata czasu, a nie poznacie Grecji: czeka ją nowy złoty wiek Peryklesa!" Hasło skądinąd znane. Nikt nie wymaga od obecnej junty cudów, które olśniłyby niedowiarków w sto dni po zwycięskim puczu armii. Ale wolno chyba zapytać, gdzie jest ten wielki program polityczny, który mógłby poderwać gnuśnych rodaków do współpracy z czyścicielami stajni Augiasza? I czy ubezwłasnowolnienie społeczeństwa rzeczywiście przyśpieszy budowę lepszej przyszłości? (A jakże: z przemówień obecnych Heraklesów wynika niezbicie, że cała Grecja przed 21 kwietnia 1967 do złudzenia przypominała od lat nie czyszczone stajnie króla Elidy. I dopiero oni, herosowe nasienie, cudotwórczym nurtem rzeki Alfejos zmywając z rodzinnej ziemi od dawna nagromadzone łajno, dezynfekują ojczyznę po zgniło-demokratycznych chabetach i trojańskich kucykach).

Wielka Rewolucja Narodowa, to brzmi dumnie. Aliści tylko na płachtach kontrolowanych przez cenzurę gazet. W istocie zaś zamiast reform o charakterze zasadniczym, a więc nie cofających się przed naruszeniem dotychczasowej, wysoce wadliwej, struktury społecznej, gestykuluje się nerwowo, nie szczędząc demagogii i efekciarstwa, goniąc choćby za namiastką poklasku bez którego wojowie, przyzwyczajeni do prowadzenia oddziałów na defiladzie, żyć nie mogą. Podniesiono więc głodowe zasiłki dla wdów, sierot i ofiar wojny domowej o pięćdziesiąt procent. Umizg do matek-Spartanek: z całą surowością prawa ścigać się będzie zalotników, nie dotrzymujących obietnicy zawarcia małżeństwa. Ogłoszono, że żaden Grek nie powinien zarabiać więcej niż premier rządu. Może to i godne uznania, że się po żołnierskich mózgach kołaczą podobne tęsknotki pseudo-egalitarne, ale co zrobić — dajmy na to — ze zwierzętami, które są bardziej równe od innych: z takim Onassisem, właścicielem „Olympic Airways", a co z prorządowym krezusem Garoufalisem, królem piwa „Fix", a co z trzema pałacami i pięcioma willami monarchy, wydającego na samo utrzymanie swej prywatnej flotylli powietrzej, morskiej i parku samochodowego sumy, w porównaniu z przeciętnym zarobkiem biedoty macedońskiej, wręcz astronomiczne?

Znamienne, że nowi władcy, nie ogarniając całości skomplikowanego mechanizmu państwa nowoczesnego i nie chcąc nawet cząstki swej władzy delegować w dół, najchętniej zajmują się szczegółami, które w zasadzie należeć powinny do kompetencji niższych organów wykonawczych samorządu gminnego. Najwidoczniej nie słyszeli o maksymie, znanej już renesansowym książątkom we Włoszech: „Rządzić czyli wiedzieć czego n i e robić samemu". Nic więc dziwnego, że nad posiedzeniami gabinetu unosi się aura swoistej „składkowszczyzny". W nadzwyczajnym zarządzeniu brygadiera znajdujemy pożyteczną skądinąd wzmiankę o potrzebie zaopatrywania ubikacji w papier. Pattakos zarządził, by urzędnicy przychodzili do biura na kwadrans przed rozpoczęciem urzędowania i nie używali służbowego telefonu do załatwiania spraw prywatnych. Owcze serki, sprzedawane na straganach, należy umieścić w szklanych kloszach; paskarzy „odosobnić"; posiadaczy hektografów i powielaczy wciągnąć do osobnej kartoteki; emigracyjne druki i książki, oczywiście, konfiskować na granicy; pociągi, zwłaszcza pospieszne, powinny kursować według rozkładu jazdy (świetny pomysł!); żebrakom w Pireus zabrania się spać za dnia na trotuarze, gdyż wyciągając nogi do połowy chodnika, utrudniają ruch uliczny; gitarzystów, grających po tawernach melodie zakazane (np. kompozycji Theodorakisa, który znalazł się na czarnej liście) należy wtrącać do loszku. Niektóre z tych zarządzeń z pewnością cieszą lwie serca naszych rodzimych Pattakosów nad Wisłą, gdyż policaje to bodaj jedyna autentyczna międzynarodówka na świecie.

Gdy z kupionej w kiosku na lotnisku Elenikon „Franfurterki" dowiaduję się, że tajniacy w przebraniu celników ze stoiska NRF na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie skonfiskowali moich „Radziwiłłów", wybucham serdecznym śmiechem.

◆

W moim hoteliku na Plaka, który bez przesady nazwać moż-

na najgłośniejszym miejscem na kuli ziemskiej, wisi obwieszczenie w języku angielskim, przeznaczone dla cudzoziemców, a podpisane przez p. Alexa Scourlettisa. Tekst tego apelu zasługuje na uwagę, gdyż przywodzi na pamięć „Rok 1984" Orwella. Kto rozsiewa plotki o rządzie i szemrze przeciwko władzy, jest sabotażystą — *„and therefore must immediately be reported to the nearest Police Station or to the Military Authorities"*. Zaproszenie do delatorstwa. Chcesz pomóc Grecji? Zadzwoń na policję. *Denuncjare humanum est.* Sykofanci na start!

Ton prasy codziennej, której cenzor zdążył już założyć podwójnego nelsona, również wydaje mi się dziwnie znajomy. Wszystko już było. A więc dowiadujemy się, że żona „zatrzymanego" Andreasa Papandreou, Margareth, była „złym duchem złego ducha", co nie może jednak nikogo zdziwić, jeśli się zważy, że jest z pochodzenia... Bułgarką, a brat jej... marksistą. Pułkownik artylerii, Papadopoulos, dusza, technik i ideolog przewrotu (i ten jegomość kogoś mi przypomina!) oznajmia na łamach „Vradyni", że osobiście nie ma nic przeciwko krytyce, „jeśli jest twórcza i pozytywna, nacechowana odpowiedzialnością i szczerą troską o naprawę stosunków w kraju, a nie stacza się na pozycję złośliwej negacji". Minister-pułkownik Makarezos oświadcza redakcji dziennika „Akropolis", że podział na lewicę i prawicę nie ma sensu, są tylko uczciwi patrioci greccy i wrogowie narodu i państwa. Artykuł wstępny w „Eleftheros" pochwala wyrok sądu wojskowego w Salonikach, który skazał „pewną ilość" warchołów na trzy lata więzienia za obrazę króla i armii. Szczególne uznanie należy się resortowi sprawiedliwości z niestrudzonym Sokratesem Sokratidisem na czele, który z taką energią wziął się do zabezpieczenia zdobyczy rewolucji narodowej. W kronice policyjnej wyczytać można, że niejaki Panayotis Kazanos, szewc z zawodu, lat 55, przyłapany został na wypisywaniu kredą na murze haseł antyrządowych; „świadka Jehowy", Theodorosa Bassiasa, skazano na dwa lata więzienia za obrazę munduru; ciało adwokata Nikiforosa Mandalirasa, który „przez nieostrożność wpadł do morza i utonął", wyłowiono u wybrzeży Rodos. Tak się dziwnie składa, że ten Mandilaras był jednym z bliskich współpracowników „zatrzymanego" Papandreou. Toteż policja wysuwa przypuszczenie, że przechylił się przez barierkę frachtowca „Rita", na którym usiłował ulotnić się na Cypr, bojąc się „zasłużonej kary" za — jakże by mogło być inaczej? — „poważne nadużycia dewizowe". Metoda wypróbowana: nie wystarczy przeciwnika politycznego wpuścić do morza, trzeba jeszcze z niego zrobić złodzieja.

Z innych wydarzeń: premier przyrzekł delegacji kobiet z Te-

salii, że „wejrzy" w sprawę odnowy moralnej narodu. Mowy nie ma o prześladowaniu długowłosych młodzieńców; alboż to piękny Antinous, którego posąg podziwiać można w Delfach, nie miał dziewczęcej fryzurki? Ale znikną fotografie niedostatecznie odzianych dziewcząt z gablotek nocnych lokali, jawnogrzesznice skieruje się do pożytecznej pracy.

A że patriotyczny patos i groteska w jednym nieraz mieszkają domku, warto może jeszcze dorzucić, że 116-letnia Amia Efymiakis w Archangelos — jeśli wierzyć gazetom — na łożu śmierci palnęła mówkę na cześć nowego rządu: „Cieszę się, że dożyłam kwietniowej odnowy. Mogę już umierać spokojnie, wiedząc że losy Grecji spoczywają w rękach prawdziwych patriotów".

Oczywiście, turysta, zwierzę najczęściej ślepe, bezmyślne i zajęte sobą, wojażując po Rosji, po krajach bloku, po Hiszpanii czy po Grecji dzisiejszej, rzeczy niemiłych nie dostrzega lub wręcz dostrzec nie chce, by nie psuć sobie zabawy. Toteż w prasie obcojęzycznej, wydawanej w Atenach, można znaleźć radosne oświadczenia niemieckich sprzątaczek lub amerykańskich kupcowych w rodzaju:

— Przejechawszy Grecję wzdłuż i wszerz, nigdzie nie zauważyliśmy objawów niezadowolenia. Mieszkańcy tego pięknego kraju, z którymi mieliśmy sposobność się zetknąć, z otuchą spoglądają w przyszłość. Przyznajemy, że pod wpływem tendencyjnych artykułów, zamieszczanych w prasie zagranicznej, z pewnym niepokojem wyruszaliśmy w naszą podróż do Grecji. Lecz dopiero na miejscu mogliśmy się przekonać na własne oczy, że...

Tak się przed moim odlotem do Aten złożyło, że pewien grecki literat, który postanowił nie wracać do swego kraju, poprosił mnie, bym się dowiedział, co się dzieje z jego bratem. Są prośby, którym odmawiać nie wolno. Poszedłem więc z duszą na ramieniu pod wskazany adres. Drzwi zamknięte. Rolosy spuszczone. Telefon nie odpowiada. Sąsiedzi bez słowa rozkładają ręce. Zajrzałem więc z kolei do biura, gdzie pracował jeszcze przed kilku tygodniami.

— Czy mógł bym się zobaczyć z p. X.?

Mała konsternacja. Na dźwięk wymienionego przeze mnie nazwiska urzędnicy za biurkami spuszczają wzrok, gorliwie pogrążając się w papierkach. Informacji udzielić może tylko kierownik biura, nikt inny.

Numer pokoju — 13. Jestem więc przygotowany na feralne przyjęcie. Tymczasem kierownik, sympatyczny grubasek, zachowuje się tak uprzejmie, jak bym mu swoim przyjściem sprawił osobistą przyjemność. Wysyła sekretarkę po filiżankę kawy. A gdy zostajemy sami, zniża głos:

— X. miał kłopoty z sercem... Leczy się...

— Gdzie?

— *I don't know.* Nie zostawił adresu swej kliniki.

Nie dowierzając mej domyślności, znacząco przymyka oko:

— *He is not very well, you see...* Zachorował. Nagle. W nocy...

Zanim opuściłem Ateny, znowu wpadłem na berlińczyka w słomkowym kapeluszu. Właśnie czekałem na taksówkę przed hotelem, gdy minęła nas ciężarówka wojskowa. Widok dobrze nam znany z tamtych lat: kilku młodych ludzi ściśniętych pierścieniem konwojentów.

— Gdzie rąbią — rzekł dziennikarz w sandałkach — tam drwa lecą.

Po chwili odezwał się w nim fachowiec:

— Nieostrożni. Nie powinni transportować więźniów przed zapadnięciem ciemności...

I wreszcie — odlot. Przystojny szympans w nowiutkim mundurze przyczepia się do mnie, że nie jestem podobny do swej podobizny w paszporcie. Tłumaczę mu grzecznie, że jeśli fotografia nie oddaje wszystkich zalet mej ujmującej powierzchowności, nie moja to wina, lecz fotografa. Ale on nie lubi takich żartów.

— A cóż to za dziwny paszport? — świdruje mnie oczkami.

— Dla bezpaństwowców — wyjaśniam.

— Dziwne — mruczy — a wiza z jakiej daty?

— Wystawiono ją 18 kwietnia z ważnością na trzy miesiące.

— A więc przed 20 kwietnia — marszczy czoło — to niedobrze. A jaki zawód?

— Dziennikarz.

Twarz jego nagle się zmienia. Bije z niej ciepło ludzkiej życzliwości. Widocznie dostał polecenie, by dziennikarzy zagranicznych traktować z wyszukaną uprzejmością.

— Jest instrukcja — tłumaczy się — by się uważnie przypatrywać fotografiom, to się przypatruję. Mam nadzieję, że się panu u nas podobało i że napisze pan o nas coś miłego. Szczęśliwej podróży i — do widzenia!

— Do widzenia!

Kto wie, może się jeszcze kiedyś zobaczymy? Ale po tym artykule pewnie nie tak szybko...

A szkoda, bo kraj jest olśniewająco piękny, utkany ze snu, pieśni i wzruszeń, i czułem się pod jego niebem jak ów opisywany przez Kanzantzakisa kleryk francuski, który na widok „Afrodyty suszącej włosy" ukląkł w rodyjskim muzeum i zaczął się modlić.

— Przecież to nie Chrystus! — zdziwili się turyści.

— W tym kraju — odrzekł kleryk — za każdą maską tę samą widzę twarz...

Tadeusz NOWAKOWSKI

Wiersze

Dziwy na pływalni

WIERSZ TWARDOTEMATOWY A JEDNAK PEŁEN DOPEŁNIEŃ

I

ZACIĄG

Dzisiaj rano pracownicy miejskiej pływalni
W kensingtońskiej dzielnicy Londynu
Zaciągnęli chorągiew słońca na szczyt budynku dyrekcji.
O jak się rozwiał ich promienisty sztandar!
O jak się rozzłocił na lazurowej kanwie nieba!
Jak się wzdął od podmuchów ciepłoty!
To od niego rozbłyszczały się okulary kasjerki
I automat zaczął wystrzeliwać żółte bilety wstępu.
Z całego okręgu gminy poschodzili się ludzie
Żeńscy i męscy choć nikt ich nie zwalniał od prac:
Prą do wejścia tak jak ciepły wiatr prze o płótno nieba.
Niosą w teczkach, koszykach i torbach kąpielowe stroje,
Bo dzisiaj rano pracownicy miejskiej pływalni
Zaciągnęli słoneczny sztandar na spiczasty szczyt wieży
I w ten sposób dopełnił się jego wysokopienny zaciąg.

II

ROZBIÓR

Przechodzili jedni po drugich przez wąski przesmyk barier
Wzdłuż wodnej, już parującej poręczy, do wrót,

Gdzie czekały na nich otwarte na oścież,
Lekko wilgotne, parne i mroczne pawilony szatni.
Napisy rozdzielcze rozbiły kolumnę przybyszów
Na grupę żeńską i męską; potem jeszcze ich społeczność
Rozdzieliły i rozproszyły pojedyncze kabiny.
Wszyscy chętnie zdejmowali z siebie odzienia —
Szorstkie mundury miejskiego, skrępowanego przebytu:
Kamizelki, krawaty, skarpetki, pończochy i bluzki,
Suknie, koszule, przypaski, popusty i szelki...
Wydawało im się że ściągają z siebie ponure chomąta
Zim i jesieni, uciążliwości fabryk i zgryzoty biur,
Pośpiech pór obiadowych, natłoki pociągów.
I gdy się rozbierali z obciążeń codziennych odzieży,
Odczuwali nową lekkość: i tak dopełniał się ich rozbiór.

III

NAKŁAD

Wolni od miejskich obarczeń przez parę sekund
Pozostawali w rajskiej antytezie wszelkich szat,
Strząsali ze siebie pył ulic i smutki podmiejskich pociągów.
Niektórych w łazienkach natrysk wodny przygotowywał
Do późniejszych pełnych zanurzeń w basenie jeziora,
Lecz ich pryskliwa wolność trwała tylko parę chwil,
Bo wkrótce trzeba było uczynić zadość koniecznej,
Wodno-słonecznej konwencji: każdy nakładał na siebie
Kąpielowy kostium, według wolnego wyboru tkaniny i barw,
A jednak wszystkich łączyła zwyczajowa zgodność,
Pomimo różnic kształtów i objętości tych okryć.
I za każdym razem, gdy któryś z nich nakładał
Ubiór pływacki, dopełniał się jego nakład.

IV

OPAŁ

Wychodzili jedni po drugich z wilgotnych pawilonów
Bielcy i bielice na rozrzewniony brzeg wody
Bez różnicy wieku i płci, choć przeważała młodzież,
Naprzeciw słońcu, którego chorągiew łopotała na wieży.

Wstydzili się swej białości, smutno im było się przyznać
Do długiej jesieni i zimy, co przewlekała się w wiosnę,
Jak gdyby to była ich wina, że to dopiero dziś rano
Doczekali się nadlotu opóźnionego tak lata.
Tylko troje przybyszów z Afryki, ambasadorów równika,
Patrzyło bez zażenowania w mosiężny medal nieba.
Teraz się wszyscy pokładli na ziemi i na leżakach
I zaczęli się podpiekać, brązowić swoją białość:
I gdy tak opalali się na patelni lata, raz wraz,
Minuta po minucie, dopełniał się ich opał.

V

PRZEKĄS

Gdy zegar na wieży podniósł obie ręce w kierunku południa,
Jak na znak, ludzie zaczęli węszyć za jadłem:
Pootwierali pakunki, węzełki, teczki i torby.
Niektórzy powyciągali butelki, kubki i szklanki
(Celem tego, należało wnioskować, było zmiękczenie
Suchego prowiantu i ułatwienie jego wpływu do zatok
I wirowitnic brzucha.) Większość jednak wolała
Pewną twardość lub co najmniej jakąś oporność
W tym co jedli. Wobec tego chleb, kiełbasy, suchary,
Biszkopty, jajka, jarzyny, wszystkie czekały
Na konfrontację z dwuszczękowymi zestawami zębów.
Każdy powoli przygotowywał się do spożywczego aktu.
Teraz już jedli świadomie, z logiczną konsekwencją
W systemie trójterminowym: dwie szczęki i kęs,
W którym od czasu do czasu zmieniał się element jadła.
Przebijali się kęs po kęsie przez różne zgrupowania
Produktów i w ten sposób dopełniał się ich przekąs.

VI

ROZPUK

Po jeziorze jak delfiny nurkowali prężni pływacy
Skoczkowie łukiem rzucali się przez przestwór w wodę,
Był plusk i szum, rozpływ i poszmer nawodny.
Natomiast na lewym skraju pływalni leżała gromada

Chłopców i dziewcząt w wieku poborowym mniej więcej.
Przekomarzali się głośno, rzucając na siebie
Maleńkimi kamykami i piaskiem i było im bardzo wesoło.
Cedzili przez słomki sztucznie barwione słodko-płyny.
Czasam przyglądali się niebu, a czasem patrzyli na siebie,
Potem znowu, ukradkiem zerkali na wodę i nurków.
Można się było domyśleć, iż dla nich w tym trójzestawieniu
Nieba, siebie i wody krył się element komizmu,
Który przygotował podłoże do wytrysku radości.
Jeden z gromady, był traf, że akurat ryży, opowiadał im
Długą, skomplikowaną historię, lecz niestety wiatr
Izolował jego słowa od punktu poetyckiego nasłuchu.
Gdy skończył, całą gromadą wstrząsnął tropikalny śmiech:
Śmieli się tak dalece jak tylko można się śmiać,
Był to zupełnie żywiołowy odruch i w ten sposób
Dopełniał się na skraju fal wodnych rozpuk ich śmiechu.

VII

WPŁYW

Spoza zakrętu wężowato wydłużonego jeziora
Wynurzyła się łódka żaglowa, którą na smyczy powiewu
Wiedli dwaj siwi mężczyźni, opaleni, w kolorze przeciwstawni
Bieli płótna i jasnoniebieskej barwie łodzi,
Na której dziobie siedziała kobieta w żółtej sukni,
Trzymając w ręce ogromny bukiet tulipanów.
Po kilku minutach, gdy się zwiększyła widoczność
Zbliżających się powoli żeglarzy, można było dostrzec,
Iż burta i ster mają pozdrapywaną miejscami farbę
I dziury podłużne pozatykane smolnymi czopkami.
Doświadczony marynarz, co podróżował po parnych morzach
I znał tajniki głębin nie zawahałby się powiedzieć,
Że były na tej łodzi widoczne odciski szafirowych
Pazurów syren i ślady niezaprzeczalne zębów trzonowych
Dalekomorskich rekinów. Żeglarze siedzieli spokojnie
Lecz wyglądali jakby przybyli z jakichś wysp zatopionych,
Jakby dotarli do zamkniętego śródnomiejskiego jeziora
Podziemną lub napowietrzną drogą. Musieli się ocalić,
Jak można było wyczytać z ich twarzy, z rozbitego okrętu
Lub z zaciętej bitwy podmorskiej. Ten przy sterze
Mrużył dziwnie oczy, jak gdyby uciekł z nużącej niewoli,
Gdzie musiał patrzeć całe lata poprzez mgławice zasieków.

Tamten przy maszcie miał wygląd człowieka, który wysadzał
W powietrze tamy podmorskie, aby się przebić w końcu
Przez zablokowane cieśniny. A kobieta z tulipanami
Spoglądała na nich dwóch, jak gdyby znała ich hasło.
Łódź powoli zbliżała się ku terytorialnym wodom pływalni,
Gdzie krążyli pluskający pływacy. Tylko parę podmuchów
Trzeba było, aby łódź wpłynęła na kąpielowy odcinek wód,
I w ten bardzo widomy sposób dopełniał się jej wpływ.

VIII

Z R Y W

O godzinie piątej po południu zerwał się silny wiatr,
Uderzył biczem w piasek, powyrywał ludziom gazety z rąk,
Porozpraszał kaczki na jeziorze. Opalający się zaczęli drżeć,
I ci co byli w wodzie zanurzyli się jeszcze głębiej.
Chociaż było nadal ciepło, obawiano się, że wiatr podważy
Lazurową pokrywę nieba i zamgli słońce i że znowu jak dawniej
Będzie zaciekał dach przestworu. Niektórzy nawet myśleli,
Że to sygnały odwrotu, kapitulacji lata i zwycięstwa deszczu.
Lecz stało się inaczej. Trzy drzewa na skraju jeziora
Uchwyciły wiatr konarami i więcierze drucianych koszów na śmieci
Uwikłały jego stopy. Załopotał gniewnie płótnami leżaków,
Chuchnął, dmuchnął parę obraźliwych słów i przycichł,
Przysiadł w kucki tuż pod przęsłem mostu, po tym krótkim
Nalocie na park. I w ten sposób dopełnił się jego zryw.

IX

ROZCHÓD

Prawdopodobnie pod wpływem nagłej zmiany ciśnienia
Ręce zegara poczęły obracać się dużo szybciej niż dotychczas.
Czas stawał się coraz bardziej lotny i ubywał prędzej
Niż przez całą pierwszą część dnia nad jeziorem.
Mokrzy zaczęli się suszyć i susi strzepywali piasek
Ze skór podbrązowionych i kolorowych kąpielowych odzień.
Jeden po drugim znikali wszyscy w szerokiej bramie przebieralni.
Ich powrotna metamorfoza w oprzędy larw miejskich
Trwała tym razem krótko. Przy wyjściu zupełnie nikt

Nie sprawdzał biletów. Wrota wyjściowe pływalni wykazywały
Zupełną obojętność pożegnań, podobną do tej, gdy gospodyni
I gospodarz domu żegnają gości, dotknięci nagle jakimś
Nieprzewidzianym i zatajonym zmartwieniem. Za bramą ludzie
Rozwielali się po sieci dróg i ścieżek, oddalali się
Bardzo pośpiesznie, szli w rozsypkę każdy w swoim kierunku,
Ku przystankom autobusowym, ku stacjom podziemnych kolei.
Tak rozchodzili się efemeryczni członkowie słonecznej,
Jeziornej społeczności i w ten sposób dopełniał się ich rozchód.

X

MROK

Zachód zamraczał powoli świadomość w koronach drzew,
Które stały wokoło pływalni. Przypuszczać należało,
Że był to konieczny zabieg, aby im ułatwić przetrwanie
Do pierwszych blasków świtu. Bo drzewa, jak wiadomo,
Często cierpią na lęk nocny, wynikający z niemożności
Ucieczki z miejsc zagrożenia. Na szczycie budynku
Dyrekcji pływalni maszt bez sztandaru stercząc milczał,
Nie miał czym łopotać na ciemniejącym wietrze.
U brzegu, łódź ze zwiniętym żaglem kołysała się na fali,
Przycumowana sznurem do kołka na brzegu. W okienku kasjerki
Była spuszczona żaluzja i obie szatnie były zupełnie puste.
W biurze dyrekcji pływalni siedzieli dwaj siwi, opaleni
Mężczyźni i kobieta w żółtej sukni. Na stole stał duży wazon
Pełen tulipanów. Pomimo, iż było już ciemno nie zapalali świateł.
Trawa była coraz bardziej niewidoczna i z krzewów przy drodze
Pozostawały już tylko kontury. Wieczór mroczył nawet wodę
Na pływalni i całym jeziorze: Tak się dopełniał jego mrok.

XI

WPIS

Późno wieczorem tegoż dnia, w Bibliotece British Museum,
Gdy kamienne lwy pospuszczano z łańcuchów, aby czuwały
Przez noc nad bezpieczeństwem ksiąg i papirusów,
Uczeni zeszli po schodach stromych do najtajniejszego lochu
I wyciągnęli stamtąd Kronikę Lata i wpisali w nią ten dzień

Pełen słońca i pełen dopełnień, dzień wietrzny i promienisty,
W którym widziano dziwy na pływalni. Dodali jeszcze
W notach i przypisach, że to właśnie w nim urzeczywistnił się
Zaciąg, Rozbiór, Nakład, Opał, Przekąs, Rozpuk, Wpływ,
Zryw, Rozchód i Mrok. I gdy skończyli pisać i położyli
Z powrotem na półkę oprawną w złoto Kronikę Lata, rzekli,
Że w ten sposób dopełnił się wpis dnia tak słonecznego
I tak dziwnego, że na jego temat nie można już więcej opowiadać.

Bogumił ANDRZEJEWSKI

Obserwatorium

Izrael

W roku 1950 Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja podpisały umowę dotyczącą granic izraelsko-arabskich. Obowiązuje również deklaracja ONZ z roku 1957, która uznała cieśninę Tirańską — wiodącą do portów Eilat i Akaba — za otwarte wody międzynarodowe.

Nie może więc być wątpliwości kto jest agresorem i nie może być wątpliwości po czyjej stronie jest słuszność i prawo.

Prez. Nasser w jednym ze swych niedawnych przemówień oświadczył, że jego celem nie jest blokada lecz zniszczenie Izraela *(destruction of Israel)*. Celem palestyńskiej armii wyzwolenia, złożonej z uchodźców arabskich jest „wyzwolenie" Izraela od... Izraelczyków.

Himmler nie przypuszczał zapewne, że w ćwierć wieku po jego samobójczej śmierci znajdzie się dyktator, który podejmie jawnie program zniszczenia narodu żydowskiego. Program „zepchnięcia Izraelczyków do morza" — by użyć słów prez. Nassera.

Sympatie Polaków są oczywiście w całości po stronie Izraela. Nie dotyczy to rządu i partii PRL, które akceptują antysemicką i anty-izraelską politykę Związku Sowieckiego.

W chwili gdy piszemy te słowa armia Izraela odniosła druzgocące zwycięstwo militarne. Nasser był nie tylko agresorem lecz i „papierowym tygrysem". Jak słusznie zauważył izraelski szef sztabu — jest rzeczą tragiczną, że trzeba było bohaterskiej śmierci młodych żołnierzy izraelskich by udowodnić ten fakt.

Izrael dostarczył światu wspaniałego przykładu, że mały naród jest zdolny do odparcia przeważających sił agresora — jeżeli potrafi połączyć wysoki poziom technologiczny z umiłowaniem wolności i wolą walki w jej obronie.

Patrzymy z podziwem na znakomitego dowódcę gen. Moshe Dayana, zwycięzcę z wojen w roku 1956 i 1967. Generał Dayan z czarną opaską na lewym oku — jest dziś niewątpliwie najwybitniejszym strategiem wojny pustynnej.

Składamy hołd Izraelowi i cieszymy się, że wypadło Mu być „natchnieniem świata" w zwycięstwie — a nie jak nam, w klęsce.

BIBLIOTEKA "KULTURY"

GEORGE J. FLEMMING

TOM CXXXI

POLSKA MAŁO ZNANA

Str. 164. Cena 10 F. (dol. 2,25; 15/-)

TOM CXXXVII

CZYM TO SIĘ JE ?

CZYLI

DOBRE RADY DLA REEMIGRANTÓW I TURYSTÓW

Str. 132. Cena F 10 (15/-; dol. 2,25)

Archiwum polityczne

Wartości wyższego rzędu w polityce

Przed kilku tygodniami ukazał się w „Newsweek'u" artykuł Waltera Lippmanna pt. „Trzech Pragmatyków". W oryginalnym tytule słowo „pragmatist" ujęte jest w cudzysłowy.

Pragmatykami w cudzysłowach według Lippmanna są: Erhard, Prez. Johnson i prem. Wilson. Owym trzem przyziemnym politykom nestor publicystów amerykańskich przeciwstawia mężów stanu, których nikt nie pomawiał o pragmatyzm: Churchilla, Adenauera i de Gaulle.

Trzej wymienieni mężowie stanu reprezentowali nie-materialną wielkość i dlatego byli natchnieniem dla swoich narodów. Owego natchnienia, czy wizji wyższego rzędu nie są w stanie dostarczyć swym narodom ani prez. Johnson, ani Erhard, ani prem. Wilson.

W moim przekonaniu gen. de Gaulle umiał połączyć romantyzm z chłodnym pragmatyzmem. Gdyby nie był pragmatykiem nie byłby dziś tym, kim jest. Churchill, któremu nikt nie odmawia wielkości, również łączył w sobie romantyzm z pragmatyzmem. Churchill był uformowany w „legendarnej" epoce imperializmu brytyjskiego i brał czynny udział w wypadkach opisanych w „W Pustyni i w Puszczy" (bitwa pod Omdurmanem).

Adenauer był znakomitym zarządcą „niemieckiej masy upadłościowej" i głównym architektem Federalnej Republiki. Odrobił klęskę — co jest niezmiernie wiele — nie miał jednak wizji przyszłości.

Lecz niewątpliwie Lippmann, może nie w pełni świadomie — poruszył niejako ubocznie temat niezmiernej wagi, znacznie ważniejszy niż chęć poniżenia prez. Johnsona, co było głównym jego celem w omawianym artykule. Mam na myśli ową niematerialną wielkość i wizję — do której ma prawo każdy naród a nie tylko Amerykanie i Rosjanie.

Bertrand Russell w jednym z dawnych szkiców opisał swój dłuższy pobyt w rezerwacie amerykańskich Indian. Rezerwaty są w pewnej mierze autonomiczne — szeryfami są Indianie i mogłoby się wydawać, że czerwonoskórym powodzi się jak u Pana Boga za piecem. Mogą bowiem pielęgnować swe dawne tradycje i styl życia a równocześnie mają tuż pod ręką wszystkie zdobycze cywilizacji od aparatu radiowego po samochód.

80-letni Indianin rozważając z Russellem sytuację Indian wypowiedział następujący pogląd: „nie jest nam źle lecz... *there is no glory in it*" (nie ma w tym chwały).

Słowo *glory* oznacza chwałę, sławę, wielkość — to co Lippmann określa terminem *immaterial plus*. Innymi słowy jest to owa „niematerialna wartość dodatkowa" bez której każda polityka wydaje się przyziemna, filisterska i niezadawalająca.

Polacy wybaczyliby Gomułce wiele, nawet bardzo wiele — gdyby w jego polityce był choć cień *glory*. W tym wypadku nie chodzi o romantyzm jako antytezę realizmu i zdrowego rozsądku. *Immaterial plus* stanowi nie-materialny wyraz pozytywnego działania, stanowi docelową wizję, która w oczach danego narodu reprezentuje wartość wyższego rzędu.

Weźmy następujący przykład. Gdyby w Polsce budowano prawdziwy ustrój socjalistyczny — gdyby z każdym upływającym rokiem widoczny był postęp zarówno w sferze gospodarczej jak i ustrojowej — gdyby wolności przybywało a nie ubywało — gdyby zanikał wyzysk i niesprawiedliwość — gdyby naród reprezentował rząd wyłoniony z powszechnych wyborów — wówczas socjalizm mógłby być uznany przez większość obywateli za ową wartość wyższego rzędu, która produkcji materialnej nadaje głębszy sens i znamię wielkości.

Technokraci skłonni są identyfikować gospodarkę, administrację, planowanie — z polityką. W rzeczywistości jednak wysoki rozwój technologii i potencjału gospodarczego nie zastępują polityki, lecz przeciwnie, podkreślają niedorozwój myśli politycznej.

Willy Brandt powiedział, że Niemcy są gospodarczym gigantem i politycznym karłem. W tym jednym zdaniu ujęty jest cały problem Niemiec. Państwo potężne w sensie technologicznym i gospodarczym może nie mieć wykrystalizowanej koncepcji politycznej — nie oznacza to jednak, że gotowe jest akceptować status podrzędny. Nikt nie chce być politycznym karłem.

Sprawę komplikuje fakt, że Niemcy uważają, że są pozbawieni wszelkiej *glory* na skutek dyskryminacji.

Interesujące światło na ten problem rzuca szkic Dr. Theo Sommer'a pt. „The Objectives of Germany" w zbiorowej książce „A World of Nuclear Powers" (The American Assembly, Columbia University, 1966). Dr Sommer redaguje dział zagraniczny w „Die Zeit".

Jak wiadomo kanclerz Adenauer, jednostronną deklaracją z dnia 3. 10. 1954, zrezygnował imieniem NRF z produkowania na niemieckim terytorium broni atomowych, biologicznych i chemicznych. Dr Sommer komentuje powyższą deklarację w następujących słowach: „Niemiecka Republika Federalna kupiła bezpieczeństwo i status partnera za cenę uinstytucjonalizowanej obcej kontroli nad swym aparatem militarnym. Przegrawszy wojnę,

którą Niemcy rozpoczęli — NRF mogła odzyskać suwerenność tylko pod warunkiem zrzeczenia się jej części ponieważ sprzymierzeńcy Federalnej Republiki, choć pragnęli bezpieczeństwa dla Niemiec — pragnęli również zabezpieczenia przed Niemcami. Ceną, którą Niemcy miały zapłacić za swój nowy status była dyskryminacja zakamulowana integracją wojskową.

Dr Sommer twierdzi, że Niemcy cenią więcej integrację i jedność obozu zachodniego niż własne ambicje atomowe. Lecz jeżeli spoistość NATO — już dziś bardzo wątpliwa — ulegnie dalszemu rozluźnieniu, to co wtedy?

Problem, który staram się przeanalizować nie ma bezpośredniego związku z widmem Wersalu. Sytuacje są nieporównywalne. NRF w przeciwieństwie do Niemiec powersalskich — jest potęgą gospodarczą o bardzo wysokiej stopie życiowej.

Casus Niemiec nie jest odosobniony. Według zgodnych ocen specjalistów amerykańskich Japonia, w najbliższych dwóch dekadach stanie się trzecim najbogatszym krajem świata. Japonia jest również, podobnie jak Niemcy, politycznym karłem.

Zarówno Niemcy jak i Japonia są krajami, które przegrały wojnę. Tak w Niemczech jak i w Japonii wielkiemu potencjałowi przemysłowo-technologicznemu nie odpowiada proporcjonalny status polityczny.

Można przyjąć pogląd, że na statusie politycznym nikomu nic nie zależy jak długo w danym kraju panuje dobrobyt i ład społeczny. Doświadczenie historyczne poucza nas jednak, że tak nie jest. Narody walczyły przede wszystkim o status polityczny. Kolonie zamorskie dostarczały nie tylko surowców — lecz umożliwiały budowę imperium o światowym znaczeniu. Dziś główne eks-kolonialne mocarstwa europejskie szukają polityk zastępczych. Gen. de Gaulle poprzez sojusz z Niemcami, poprzez zachodnioeuropejskie formy wspólnoty gospodarczej — stara się przywrócić Francji blask wielkości.

Wielka Brytania złożyła w Brukseli oficjalną notę w sprawie przyjęcia do „wspólnego rynku" — powodowana analogicznymi motywami. Z chwilą gdy stało się oczywiste, że „Commonwealth" w jego nowej postaci nie spełnił pokładanych w nim nadziei — trzeba było szukać nowych dróg w celu uratowania Anglii przed klęską małości *(little England)*.

W perspektywie tradycyjnej polityki brytyjskiej wejście Anglii do „wspólnego rynku" stanowi posunięcie rewolucyjne. Sprawy gospodarcze i technologiczne odgrywają w tym kompleksie zagadnień ogromną, lecz nie decydującą rolę. Anglicy — w zgodzie z odwiecznym założeniem polityki brytyjskiej — nie chcą mieć po drugiej stronie Kanału zjednoczonej zachodniej Europy, dominowanej przez Francję. Ponieważ nie mogą przeszkodzić procesowi zjednoczenia — postanowili zachodniej kontynentalnej Europie zaoferować swe przywództwo. Nie ulega wątpliwości, że gdy Wielka Brytania zostanie przyjęta do „wspólnego rynku" w układzie sił zachodnioeuropejskiej wspólnoty nastąpią wielkie zmiany.

Tak czy inaczej, należy stwierdzić, że Francja i Anglia zdobyły się na zastępczą, nową politykę, której celem jest wyrównać straty poniesione w „statusach wielkości" obu mocarstw na skutek likwidacji kolonializmu.

Najtrudniej zaprojektować jest nową politykę dla Niemiec. Co Niemcy winni zrobić, by przestać być politycznym karłem? Sytuacja NRF jest niezmiernie trudna, ponieważ Niemcy w znacznym procencie są konserwatystami i tradycjonalistami a na tradycyjną „wielką" politykę niemiecką nie ma miejsca ani w Europie ani poza nią. Od wschodu blokuje Niemcy Rosja i państwa satelickie — od zachodu Francja i Anglia, które są równie przeciwne odrodzeniu się *glory* Niemiec jak Związek Sowiecki. Obserwując zmienne koleje sojuszu francusko-niemieckiego trudno oprzeć się wrażeniu, że Paryż wyznaczył Niemcom rolę „młodszego partnera". Wejście Anglii do „wspólnego rynku" może spowodować za 10 czy 15 lat odrodzenie się francusko-brytyjskiej „Entente Cordiale" — co w każdym wypadku i w każdym układzie byłoby kombinacją anty-niemiecką. Można uznać za pewne, że Londyn i Paryż nie dopuszczą w przyszłości do supremacji Niemiec w ramach zjednoczonej zachodniej Europy.

Tak oto wracamy do wizji, którą Franz Josef Strauss — ujął w następujących słowach: „Niemcy, które byłyby poddane ograniczeniom drugiego wojskowego Wersalu, Niemcy, trzecia gospodarcza potęga świata upokorzone pomiędzy Wschodem a Zachodem — takie Niemcy musiałyby czynić wrażenie koszmaru na wszystkich ludziach o zdrowym rozsądku. W oparciu o przeszłość można wnioskować, że w Niemczech tak potraktowanych zjawiłby się 'Führer', który obiecałby i prawdopodobnie dokonał atomowego uzbrojenia Niemiec".

Lecz tym razem to wszystko nie jest takie proste. Załóżmy, że w najbliższej dekadzie NATO ulegnie dalszemu rozwodnieniu, załóżmy dla przykładu, że „parasol" amerykański wyda się w przyszłości Niemcom niedostateczną gwarancją bezpieczeństwa. Gdyby projektowany układ o nierozpowszechnianiu broni nuklearnych spalił na panewce i Japonia, Indie czy Izrael przekształciły się w państwo atomowe — wówczas i Niemcy prawdopodobnie sięgnęłyby po bronie nuklearne. Lecz czy by je osiągnęły — to jest wielce wątpliwe.

W chwili obecnej „domowa" produkcja plutonium w Niemczech Zachodnich umożliwiałaby montaż 10 bomb atomowych rocznie. Powyższa cyfra mogłaby w łatwością ulec podwojeniu w okresie trzech lat. W najbliższych latach w Niemczech Zachodnich projektuje się budowę większych reaktorów — zdolnych do wydatnie zwiększonej produkcji („Capabilities of Non-Nuclear Powers", Leonard Beaton).

Niemcy Zachodnie mają znakomite warunki umożliwiające szybką budowę potencjału atomowego. Posiadają bazę technologiczno-przemysłową, instytucje naukowo-badawcze na najwyższym poziomie i pieniądze. Niemniej myślę, że łatwiej byłoby małemu Izraelowi uzbroić się atomowo niż potężnej Federalnej Republice.

Pomimo, że przemysł i badania nuklearne dla celów pokojowych w Niemczech zachodnich stoją bardzo wysoko — Niemcy potrzebowaliby dłuższego czasu do wyprodukowania pierwszych generacji operatywnych pocisków atomowych. Jest więcej niż prawdopodobne, że gdyby Niemcy podjęli program zbrojeń atomowych — Rosja unicestwiłaby te zamiary w zalążku błyskawiczną akcją prewencyjną. To nie jest moja prywatna opinia. Theo Sommer w cytowanej powyżej książce pisze, że „odpowiedzialne koła oficjalne w Bonn" oczekiwałyby w takiej sytuacji zajęcia przez Rosję Hamburga. Rosjanie oświadczyliby wówczas, że wycofają się z Hamburga jeżeli Niemcy porzucą program zbrojeń atomowych.

Wydaje się, że to jest trzeźwa i realistyczna ocena. „Atomowa Nadrenia" nie ma żadnej szansy powodzenia bo Rosja, w przeciwieństwie do Zachodu, nie zawahałaby się i podjęła na czas akcję prewencyjną.

20% Niemców nie zna słów hymnu narodowego. Tylko 47% cieszy się z widoku flagi narodowej, 63% stwierdza, że nie ma wartości w imię której byliby gotowi poświęcić życie. Tylko 1% Niemców w rubryce dotyczącej poświęcenia życia wpisał: „moja ojczyzna".

A oto odpowiedź na pytanie najbardziej charakterystyczne: „Czy wierzysz, że Niemcy będą jeszcze kiedyś jednym z najpotężniejszych państw świata?" W roku 1954 na powyższe pytanie 39% respondentów odpowiedziało pozytywnie. W roku 1964 na to samo pytanie odpowiedziało pozytywnie tylko 19% respondentów.

Można dwojako odczytywać powyższe odpowiedzi. Komentatorzy niemieccy przytaczają tego typu materiał statystyczny, by przekonać opinię na Zachodzie, że nacjonalizm niemiecki jest nie tylko martwy lecz i bez nadziei zmartwychwstania. Publicyści niemieccy przytaczają cytowane wskaźniki niejako z dumą — jako dowód pozytywnej i prawidłowej ewolucji.

Osobiście odczytuję owe wypowiedzi inaczej. Gdyby Niemiecka Republika Federalna nie była „karłem politycznym" lecz przeciwnie, posiadała nowy program odbiegający horyzontem i założeniami od poprzednich zaborczych koncepcji — wówczas można by twierdzić, że nacjonalizm ustąpił miejsca nowym ideom i zamierzeniom. Ponieważ jednak nie ma nowego programu ani nowej koncepcji politycznej — a tradycyjny rewizjonistyczny nacjonalizm sparaliżowany jest skutecznie 700 sowieckimi MRBM — powstała pustka, której wyrazem jest frustracja. Ilustracją owej frustracji jest zarówno przyrównanie NRF przez uprzędzającego ministra spraw zagranicznych do karła politycznego — jak i wypowiedzi ankietowe przytoczone powyżej. Z całą pewnością nie oznacza to ewolucji w prawidłowym kierunku — tym mniej nie oznacza sublimacji nacjonalistycznej polityki w ideał wyższego rzędu.

Drugim mocarstwem pokonanym w wyniku ostatniej wojny światowej była Japonia. „Cud gospodarczy" japoński przewyższa dokonania niemieckie. W pierwszym kwartale br. Japonia prześcignęła Niemcy w produkcji samochodów. Japonia przywodzi światu w budowie okrętów a w produkcji samochodów zajmuje drugie miejsce po Stanach Zjednoczonych.

Leonard Beaton wyraża pogląd, że Japonia wśród państw nieatomowych realizuje najbardziej ambitny program rakietowy. Ów program jest tak wysoko zaawansowany, że rzeczoznawcy zachodni wyrażają przypuszczenie, iż rząd japoński ma na oku militarne możliwości związane z tym programem. Lecz o Japonii można powiedzieć to samo co powiedział minister Brandt o NRF. Japonia jest gigantem przemysłowym i politycznym karłem.

Na Okinawa znajduje się jedna z najważniejszych nuklearnych baz amerykańskich. W połowie maja br. premier japoński Eisaku Sato wysunął żądanie zwrotu wysp Ryukyu. Wszystkie wyspy z wyjątkiem Okinawa powinny być zdaniem premiera Sato, zwrócone przez Amerykę Japonii. Prem. Sato podkreślił, że ludność Okinawy pragnie połączenia z Japonią — lecz doceniając strategiczne znaczenie bazy rząd w Tokio domaga się tylko przekazania szkolnictwa na Okinawa władzom japońskim. Tak Niemcy jak i Japonia podlegają pewnym dyskryminacjom datującym się z czasów bezwarunkowej kapitulacji i kupują swe bezpieczeństwo na warunkach podyktowanych przez Stany Zjednoczone.

Japonia jednak jest w niepomiernie korzystniejszej sytuacji niż Niemcy. *Non-poliferation treaty* — jeżeli nawet dojdzie do skutku — na terenach Azji będzie świstkiem papieru ponieważ Chiny owej konwencji nie podpiszą. Nie wierzę by szok atomowy spowodowany Hiroszimą miał trwać w Japonii dziesiątkami lat. Jeżeli Chiny rozbudują swój potencjał atomowy — Japonia za 10 czy 15 lat nie będzie miała innego wyjścia tylko przyjąć status mocarstwa nuklearnego. Japonii — w przeciwieństwie do Niemiec nie grozi wojna prewencyjna, a Waszyngton jeżeli wówczas będzie miał pełne zaufanie do japońskiego sojusznika — nie wyrazi sprzeciwu. Amerykanie na dalszą metę potrzebują w Azji nie marszałów Ky czy Czang-Kai-szeków, lecz nuklearnego mocarstwa sojuszniczego o statusie równorzędnego partnera. Dopóki bowiem Chiny są komunistyczne nie można wyłączyć dojścia do władzy w Pekinie frakcji pro-sowieckiej. Po śmierci Mao nie można wyłączyć czasowego zbliżenia do Moskwy, co umożliwiłoby Chinom wykorzystanie sowieckiego technologicznego *know-how*.

Byłoby tragedią — zarówno dla Japończyków jak i dla Amerykanów — gdyby Japonia zrezygnowała z prób przetłumaczenia swej potęgi gospodarczej i technologicznej na odpowiedni status polityczny. Asekurowanie się u Amerykanów jest niewspółmiernie tańsze niż budowa własnego potencjału siły. Oczywiście najwygodniej i najtaniej jest mieć amerykańską bazę atomową na jednej z wysp japońskich. Tego rodzaju układ umożliwia zaoszczędzenie gigantycznych sum, które zainwestowane w przemysł przynoszą proporcjonalne zyski. Japonia, po Hiroszimie, zależność od Stanów Zjednoczonych zdyskontowała gospodarczo. W porównaniu z astronomicznymi sumami, które na zbrojenia

wydatkowały w ostatnich 20 latach Stany Zjednoczone — Japonia na ten cel nie wydała nic, względnie prawie nic.

Nie jestem entuzjastą zbrojeń atomowych — sądzę jednak, że bronie nuklearne w rękach Japończyków byłyby najbezpieczniejsze. Nuklearna Japonia dawałaby gwarancję, że bomba atomowa nie zostanie użyta przez inne narody azjatyckie.

Choć powstrzymywanie Chin jest niezmiernej wagi — przedmiotem analizy w niniejszym artykule jest inny problem. Chciałem wykazać, że rozwój technologiczno-gospodarczy musi czemuś służyć. Ci, którzy sądzą, że konsumpcja, dobrobyt i bogactwo są celem samym w sobie — popełniają podstawowy błąd. Nawet pobieżna lektura prasy amerykańskiej musi przekonać każdego obserwatora, że Amerykanie — najpotężniejszy i najbogatszy naród świata szukają szczerze i często burzliwie polityczno-ideologiczno-moralnej nadbudowy, która nadawałaby głębszy sens owemu bogactwu i potędze. Wojna w Wietnamie wywołała dyskusję w skali narodowej na temat „wartości wyższego rzędu", ponieważ umiera się nie za dolary i nie dla dolarów, tylko za ojczyznę, która musi reprezentować coś więcej niż dolary.

Ponieważ aparat polityczny po obu stronach „żelaznej kurtyny" jest zrutynizowany i zbiurokratyzowany — zawodowi politycy podchodzą z lekceważeniem do tych zagadnień. Lecz nie oni idą na front i nie od nich wymaga się, by umierali z karabinem w ręku. Natomiast młody i naiwny Amerykanin walczący w Wietnamie jest przekonany, że broni demokracji i wolności a młody i naiwny partyzant Wiet-Kongu jest przekonany, że wyzwala swój kraj spod obcej przemocy. Gdyby ci młodzi ludzie nie wierzyli w swoje systemy „wartości wyższego rzędu" — nie strzelaliby do siebie. Nie jest winą tych młodych żołnierzy i partyzantów lecz jest winą polityków po obu stronach barykady, że ów zestaw wartości wyższego rzędu jest fikcyjny — ponieważ w południowym Wietnamie nie ma ani wolności ani demokracji, a wyzwolenie w wydaniu północnego Wietnamu nie byłoby wyzwoleniem.

Zawodowi politycy manipulują „wyższymi wartościami" w okresach kryzysów i wojen — ponieważ wiedzą z doświadczenia, że choć ludzie cenią dobrobyt nie są gotowi za niego umierać tym bardziej, że umierają zwykle ci, którzy owego dobrobytu mieli najmniej. Gdyby jutro wybuchła trzecia wojna światowa gen. Franco zaawansowałby na obrońcę wolności i demokracji a Gomułka na trybuna przedmurza najszlachetniejszego socjalizmu.

Pisze się o „kryzysie wartości", o „zmierzchu ideologii", o upadku życia religijnego i tp. W państwach komunistycznych piętnuje się „postawę konsumpcyjną", bezideowość i oportunizm.

W moim przekonaniu ludzie w przecięciu statystycznym nie są mniej ideowi dziś niż byli 50 lat temu. Natomiast dzięki ogromnemu wzrostowi oświaty i rozprzestrzenieniu się mediów komunikacji — ludzie stali się niewspółmiernie lepiej poinformowani i krytyczni. W konsekwencji, manipulowanie „wartościami wyższego rzędu", które nie mają pokrycia w faktach — napotyka dziś

na znacznie większe opory niż 50 lat temu. Nie ma żadnego kryzysu socjalistycznego czy filozoficznego — tylko nie wszystko co usiłuje się sprzedać ludziom jako socjalizm jest socjalizmem, i nie wszystko co usiłuje się sprzedać jako filozofię jest filozofią. Lecz w gruncie rzeczy odpadły tylko plewy nie ziarno. Alarm o kryzysie podnoszą przede wszystkim sprzedawcy plew, których to plew już nikt nie chce brać za ziarno.

Wszystkie ekskomuniki, pouczenia, procesy, więzienia — stosowane przez władze sowieckie w stosunku do pisarzy i intelektualistów — stanowią ilustrację powyższego procesu. Tylko niewielu ludzi na Zachodzie docenia wymiar i znaczenie tych zjawisk. Wybitny naukowiec i powieściopisarz angielski C. P. Snow powiedział niedawno w wywiadzie radiowym, że zazdrości pisarzom rosyjskim ich pozycji społecznej. Pisarze w Rosji — w przeciwieństwie do pisarzy na Zachodzie — wpływają bezpośrednio na politykę, na przemiany wewnętrzne i są nie tylko sumieniem narodu lecz i aktywną opozycją. Owa opozycyjność wykazuje często charakter rewolucyjny i zwrócona jest przeciwko klasie, którą Konstantin Paustowskij w odważnym przemówieniu w roku 1956 nazwał „sowiecką burżuazją".

O ile zawodowi politycy na Zachodzie nie doceniają na ogół znaczenia intelektualnego fermentu w Rosji — o tyle przywódcy sowieccy nie mają na ten temat złudzeń. Chruszczow w jednym ze swych przemówień przypomniał pisarzom i intelektualistom sowieckim o decydującej roli jaką odegrali ich węgierscy koledzy w rewolucji i w powstaniu w roku 1956.

Chruszczow miał rację. Łatwiej jest nie doceniać niż przecenić znaczenie intelektualnej rewolty w Związku Sowieckim. To zjawisko przybierać zaczyna charakter masowy. Swietlana Stalin — dzięki swemu nazwisku i nieprzeciętnej sylwetce — skupiła na sobie uwagę prasy zachodniej. Lecz Swietlana nie jest jedna. Rękopisy sowieckie sypią się jak z rękawa. We Włoszech zapowiedzianych jest około 15 nowych pozycji. Przywódcy sowieccy — w przeciwieństwie do Gomułki i Kliszki — dysponują półwiekowym doświadczeniem swojej partii i w pełni zdają sobie sprawę z faktu, że ideologię można „sprzedać" społeczeństwu tylko poprzez literaturę. Policją można ludzi zmusić (do czasu) — lecz tylko poprzez literaturę ludzi można przekonać i zjednać. I dlatego wybitnemu pisarzowi — dopóki nie przekroczy ruchomej linii opozycji — państwo oferuje wysoki status społeczny i wysoką stopę życiową. Nawet Pasternak umierał w luksusowej kolonii pisarzy w Pieredielkino pod Moskwą („The USSR" — F. C. Barghoorn).

Linia opozycji jest ruchoma, ponieważ przywódcy sowieccy sądzą, że opozycyjność pisarzy można częściowo rozbroić zwiększeniem marginesu swobody. Koncesje nie łagodzą fermentu lecz przeciwnie wzmagają falę naporu. Wówczas partia przykręca śrubę i wszystko zaczyna się od nowa. Ów potężniejący rytm przypływów i odpływów jaki obserwujemy od śmierci Stalina do-

wodzi, że fermentu nie da się już zdławić ani rozładować. Tym, którzy ów ferment oceniają jako burzę w literackiej szklance wody — warto może zacytować następującą wypowiedź Jewtuszenki: „Moja poezja stanowi jedynie wyraz nastrojów i idej nurtujących już w społeczeństwie sowieckim, których jednak do tej pory nie wyrażono wierszem (Evgeni Evtushenko „A Precocious Autobiography", New York, 1963).

◆

Jeszcze 50 lat temu rolę wartości wyższego rzędu w polityce spełniał niemal wyłącznie nacjonalizm. „Deutschland, Deutschland über alles", „Polska to wielka rzecz", „Rule Britania" — wyrażały postawę Europejczyków. Lecz nawet narodowym szowinistom nacjonalizm wydawał się treściowo ubogi i etycznie niedostateczny. Koncepcje tego typu jak „przedmurze chrześcijaństwa", „za wolność naszą i waszą", „obrona cywilizacji zachodniej", „misja białego człowieka" — miały przydać nacjonalizmowi wartości wyższego rzędu.

Faszyzm był nacjonalizmem podniesionym do najwyższej i jedynej normy działania politycznego. Komunizm (w teorii) stanowił antytezę faszyzmu — odrzucał bowiem nacjonalizm na rzecz ideologii uniwersalnej.

Faszyzm był barbarzyństwem — komunizm teoretyczny jest utopią. Gdzie więc należy szukać „wartości wyższego rzędu" w polityce?

Każdy naród ma prawo do samostanowienia w sensie państwowym, ustrojowym i kulturalnym na swoim etnicznym terytorium. Nacjonalizm nie może oznaczać niczego więcej — lecz nie może również oznaczać niczego mniej. Naród — podobnie jak jednostka ludzka — nie jest wyspą i jego wielkość mierzy się w ostatecznym rozrachunku przydatnością dla innych tzn. rolą jaką pełni w społeczności narodów. Polska niezależna i uładzona potrzebna jest Polakom — lecz jej znaczenie zależeć będzie od tego w jakim stopniu będzie potrzebna narodom, które utworzą kiedyś nowy system w Europie wschodniej.

Zharmonizowanie interesów narodowych z celami wyższego rzędu" w znacznie szerszym zakresie niż było to osiągalne w fałszowaniem tych ostatnich, by służyły za pokrywę nagiej polityce imperialistycznej.

Rozwój technologiczny umożliwia realizację „polityk wyższego rzędu" w znacznie szerszym zakresie niż było to osiągalne w przeszłości. Likwidacja głodu, chorób, ciemnoty oraz wypracowanie sprawiedliwych modeli społecznych, zapewniających dobrobyt i wolność setkom milionów ludzi — są dziś propozycją realną.

Frustracja, ferment, niepokój, bunt — które obserwujemy w różnych formach po obu stronach ideologicznej barykady — wskazują, że politycy współcześni nie umieli do tej pory zaprojektować „nadbudowy" która by nadawała postępowi technicznemu wymiar ogólnoludzki a tym samym stanowiła gwarancję, że

ów apokaliptyczny potencjał nie obróci się przeciwko nam. „Człowiek na ulicy" wyczuwa lepiej niż biurokraci, którzy nim rządzą, że doszliśmy do punktu w którym podstawowym warunkiem przetrwania jest zastąpienie „drętwej mowy" z ambon i z politbiur — autentyczną moralnością. Ludzie stali się zbyt potężni, by mogli, jak dawniej, uprawiać bezpiecznie polityki a-moralne.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

ANALOGIE JUGOSŁOWIAŃSKO-SOWIECKIE

W maju b. roku prez. Tito ukończył 75 lat. Churchill, Adenauer, de Gaulle, prez. Zaleski — oswoili nas z nieśmiertelnością przywódców z okresu drugiej wojny światowej. Lecz — jak mawiał Stalin — prawa biologiczne są niezmienne. W owym czasie władca wszech-Sowietów na swojego następcę typował Mołotowa. Biologicznie Mołotow nie zawiódł pokładanych w nim nadziei, gdyż przekroczył już 77 rok życia. Następcą Stalina jednak nie został.

Kto zastąpi prez. Tito w chwili gdy go zabraknie?

Ilija Jukic w artykule pt. „Tito's last Battle" wyraził pogląd, że Tito — podobnie jak przed nim cesarz Franciszek Józef — jest nie do zastąpienia. Prez. Tito odbył niedawno nostalgiczną podróż do Wiednia gdzie do jego niezliczonych orderów dodano cesarski austriacki medal. Tito zdobył ów medal jako żołnierz K.u.K. armii austriacko-węgierskiej w czasie pierwszej wojny światowej lecz nie zdążył go zainkasować. Romantyczny epizod, jakże typowy dla naddunajskiej stolicy.

Franciszek Józef żył tak długo i panował tak długo, że nikt z jego poddanych nie wyobrażał sobie, że może być kiedyś inaczej. Analogiczną unią personalną jest współczesna Jugosławia. Wszystko i wszystkich jednoczy Tito.

Jugosławia, którą właściwie nikt się poważnie nie zajmuje ani w Kraju ani na emigracji — jest interesująca z dwóch przyczyn. Po pierwsze stanowi główne pole starcia doktryny komunistycznej z problemem narodowościowym. Po drugie — jest jedynym państwem komunistycznym finansowanym w znacznej mierze nie przez Rosję tylko przez Stany Zjednoczone.

„Wielka nowa gospodarcza reforma jugosłowiańska" została uchwalona 25 lipca 1965 r. Lecz już rok przedtem reprezentanci IMF *(International Monetary Fund)* przewidując nadchodzący kryzys — podjęli dyskusję z ekspertami jugosłowiańskimi. Delegaci IMF stwierdzili, że rząd jugosłowiański nie dotrzymał przyrzeczeń, złożonych w okresie otrzymania pierwszej pożycz-

ki stabilizacyjnej. Nie obalił systemu subsydiowania eksportu i nie zlikwidował ograniczeń importu — co wraz z reformą walutową winno było być dokonane w obrębie 4 lat. Powyższe reformy miały umożliwić pełne członkostwo Jugosławii w GATT — oraz stworzyć ramy, konieczne do ściślejszej współpracy gospodarczej z państwami Zachodu. Delegaci IMF domagali się realizacji reform przyobiecanych w roku 1960 i od spełnienia tego postulatu uzależnili nie tylko nową pożyczkę, lecz również upłynnienie 60 milionów dolarów, którą to kwotę IMF zatrzymał, ponieważ Jugosławia nie dotrzymała swych reformatorskich obietnic.

Komitet Centralny dyskutował te sprawy niemal przez rok. Skrzydło konserwatywne zwalczało zażarcie warunki wysunięte przez IMF — głosząc, że delegaci IMF domagają się *de facto* „wyrzucenia marksizmu za burtę". Konserwatyści tym samym argumentem zniweczyli program reform w roku 1961.

W pierwszych miesiącach 1965 r. stało się jasne, że Jugosławia nie otrzyma wydatniejszej pomocy od Sowietów. Wówczas Tito zdecydował się na osobistą interwencję w KC i zdołał przekonać opozycję, że przyjęcie warunków IMF jest jedynym wyjściem z katastrofalnego kryzysu.

Reformy uchwalone 25 lipca 1965 są niewątpliwie najbardziej radykalną rewizją podjętą przez państwo komunistyczne. 22 sierpnia 1965 Jugosławia została pełnoprawnym członkiem GATT.

Powyżej przytoczone dane faktyczne zaczerpnąłem z cytowanego artykułu Ilija Jukic'a. Natomiast analiza i komentarze są moje i p. Jukic nie ponosi za nie odpowiedzialności.

W tej notatce nie interesują nas sprawy gospodarcze ale polityczne. Otóż, z politycznego punktu widzenia należy stwierdzić, że inicjatorami przemian gospodarczych w Jugosławii są — w znacznej mierze — Amerykanie. Dolar w tym wypadku okazał się motorem postępu i ewolucji. (W nawiasach warto może dodać, że w okresie 20 lat swego istnienia tzn. do roku 1965 Jugosławia otrzymała pomoc wyrażającą się sumą 5 miliardów dolarów).

Sprawa w gruncie rzeczy jest jasna i prosta. Współpracować z sobą owocnie na polu gospodarczym mogą państwa o różnych systemach lecz nie o sprzecznych systemach. Dopasowuje się zawsze słabszy do mocniejszego — nie odwrotnie. Warunki może wysuwać Ameryka a nie Jugosławia — ponieważ nie Ameryka tylko Jugosławia potrzebuje pomocy gospodarczej.

Amerykanów nie interesują zasady i dogmaty ideologiczne tylko wydajność, sprawność i rentowność gospodarcza. Dogmaty i teorie marksistowskie, które są nie do pogodzenia z powyższymi wymogami muszą być „wyrzucone za burtę".

Przeciwnicy ewolucjonizmu powinni dokładnie przestudiować casus jugosłowiański. W ramach zjednoczonej Europy mocarstwa zachodnie a w szczególności Ameryka — będą mogły powtórzyć „operację jugosłowiańską" w stosunku do państw wschodnio-europejskich.

Na benefis naszych czytelników-aparatczyków, którzy w każdym posunięciu Waszyngtonu dopatrują się machinacji CIA — należy jeszcze raz z naciskiem podkreślić, że eksperci IMF nie są, i nigdy nie byli, krzyżowcami antykomunizmu. Ci panowie nie planują w Jugosławii, czy gdzie indziej, kontrrewolucji i przewrotów — dbają natomiast o to, by miliony dolarów, które inwestują w formie pożyczek i pomocy, nie przepadły lecz

przeciwnie — przynosiły dochód. Reformy gospodarcze interesują zachodnich ekspertów wyłącznie z punktu widzenia uzdrowienia ekonomii danego państwa — a jeżeli przy tej okazji kilka dogmatów marksistowskich trzeba wyrzucić na śmietnik — stanowi to efekt uboczny procesu rehabilitacji.

Państwa komunistyczne wschodnio-europejskie mogłyby uniknąć „drogi jugosłowiańskiej" tylko za cenę autarkii gospodarczej. Autarkia nie jest propozycją realną nawet dla Związku Sowieckiego a cóż dopiero mówić o Polsce czy Czechosłowacji. Scalenie Europy nie wyrazi się ujednoliceniem ustrojów, lecz przybierze formę ściślejszej niż dotychczas współpracy gospodarczej. Wyrównanie poziomów w stopie życiowej pomiędzy wschodnią a zachodnią Europą — wymagałoby wielkich inwestycji twardo-walutowych, które pociągnęłyby za sobą w krajach wschodnio-europejskich ten sam cykl reform gospodarczych jakie obserwujemy w Jugosławii.

Jugosławia jest państwem wielonarodowym. Procentowo ów problem przedstawia się następująco: Serbowie 42%, Chorwaci 23%, Słoweńcy 9%, Macedończycy 5%, Czarnogórcy 3%. Albańczycy, Węgrzy, Turcy, Słowacy — stanowią mniejszości narodowe, które wynoszą łącznie 18%.

Ósmy Kongres Ligi Komunistów potępił politykę integracji narodów Jugosławii w jeden naród jugosłowiański. Tito podkreślił wówczas, że nie należy identyfikować idei jedności z koncepcją integracji. Jugosławia nie jest Ameryką i teoria *melting pot* nie może być zastosowana na tym terenie.

Bakaric w swym przemówieniu w Sarajewie w dniu 6. 5. 66. stwierdził, że partia błędnie wnioskowała, że socjalizm automatycznie rozwiąże problem narodowościowy.

W państwie typu Jugosławii istnieją dwa kryteria oceny: federalny i narodowy. Z punktu widzenia federalnego może się lepiej opłaca finansowanie danego przemysłu w jednej republice niż w dwóch czy trzech. Z drugiej strony, pieniądze do skarbu federalnego wpływają z wszystkich republik i trudno dziwić się — powiedzmy dla przykładu, Chorwatom, że nie mają ochoty ze swoich pieniędzy finansować przemysłu w Macedonii.

W Jugosławii decentralizacji nie wymyślił żaden rewizjonista — lecz jest ona naturalnym wyrazem nacjonalizmu poszczególnych narodów. Decentralizacja w życiu gospodarczym jest problemem trudnym lecz do rozwiązania. Natomiast decentralizacja w sferze politycznej jest propozycją rewolucyjną.

Marksista, który uważa się za leninistę, musi odrzucić decentralizację jako niezgodną z doktryną. Lenin uważał, że centralna władza partyjno-polityczna jest nieodzownym warunkiem budowy socjalizmu.

Decentralizacja byłaby do osiągnięcia tylko poprzez oddzielenie ideologii od władzy. Reformatorzy jugosłowiańscy wysuwają podobną tezę domagając się — by partia ograniczyła się do przywództwa ideologicznego pozostawiając faktyczną władzę w rękach rządów poszczególnych republik.

W „Prawdzie" z dnia 20 lutego br. — pomysły jugosłowiańskie poddano ostrej krytyce. „Prawda" podkreśliła z naciskiem, że masy robotnicze potrzebują politycznego przywódcy i silnej, zjednoczonej partii komunistycznej. Ograniczenie działalności partii wyłącznie do spraw ideologicznych byłoby równoznaczne z „laisser-faire'yzmem" w dziedzinie rozwoju społecznego.

W „Podstawach Marksizmu Leninizmu" (przekład z rosyjskiego, „Książka i Wiedza" 1960), czytamy na stronie 976 co następuje: „Rozwój demo-

kracji socjalistycznej to jednocześnie proces przygotowywania warunków obumierania państwa".

Dżilas odwrócił powyższą teorię występując z tezą „obumierania partii".

Według rosyjskich teoretyków, państwo zacznie zanikać w okresie pełnego komunizmu — gdy wszyscy obywatele będą zdyscyplinowanymi i przekonanymi członkami partii. Wówczas stosowanie przymusu administracyjnego okaże się niepotrzebne — ponieważ każdemu obywatelowi jego sumienie komunistyczne będzie wskazywało właściwą drogę postępowania. Innymi słowy, warunkiem „obumarcia państwa" jest totalny triumf partii jako centralnej i jedynej regulatorki życia od kolebki do grobu.

Rosjanie obserwują z niepokojem ewolucję Jugosławii — ponieważ Związek Sowiecki jest również państwem wielonarodowym. Gdyby po śmierci Marszałka Tito — Jugosławia przekształciła się w konfederację niezależnych republik — wywarłoby to niewątpliwie wpływ na postawę nie-rosyjskich narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego.

Lecz jeszcze raz należy podkreślić, że idei decentralizacji nie wymyślił w Jugosławii żaden rewizjonistyczny teoretyk. Napór narodowościowy i niemożność pogodzenia interesów narodowych poszczególnych republik z centralistyczną polityką (i władzą) Belgradu, stanowią fundamentalną przyczynę szukania rozwiązań po linii decentralizacji.

Rankowic uniknął procesu — ponieważ Tito nie chciał wyświęcić go na męczennika sprawy serbskiej. Każdy problem w Jugosławii posiada tło narodowościowe.

Rosjanie z całą pewnością nie zdecentralizują aparatu władzy w Związku Sowieckim. Ryzykuję pogląd, że większość nawet liberalnie myślących Rosjan uważa, że Kijów powinien być podporządkowany Moskwie. Rosjanie są imperialistycznym narodem i silna władza centralna — czy to w wydaniu carskim czy leninowskim — stanowi charakterystyczną cechę imperialistycznych dążeń rosyjskich.

Rosjan w proporcji do innych narodowości jest tylko o 8% więcej w Związku Sowieckim niż Serbów w Jugosławii. Ukraińców jest 41,9 milionów. Wszystkie inne republiki (z wyjątkiem Rosyjskiej SRR) liczą poniżej 10 milionów mieszkańców. Kazachska SRR liczy 9,3 milionów, Białoruska 8,1 i Uzbecka 8,1 milionów mieszkańców. Gruzinów jest 4 miliony — a wszystkie inne narodowości, których tu nie wymieniam — liczą poniżej 4 milionów.

Wydaje się oczywiste, że przebudowa Związku Sowieckiego w konfederację niezależnych republik — musiałaby się zacząć od Ukrainy — ponieważ Ukraińcy są potężnym, niemal 42 milionowym narodem. Jeżeli Ukraińcy nie domagają się choćby tych praw, które przysługują Ukrainie na mocy konstytucji — trudno wymagać by o owe prawa dobijali się Gruzini, których jest nie 40 milionów lecz tylko 4 miliony.

Gdy Rankowic zmierzał do zajęcia stanowiska Tity — Kardelj w czasie posiedzenia KC oświadczył co następuje: „Jestem upoważniony do stwierdzenia, że o ile Tito nie pozostanie na czele naszej partii i państwa — Słowenia, na mocy przysługującego jej konstytucyjnie prawa, wystąpi z jugosłowiańskiej federacji". Bakaric złożył wówczas identyczną deklarację imieniem Chorwacji.

Słoweńcy stanowią zaledwie 9% ogółu Jugosłowian, natomiast Ukraińcy

stanowią przeszło 20% ogółu ludności ZSSR. Jednak jest nie do pomyślenia by komunistyczny przywódca ukraiński zdobył się w kryzysowej sytuacji na wystąpienie w stylu Kardelj'ego. Dlaczego?

19 maja br. szef KGB Władimir Semiczastny został usunięty ze swego stanowiska. Usunięcie szefa NKWD (dziś KGB) wiązano na Zachodzie ze sprawą Swietlany Stalin, z odkryciem przez władze włoskie wielkiej sowieckiej sieci szpiegowskiej, i td.

24 maja br. p. Semiczastny został mianowany pierwszym wice-premierem Ukrainy. Czego można oczekiwać po Ukraińcach typu p. Semiczastnego? Należy uznać za pewne, że Semiczastny i jemu podobni — czują się solidarni nie z narodem ukraińskim, tylko z biurokracją sowiecką.

Istota zagadnienia polega na tym, że tak w Jugosławii jak i w Sowietach o konstytucyjne uprawnienia republik związkowych skutecznie walczyć mogą tylko komuniści. O ile jednak w Jugosławii komuniści myślą na ogół kategoriami narodowościowymi — o tyle w Rosji, przywódcy komunistyczni ulegają sowietyzacji. Na kim ma się opierać p. Semiczastny? Jako były szef KGB, oraz członek sowieckiej klasy rządzącej — większość społeczeństwa ukraińskiego ma przeciwko sobie. Mimo, że jest wice-premierem Ukrainy — całą swą polityczną siłę i poparcie czerpie z Moskwy a nie z Kijowa. Oczywiście tacy dygnitarze ukraińscy nie będą podejmowali walki o konstytucyjne uprawnienia przysługujące republice ukraińskiej.

Interesujący nas problem można rozpatrywać z dwóch różnych perspektyw. Można przyjąć założenie, że komunizm jest nie do pogodzenia z nacjonalizmem i że kiedyś w „sprzyjających warunkach" naród ukraiński powstanie zbrojnie i wywalczy swą niepodległość.

Wariant ewolucyjny, który na dalszą metę wydaje mi się znacznie bardziej realny — musiałby znaleźć odpowiedź na sowietyzację. Przez „sowietyzację" w tym kontekście rozumiem wspólnotę interesów klasy rządzącej i ogólno-państwową solidarność członków aparatu władzy. Semiczastny jest bardziej sowiecki niż ukraiński — ponieważ nie popierają go Ukraińcy tylko władze sowieckie.

Sowietyzacji można by przeciwstawić tylko komunizm narodowy. W dalszej perspektywie unarodowienie komunizmu pociągnęłoby za sobą stopniową decentralizację, która jest podstawowym warunkiem przebudowy Związku Sowieckiego.

Nacjonalizm musi działać w określonych warunkach i poprzez dostępne środki. Tak postępowali Polacy w Austrii z Piłsudskim włącznie. Unarodowienie komunizmu, które poza ramami Związku Sowieckiego czyni znaczne postępy — wydaje mi się tak w stosunku do Ukrainy jak i innych sowieckich republik — propozycją znacznie bardziej realną niż tworzenie podziemnych, niepodległościowych organizacji.

Poczucie narodowe przyrównać można do luźno rozsypanego prochu. Proch strzelniczy luźno rozsypany nie ma żadnej siły. Ten sam proch ujęty w ramy stalowego pancerza przemienia się w pocisk.

W Związku Sowieckim istnieją żywe nacjonalizmy — lecz to jest luźny proch, któremu brak jest formy. Jeżeli w danym okresie nie ma możliwości tworzenia własnych form organizacyjnych — trzeba posługiwać się tymi formami, które są dostępne. Tę metodę stosowało wiele ruchów narodowych w przeszłości, często z wielkim sukcesem.

GERWAZY CONTRA MARKS

Czytałem w prasie angielskiej, że opinia publiczna przechyla się w stronę konserwatystów, ponieważ ci ostatni odnieśli druzgocące zwycięstwo w wyborach samorządowych.

Chruszczow w jednym ze swoich ko-egzystencyjnych przemówień oświadczył, że komuniści w krajach demokratycznych mogą dojść do władzy poprzez zdobycie większości w parlamencie. Z teoretycznego punktu widzenia to jest propozycja całkowicie logiczna. Gdyby w następnych wyborach 80% Brytyjczyków głosowało na partię komunistyczną — komuniści dysponowaliby w parlamencie zdecydowaną większością

Komunistów, jak wiadomo, nikt nie chce. Lecz dlaczego ludzie chcą mieć rządy konserwatywne? W oparciu o zdrowy, chłopski rozsądek należałoby wnioskować, że w Wielkiej Brytanii robotnicy i ludzie pracy stanowią większość zarówno społeczną jak i wyborczą. Lordów, arystokratów, właścicieli ziemskich — wielkich kapitalistów jest stosunkowo niewielu... i coraz mniej. Natomiast w wyborach powszechnych dość często pada niemal identyczna ilość głosów na konserwatystów jak na socjalistów. W poprzednim parlamencie premier Wilson dysponował większością trzech czy czterech głosów. Jak to się dzieje?

Wbrew wszystkim kanonom marksizmu musimy uznać za bezsporny fakt, że podział klasowy nie pokrywa się w Wielkiej Brytanii z podziałem wyborczym a tym samym i politycznym. Gdyby bowiem klasa robotnicza i ludzie pracy głosowali nieodmiennie na socjalistów — Anglia od 50 lat nie miałaby ani jednego rządu konserwatywnego.

Powyższej problematyce poświęcone jest interesujące studium pt. „The Working Class Tories" Erica A. Nordlingera. Okazuje się, że w Anglii w każdych wyborach mniej więcej jedna trzecia klasy robotniczej głosuje na konserwatystów. Robotnicy-konserwatyści stanowią specjalne i raczej kłopotliwe zagadnienie tak dla socjalistów jak i dla konserwatystów. Socjaliści uważają konserwatystów-robotników za „zbłąkane owieczki" — natomiast Torysi nie bardzo wiedzą co z tym fantem należy zrobić.

Co skłania tak znaczny procent klasy robotniczej do głosowania na konserwatystów? Robotnicy-konserwatyści myślą kategoriami hierarchizmu społecznego. W ich mniemaniu należy głosować nie na równych sobie, lecz na lepszych od siebie. Należy głosować na ludzi lepiej wykształconych, z większym doświadczeniem administracyjnym — jednym słowem, należy głosować na kandydatów lepiej przygotowanych do sprawowania rządów niż kandydaci z klasy robotniczej.

Posłuchajcie:

„Owszem, zawołał Klucznik, u mnie po staremu,
O wielkich rzeczach myśleć należy wielkiemu;
Jest na to cesarz, będzie król, senat, posłowie,
Takie rzeczy, Mopanku, robią się w Krakowie
Lub w Warszawie, nie u nas w zaścianku, w Dobrzynie".

To jest klasyczny przykład filozofii hierarchiczno-konserwatywnej. O wielkich rzeczach należy myśleć wielkiemu a nie robotnikowi na East-Endzie. Za tą filozofią kryje się przekonanie, że tylko konserwatywny rząd dysponuje autorytetem niezbędnym do sprawnego i wydajnego administrowania krajem. Akcent spoczywa na słowie „autorytet". Robotnicy-konserwatyści opowiadają się za silnym rządem *(firm government)*. Tylko rząd, który cieszy się autorytetem może być silny i zdecydowany.

Skąd bierze się autorytet? Autorytet w znacznej mierze jest produktem tradycji. Ponieważ rządów konserwatywnych było w Anglii niepomiernie więcej niż rządów socjalistycznych — w oczach ludzi nastrojonych tradycyjnie i hierarchicznie — przywódca konserwatywny cieszy się większym autorytetem niż polityk socjalistyczny.

Ludzi tego typu nie przekona ani Harold Wilson ani Karol Marks — natomiast zdobyć ich można konserwatyzmem. Gdyby w okresie najbliższych dwudziestu lat socjaliści sprawowali nieprzerwanie rządy — wówczas Labour Party nabrałaby tradycyjnej patyny i w konsekwencji stałaby się uosobieniem hierarchicznego autorytetu. Wtedy naturalni konserwatyści, jakimi są niewątpliwie robotnicy-torysi — zaczęliby głosować na Labour Party.

GOMBROWICZ NA WIELKIM ŚWIECIE

W „Newsweek'u" z 29. 5. br. ukazała się recenzja z amerykańskiego wydania „Ferdydurke" i „Pornografii". Autor cytowanej recenzji — Howard Junker uważa Gombrowicza za „najwybitniejszego polskiego pisarza współcześnie tworzącego".

„Newsweek" zamieścił fotografię Gombrowicza, a Junker skreślił literacki rodowód autora „Kosmosu" — stawiając go na równi z Proustem i Kafką. Równocześnie Howard Junker ujawnił, że wkrótce ukażą się wszystkie dzieła Gombrowicza w wydaniu amerykańskim, nakładem Grove Press.

Tak oto zaprezentowany zostanie największemu rynkowi czytelniczemu świata „największy z nieznanych" — jak kiedyś Gombrowicza określił „L'Express".

Co by się stało z Gombrowiczem gdyby nie wyjechał z Polski w roku 1939? Zakładając, że nie zamordowaliby go w Oświęcimiu czy w Katyniu — myślę, że podzieliłby losy Witkacego. Odkryto by go w 40 lat po śmierci. Zbędne dodawać, że owa śmierć i poprzedzające ją życie — dokonałyby się w mało komfortowych warunkach.

Polaków — z pewnymi wyjątkami — sukces Gombrowicza nie cieszy tak, jak powinien. Nasi krytycy literaccy i humaniści uważają, że trzeba być bardziej zachodnim niż Zachód, by godnie reprezentować polską zachodniość na Zachodzie. Naszą misją jest uczyć Zachód zachodniości — zwłaszcza dziś, gdy fascynacja literaturą rosyjską przybiera niepokojące rozmiary.

Faktem natomiast jest, że nasza zachodniość na Zachodzie nikogo nie interesuje — ponieważ to jest towar z drugiej ręki. Ludzi Zachodu interesuje obcość — czerpiąca siłę i blask z nieznanego źródła. Owe źródło nie oznaczone na mapie Zachodu — stanowi posag Gombrowicza wniesiony do literatury światowej.

LONDYŃCZYK

Kraj

Konfrontacje

Wypadki tak szybko biegły jedne za drugimi, że dopiero teraz drzemiąc w pociągu, który wlókł się przez Niemcy, doszło do mnie, że oto jadę do Polski po 26 latach niebytności.

Ileż to razy w czasie wojny powtarzał się w kółko sen powrotu do Polski. Śniła się strzelanina, błoto lub kurz, warkot motorów, zapach benzyny, wybuchy pocisków armatnich i smak słonego brudu na wargach.

Czasami sen przybierał nieco inną formę. Ciało ciasno opięte pasami spadochronowymi, denerwujący, przewlekły przelot i wreszcie zielone światło w samolocie i komenda padająca po raz ostatni: „Action station! Go!". A potem wycie powietrza w uszach, szarpnięcie, rozbujany spadochron, widok polskiego krajobrazu i smugi pocisków przelatujących obok.

Wszystkie sny kończyły się zwycięstwem, mszą polową i defiladą z okrzykami, kwiatami i roześmianymi twarzami dziewcząt. Potem nadszedł czas kiedy sny tego rodzaju należało systematycznie wypleniać jako szkodliwe mrzonki, które nie miały się już spełnić.

A teraz po dwudziestu kilku latach nikt już nie będzie strzelał, nikt nie będzie rzucał kwiatów i rozwierał ramion, bo i cóż to może kogoś obchodzić, że przyjeżdża jakiś czterdziestoparoletni pan z brytyjskim paszportem w kieszeni.

Ospale otworzyłem oczy. Za oknem brzydkie widoki północnych Niemiec, a na przeciwko para Polaków wracających z urlopu w Holandii. On profesor uniwersytetu, a ona taka typowa Warszawianka. Skoro tylko wsiedli do pociągu wyciągnęli kanapki i jajka na twardo (te jajka na twardo prześladowały mnie w przedwojennych podróżach) i zaczęli zajadać. Czyżby Holendrzy nie dali im śniadania — myślałem sobie. Dopiero potem, już w Polsce, zdałem sobie sprawę z tego, że Polacy najadają się na zapas. Nic więc dziwnego, że moi towarzysze podróży z miejsca przystąpili do konsumowania holenderskich zapasów.

Rozmowa z tą parą wracającą do Warszawy była bezbarwna, oni byli nieco ostrożni, a ja też nie miałem powodu do wywnętrzania się. Pan Leon, tak mu było na imię, miał wystudiowany, uległy uśmieszek. Gdzieś już przedtem widziałem taki uśmieszek, który nazwałem kolaboranckim. Tak, to był jeden ze znanych pisarzy krajowych. Tak samo się uśmiechał służalczo i we wszystkich dziedzinach polskiego życia dopatrywał się jakichś dodatnich stron.

Rozmowa z panem Leonem zeszła na zeszłoroczne odmawianie wiz. Wyraziłem zdanie, że Polska ludowa przez te zarządzenia straciła cenne dla siebie dewizy,na brak których nie tak dawno narzekał Gomułka w publicznym przemówieniu. Pan Leon zaczął wyjaśniać:

— Widzi pan, jednak to zarządzenie było słuszne do pewnego stopnia. Przecież nie ma warunków mieszkaniowych i sanitarnych do przyjęcia 35 kardynałów i kilku tysięcy zagranicznych gości przyzwyczajonych do wygód. Mogłaby wybuchnąć jakaś epidemia, a to zrobiłoby Polsce bardzo złą reklamę. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę, że Częstochowa to maleńka, zaniedbana mieścina, którą nie należy zbytnio się chwalić.

W tym miejscu wtrąciła się pani Leonowa:

— Ależ Leosiu, po co opowiadasz Panu takie banialuki, a nie powiesz prawdy. Przecież dobrze wiesz, że Moskwa zakazała im wpuścić kardynałów i pielgrzymów.

(O łatwości zwalania winy na Moskwę będzie jeszcze mowa).

Rozmowa urwała się i znowu pogrążyłem się w drzemkę. Zacząłem zastanawiać się jak to spotkanie z Polską ułoży się? Gdzie i kiedy będą te sentymentalne momenty, które powodują ściskanie w gardle? Czy będę musiał i do jakiego stopnia zmienić swoje dotychczasowe zdanie o polskiej rzeczywistości? Miałem zamiar trzymać oczy i uszy otwarte i nie zaślepiać się ani sentymentalizmem, ani też tym co oni nazwaliby reakcyjnością. Wiedziałem już, że rodacy kategorycznie odmawiają emigrantom prawa krytyki obecnej polskiej rzeczywistości. Postanowiłem więc nie narzucać się ze swoją opinią.

Wschodnie Niemcy sprawiają przygnębiające wrażenie. Zasieki drutów, przegniłe słupy telefoniczne, pustka przy granicy, a dalej ludzie pracujący zawzięcie w prywatnych ogródkach, jakby ich całe bytowanie od tego zależało. Odrapane domy i patrole milicji kręcące się bez końca po pociągu.

Wrzaskliwi Niemcy wysypali się z pociągu w zachodnim Ber-

linie. W naszym wagonie pozostali tylko państwo Leonostwo i ja. W takim stanie pociąg wtoczył się na Friedrichstrasse Bahnhof. Na platformie (przepraszam, już w Polsce ktoś mnie poprawił: — Nie na platformie, a na peronie, proszę Pana) panowała kompletna pustka. Według rozkładu posiadanego przeze mnie należało przesiadać dopiero na Ost Berlin Bahnhof, ale pan Leon podejrzewał, że trzeba wysiąść na Friedrichstrasse i przejechać U-bahn na Ost-Berlin Bahnhof. Wyszliśmy więc na peron, żeby zasięgnąć języka, dookoła panowała pustka. Dopiero w odległości paru wagonów napotkaliśmy wschodnio-niemieckich kolejarzy, którzy wyjaśnili, że należy tym pociągiem jechać do Ost-Berlin i tam przesiąść na pociąg „nach Warschau".

Wracaliśmy uspokojeni. Ja wszedłem do wagonu pierwszy i zobaczyłem, że dwóch milicjantów trzyma panią Leonową pod ręce. Na nasz widok pani Leonowa krzyknęła przeraźliwie, a milicjanci odskoczyli od niej i zażądali od nas paszporty upominając, że nie mamy prawa wychodzić na peron. Pani Leonowa była zupełnie roztrzęsiona, wypominała mężowi, że zawsze naraża ją na nieprzyjemności, a tym razem zostawił ją samą paszport zabierając ze sobą i przeklinała Wschodnich Niemców, którzy udają przyjaciół, a w rzeczywistości wsadziliby Polaków do komór gazowych przy pierwszej sposobności.

Wreszcie pociąg ruszył i wlokąc się przez ponury Wschodni Berlin dotarł na koniec do Ost Berlin Bahnhof. Ściągnęliśmy swoje walizki kierując się do drzwi. Okazało się jednak, że wszystkie drzwi są zamknięte na klucz, żadne okno nie otwiera się w tym wagonie, a lufciki są stanowczo za małe. Moi współtowarzysze podróży byli przerażeni, zbledli i nie mogli wykrztusić słowa. Gdybym mieszkał w Polsce z pewnością zareagowałbym tak samo, z pewnością opanowałby mnie strach. Ale 20 lat mieszkania na Zachodzie robi swoje, wpaja spokój i wiarę, że przeciętnemu śmiertelnikowi władze nie wyrządzą krzywdy. Byłem ciekaw co będzie dalej. Wkrótce nadszedł jakiś kolejarz i otworzył drzwi.

W pociągu „nach Warschau" państwo Leonostwo ulokowali się, osobno, a ja sam jeden w innym przedziale. We Frankfurcie był pierwszy i jedyny moment sentymentalny (oczekiwałem ich znacznie więcej), kiedy zobaczyłem pierwszego polskiego kolejarza w mundurze bardzo podobnym do przedwojennego. Odbierał on pociąg od Niemców nie zamieniając z nimi ani słowa.

Stukot pociągu na moście i już pierwsza polska stacja, Kunowice. Widać ładny dworzec, ale kompletna pustka w rześkim nocnym powietrzu. Za chwilę grupka żołnierzy wysypała się z budynku dworcowego. Wyglądem swoim wcale nie byli oni podobni ani do wojska przedwojennego, ani do wojska polskiego

na Zachodzie. Wrażenie właściwie żadne. Wróciłem do przedziału i czekałem na przywitanie z władzą ludową. W kompletnej ciszy, na korytarzu rozległy się wolne kroki wystukiwane miarowo ciężkimi butami. Drzwi się rozsunęły i stanął w nich jakiś osobnik, ni to wojskowy ni to cywil, zasalutował dwoma palcami i powiedział: — „Kontrola paszportowa".

◆

Minęło kilkanaście dni i znowu stukot kół pociągu. Tym razem pociąg jest przepełniony Ślązakami wyjeżdżającymi na stałe do Niemiec Zachodnich. Było to jedno z najsmutniejszych wrażeń z całej podróży do Polski. Oto ludzie, którzy przeciwstawiali się germanizacji przez kilka wieków, teraz, kiedy Polska do nich przyszła, mają jej dość i jadą do Niemiec. „Ni do żyć" — mówią. Niech nikt nie próbuje tłumaczyć, że to Niemcy się ewakuują, nieprawda, to rdzenni Ślązacy, a ich dzieci zaledwie z trudnością rozumieją po niemiecku.

Drzemiąc próbuję zreasumować wrażenia z Polski. Na pierwszy rzut oka jest to kraj zupełnie inny od przedwojennego. Szczególnie wojsko i młodzież szkolna są zupełnie odmienne. Dystynkcje majorowskie lub pułkownikowskie na ramionach jakichś pół cywili o przekrzywionych postaciach, z niezapiętymi guzikami i rękoma w kieszeni są jakimś wielkim nieporozumieniem i profanacją w oczach tego kto pamięta wygląd wojska polskiego przed 39-tym rokiem, czy na Zachodzie. Widziałem tylko jednego wojskowego, sierżanta, który szedł jak żołnierz. Nastąpiła sowietyzacja stylu, a nawet sowietyzacja stopni. Tak jak w armii sowieckiej kapitan ma cztery gwiazdki, a jedną gwiazdkę chorąży.

Przed wojną młodzież szkolna, to był specjalny sposób bycia, to był szyk. Teraz młodzież szkolna to szara masa, bez stylu zachowania się i tylko te niekończące się warianty tarcz na rękawach.

Przybysza razi również nieznane przed wojną zwulgaryzowanie życia. Odnosi się wrażenie, że obecnie Polakom w kraju imponują prostackie maniery. Najbardziej chyba zaskoczyła mnie moda na używanie czteroliterowych słów w mieszanym towarzystwie.

Jednak stopniowo zaczyna się zauważać podobieństwa. Poczucie wyższości inteligencji i jej pogarda dla pracy fizycznej są tak samo silne jak i przed wojną, a tytułomania, kombinatorstwo, czy dajmy na to posługiwanie się protekcją są jeszcze bardziej rozwinięte. Jednym słowem złe cechy przedwojenne pięknie rozwijają się w nowych warunkach.

Nie dziwię się wcale, że niektórzy emigranci wyjeżdżający do Polski wracają zachwyceni, ja to nazywam „polską chorobą".

Skoro wymienią funta po 200 zł to stać ich na wszystko *the best*, a *the best* nie jest takie złe. Natomiast na warunki w jakich żyją rodacy nie zwracają uwagi. Jednocześnie imponuje im, że są sensacją dnia, że ich goszczą krewni, bo przecie staropolskie „zastaw się a postaw się" obowiązuje w dalszym ciągu. Imponuje im obrotność w drobnych sprawach i cwaniactwo rodaków, tak jakby siebie zobaczyli za młodu. Ale skoro człowiek zacznie się przyglądać nieco dokładniej i wyciągać wnioski trudno jest zachwycać się obecną rzeczywistością.

Swojej negatywnej oceny z jaką jechałem w tamtą stronę nie musiałem zmieniać, wręcz przeciwnie, na każdym kroku znajdywałem jej potwierdzenie. Jakie są tego główne powody?

W Polsce, żeby jako tako egzystować, przeciętny obywatel musi popełniać nadużycia, musi zarabiać „na lewo". Poza zwykłymi nadużyciami, o których tak często można czytać w prasie krajowej, stosuje się metody, które formalnie są zgodne z prawem, ale faktycznie są nadużyciem. Jak to wygląda w praktyce? W pewnych zawodach, gdzie to jest możliwe, „bimba się" w normalnych godzinach pracy, a całą energię zachowuje się na tzw. prace zlecone, które wykonuje się w domu poza godzinami służbowymi. Tam się naprawdę pracuje szybko i dobrze. Zachodzi pytanie skąd się te prace zlecone biorą? Wyjaśniono mi, że dyrektor, lub kierownik jakiegoś działu wie, że praca, na której mu zależy nie zostanie wykonana sprawnie w biurze, natomiast jeżeli da ją tymże samym swoim podwładnym jako pracę zleconą, to praca ta zostanie wykonana na czas i bez zarzutu. W innych zawodach, gdzie systemu prac zleconych nie można stosować, ażeby zwiększyć zarobki pracowników, na których zależy kierownictwu, dopisuje im się fikcyjne prace, których nigdy nikt nie wykonuje. W ten sposób powstają całe systemy nadużyć. Owszem, są ludzie, którzy do tych systemów nie należą i żyją sobie bardzo skromnie za sumy zarobione w sposób prostolinijny. Mówi się o nich, że są niezaradni lub „frajerzy". Wypadki kar więziennych za nadużycia są częste. Ale po odsiedzeniu wyroku, dzięki stosunkom, ukarani znowu zajmują podobne stanowiska do tych jakie zajmowali przed wyrokiem i znowu stosują ten sam proceder, bo właściwie nie mają innego wyjścia, jeżeli chcą żyć jako tako, po ludzku. Tego rodzaju stosunki mają dwa wyraźnie ujemne skutki, lekceważące podejście do pracy zarobkowej i obowiązkowości i poczucie stałego zagrożenia ze strony władz państwowych.

Skoro już mówimy o podejściu do pracy, to przybysza z zagranicy zastanawiają restauracje i kawiarnie przepełnione mężczyznami w sile wieku przez cały Boży dzień. Jeszcze dopóki to się obserwuje w wielkich miastach można szukać jakichś wytłumaczeń, ale skoro to samo się widzi w miasteczkach powiatowych przybysz zaczyna się zastanawiać i zasięga języka. Dostaje następujące wyjaśnienie:

— Większość tych panów jest na delegacjach, czy wyjazdach służbowych, a inni to po prostu wychodzą z biura na kilka godzin na kawę w czasie której plotkują, załatwiają interesy lub omawiają wielkie prace zlecone, które wykonują całymi zespołami z różnych zawodów.

Nadużycia związane z delegacjami stały się tak nagminne, że podobno niektórzy księża zapytują na spowiedzi:

— No a jak tam było z delegacjami?

Wspomniałem o roli jaką odegrywają stosunki, oto mały obrazek. Pewna młoda dziewczyna powiedziała mi bez żadnych zahamowań, jakby mówiła o rzeczy najbardziej naturalnej:

— W tym roku nie dostałam się na uniwersytet, bo nie miałam protekcji, ale na przyszły rok to już tatuś postara się o poparcie i mam nadzieję, że mnie przyjmą.

Ale wróćmy do rzeczy najważniejszych. Pomimo, że żaden rodak w kraju nie zgodzi się na określenie obecnego bytowania okupacją, wręcz przeciwnie, będzie dużo mówił nadużywając słów Polska i polski, to jednak głęboko leży utajone przeświadczenie, że wszystkie najważniejsze decyzje dotyczące życia w Polsce pobierane są nie w Warszawie, a w Moskwie. Czasami nawet odnosi się wrażenie, że zbyt łatwo rodacy obarczają Rosję odpowiedzialnością za niewygody życia codziennego i rezygnują z pewnych wysiłków w celu stworzenia bardziej ludzkich, normalnych warunków życia.

Chyba stąd wynika wielki smutek. Polska, to smutny kraj i nie rozumiem jak niektórzy z moich tutejszych „kamratów" mogą opowiadać o tym jak wspaniale w Polsce ludzie się bawią. Czyż nie zauważyli, że objadanie się i opijanie są tylko po to, żeby zabić beznadziejność i smutek?

Mały obrazek. Idąc na spotkanie z dobrze sytuowaną parą poniżej czterdziestki (jak na Polskę bardzo ładne mieszkanie, samochód, około ośmiu tysięcy złotych miesięcznie) myślałem, że nareszcie będę w towarzystwie ludzi, którzy są w Polsce szczęśliwi. Wzięli mnie do klubu literatów. Rzeczywiście lokal imponujący, żadne miasto w zachodniej Europie nie wstydziłoby się takiego lokalu. Siedliśmy przy stoliku, kelnerka przyniosła zamówienia i z miejsca nieco egzaltowana pani zaczęła narzekać na warunki życia w Polsce i na brak nadziei na poprawę z powodu zależności od Rosji. Myślałem sobie, że to tylko takie kobiece gadanie i czekałem co powie mąż, tym bardziej, że uśmiechnięty, z okrągłą twarzą wyglądał on na człowieka zadowolonego z

życia. Wreszcie mąż zabrał głos potwierdzając wszystko to co żona powiedziała i zakończył w ten sposób:

— Pan tam na Zachodzie ma cel w zarabianiu, może Pan kupić dom, albo akcje, może Pan je przekazać swoim dzieciom, a my tu co, możemy tylko przeżyć, przejeść, wydać na wczasy w Bułgarii. Kupować nic nie ma sensu, bo dziś pozwolą, a jutro zabiorą. Praktycznie rzecz biorąc przekazać dzieciom nic nie można, bo tak wielkie są podatki spadkowe. Widział Pan te reklamy zachęcające do oszczędzania w PKO, ale te reklamy nie mówią, że jeżeli właściciel umrze bez sporządzenia testamentu, to chociażby pozostawił żonę z dziećmi, jego konto przechodzi na własność państwa, a jeżeli umrze pozostawiając testament, to i tak spadkobiercy dostaną z tego niewiele. Panie, tu są nieludzkie warunki życia.

Milczałem. Już nie po raz pierwszy szkoda mi było rodaków.

Właśnie przysiadł się do stolika administrator klubu. Jak na zmaterializowanego na Zachodzie człowieka przystało (to my jesteśmy prawdziwymi materialistami, bo odnosimy się do rzeczy materialnych z wielkim szacunkiem, a oni to jedynie jacyś teoretycy materializmu, którzy traktują rzeczy materialne per noga) zapytałem z jakich funduszów utrzymuje się ten wspaniały klub. Kierownik odpowiedział, że w dwóch trzecich ze składek i dochodów własnych (restauracja etc.), a jedną trzecią „dostajemy z Warszawy". Więc to tak jest? Wczoraj, jak za najlepszych czasów przedwojennych widziałem dwóch żebraków przed kościołem, a dziś po południu byłem w Ośrodku Zdrowia, który wyglądał raczej jak ośrodek zarazy, a tu panowie intelektualiści mają piękny klub subwencjonowany z funduszów społecznych. Najpierw trzeba usunąć brud i smród, a potem finansować elitę, której i tak powodzi się o wiele lepiej niż innym. Próbowałem wyjaśnić swój punkt widzenia znajomym, ale nie mogli zrozumieć co ja właściwie chcę powiedzieć.

Klasowość społeczeństwa rzuca się w Polsce w oczy bardzo wyraźnie, wystarczy przejść się ulicą. „Po ciuchach" jak to się tam mówi, można ocenić przynależność społeczną poszczególnych przechodniów.

Wspomniałem już o pogardzie dla rzeczy materialnych. Jeżeli ktoś pamięta z jaką pieczołowitością czyszczono i spisywano własność państwową, lub społeczną przed wojną i jest przyzwyczajony do malowania domku i pieszczenia ogródka, to po przyjeździe do Polski zaskoczony jest lekceważącym traktowaniem wszelkich dóbr materialnych, tym bardziej, że to się właśnie dzieje w kraju ubogim. To lekceważące nastawienie odnosi się nie tylko do własności państwowej, podobny jest stosunek do mieszkań, w których już przez lata mieszkało się. Jeżeli coś się urwało, no

to się urwało, nikt tego nie naprawia. Większość mieszkań w których byłem sprawia wrażenie obozu, lub marnej bursy akademickiej.

Jednym z najsilniejszych wrażeń jest odcięcie Polaków od źródeł informacji. Dotyczy to zarówno spraw wewnętrzno-polskich jak i spraw zagranicznych. Tak jak w czasie okupacji, poważnie traktowanym źródłem informacji jest plotka, lub domysły, nie oparte na żadnych konkretnych faktach. I tak np. nie spotkałem nikogo kto by słyszał o procesie Modzelewskiego i Kuronia (może to wynika stąd, że wielu obywateli nie interesuje się wewnętrznym życiem partii), a na moje zapytanie na temat opinii o liście biskupów polskich do biskupów niemieckich dostawałem stale tę samą odpowiedź:

— Trudno mi coś na ten temat powiedzieć, bo nie wiem co biskupi napisali, u nas tekstu listu nie można dostać, a te wyjątki, które były w prasie mogą być przekręcone. Ja prasie nie wierzę, bo oni już różne cuda wypisywali.

Zadziwiające jest jak mało ludzi orientuje się czym jest właściwie Pax.

Głód wiadomości o Zachodzie jest bardzo poważny. Na ogół Zachód jest przeceniany i idealizowany w sposób nieznośny, tak samo jak przed wojną. Wielu rodaków w kraju, nawet całkiem rozgarniętych wyobraża sobie, że Anglia, czy U.S.A. marzą o tym, żeby Polskę wyzwolić ze strefy wpływów Rosji i sądzą, że na Zachodzie prawie że się nie pracuje, pieniędzy każdy ma bez liku, nie istnieją żadne trudności i żadne niemożliwości. Nic dziwnego, że w tej sytuacji wielu ma pretensje do swoich krewnych na Zachodzie, że za mało pomagają.

W Polsce odczuwa się też bardzo wyraźnie głód obiektywnych wiadomości na temat najnowszej historii Polski. Publikacje o charakterze propagandowym szkalują całą przeszłość niepodległościową, natomiast publikacje naukowe podają prawdziwe fakty, ale ma się rozumieć nie mogą podawać faktów stawiających Rosję sowiecką w niekorzystnym świetle, a w interpretacji faktów muszą przestrzegać zasadę, iż Polska niepodporządkowana Rosji sowieckiej była skazana na zagładę.

Ze specjalnym zainteresowaniem obserwowałem życie Kościoła. Nie ulega wątpliwości, że Kościół, jako organizacja tej ziemi ma ogromne poparcie. Niedzielne nabożeństwa robią wrażenie wielkich demonstracji patriotycznych w czasie których jedni śpiewają „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie", a drudzy „racz nam wrócić Panie". Kościół i Kardynał wymawiane są przez duże K nawet przez tych, którzy z wiarą nie mają nic wspólnego. Rzuca się w oczy organizacja Kościoła, która jest bez porównania sprawniejsza od organizacji państwowej czy miejskiej. Z nierównych

chodników, odrapanych domów i zapylonych ulic wchodzi się do czystych, oświetlonych, zaopatrzonych w głośniki i wszelkiego rodzaju informacje (msze, nauki religii, historia danego kościoła) kościołów. Księża nie robią wrażenia zastrachanych, mocno siedzą, są pewni swego i są w kontakcie ze społeczeństwem. Natomiast mam poważne podejrzenie, że z wiarą i praktyką religijną nie jest nadzwyczajnie, bo i jakże w Polsce można prowadzić życie moralnie zdrowe. Na każdym kroku popełnia się nadużycia, drobne oszukaństwa, składa się fałszywe zeznania. Na każdym kroku idzie się na kompromis moralny, wypośrodkowując pomiędzy szacunkiem do samego siebie i koniecznością życiową. Jakiż jest status moralny człowieka, który należy do partii i oficjalnie głosi jej slogany, w które wcale nie wierzy, albo nawet czuje do nich odrazę?

Przeciętni obywatele zmuszani są do popełniania nadużyć i składania fałszywych zeznań. Przypatrzmy się procesowi kupowania samochodu, w czasie którego obywatel popełnia dwa nadużycia. Najtańszy nowy samochód kosztuje w Polsce 70 kilka tysięcy złotych, czyli obywatel zarabiający na oficjalnej posadzie powiedzmy trzy tysiące złotych miesięcznie (przeciętna dla całego kraju wynosi 1600 zł miesięcznie) ma minimalne szanse kupienia samochodu, bo cena samochodu odpowiada co najmniej dwuletnim zarobkom na oficjalnej posadzie. Tymczasem kupuje. Czyli musi zarobić „boczkiem" na jakichś innych kombinacjach. Nadużycie pierwsze. Z chwilą kiedy obywatel jest już w posiadaniu minimalnej sumy potrzebnej do nabycia samochodu (resztę może spłacać ratalnie) musi udowodnić, że pieniądze te uzyskał w sposób legalny i że ze źródeł legalnych będzie spłacał resztę. Nadużycie drugie. A mimo to ilość samochodów wzrasta, na szczęście. Należy podziwiać obrotność Polaków i umiejętność organizowania wszelkiego rodzaju podziemnych transakcji, ale stosunki takie odbijają się fatalnie na obywatelskim wyrobieniu społeczeństwa. Winę ponoszą nie obywatele zmuszani przez przepisy do nadużyć, a ci którzy wydają te niewykonalne, nieżyciowe przepisy.

Trudno uniknąć współczucia w stosunku do rodaków w kraju. Jest to zgwałcony, zdeprawowany naród, a co gorsze naród, który zbyt łatwo daje się deprawować. To ostatnie jest może nieco ciężkim oskarżeniem, ale odnosi się wrażenie, że Polacy, a szczególnie inteligencja, zbyt łatwo poddają się narzucanym warunkom, zbyt łatwo zwalają wszystko na karb Moskwy, czy partii, nie próbują przeciwdziałać i zabiegają jedynie o osobistą egzystencję.

Dlaczego jest tak źle? Przecież nawet w systemie sowieckim można ułożyć życie w bardziej sensowny sposób. Zadawałem to pytanie kilkakrotnie:

— Skoro twierdzicie, że macie tak gruntownie wykształconych ludzi, tak dobrych specjalistów we wszystkich dziedzinach, a wiadomo, że ludzie na wyższych stanowiskach należą do partii, to dlaczego ci specjaliści i fachowcy, poprzez partię, nie usuną wszystkich nonsensów, nie zlikwidują deprawacji narodu?

Odpowiedź dostawałem jednakową:

— Zwykli partyjni nic nie mają do gadania. Zmuszają ich do zapisania się tylko po to, żeby mieć nad nimi lepszą kontrolę. Państwem rządzi grupka starych komunistów, którzy są po prostu prymitywni i ulegli Moskwie, oni nikogo do władzy nie dopuszczają.

I słyszę szept na ucho przy stoliku restauracyjnym:

— Przecież Pan wie, że wszystkich najinteligentniejszych komunistów polskich wymordowano w Rosji w trzydziestych latach.

Zapytywałem kogo typują na miejsce Gomułki. Wymieniano Kliszkę i Gierka, ale o żadnym z nich nie wyrażano się pozytywnie, a Kliszkę uważają za bardziej ograniczonego niż Gomułka. O możliwości objęcia władzy przez Moczara, co jest przepowiadane na emigracji, nikt nie wspominał. Zresztą odnosi się wrażenie, że rozgrywki partyjne nie interesują większości obywateli, bo sprawy te są kompletnie poza ich wpływem. Nie wygląda, żeby ludzie w kraju mieli nadzieję, że następca Gomułki będzie rządził sensowniej. Zaskoczony byłem tym, że rodacy nie zdają sobie sprawy, że Polska zamiast być wierną sojuszniczką Rosji powinna dążyć do poprawy swej sytuacji lawirując pomiędzy Rosją i Chinami.

W kraju, tak samo jak i na emigracji, rządzi mała grupka bardzo już starych ludzi. I tu i tam grupki te nie dopuszczają do wpływu przedstawicieli młodszych pokoleń i nie mają do nich zaufania. Na emigracji podejrzewa się młodszych o odejście od niezłomnej linii niepodległościowej, a w kraju o brak wierności komunizmowi.

Będąc w Polsce odczuwa się bardzo silnie, że jest to kraj od świata deskami zabity. Przyczynia się do tego nie tylko odcięcie od źródeł informacji dokonane przez władzę ludową, ale również szowinizm narodowy. Dopiero teraz można ocenić fatalne skutki nacjonalizmu, który zaczął się rozwijać pod koniec ubiegłego stulecia. Ograniczył on Polskę do pojęcia w którym jest miejsce jedynie dla tych, którzy nie tylko mówią po polsku, ale i myślą tak jak szowinizm narodowy nakazuje. Nacjonalizm doprowadził do dobrowolnego odizolowania się od otaczających narodów i do urobienia pogardy w stosunku do nich. Nacjonaliści powinni tryumfować, bo właśnie teraz Polska jest taka jak oni chcieli, etnograficzna, bez mniejszości i antyniemiecka. I cóż taka Polska jest warta? Może być jedynie satelitą. W tym położeniu geograficz-

nym trzydzieści kilka milionów Polaków nie może decydować o sobie.

Chociaż nikt ich do tego nie zmuszał, Polacy wyrzekli się sami wobec siebie Kresów Wschodnich, co gorsze uczynili to przedtem nim przyswoili sobie Ziemie Odzyskane. W ten sposób umniejszyli swój stan posiadania w swoim własnym pojęciu. Nie ulega wątpliwości, że na Ziemiach Odzyskanych Polacy nie czują się jeszcze jak u siebie w domu i upłynie jeszcze sporo czasu zanim we własnym pojęciu te ziemie posiądą. Trzeba wychować co najmniej jedno pokolenie urodzone na tych ziemiach i trzeba jeszcze włożyć w te ziemie dużo polskiej pracy, żeby wyrobić poczucie, że te ziemie do Polaków należą. Bo z poczuciem posiadania pewnych terenów to jest tak jak z teorią Marksa o nabieraniu wartości przez substancję materialną na skutek pracy w nią włożonej. Nie wystarczy zniszczenie niemieckich napisów na pomnikach. Można bardzo dobrze zrozumieć uczucia, które kierowały akcją usuwania z grobowców płyt z niemieckimi napisami, ale teraz, zwiedzając kościoły, trudno się oprzeć wrażeniu że zostało to dokonane przez jakieś siły wandalistyczne.

Ale powróćmy do stosunku do sąsiadów. Oficjalna wersja stosunku do Rosji, to bezgraniczne uwielbienie i niekończąca się wdzięczność (za tę wdzięczność dotychczas płacą Polacy dostawami do Rosji), które wyrażają się dyganiem przy każdorazowym wymówieniu nazwiska Lenin. W praktyce dominuje pogarda, która najlepiej streszcza się słowem „kałmucy". Jest to bardzo niebezpieczne stanowisko, bo bez znajomości Rosji nie ma szans dogadania się lub zwalczania jej. A przecież Rosja to najpotężniejszy nasz sąsiad. O ileż inaczej przedstawiała się sprawa przed 1914 rokiem, wówczas znajomość Rosji kwitła wśród Polaków, co niewątpliwie przyczyniło się do wygrania wojny bolszewickiej. Obecnie nikt się Rosją nie interesuje, ale proces ten zaczął się już w okresie niepodległości. A szkoda, bo Rosja jest ciekawa, przeżyje ona wszystkie systemy gnębiące ją i będziemy musieli ułożyć z nią w jakiś sposób stosunki. (Nb. Aż dziw jak nie sowiecka, a odwiecznie rosyjska jest piosenka, która dotarła na Zachód „Podmoskownyje wieczera").

Mała ilustracja do stosunków polsko-sowieckich.

Między Rzepinem i Kunowicami poszedłem do wagonu restauracyjnego żeby zjeść obiad za ostatnie 40 zł. Usiadłem na przeciwko warszawskiej intelektualistki jadącej do Paryża, w której stroju przeważały bursztyny. Po przeciwnej stronie przejścia siedziały dwa małżeństwa rosyjskie. Kiedy kelner podszedł do nich, zamówili:

— Czetyrie cyplonka pożałujsta.

— Nie rozumiem — powiedział kelner.

— Cyplonok, cyplonok — powtórzyli Rosjanie.

— Nie rozumiem — twierdził z uporem kelner.

Moje bursztynowe *vis-à-vis* pośpieszyło na pomoc:

— Proszę pana, oni chcą kurczaki.

Kelner zerknął z pogardą na bursztynową panią i odwrócił się do niej tyłem.

Rosjanie wyraźnie niezadowoleni zaczęli pokazywać palcem swoje zamówienia na blankiecie menu.

Stosunek do Niemców jest zupełnie histeryczny. Amerykanie pakują w nich pieniądze, Francuzi zastanawiają się nad tworzeniem razem z nimi wspólnoty europejskiej, Żydzi handlują z nimi od dawna, a Polacy wyłażą ze skóry, żeby nie pozwolić ani jednej bliźnie wojennej zarosnąć. Nie uważam się za przyjaciela Niemców i kiedykolwiek znajdę się w tym samym pokoju z Niemcem automatycznie przechodzę w przeciwległy róg, pokoju, ale przecie to co się dzieje w Polsce przekracza granice rozsądku. Wobec takiego stanu rzeczy list biskupów polskich był odważnym i jakże pożądanym posunięciem, ale władze ludowe zrobiły wszystko co było w ich mocy, żeby list ten nie dotarł do rodaków w kraju. Tylko jakiś zakompleksiony człowieczek mógł wysunąć w dwadzieścia lat po wojnie hasło „Pamiętamy, nie przebaczamy", które z taką zawziętością propagują władze ludowe.

Ale w tym szaleństwie jest metoda. Złość Polaków spowodowana wszystkimi niepowodzeniami przez ostatnie ćwierć wieku jest celowo skanalizowana w kierunku Niemców. Ale jest i drugi, mniejszy kanalik, to antysemityzm. Możliwe, że pamiętając okres Bezpieki Polacy mają pewne podstawy do zastrzeżeń w stosunku do Żydów przebywających w Polsce, ale istnieje poważne podejrzenie, że ktoś czuwa nad tym, żeby obok głównego wielkiego kanału antyniemieckiego podtrzymywać również kanalik antysemicki. Zresztą jest to stara metoda i bardzo skuteczna stosowana przez Ochranę po 1863 roku.

Ci, którzy próbują usprawiedliwić i wytłumaczyć władze Polski ludowej zwalają winę na niesforne, ich zdaniem, społeczeństwo i na ostatnią wojnę. Nie podzielam tego zdania. Wojna skończyła się już przeszło 20 lat temu, więc jej wpływy powinny były poważnie zmaleć, a społeczeństwo, gdyby było traktowane z należnym szacunkiem, odwzajemniłoby się poszanowaniem władzy i przepisów prawnych. Polska ludowa jest bardzo złą szkołą wychowania społeczeństwa.

Na marginesie stosunków kraj-emigracja, warto wspomnieć, że coraz bardziej rozprzestrzenia się „emigracja milcząca". Składa się ona z ludzi, którzy chcąc zachować możliwość wyjazdów do Polski nie mogą wypowiadać publicznie swych opinii o Polsce ludowej. W tej sytuacji przykro mi, że ten artykuł ukazuje się

bez podpisu, ale, tak jak wielu innych, nie chcę zamykać sobie możliwości odwiedzenia Polski.

Zjawisko „milczącej emigracji" zaczyna być tym bardziej niepokojące, że coraz wyraźniej dołączają do niej księża katoliccy na emigracji. Dajmy na to w czasie millenijnego obchodu na *White City,* który miał wybitnie charakter religijno-polityczny, znany ze swych aż zanadto patriotycznych kazań, ks. Warszawski nie powiedział nic, czym mógłby się narazić władzom Polski ludowej, a ks. biskup Rubin uniknął jakichkolwiek wypowiedzi. Doszło do tego, że prawdziwą opinię o Polsce wyraził nie polski duchowny, a arcybiskup Heenan.

Sumując wrażenia należy zadać sobie pytanie, czyżbym nie widział w Polsce nic pozytywnego? Owszem widziałem. Pomimo licznych narzekań na trudności w robieniu zakupów warunki materialne, w bardzo ogólnym pojęciu, są lepsze niż można by przypuszczać. Dzieje się to głównie dzięki wszelkiego rodzaju podziemnym zarobkom i transakcjom, o których już trochę pisałem. Nie odnosi się wrażenia, żeby Polska była krajem totalitarnym w sensie fizycznego przymusu. Milicja zachowuje się przyzwoicie i nawet uzbrojone patrole nie rażą swoim zachowaniem się. Istnieje bardzo duża swoboda wypowiadania się i krytykowania panujących stosunków. Jest to o tyle dobre, że ludzie mogą dać upust swoim żalom i wygadać się, ale nie daje to żadnych pozytywnych skutków i nie prowadzi do poprawy stosunków. Kończy się na gadaniu. Można zauważyć, iż są pewne instytucje, pewne grupy ludzi, które pracują nad tym, żeby było porządnie, estetycznie i po ludzku, ale wysiłki ich toną w morzu bezsensowności. Imponująca jest umiejętność jaką osiągnięto w odrestaurowywaniu zniszczonych zabytków architektury. Stan głównych dróg jest zadawalający, a koleje są na całkiem dobrym poziomie. Byłem zaskoczony dbałością o wiejskie konie, są one utrzymywane lepiej niż przed wojną. Pola są też starannie uprawiane, ale za to gospodarstwa i małe miasteczka są w okropnym stanie i na ich widok ciśnie się na usta określenie *Polnische Wirtschaft.*

Rodacy w kraju chcą emigranta na gwałt zapoznać z Nową Hutą, nie zdając sobie sprawy, że trudno nam, zamieszkałym na Zachodzie, zaimponować urządzeniami przemysłowymi. Na nas o wiele większe wrażenie robi Kraków, Zakopane, Częstochowa, czy jeziora Augustowskie niż Nowa Huta.

A oto na zakończenie mała scena. Kolacja u staruszków. Jest obecny również ich zięć, z którym później w nocy odbyłem jedną z najbardziej przygnębiających rozmów. Oto człowiek trzydziestokilkaletni, doktór biochemii i dyrektor jakiegoś instytutu, kulturalny, dobrze wychowany, biegły we francuskim, bywały na świecie, znający Zachód i kraje bloku sowieckiego z własnego doświadczenia, członek partii. Temu panu informacji nie brakuje, ma on bardzo słuszną ocenę sytuacji Polski, zdając sobie sprawę z wyzysku, deprawacji i beznadziejności i bardzo słuszną ocenę Zachodu. Ale mimo to nie zrobi nic, żeby oprzeć się marazmowi. Wykona każde zarządzenie i powtórzy każdy slogan nadchodzący z góry z pełną świadomością istniejącej bezsensowności. Cóż to za smutny, a nawet tragiczny człowiek. Ale to było później. Teraz zajadaliśmy świetny barszczyk z pierożkami (sztuka kulinarna w Polsce bardzo podupadła, jedzą dużo i niesmacznie, ta kolacja była wyjątkiem). Rozmowa zeszła na emigrację. W pewnym momencie zięć zapytał:

— A czy są jeszcze jakieś władze polskie na emigracji?

— Tak, jest rząd, a właściwie nawet dwa rządy — odpowiedziałem z pewną dozą zażenowania.

W tym momencie starsza pani zwróciła się do słabo słyszącego męża:

— Słyszysz Michał, w Londynie jest jeszcze Rząd Polski! — i otarła łzy spływające po policzkach. Wydawało się że starsza pani wzruszyła się wspomnieniami dawnych emocji z okresu wojennych lat nadziei.

Bez podpisu

Najnowsza historia Polski

Życie wytężone

WITOLD STANIEWICZ NA TLE SWEGO CZASU

Ziemie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego wydały liczne pokolenie ludzi, którzy w latach 1914-20 mieli szczęście uczestniczyć w restytucji niepodległej Rzeczpospolitej i zarówno w walce orężnej jak i w pracy cywilnej wnieśli duży wkład w budowę i umocnienie młodego państwa. Jednym z najwybitniejszych z nich był zmarły przed rokiem, w lipcu 1966, w Poznaniu *prof. dr Witold STANIEWICZ.*

O wielkim dziele jego życia napisał w poprzednim zeszycie „Kultury" pokrewny mu w zawodzie naukowym prof. dr Stanisław Swianiewicz. Uzupełniając tę trafną ocenę działalności Staniewicza, chcę naszkicować jego sylwetkę ideową, moralną i polityczną. Poznaliśmy się przed I wojną światową, ale dopiero w okresie Litwy Środkowej (1920-22) zbliżyliśmy się ze sobą. Zawiązał się wtedy i z biegiem lat zacieśnił stosunek prawdziwej, wiernej, nigdy nie zachwianej przyjaźni. Przez kilka tygodni jego pobytu w Londynie w r. 1963, gdy po 23 latach rozłąki przyjechał nas, członków Społeczności Akademickiej, odwiedzić, wracaliśmy nieraz do dawnych dialogów. Mówiąc o przeżytych latach wzlotu i upadku i o zagadkowej przyszłości, znajdowaliśmy w sobie taką samą solidarność w spojrzeniu na świat, jaka istniała pomiędzy nami w dniach rozstania latem 1940 roku w Wilnie.

Wyrośliśmy obydwaj pośród jednakowego krajobrazu, w podobnej atmosferze rodzinnej, w tej samej niemówionej tradycji powstańczej, wśród naradzających się ponownie rewolucyjnych dążeń do wolności. Był to też czas pierwszych objawów litewskiego ruchu narodowego. Zetknęliśmy się z nim za młodu, w kraju gdzie znaczna większość ludności wiejskiej była litewską etnicznie. Mieliśmy jednakowy zasadniczo stosunek do kiełkujących dopiero zagadnień miejscowych. Po wielu latach przymusowego oderwania, w kompleksie uczuciowym, gdzie jest miejsce na ważkie słowa „mój kraj rodzinny", wytworzyło się dotkliwe *vacuum.*

Rodowód ideowy

Urodził się Witold Staniewicz w roku 1887 w Wilnie w rodzinie szlacheckiej od wieków zagnieżdżonej na północno-zachodnich ziemiach dawnego W. Ks. Litewskiego i dość szeroko tam rozgałęzionej. Dwie były główne gałęzie tego rodu: jedna pieczętowała się herbem Gozdawa; do niej należał drugi z kolei rektor odrodzonego Uniwersytetu Wileńskiego (1921-22) matematyk *Wiktor Staniewicz,* a w wieku XIX wybitny organizator powstania 1863 roku na Żmudzi, *Jan Staniewicz,* przyjaciel Zygmunta Sierakowskiego, oraz prof. elektrotechniki Politechniki Warszawskiej *Leon Staniewicz,* który w latach 50-tych wydał drukiem pamiętnik z powstania na Litwie w roku 1863 swego dziadka, Mariana. Druga gałąź Staniewiczów, do której należał Witold, pieczętowała się herbem Leliwa i była równie licznie rozsiedlona na ziemiach litewskich b. W. Ks. Litewskiego. Obydwie gałęzie, mimo różności herbów, poczuwały się do pokrewieństwa. W obu też głęboko wrośnięte były *tradycje niedległościowe i powstańcze* — pierwszy czynnik główny kształtujący uczucia i postawę ideową młodego Witolda. W roku 1831 podniósł sztandar powstania na Żmudzi *Ezechiel Staniewicz,* marszałek szlachty pow. Rosieńskiego, „Leliwita". Walczył jeszcze długo po kapitulacji korpusu Giełguda i dopiero w końcu 1831 przedostał się do Paryża; uczestniczył tam w ruchu Młodej Europy Mazzini'ego i w roku 1849 poległ w walce o niepodległość Włoch jako pułkownik armii włoskiej.

Dziad Witolda, *Karol Staniewicz,* był uczniem ostatniej klasy gimnazjum wileńskiego, gdy zbliżał się do Wilna w r. 1831 korpus Giełguda. Na wieść o tym zbiegł ze szkoły do wojsk powstańczych i wkrótce został ciężko ranny w bitwie na wzgórzach Ponarskich. Młodszy syn Karola, ojciec Witolda, *Cezary Staniewicz,* utracił w r. 1862 stanowisko asystenta na Akademii Medycznej w Petersburgu za kontakty z konspiracją Sierakowskiego i musiał wyrzec się kariery naukowej. Jak znaczna część pokolenia, które przeżyło powstanie 1863 r. Cezary Staniewicz był zwolennikiem polityki organicznej, którą reprezentował na Litwie i Rusi znakomity pod względem redakcyjnym tygodnik „Kraj", wydawany w Petersburgu przez Włodzimierza Spasowicza, Erazma Piltza i Czesława Jankowskiego. W swoich wspomnieniach

o Studium i Wydziale Rolniczym USB[1] pisze Witold Staniewicz, że zawdzięczał ojcu postawę demokratyczną, przywiązanie do ziemi rodzinnej i przekonanie o konieczności zgodnego współżycia z wszystkimi narodowościami miejscowymi. Gdy w r. 1906 wyjeżdżał na studia do Krakowa, ojciec żegnał go słowami: „Może będziesz szczęśliwszy ode mnie i będziesz mógł pracować kiedyś naukowo w polskiej wyższej uczelni, da Bóg w polskim uniwersytecie wileńskim".

Rodzinna skłonność do nauki oraz cześć dla tradycji Uniwersytetu Wileńskiego z epoki Czartoryskiego, Mickiewicza i Filaretów spotęgowana została w rodzinie Witolda przez jego matkę, z domu Rossochacką, wnuczkę i prawnuczkę profesorów wileńskiej uczelni. O wpływie tych powiązań rodzinnych z Uniwersytetem Wileńskim pisze Witold Staniewicz w swoich wspomnieniach:

„Urodziłem się i wychowałem w Wilnie i Ziemi Wileńskiej w rodzinie, w której żywymi wciąż były tradycje, związane z dawnym Uniwersytetem Wileńskim, pomimo że minęło przeszło pół wieku odkąd został w r. 1832 zamknięty... W położonym w pow Święciańskim, niemal nad Wilją, majątku moich dziadków Rossochackich, Świranach, gdzie w ciągu mego dzieciństwa spędzałem corocznie szereg tygodni, pełno było pamiątek związanych z dawną uczelnią wileńską. Stare meble i obrazy, sztychy i portrety, szafy pełne książek, czasopism oraz tek z listami z okresu jej istnienia, silnie działały na moją dziecinną i młodzieńczą wyobraźnię, sprawiając że dawna Wszechnica Wileńska stała się już niemal od lat najmłodszych mym gorącym umiłowaniem i marzeniem, zaś jej zniszczenie — ciężką krzywdą wyrządzoną memu umiłowanemu krajowi rodzinnemu W. Ks. Litewskiemu, pozbawionemu od Bałtyku i Niemna po Dniepr i od Dźwiny po Polesie i Wołyń ogniska wiedzy tak niezbędnego dla jego rozwoju kulturalnego, gospodarczego, a przede wszystkim rolniczego".

W sąsiedztwie owych Świran znajdowały się zakupione przez Śniadeckich Worniany, a nieco dalej Zułów Piłsudskich. Z ojcem *Józefa Piłsudskiego* łączyła dziadka po kądzieli Staniewicza, Antoniego Rossochackiego, zażyła przyjaźń. Marszałek pamiętał dobrze matkę Witolda i przy spotkaniu często o niej syna zagabywał.

Atmosfera domu rodzinnego i jego związków z dawnym Uniwersytetem Wileńskim oddziałała silnie na wrażliwą, chłonną i uczuciową naturę Witolda Staniewicza. Wytworzyła w nim sui generis *kult tego uniwersytetu i nieodparte dążenie do pracy naukowej we własnym kraju.* Był to drugi potężny czynnik, pod którego wpływem tworzyła się jego osobowość. Wróciwszy po podróży naukowej w Europie na gospodarstwo rodzinne w pow. Trockim w roku 1913, zabrał się wprawdzie energicznie do pracy

1. *Studia i materiały z dziejów nauki polskiej.* — Seria B, zeszyt 11, rok 1966.

na roli, ale jego kipiącej energii wystarczyć ona nie mogła. Wkrótce nastała wojna, okupacja niemiecka, konflikt z tworzącą się narodową Litwą i, w końcu, jego ziemię rodzinną przecięła przypadkowa linia graniczna, wskutek nie uznania jej przez Republikę Litewską, martwa i smutna. Ginejciszki, w których gospodarował, pozostały tuż poza tą granicą. Od Wilna, gdzie już w październiku 1919 otwarły się na nowo bramy Uniwersytetu, okazał się zupełnie odcięty. Stanął przed dylematem: pozostać na obciętym przez litewską reformę rolną gospodarstwie w państwie będącym w konflikcie z Polską, czy też osiąść w Wilnie i poświęcić się pracy naukowej, jak to było jego marzeniem od dzieciństwa.

W cytowanych już wspomnieniach o Studium i Wydziale Rolniczym USB pisze:

„Już jako młody chłopak zadawałem sobie pytanie o czym należy marzyć i do czego dążyć. Czy do walki zbrojnej o niepodległość, szlif oficerskich i małego srebrnego krzyżyka „Virtuti Militari", czy też do pracy naukowej i dydaktycznej i togi profesorskiej na wskrzeszonej Uczelni Wileńskiej. Bardzo wcześnie doszedłem do wniosku, że wpierw trzeba odzyskać niepodległość i wolność ojczyzny, a dopiero po tym nastąpi wskrzeszenie Uniwersytetu. Decyzję tę musiałem zweryfikować kilkanaście lat później i uznać ją za słuszną. W dwudziestoleciu międzywojennym uzyskałem i jedno i drugie: szlify oficerskie i krzyż „Virtuti Militari", oraz togę profesorską a nawet rektorską na wskrzeszonej Uczelni..."

Wybór był przesądzony na rzecz Wilna i Uniwersytetu. Spełniwszy obowiązek obywatelski w czasie wojny polskiej, zwolniony z wojska w r. 1922, natychmiast przechodzi do pracy naukowej w USB i pozostaje w niej aż do chwili zwolnienia przez władze litewskie 15. XII. 1939 roku. O swej służbie wojennej pisał do mnie jeszcze w swoim ostatnim liście, który otrzymałem już po jego śmierci:

„Z radością dowiedziałem się o tym, że ogłosiłeś nowy artykuł o de Gaulle'u, co mnie jako zawziętego de-gaullistę bardzo ucieszyło, tym bardziej że miałem szczęście zetknąć się z nim na polu bitwy pod Przasnyszem, a nawet pośrednio, wykonując jego zlecenie wydane memu dowódcy pułku, otrzymałem Virtuti Militari".

W środowisku, w którym Witold Staniewicz wyrastał i wychowywał się, obowiązywał pewien *systemat kryteriów moralnych,* oparty na zasadach chrześcijańskich. Ten trzeci czynnik miał również wielki wpływ na ukształtowanie się jego osobowości. Ugruntował w nim zasady, od których starał się nie odstępować w całej pracy swego życia. Być może, brak większych materialnych pokus w tym na poły wiejskim mieście, gospodarczo zacofanym i odległym od szerszego świata, gdzie nie grały

i nie ścierały się wielkie interesy materialne, w mieście zakochanym w swojej tradycji, w swoim Uniwersytecie, w swoim teatrze, w swoich kościołach, cmentarzach i zaułkach — być może, to wszystko wytwarzało klimat, w którym nie rozrastały się popędy materialne i nie przerastały animozje. Spoglądając po upływie pół wieku wstecz, wydaje się przeto, że na ogół środowisko działaczy wileńskich cechowała szczególnie wysoka postawa moralna.

Postawa moralna

Witold Staniewicz był w całym swoim życiu wybitnym tego przykładem. Jego zasady moralne przejawiały się w stosunku do siebie i swej pracy, do społeczeństwa i do pojedynczego człowieka. Był skrupulatnym sędzią samego siebie. Własne postępowanie oceniał pod kątem swoich moralnych reguł, a że był naturą gorącą i impusywną, zdarzało się, że powziął wątpliwości co do jakiegoś swego postępku. Ogarniał go wtedy pewien widoczny niepokój. Zwracał się do kogoś ze swoich najbliższych przyjaciół i prosił o opinię, a gdy była krytyczna i przekonywująca, przyjmował ją ze szczerą pokorą. Gdy wkrótce po I wojnie ożenił się z p. *Eugenią Sumorokówną,* zamiłowaną działaczką oświatową, długoletnią dyrektorką żeńskiego gimnazjum im. Orzeszkowej w Wilnie — małżonka stała się dla niego drugim sumieniem, doradcą i moralnym autorytetem.

W pracy cechowała go szczególna żarliwość, a zarazem szybkość orientacji i tworzenia koncepcji. Gdy coś osiągnął, gdy mu się coś powiodło, cieszył się jak dziecko. Miał wielką ambicję, aby zrobić to co na tym stanowisku, jego zdaniem, zrobić należało. Walczył wtedy o swoje z zapałem, wytrwałością i energią, a zarazem z pogodą ducha i wrodzonym optymizmem.

Umożliwiło mu to w niemałej mierze przełamanie oporów w wykonywaniu swojej koncepcji reformy ustroju rolnego, rozparcelowanie w ciągu czterech lat niespełna miliona ha. i skomasowanie 1,6 miliona gruntów chłopskich, ogółem przesunięcie przeszło 3 milionów ha. od większej własności do drobnych rolników. Trudności napotykał ze strony części większej własności, która nie w jakości warsztatu rolnego, lecz w ilości posiadanej ziemi widziała swój interes społeczny oraz ze strony Skarbu Państwa, zwłaszcza gdy w roku 1929 min. Matuszewski rozpoczął politykę deflacyjną. W swoim odczycie londyńskim, wygłoszonym w Seminarium „School of Slavonic and East European Studies" 17. X. 1963, Staniewicz podkreślił, że polityka deflacyjna w latach 30-tych osłabiła Polskę ekonomicznie, społecznie

i militarnie i była jednym z powodów klęski wojennej 1939 r. „Gdyby w latach kryzysu światowego (1931-34) — mówił Staniewicz — było podjęte w Polsce uprzemysłowienie, problem struktury agrarnej byłby mógł być rozwiązany".

W ciągu 20-tolecia było w Polsce dwóch ministrów Reform Rolnych (wzgl. Rolnictwa i Reform Rolnym), którzy mieli własny program i go realizowali, nie ulegając presji czynników politycznych, pragnących uczynić reformę rolną instrumentem klasowej demagogii lub klasowego interesu. Tymi ministrami byli *Witold Staniewicz* (1926-1930) i *Juliusz Poniatowski* (1934-1939). Inni, a było ich ogółem szesnastu, albo nie mieli programu, albo nie mieli czasu by go zacząć realizować, albo też — co było do roku 1926 regułą — ulegali naciskom zainteresowanych stronnictw politycznych.

Witold Staniewicz objął ministerstwo mając już jasną i konkretną koncepcję reformy ustroju rolnego i lepszą niż jego poprzednicy koniunkturę polityczną, w której mógł uniezależnić wykonanie reformy od wpływów partyjnych. Przemówienia jego w Sejmie i Senacie, na posiedzeniach Rady Naprawy Ustroju Rolnego, na różnych inspekcjach, zjazdach i konferencjach prasowych w okresie sprawowania urzędu ministra (wydane w książkach), dają pełny program rozwiązania tego problemu, uderzający logiką i prostotą koncepcji nawet laika w tej dziedzinie.

Na posiedzeniu Rady Naprawy Rzeczpospolitej w Wilnie 27. III. 1927 Staniewicz z dumą podkreślił w swoim przemówieniu pionierską rolę Wilna:

„Wilnu należy się zaszczyt zapoczątkowania pracy nad przebudową ustroju rolnego, gdyż tu właśnie za czasów Litwy Środkowej i rządów gen. Żeligowskiego wszczęto realizację programu agrarnego, który, choć z początku niepopularny, z biegiem czasu jednak zwyciężył i stał się obecnie programem ogólnopaństwowym".

Z postawy moralnej Staniewicza brał początek także jego stosunek *do zagadnienia osadnictwa na Ziemiach Wschodnich,* bardzo faworyzowanego przez wpływowe czynniki polityczne i wojskowe w stolicy. Wkrótce po objęciu urzędu ministra, 6. VIII. 1926 mówił w Grodnie do prasy miejscowej:

„Nie jestem zwolennikiem kontynuowania na obszarze Ziem Wschodnich osadnictwa wojskowego bez należytego uwzględnienia potrzeb miejscowej ludności rolniczej. Parcelację dobrowolną pomiędzy ludność napływową dopuszczam dopiero po zaspokojeniu głodu ziemi wśród miejscowej ludności małorolnej..."

Tę samą zasadę postawił twardo na posiedzeniu Sejmu 9. II. 1927:

„Osadnictwo nie może być prowadzone z krzywdą miejscowej ludności".

Ile trzeba było mieć charakteru i poczucia niezależności, by postawić tę zasadę oficjalnie, ocenić może tylko ten kto znał ówczesne prądy w rządzącym państwem obozie.

◆

Na drugim naczelnym urzędzie — Rektora Uniwersytetu Stefana Batorego — Staniewicz również wykazał, prócz wybitnych zdolności administracyjnych, ambicję i umiejętność tworzenia koncepcji. Liczne jego mowy rektorskie w ciągu czterech lat składają się na pełny systemat filozofii życia i pracy kształcących się w Wileńskiej Uczelni przyszłych obywateli kraju.

Wilno było wówczas miastem o słabym tętnie życia gospodarczego. Od roku 1915 do 1922 znajdowało się na terenie wojny, przelewały się przez miasto różne okupacje. Siedmioletni stan niepewności i niedostatku obniżył poziom materialny miasta i jego mieszkańców. Ale życie umysłowe i kulturalne rozwijało się w skali przekraczającej inne ośrodki uniwersyteckie. Wśród kilkutysięcznej rzeszy studentów USB pojawiły się liczne utalentowane jednostki. Powstał duży ferment ideowy i intelektualny. Nożyce pomiędzy dwoma skrajnymi skrzydłami akademickimi rozwierały się coraz bardziej. Zapanowało podniecenie, które udzieliło się całemu niewielkiemu miastu.

Witold Staniewicz objął w tym czasie stanowisko Rektora po spokojnym i cichym profesorze anatomii dr. K. Opoczyńskim. Od razu zajął postawę czynną w stosunku do sprzecznych prądów, nurtujących wileńskie środowisko akademickie. Nie zarządzeniami administracyjnymi, lecz osobistym wpływem, perswazją, bezpośrednim kontaktem z przywódcami ścierających się grup, usiłował zapobiec walce i ekstremistycznym wybrykom, naruszającym normalny bieg zajęć naukowych. Przeciwstawił się w szczególności akcji grup nacjonalistycznych, „pałkarskimi" metodami domagających się wprowadzenia ograniczeń dla Żydów, tzw. *numerus clausus*.

Na przeciwnym skrzydle masy akademickiej działała silna grupa ujawniająca w swoich wystąpieniach i publikacjach skrajnie lewicowe tendencje. Przywódca jej, *Henryk Dembiński* posiadał klasyczne cechy politycznego działacza i należał niewątpliwie do najzdolniejszych przedstawicieli swego pokolenia. Wielu wybitnych członków tej grupy, po bezowocnych poszukiwaniach własnych dróg, po procesach skazaniach i uniewinnieniach w sądach polskich, wylądowała — jeżeli już przedtem tam nie tkwiła — w partii komunistycznej. Główni sztabowcy grupy —

Jędrychowski, Petrusewicz, Putrament, Sztachelski i inni znaleźli spełnienie swoich młodocianych rojeń w systemie Bieruta, potem Gomułki w PRL.

Według świadectwa jego przyjaciół, wstąpił do partii komunistycznej w roku 1936 również Dembiński, lecz na tym też skończyła się jego rola polityczna. Spotkawszy mnie w Wilnie we wrześniu 1939 roku, powiedział: „Panie Redaktorze, niech Pan tu nie zostaje. Ja też im zejdę z oczu, oni nawet mnie tolerować nie będą". Zapadł w głuszy białoruskiej, lecz nie zdołał umknąć przed Niemcami w 1941 roku i został rozstrzelany. Ze swoim temperamentem politycznym i dynamiczną naturą, okresu stalinowskiego w ZSSR zapewne by nie przetrwał.

Staniewicz i demokraci wileńscy robili co mogli by tę grupę zdolnych młodzieńców utrzymać w granicach lojalności wobec państwa polskiego, nie krępując ich radykalnych ambicji i haseł. W naszym pojęciu Rubikonem był nie stopień społecznego radykalizmu, lecz poddanie się kierownictwu partii komunistycznej, jako ramienia Moskwy. W stosunku do paru już zaangażowanych komunistów te próby były bezcelowe. Ale większość orientowała się na Dembińskiego, który odbywał długą drogę od katolickiego „Odrodzenia", zanim, wstępując do partii komunistycznej, Rubikon przekroczył.

Trudno wydać dziś ostateczny sąd w jakim stopniu ta dezercja — bez walki od wewnątrz z „polskim faszyzmem" — grupy zdolnych i aktywnych przedstawicieli nowego pokolenia była nieunikniona. Dotychczasowe relacje o przebytym przez nich procesie ideowym i psychologicznym są zbyt jednostronne, aby móc na nich sąd oprzeć. W rozmowach londyńskich ze Staniewiczem po wielu latach od owych wydarzeń bliscy byliśmy do przyjęcia hipotezy, że na ostateczny wybór drogi Dembińskiego i wielu jego przyjaciół w niemałym stopniu zaważył wyraźny zakręt na prawo wewnętrznej polityki państwowej w okresie tzw. Ozonu. Radykalne i reformatorskie społeczne wizje tej grupy oraz jej duża dynamika działania, nie mogły znaleźć ujścia w ówczesnej polskiej stagnacji politycznej, ześlizgującej się coraz bardziej ku społecznej i nacjonalistycznej prawicy.

◆

Z postawy moralnej i z tradycji rodzinnej wypływała inna jeszcze, nie często u Polaków spotykana, cecha Witolda Staniewicza: jednakowy *przychylny stosunek do każdego człowieka, niezależnie od jego przynależności narodowej lub wyznaniowej*. Nie tylko w kontakcie osobistym, ale również w traktowaniu ich spraw i interesów, w publicystyce, polityce rolnej, a szczególnie na sta-

nowisku rektora był on jednakowo dostępny, życzliwy i bezstronny dla wszystkich różnonarodowych studentów USB. Tak częsty u Polaków wyraz „Żydek", odczuwany przez Żydów jako lekceważenie czy nawet gorzej, nigdy chyba nie padł z jego ust.

Staniewicz wyrósł na mieszanym narodowo terenie. W pow. Trockim czy Święciańskim miał dokoła siebie ludność w większości litewską. Liczne odgałęzienia jego rodu zamieszkiwały na Żmudzi i tzw. Aksztocie (od litewskiego słowa „Aukštas" — wysoki). Miał też wśród swoich przodków sporo ludzi zasłużonych dla kultury litewskiej, jak *Szymon Staniewicz,* wychowanek w początkach XIX wieku Uniwersytetu Wileńskiego, pisarz w języku polskim i litewskim i tłumacz, autor zbioru żmudzkich pieśni gminnych, wydanych drukiem w języku litewskim; jak *Emeryk Staniewicz,* w tymże okresie zamieszkały w Wilnie autor „Śpiewów ludu litewskiego" w języku litewskim, przełożonych następnie na język polski i drukowanych w „Tygodniku Wileńskim". Po tych dziadach i pradziadach miał też Witold Staniewicz dużo sympatii do ruchu litewskiego. W okresie ciężkich sporów i napięcia złych uczuć pomiędzy Litwinami a Polakami usiłował zawsze wpływać mitygująco, w duchu pojednawczym na obie strony.

W latach I wojny światowej, gdy był sekretarzem Komitetu Polskiego w Wilnie, zetknął się bliżej z kilku ludźmi, w których znalazł podobne do własnych poglądy, uczucia i reakcje na zjawiska i prądy owej epoki. Wszedł odtąd w krąg dyskusji i działania dość licznej inteligenckiej grupy ludzi zwanych Demokratami lub Federalistami wileńskimi. Mieli oni własną ideę rozwiązania problemu przyszłości wielkiego kraju, który w ciągu kilku wieków istniał, jako odrębny organizm państwowy, nazywał się Wielkim Księstwem Litewskim i stanowił północno-wschodnią część Rzeczpospolitej. Była to koncepcja romantyczna, raczej wizja polityczna, niż praktyczny program na dzisiaj.

Wizja polityczna

Podczas I wojny światowej, od września 1915 do stycznia 1919 Wilno znajdowało się pod okupacją niemiecką. Polityka niemiecka na tych ziemiach, po początkowych wahaniach („Wilno — perła korony polskiej" w odezwie gen. hr. Pfeil'a po wejściu wojsk niemieckich do Wilna w sierpniu 1915), wzięła kurs wyraźnie antypolski. Aspiracje Litwinów i Białorusinów były popierane o tyle, o ile otwierały szanse na protektorat niemiecki nad tym krajem. Ale faktyczny stan sił czynił dla władz okupacyjnych rzeczą jasną, że bez czy przeciwko Polakom trudno jest

rządzić w Wilnie (Memoriał von Beckerath'a, szefa administracji okupacyjnej z r. 1916). Musieli Niemcy korzystać w niektórych zadaniach administracyjnych z jedynego elementu miejscowego, który był do tego zdolny. Wytworzyła się z biegiem czasu w Wilnie pewna sfera swobody działania, w której życie polskie zaczęło się intensywnie organizować i, w miarę niepowodzeń wojennych Niemiec, nabierać rozmachu. Żywe źródło wileńskie — to co Staniewicz niejednokrotnie określał jako *genius loci* — zaczęło bić silnym tętnem.

Początkowe próby współdziałania z innymi grupami narodowymi zawiodły — w niemałej mierze z winy polskiej[2]. Powstały oddzielne komitety narodowe, z których Komitet Polski wkrótce zyskał sobie duży autorytet jako reprezentacja interesów i dążeń społeczeństwa polskiego. Komitet wydawał nieoficjalnie własny biuletyn, a w roku 1917 rozpoczął akcję polityczną, składając władzom Ober-Ostu memoriały i postulaty, wysyłając depesze do rządu niemieckiego i utrzymując kontakt z władzami i partiami polskimi w Królestwie. Najważniejszym krokiem Komitetu była tzw. „Deklaracja 44-ch" z dnia 26 maja 1917 roku, podpisana przez cały Komitet i innych działaczy miejscowych, z wyjątkiem skrajnej lewicy. Deklaracja stawała na gruncie niepodzielności państwowej terytorium b. W. Ks. Litewskiego, wysuwając dwa warunki: uznanie równorzędności politycznej elementu polskiego z białoruskim i litewskim i zawarcie przez restytuowane państwo bliższych związków z organizującym się państwem polskim.

Deklaracja 44-ch (której Staniewicz nie mógł podpisać, gdyż w tym czasie władze okupacyjne zakazały mu opuszczać Ginejciszek w Trockim powiecie) była sukcesem grupy demokratów, bo zawierała w sobie bazę ich historycznej federacyjnej idei. Również stronnictwa polskie w Królestwie stanęły pierwotnie na tym gruncie. Później, pod wpływem wielu przyczyn, to stanowisko Komitetu Polskiego w Wilnie uległo znacznemu zróżniczkowaniu.

Idei tej, zwanej także *krajową,* nikt szczegółowo nie formułował ani w paragrafy nie układał. O jej genezie pisał w V tomie „Almae Martis Vilnensis" prof. Zygmunt Jundziłł w swoich wspomnieniach, oraz niżej podpisany w „Posłowiu" do tych wspomnień[3]. U podstawy tej idei leżało przekonanie, że elementy geopolityczne, cywilizacyjne i gospodarcze, które spowodowały utrzymanie się w pewnych granicach W. Ks. Litewskiego, jako odrębnego organizmu państwowego, działają w wieku XX tak

2. Pisze o tym prof. Zygmunt Jundziłł w artykule „Wileńsko-Kowieński Komitet Obywatelski" w *Niepodległości,* Nr VI z roku 1959.

3. „Z dziejów polskiej myśli politycznej na ziemiach b. W. Ks. Litewskiego. — Prace zebrane, Londyn, 1958 i „posłowie" K. Okulicza.

samo jak działały w wieku XVI. Zmieniło się tylko oblicze elementu ludnościowego. Różnojęzyczna ludność tego kraju, o przewadze białoruskiego i litewskiego języka, nie posiadała dawniej poczucia odrębności narodowej. Litwinami nazywali się wszyscy prócz Żydów, mieszkańcy W. Ks. Litewskiego, od W. Księcia Witolda do Mickiewicza i Orzeszkowej, choć mówili różnymi językami. *Prof. Władysław Wielhorski* w ostatniej swej pracy[4], opierając się na źródłowych badaniach, udowadnia, że

„Polskość rozkrzewiła się i w Litwie i na Rusi Litewskiej w swej znakomitej większości na pniu tubylczym, litewskim lub ruskim. Przedstawiała przeto nie przedłużenie polskości wwiezionej z rodzinami przybyszy, lecz odmianę życia duchowego, utworzoną na miejscu, z własnej woli i inicjatywy tubylców".

Emancypacja narodowa grup etnicznych, ulegających dotąd dominującej kulturze polskiej, wzbogaciła i rozszerzyła społecznie kulturę całego kraju, ale jednocześnie rozbudziła antagonizmy narodowe i zrodziła walki o podział kraju narodowo — niejednolitego.

Demokraci wileńscy, po wycofaniu się władz rosyjskich, a zwłaszcza po rewolucji marcowej w Rosji, mieli na oku przygotować się wespół z przedstawicielami innych narodów miejscowych, *do objęcia wspólnie władzy nad krajem* w celu restytucji we współczesnej formie rozszarpanego przez Rosję W. Ks. Litewskiego, uzyskania uznania tego faktu przez zwycięzców i wejścia we współczesnej formie rozszarpanego przez Rosję W. Ks. Liteworaz, ewentualnie, z państwami bałtyckimi i Ukrainą. Koncepcja ta nie ujrzała światła dziennego, gdyż aspiracje młodych narodowych ruchów, nieufne wobec polskich projektów, szły w przeciwnym kierunku i były w swoich odśrodkowych, dezintegracyjnych tendencjach zachęcane i popierane przez okupantów niemieckich.

Z wileńskimi demokratami sympatyzowało *politycznie* liczne grono konserwatystów miejscowych, nie ulegających wpływom Narodowej Demokracji. Byli wśród nich ludzie o dużych politycznych uzdolnieniach, jak np. Aleksander Chomiński, Stanisław Kognowicki, Stanisław Mackiewicz, Aleksander Meysztowicz, ks. Eustachy Sapieha, hr. Marian Broel-Plater, Roman Skirmuntt. Również poza krajem, w Petersburgu i Moskwie sprzyjali koncepcji demokratów wileńskich działacze polscy, jak gen. Babiański, Aleksander Lednicki, Stefan Mickiewicz, ks. arcybiskup baron Edward Roop, a w Republice Litewskiej cały prawie Komitet Polski w Kownie z Eugeniuszem Romerem na czele.

4. „Stosunki językowe, wyznaniowe i etniczne w W. Ks. Litewskim pomiędzy XIII a XVIII wiekiem" — tom XIII *Tek historycznych*, Londyn.

Ale pomiędzy wileńskimi demokratami a konserwatystami istniała zasadnicza różnica w praktycznym pojmowaniu idei krajowej. Konserwatyści chcieli ją budować na tradycji szlacheckiej i przewadze pozycji społecznej i gospodarczej warstwy ziemiańskiej. Ich zabiegi w końcu wojny w kołach politycznych Paryża i Londynu wzbudziły tam później przekonanie, że cała polityka wschodnia Piłsudskiego jest inspirowana przez zakorzenione na wschodzie interesy tej klasy. Demokraci czynili bazą swoich zamierzeń demokratyczne chłopsko-mieszczańsko-inteligenckie elementy polskie, równoległe *socjalnie* do emancypujących się tych samych elementów litewskich i białoruskich. Siłę polityczną tych demokratycznych elementów polskich demokraci znacznie przeceniali.

Współpraca tych dwóch odłamów polskiej opinii politycznej mogła obejmować tylko polityczną stronę zagadnień i, po zdecydowaniu w r. 1922 losu Wileńszczyzny, praktycznie prawie już nie istniała. Stanisław Mackiewicz, utalentowany publicysta i polityk, rozumowo bliski poglądom demokratów, emocjonalnie i społecznie był związany z konserwatystami.

Demokraci wileńscy mieli zupełnie szczery stosunek do białoruskich i litewskich aspiracji na tym terytorium. W kręgu ich myślenia politycznego nie leżało dążenie do dominacji kultury polskiej w przyszłym państwie. Stali jednak mocno na zasadzie równorzędności politycznej trzech elementów miejscowych w jego tworzeniu. Państwo to miałoby składać się z trzech kantonów — białoruskiego, litewskiego i polskiego — ze wspólną stolicą w Wilnie i zabezpieczeniem praw każdej narodowości na całym terytorium.

Żydów uważali demokraci w zasadzie za czwartą narodowość miejscową, której autonomia narodowo-wyznaniowa miałaby zapewnić stosowny udział w rządzeniu państwem na równi z trzema innymi grupami. Ten punkt widzenia napotykał krytykę ze strony niektórych demokratów ze względu na trudność pozyskania dla tej koncepcji szerszego ogółu, co by tylko wzmocniło wpływy Narodowej Demokracji. Ze strony Żydów, zarówno syjonistów jak i socjalistów, projekty te traktowane były z niedowierzaniem, z wyjątkiem jednej dość silnej grupy, Żydowskiej Partii Demokratycznej, z wybitnym działaczem dr. Szabadem na czele.

Postulat polskich federalistów zawarcia przez trzykantonalne państwo wielko-litewskie bliższych związków z państwem polskim również nie wynikał z perfidnego zamiaru uzależnienia go *de facto* od Polski i podboju młodych kultur przez kulturę polską. Motywem głównym była potrzeba oparcia tego eksperymentalnego tworu państwowego o jakiś silniejszy organizm zainteresowany

w jego istnieniu. Nie mogła nim być, oczywiście, Rosja ani Niemcy, jako siły wrogie tej koncepcji, lecz tylko Polska silna ekonomicznie i militarnie i rządzona przez demokratyczną lecz sprężystą władzę. Demokraci wileńscy w swoim optymiźmie nie przewidzieli jak niedojrzałe okaże się wkrótce „ludowładztwo" w Polsce i jak dalece ciasno-nacjonalistyczny i pozbawiony polotu styl zapanuje w polityce polskiej w ostatnich latach przed II wojną w stosunku do narodów pobratymczych.

Idea demokratów wileńskich spotkała się już w toku I wojny światowej z analogicznymi wąsko-nacjonalistycznymi dążeniami tych narodów. Stawiając sobie za cel stworzenie ekskluzywnie narodowych państw na terenie z mieszaną ludnością, każda z grup narodowych pretendowała do Wilna jako stolicy swego *narodowego* państwa oraz do wielkiego obszaru etnicznie w większości obcego. Obydwie grupy, litewska i białoruska odrzucały zasadę równorzędności grupy polskiej na tym terytorium, traktując ją jako grupę mniejszościową, napływową; nie godziły się również na bliższy związek z Polską. W następstwie rozejmu z ZSSR w 1920 roku i późniejszego pokoju ryskiego, *polityczny* problem białoruski wypadł z rąk polskich i stał jednym z instrumentów polityki Moskwy. Działacze białoruscy po polskiej stronie dali się wciągnąć w chłopsko-rewolucyjny ruch „Biełaruskiej Hromady", kierowanej z Mińska. W latach 30-ych władze polskie przez aresztowanie przywódców i skazanie ich w słynnym procesie, ruch ten poskromiły. Zwolnieni wkrótce przywódcy uszli do Białorusi Sowieckiej, gdzie ich po pewnym czasie wytępiły „czystki" stalinowskie za „odchylenia burżuazyjno-narodowe".

Pozostał problem stosunków polsko-litewskich, który już od 1917 roku zajmował głównie środowisko demokratów wileńskich. W pertraktacjach z Litwinami Staniewicz brał udział wielokrotnie, z wyjątkiem okresu kiedy był ministrem. Już w końcu grudnia 1918 roku, przed wycofaniem się Niemców z Wileńszczyzny, czterech przedstawicieli Komitetu Polskiego w Wilnie — Witold Abramowicz, Ludwik Chomiński, Zygmunt Jundziłł i Witold Staniewicz — proponowało członkom rządu litewskiego zorganizowanie wspólnej obrony kraju przed nadciągającymi bolszewikami, zanim wojska polskie i litewskie nie nadejdą ze wsparciem. Ta manifestacja orężnego współdziałania przeciwko wspólnemu najeźdźcy miałaby, zdaniem polskich negocjatorów, ogromne znaczenie psychologiczne i polityczne. Litwini postawili warunki przesądzające podział kraju i przerwali rozmowy, wycofując się do Kowna i zostawiając na stole obrad kartkę z protestem przeciwko obronie Wilna przez Polaków bez upoważnienia rządu litewskiego.

Odrębnym epizodem cząstkowego rozwiązania problemu polsko-litewskiego była koncepcja marszałka Piłsudskiego stworzenia *de facto kantonu polskiego* w Wilnie, który by swoim istnieniem zmusił Litwinów do zejścia ze stanowiska bezkompromisowego na płaszczyznę realnych rozwiązań. Ale była to już częściowo interwencja *zewnętrzno-polska,* wykonana niezdarnie i niekonsekwentnie, w atmosferze niesprzyjającej. (Dzieje tego epizodu naszkicowałem po krótce w artykule „Ostatni akt dramatu Józefa Piłsudskiego" w zeszycie 9-ym *Zeszytów historycznych,* Instytut Literacki, rok 1966).

◆

Szczegółowe roztrząsanie zagadnienia ziem b. W. Ks. Litewskiego w latach 1917-40 nie wchodzi w zakres niniejszego wspomnienia. Mowa tu o tym tyle tylko, aby zakreślić wyraźnie wizję polityczną grupy działaczy z Litwy Historycznej, do której Witold Staniewicz należał i z nią współdziałał.

Wbrew licznym opiniom, wizja ta, którą w dużym stopniu kierował się w swoich ambitnych działaniach na wschodzie Józef Piłsudski w latach 1918-1920, nie była bynajmniej nierealna i marzycielska. Przeciwdziałali jej wprawdzie zgodnie i zwycięzcy i zwyciężeni — Niemcy i alianci — oraz polskie czynniki nacjonalistyczne. Ale momentem rozstrzygającym było *niepowodzenie wyprawy kijowskiej,* militarne i polityczne. Utrzymanie się wobec Rosji państwa ukraińskiego w sojuszu z Polską i *przezwyciężenie zadawnionych antagonizmów socjalnych* polsko-ukraińskich obaliłoby wszystkie przeszkody piętrzące się przed rozwiązaniem problemu wielkiego terytorium pomiędzy Niemcami a Rosją *etniczną* po myśli wspólnych interesów zamieszkujących ten obszar narodów. Zawiedli w powszechnym porywie obydwaj partnerzy — i Polacy i Ukraińcy. Stanął pomiędzy nimi duch nie kasztelana Bieniewskiego lecz Jaremy Wiśniowieckiego.

◆

Staniewicz nigdy nie tracił nadziei na wielkie przemiany na wschodzie Europy, podczas których wspólny interes skłoni Litwinów do porozumienia i zbliżenia z Polską. Aż do wybuchu II wojny utrzymywał stosunki z działaczami litewskimi w Wilnie, wykonując zalecenie marszałka Piłsudskiego dane mu niedługo przed śmiercią. Epilog tych usiłowań na drobnym już odcinku nastąpił w r. 1940 w przededniu sowietyzacji Republiki Litewskiej. Po oddaniu przez Moskwę Wilna ze skrawkiem zaledwie terytorium przyznanego jej poprzednio w traktacie pokojowym z 12 lipca 1920 roku, z inicjatywy kilku działaczy polskich (Krzyżanowski, Jundziłł, Staniewicz) i litewskich (Slezevicius, M. Romer,

Vileisis) odbyło się najpierw w Kownie, a potem w Wilnie kilkanaście spotkań polsko-litewskich. Brali w nich udział najwybitniejsi politycy litewscy i polscy wileńscy demokraci i bezpartyjni (z demokratami, trzeba tu nadmienić zawsze współdziałali wileńscy przywódcy P.P.S. — Bagiński, Czyż, Godwod, Kulikowski i inni). Tematem dyskusji było pierwotnie ułożenie stosunków polsko-litewskich w nowo wytworzonej sytuacji, nie przesądzając jej ostatecznego uregulowania. Później dyskusja rozszerzyła się na całokształt zagadnienia polsko-litewskiego.

Starły się ponownie na tych zebraniach dwie różne koncepcje: ekskluzywnie narodowa, litewska, i krajowa, polska. Pomiędzy nimi nie wykazała dyskusja żadnych punktów stycznych żadnych możliwości przerzucenia mostów.

„Teza litewska — pisałem w swoim „Posłowiu" do wspomnień Z. Jundziłła — była bezkompromisowa: państwo narodowo-litewskie i zlitewszczenie miejscowego elementu polskiego, jako wyrosłego z etnicznego podłoża litewskiego; polska kultura, genetycznie szlachecka, ma ulec litewskiej kulturze ludowej; miejscowi Polacy, a zwłaszcza demokraci, powinni włączyć się do tego nieuniknionego procesu..."

Bezpłodne, jak się okazało, rozmowy przerwało nagle ponowne wkroczenie wojsk sowieckich pod zmyślonym pretekstem złamania przez Litwinów układu z 10. X. 1939, sowietyzacja i włączenie Republiki Litewskiej do ZSSR.

Byłem w owym okresie 1939-40 w niemal codziennym kontakcie z Witoldem Staniewiczem i Bronisławem Krzyżanowskim, prezesem tajnego Komitetu Polskiego, najwybitniejszym umysłem politycznym wśród wileńskich demokratów. Staniewicz przeżywał upadek rodzinnego kraju nadzwyczaj żywo. Do ostatniego niemal dnia przed wkroczeniem wojsk sowieckich kierował faktycznie wychodzącym jeszcze pod cenzurą litewską „Kurierem Wileńskim". Wrodzony optymizm podpowiadał mu myśl, że i tym razem powtórzy się, być może, kolejność wydarzeń z lat I wojny światowej: konflikt zbrojny niemiecko-rosyjski, rewolucja antybolszewicka w Rosji, okupacja niemiecka i, w końcu, klęska Niemiec z ręki zachodnich aliantów, dająca ponowną szansę narodom pomiędzy Niemcami a Rosją właściwą do zorganizowania się i utrwalenia swego niezależnego bytu. Chciałem i ja w to wierzyć. Ale Krzyżanowski odnosił się sceptycznie do tych naszych spekulacji. W jakiś czas później, powiedział mi:

„Trzeba się raczej liczyć z bardzo długim okresem panowania bolszewizmu we wschodniej Europie. Tu nikt z zachodnich narodów regulować stosunków nie będzie. Ten kraj będzie musiał przetrwać te czasy o własnych siłach, ale duchowo, wewnętrznie, bolszewizmu nie przyjmie. Nastąpi tu zapewne jakieś wyrównanie socjalne, naszym, niestety, kosztem. Ale, być może, ułatwi to w końcu stosunki Polaków z naszymi Białorusinami i Litwinami — choć może, bez nas..."

Przekonałem się z biegiem lat, że Krzyżanowski przewidywał wówczas trafnie.

◆

Demokraci wileńscy nie schodzili z widowni ideowej bezpotomnie. Wśród młodszego pokolenia, które już przed wojną weszło do czynnego życia, było wielu zwolenników i sympatyków idei krajowej, jako wyrazu prądów integracyjnych w polityce i gospodarce publicznej. Poważnym ośrodkiem dyskusyjnym tych zagadnień stał się założony przez grupę wychowanków USB „Klub Włóczęgów" w Wilnie. Staniewicz był bardzo czynnym protektorem, a wielu demokratów nosiło tytuł „starszych" (o ile pamiętam) tej organizacji. Z „Klubu Włóczęgów" wyszło w świat wielu zdolnych i czynnych naukowo lub społecznie ludzi, m.in. profesorów, jak Niewodniczański, Poczobut-Odlanicki, Sukiennicki, Swianiewicz, Wysłouch; administratorów, jak Nagurski, wojskowych i polityków, jak Zabielski. Wojna i jej skutki zrujnowała wszystkie te pepiniery politycznego myślenia. Ale sama idea, zbudowana na dalekowzrocznych i pragmatycznych przesłankach, nie zmartwiała. Kiedyś, gdy wspólny interes mieszkańców tego kraju nakaże im przemóc anachroniczne egoizmy narodowe, przyjść może i na nią czas.

Roboty ściśle politycznej, w stylu wiecowo-kuluarowym, Staniewicz nie lubił. Nie odpowiadała ona jego zainteresowaniom ani kryteriom moralnym. Dwukrotnie był członkiem organizacji partyjnej. W okresie Litwy Środkowej wraz z kilku demokratami przeszczepił na grunt wileński autonomiczną grupę Polskiego Stronnictwa Ludowego w celu rozbudzenia w tej wielkiej ludowej partii zainteresowania i zrozumienia dla zagadnień wschodnich. Ale ta współpraca urwała się wkrótce — analogicznie jak to było w Sejmie polskim z grupą inteligentów-demokratów, którzy w roku 1925 opuścili stronnictwa ludowe, nie godząc się z ich polityką klasową. Po roku 1926 Staniewicz, będąc posłem na Sejm, należał do BBWR w wyniku swego stosunku do marszałka Piłsudskiego, w którego autorytet bezwzględnie wierzył i był my bardzo oddany. Nie był jednak bezkrytyczny w stosunku do wewnętrznej polityki Piłsudskiego, zwłaszcza jego wykonawców i następców. W roku 1930, wraz ze Zdzisławem Lechnickim i prof. Adamem Krzyżanowskim złożył mandat poselski z powodu sprawy brzeskiej, nie krył się też z potępieniem tzw. pacyfikacji w Galicji wschodniej i — w kilka lat później — utworzenia obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej.

◆

Gdy w roku 1963 odwiedził nas w Londynie, był, pomimo 76 lat, taki sam żywy, szybki, wydajny i serdeczny, jak niegdyś. Wygłosił kilka odczytów, wniósł w nasze sterane środowisko emigracyjne nowy zasób swego pogodnego, optymistycznego stosunku do współczesnego świata. Był dumny z syna, Restytuta, który właśnie w tym czasie habilitował się w naukach historycznych. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że ta wizyta będzie zarazem pożegnaniem. Krótka wiadomość telegraficzna, otrzymana 14 lipca 1966 w południe, przyniosła mi przejmujące uczucie, że tam daleko odszedł nagle ktoś bardzo bliski.

Pogrzeb Witolda Staniewicza w Poznaniu był wielką manifestacją sympatii, wdzięczności i wysokiej oceny wielkiego dzieła jego życia. Ale serce zostawił w kraju swego dzieciństwa i młodości — w Wilnie.

Kazimierz OKULICZ

TOM CXXIX BIBLIOTEKI «KULTURY»

BORYS LEWIĆKYJ

POLITYKA NARODOWOŚCIOWA W ZSSR

w okresie Chruszczowa

Przekład z niemieckiego Mieczysława Zarzyckiego

POSŁOWIE WSEWOŁODA HOŁUBNYCZEGO

Str. 312. Cena 16,50 F. (dol. 3,50; 24/6)

Sprawy i troski

Mazowiecka Hindmarsh Island

Za siedmioma morzami, górami, lasami, hen daleko na końcu świata i jeszcze z wejściem od tyłu, gdzie Murray wpada do Oceanu Południowego jest sobie skrawek polskiej ziemi.

Murray dla Australii to niemal Nil dla Egiptu. I jedyna i życiodajna. Woda jest problemem tego najsuchszego kontynentu świata, a zwłaszcza pustynnej Południowej Australii, o wyschniętym sercu lądu już nie mówiąc. Toteż nie wolno bez potrzeby uronić morzu ani kropli słodkiej wody. Ujście Murray — 50 mil od stolicy stanowej Adelaide zamykają tamy, utrzymując poziom olbrzymiego zalewu — Alexandrina Lake. I na tym jeziorze jest wyspa (Hindmarsh Island — od nazwiska pierwszego gubernatora kolonii; około 25 mil kw.). A na tej wyspie — „Mazowsze". Harcerska Stanica. Laski i piaski. Nie zwykły australijski „bush" — a sosny. Nie ludzką a Boską ręką zasiane. Młode — jak w Polsce, stare — jak straszydła, czarne od tysięcy szyszek co latami na gałęziach siedzą — czy to z braku mrozu, czy wiosennym słońcem żywcem zapieczone?

Siedzę sobie samiuśka na tym zakąciu świata, patrzę na ugór, gdzie przysiadł klucz jakichś dużych brodźców, na szaro-koralowe papugi sfruwające z samotnej sosny, spoglądam na jezioro ze stadem wodnych kurek, przemykających w szuwarach, dwa pelikany polują na śniadanie, „flotylla" czarnych łabędzi sunie majestatycznie ignorując wyniośle moją obecność i... piszę do samego Paryża!

Do Australii przyjechaliśmy w 1949 roku jako „prawidłowi" *Displaced Persons* z Niemiec na koszt UNRRA i rządu australijskiego. Podróż na „Nelly", acz niechętnie, muszę zaliczyć do bardziej komfortowych niż Pana Balcera do Brazylii; chociaż „dipisi" na wielu innych statkach jechali jak turyści. Wiem, że przesadzam, bo źle znoszę podróże na morzu, lądzie (spaliny) i w powietrzu, a jeszcze byłam pewna, że urodzi nam się Andrzej lub Barbara. Na blisko 1800 ludzi z załogą mieliśmy aż 400 tabletek na morską chorobę. Doktor okrętowy, Włoch, osobiście opluwał podłogę przepełnionego zawsze szpitalika. Kilkaset dzieci obsypanych było wielkimi krostami. Dwom osobom wyprawiono pogrzeb.

Towarzysz podróży, znajomy lekarz z Węgier, wspierał mnie tabletkami z prywatnej apteczki.

Wybraliśmy Adelajdę na miejsce zamieszkania. Mimo najwyższych skrajnych temperatur klimat tu stosunkowo najsuchszy. Mąż miał zbyt świeże zwapnienia po obozach koncentracyjnych. Trzeba było uważać.

Urocze to miasto, trzecie co do wielkości (chociaż po Sydney i Melbourne

długo, długo nic) oblane jest morzem od zachodu, odgrodzone górami od pd. wschodu. Rozrasta się więc stale ku północy i wspina coraz wyżej na zbocza. Z Mount Lofty rozciąga się niezapomniany widok na miasto w dzień, i na morze świateł w nocy *(City Lights)*. Śródmieście otoczone jest z czterech stron zieleńcami tzw. *green belts*. Mamy też swoją Quartier Latin na North Terrace. I premiera, liberała, co rządził Południową Australią nieprzerwane dwadzieścia siedem lat! Naturalnie, coraz częściej zapominał, choćby z grzeczności, pytać się o zdanie. Chłop zacny, gospodarz zapobiegliwy, ale uparł się, że póki jego królowania, póty nie wolno się zakładać, ani grać na loterii, ani popijać w barach po godz. 6-ej, w restauracjach tylko wino przy posiłku do 9.30, na balach, z licencją, do 11.30. Policja nauczyła się zaglądać pod stoliki, obwąchiwać filiżanki. Obraził się burmistrz Amsterdamu, jak mu na oficjalnej wizycie u ojców miasta sprzątnięto sprzed nosa napoczęty kieliszek. Obrażają się coraz śmielej Australijczycy podjudzani przez emigrantów, od których nauczyli się dobrze zjeść i wypić. I po prostu przez przekorę, lub że się sprzykrzyło, wybrano rząd socjalistyczny. Ten natychmiast zaczął uchwalać dekrety, przewietrzać zatęchłe prawo. I musi się tak śpieszyć, bo narobił długów i wąpliwe, aby miał szanse podratować reputację w przyszłej kadencji. A zasłużony Ojciec Pd. Australii z niechybną zadrą w sercu zostawił wszystko, i wrócił do swych gajów pomarańczowych, skąd przyszedł.

Polaków obliczamy tu na dobre 8 tysięcy. Podzieliłabym ich na: martwych, letnich i czynnych z garstką „zapędzonych". Pierwsi dla społeczności polskiej — straceni. Drudzy na sprawy organizacyjne obojętni, ale ściągają się, jak rozesłać wici na pospolite ruszenie, i wypełnią po brzegi mury katedry czy ratusza, jak ostatnio na zakończenie obchodów Tysiąclecia; zobaczą słynny film jak np. „Krzyżacy", krzyczą na ważniejszych meczach „Polonii". Nagabywani — wysupłają jakiś grosz na odczepne albo i potrząsną kiesą przy nagłym przypływie jarzębiakowatej fantazji. Odżałują szylinga na polską gazetę.

Ci ostatni wycierają łokcie na zebraniach, komitetach, uczestniczą regularnie w akademiach, należą do jednej, a częściej kilku organizacji jako filary jednych a podpórki drugich, prenumerują polskie pisma. I po latach wiadomo, co można od kogo wymagać znając i tolerując (lub nie) wzajemnie dobre i złe strony. Podziały polityczno-partyjne tracą ciągle na znaczeniu, natomiast występują jaskrawiej różnice w kolorach: biało-czerwoni, bezbarwni i... różowi — z głupoty lub, niestety, świadomie gdyż z cynizmem podtrzymują długoletnie kontakty z placówkami warszawskiego reżymu.

Organizacji polskich mamy blisko dwadzieścia. Podtrzymujemy więc tradycje narodu indywidualistów.

Jedną z bez przerwy od początku pracujących jest harcerstwo; jego to pracą i wysiłkiem powstała i rozwija się Stanica „Mazowsze". We własnym, połaciami jeszcze nie trzebionym lesie stoją dwa domki: w jednym kuchnia z wyposażeniem i przyległościami, w drugim — salka — miejsce zebrań w niepogodę lub pomieszczenie na sprzęt obozowy jak rok okrągły. Trzeci dom stoi nad samą rzeką i teraz właśnie, znowu z motyką ku słońcu wznosi się mury na nowoczesne prysznice i *„sitting room* na 6 osób", jak to nazwał hufcowy, bo istotnie przybytek ten będzie się lepiej prezentował od domu.

A wszystko z wiarą, że nic nigdy by się nie osiągnęło, jeśli wszelkie możliwe do przewidzenia przeszkody musiałyby być najpierw przezwyciężone. O, nie poszło to gładko! Były szepty po kątach, sianie nieufności, nawet oszczerstwa.

Ale że nic tak nie przyciąga jak sukces, coraz więcej ziomków i spoza harcerstwa zaczyna rozumieć znaczenie tych płuc polskiej Adelajdy dla wszystkich naszych dzieci i wnuków. Pomagają czynnie rękami, głową i kieszenią.

Możliwości rozwoju są olbrzymie. W tym roku zostaną spuszczone na wodę cztery własnoręcznie zrobione w kręgu starszoharcerskim kajaki; jest ponton i łódź motorowa (prywatna własność harcerza); idealne warunki dla nart wodnych.

Po raz szósty obóz na Hindmarsh Island będzie rozbrzmiewał polską mową, pieśnią i muzyką. Mieliśmy tu uroczyste msze polowe w stałej kaplicy — jedna z udziałem chóru Adelajdy i grzęznącą w piasku fisharmonią! — poświęcenie sztandaru z wbijaniem gwoździ (mimo filmowania znajdzie się jeszcze miejsce na drzewcu) odprawy, konferencje, pikniki. Obozowali tu skauci australijscy i rosyjscy.

Tak się złożyło, że hufcowy adelajdzki jest „czapką" organizacyjną dla Melbourne i Brisbane.

Chociaż obozy harcerskie wstrzykują naszym dzieciom *polishness* w największych możliwie dawkach, przecież angielszczyzny wyrugować nie są w stanie. Grupka chłopców przed namiotem zawzięcie coś dyskutuje. Zobaczyli zbliżającego się komendanta. — „Uwaga, nadchodzi!... czy wiesz, ja nie myślę, że..." — paplają cośkolwiek. *Gone!... you know...*

Jak my w rozmowach z dziećmi nagminnie wtrącamy angielskie słowa dla lepszego zrozumienia, tak dzieci z obozu używają polskich nabytych pojęć w rozmowach między sobą. *Going to the* n a m i o t? *I have the* w a r t a *to night*. Niektóre znów mazurzą. Z początku myślałam, że naśladują rodziców — ale nie, rodzice nie używają gwary. Trzeba się było napracować, aby w podniosłej chwili przyrzeczenia nie usłyszeć — mam scerą wolę, całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce... być posłusnym prawu harcerskiemu.

Zapytał mnie ostatnio, podczas egzaminów maturalnych, Andrzej. — Mama, gdyby polski był już uznany na równi z francuskim, niemieckim, włoskim, holenderskim, czy myślisz, żebym go zdał? — Nie, synku — odpowiadam z ciężkim sercem. Chłopak zmarkotniał, bo jakże — stypendysta *Commonwealth*'u i ojca czasem zastępuje w sobotnich szkółkach. — Owszem, mógłbyś, pocieszam, tylko musiałbyś przedtem porządnie przysiedzieć fałdów. — Ale ja bym się tak głupio nie zapytał — a z c z e g o b y ł y t e g o ł ą b k i — jak ten maturzysta z Kanady (Mickiewicz w Kanadzie „Kultura", Nr 215), co mi opowiadałaś. Otóż właśnie — musiałam opowiadać, bo Andrzej nie kwapiłby się do czytania sam. Wiadomości sportowe — owszem. Przepraszam — śledzi „Humor krajowy" w „Kulturze" i dzięki p. Zofii Hertz napisał interesujący esej, usiany tymi dowcipami, które mu się dawały przełożyć. Pracę zamieszczono potem w szkolnym „Optimist".

Po co ja to wszystko wypisuję? Oprócz uzasadnienia w tytule chyba po to, że są nie tylko „Cienie nad Australią".

Australijska Polonia weszła na kartki „Kultury" po wizycie warszawskiego emisariusza, posła Frankowskiego. Pisali w tej sprawie osobiście zainteresowani, pisały czynniki urzędowe. Niesławnie to wyszło i huczek się zrobił. Rezultat? Oczyszczenie się atmosfery, co na pewno nie leżało w planach podróżującego faceta.

Nie jesteśmy chyba ani lepsi, ani gorsi od Polaków w innych krajach osiedlenia. Problemy wszędzie podobne, warunki do ich rozwiązywania różne. Na tym lądzie życie polskie zrodziliśmy od początku (coś się tam tliło w Sydney) i jesteśmy bardziej zdani na własne siły. Bije nas olbrzymia odległość od innych skupisk polskich.

W samej Australii tworzymy raczej niezależne stanowe centra; chociaż należymy do Rady Naczelnej w Sydney — rzadkie kontakty przedstawicieli na Zjazd mają znikomy wpływ na bieg życia. Cementuje nas osoba Przewodniczącego, jedynego tu generała z prawdziwego zdarzenia, o łatwym do wymówienia przez obcych nazwisku i pięknej angielszczyznie. Samą obec-

nością dodaje splendoru naszym krajowym uroczystościom i przypomina ich gospodarzom, że nie wypadliśmy sroce spod ogona. Trzeba było widzieć atencję adelajdzkiego arcybiskupa, gdy Generał dziarsko z przyklękiem całując go w pierścień dziękował za udział w millenijnym obchodzie i za kazanie z „żesze Połska nee zgineela!"

Ale największym i trwałym czynnikiem, zespalającym polską Australię, jest tygodniowa prasa z Sydney i Melbourne.

Zofia DEMBSKA

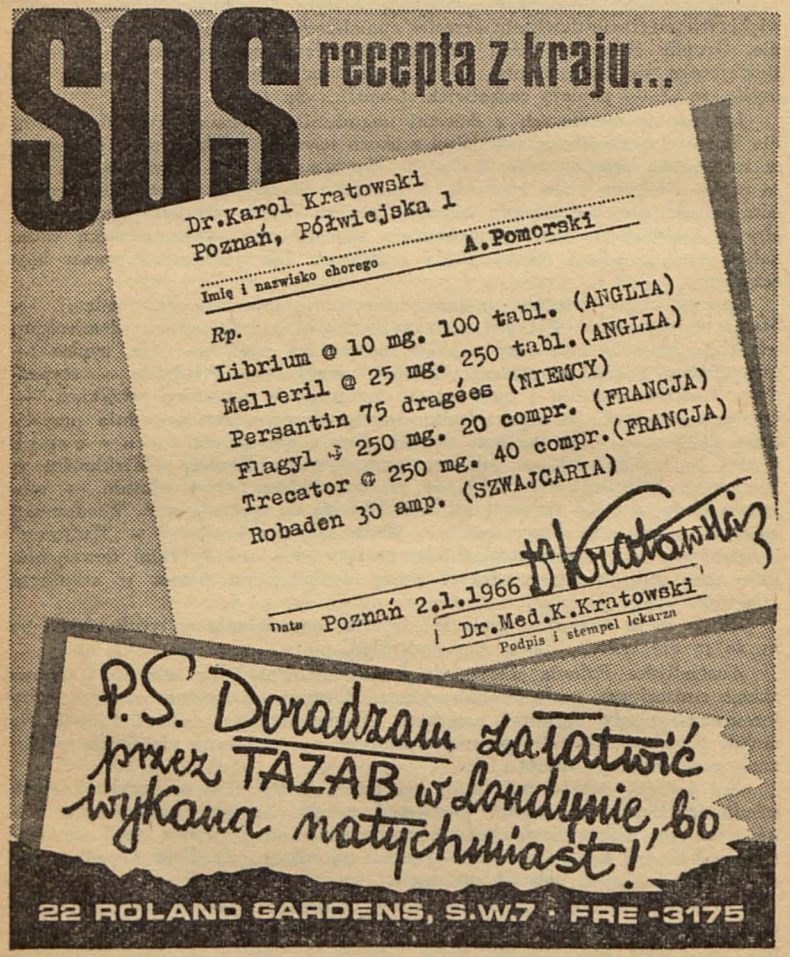

New York. 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Kronika kulturalna

Forma otwarta czyli nie próbujmy bilansu

„Może Pan by pomyślał o zrobieniu bilansu wystaw paryskich..." Pomyśleć, owszem czynię to bardzo chętnie, gdyż przyznaję, że jestem niewolnikiem myślenia, chcę myśleć i nawet gorzej — czasami snobuję się na myślenie, a nuż czasami człowiek tak udając naprawdę coś odnajdzie...? Myślenie to rzecz bardzo nieokreślona, aleatoryczna — należałoby dzisiaj powiedzieć. Pomyśleć, tak sobie, czy coś wymyślić? Dzięki, Panie Redaktorze, za tak luźną sugestię, ale czemu od razu strzelać z dużej armaty — bilans. Ja jestem nie tylko młody, ale i przekorny — wolę formę otwartą, nie tylko że modna (jednak precz z Godardem!), ale i wygodna, niby to tak nowocześnie, a również dyplomatycznie: można uniknąć waloryzacji, zwolnić się z odpowiedzialności. Bo któż to jest dzisiaj mądry w obliczu nieustannie zmieniających się kryteriów? i nie są to tylko kryteria moralno-estetyczne, jak w ciągle nieodżałowanym dziewiętnastym wieku. Dzisiaj mało który z krytyków odważy się wystąpić z pozycji estetycznej — „że to ładne" — niemodne. Dzisiaj socjologia i etnologia, strukturalizm, odwaga intelektualna twórcy i reakcja... Przyznam się Panu że boję się bilansu. I czemu dzisiaj — bo lato i podwójny numer... Bilanse są dzisiaj niemodne, może lepiej — nie mają sensu w obliczu lawiny wydarzeń artystycznych, które wydają się rozsadzać nasze tradycjonalne pojęcia o sztuce i jej miejsce w dzisiejszym społeczeństwie. W dobie nowoczesnego eklektyzmu, eklektyzmu awangardy, robi się „panoramy", „szkicuje obraz", „zdaje relacje". A więc INFLACJA, może wręcz przeciwnie — nadmiar sensacji, nadmiar wydarzeń, który przytłacza nas swoją różnorodnością.

Taka ładna i spokojna paryska wiosna, żadnych skandali na wernisażach w przepięknej dzielnicy Saint-Germain... Czemu by nie pobilansować sobie trochę. Uwaga, mam wizję: a jakby tak się zjawił na końcu sam: Jaśnie Pan Bilans. Zasiada na tronie i rozdaje laurki i medale, świadectwa dojrzałości i piękności.

Kto by przyjmował...? Ot, znowu się zagalopowałem. Przecież to tak nie modne — w dobie pomarańczowych krawatów i żółtych koszul (naprawdę niesamowitym spektaklem jest taki wernisaż u Iolasa, u Sonnabend)! Należy spokojniej, solidniej (czyli tradycyjnie) po prostu omówić, podać materiał w końcu nasz klient to nasz pan, no nie? Ufajmy inteligencji. (Nie własnej, a tak w ogóle).

Akt pierwszy: nowoczesność

Paryscy miłośnicy malarstwa (lub tego co dzisiaj przedstawiane jest jako malarstwo) nie mogą narzekać na brak wrażeń, na monotonność wiosennych wystaw. Już dawno skończyły się czasy, gdy *pop-art* napawał wytrawnych estetów szlachetnym oburzeniem. Dzisiaj przy rue de Seine można zobaczyć „anty-sztukę" i *Art Objectif*. Młode pokolenie trzydziestoletnich twórców, toruje sobie śmiało drogę w tradycjonalnym Paryżu, który jeszcze rok temu denuncjował „antyfrancuską koalicję" Londynu i Nowego Jorku. Grupa artystów tworzących obecnie tak zwaną *école Paris-New York* zajmuje w tym roku poważne miejsce w paryskim życiu artystycznym. Martial Raysse, Niki de Saint-Phalle, Kowalski, Sanejouard, Arman wystawiają w najbardziej znanych paryskich galeriach: Iolas, Claude Bernard, Sonnabend, Stadler. Gdyby chcieć określić zasadnicze cechy tej ostatniej, międzynarodowej awangardy to należałoby na pierwszym miejscu wyjaśnić ich nowy stosunek do dzieła sztuki i wyjątkową wartość, jaką oni przypisują samemu aktu twórczemu, który po części zastępuje dzieło. Przeciwstawiając się zdecydowanie utrwalonym pojęciom, tradycyjnej koncepcji dzieła sztuki, obraz czy kompozycja rzeźbiarska przestaje dla nich być wyrobem, zawierającym pewną ilość wrażeń estetycznych, sumą doznań artystycznych, tym niezbędnym pomostem między doświadczeniem, przeżyciem artysty, a odbiorcą. Ten uprzywilejowany moment piękna, gdy utrwalone w kamieniu, zostaje schwytane przez mistrzowską rękę artysty, zastyga na powierzchni obrazu, by odżyć w wyobraźni odbiorcy, ten moment jest nieistotny. Dla Andy Warhola (jeden z przywódców nowojorskiej awangardy z Greenwich Village) i Martiala Raysse'a, dla *assemblage* Armana sztuka jest przede wszystkim „aktem" — działaniem, pobudzającym reakcję bardziej intelektualną, aniżeli estetyczną, w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Ich dzieła prowokują widza — nie są pomostem, a raczej pierwszym impulsem procesu artystycznego. Neonowe kompozycje Raysse'a są taką samą negacją „dzieła sztuki" (w sensie konsumpcyjnym tego słowa) jak i makrofotografie przestępców Andy Warhola[1]. A więc śmierć sztuki, czy nigdy dotychczas niespotykany optymizm w możliwościach wyobrażeniowych odbiorcy? Mimo tak antyestetycznych założeń, ci młodzi artyści nie mogą się ustrzec porywom pewnego, nowoczesnego romantyzmu, którym nacechowane są spalone rzeźby Armana czy poczynania Piotra Kowalskiego, którego paryskie wystawy są tylko odblaskiem aktywności amerykańskiej, o której obszernie pisała tutejsza prasa artystyczna. Jego oryginalna metoda „wolnej kreacji" (znowu powraca „forma otwarta") uzyskała duży rozgłos po eksperymentach, przeprowadzanych przy użyciu dynamitu. Z okazji międzynarodowego sympozjum rzeźbarzy w Long Beach University (południowa California — lato 1965) stworzył on metalowe rzeźby 7-metrowej wielkości, przy czym do modelowania kilkumilimetrowych listew metalu użył 28 kilogramów dynamitu. Zafascynowanie nowoczesną techniką nie opuszcza Kowalskiego: na wernisażu nowootwartej paryskiej galerii Givaudan artysta pokazał bardzo skomplikowany aparat świetlny, przezroczyste piramidy, kulki i pentagony wypełnione były różnorodnymi gazami, które pod wpływem pól elektro-magnetycznych świeciły różnokolorowym światłem. Poruszając się po ściśle określonych liniach tworzyły one pewien labirynt świetlny, który był ilustracją poetyckiego tekstu „Sisyphe géomètre" Gerasim Luca.

Te wydarzenia plastyczne, jak by nie były dyskusyjne, choćby tylko z punktu widzenia estetyki abstrakcji, pozwalają nam ustalić pewien dystans w stosunku do innych kierunków artystycznych. Stwarzając nowy podział we współczesnej sztuce, pozwalają nam wyodrębnić poszczególne tendencje dzisiejszej abstrakcji, jako krąg, do pewnego stopnia, zamknięty w sobie; nie kwestionując jej możliwości wyrazowych, które dalekie są od wyczerpania, możemy łatwiej ogarnąć całość patrząc się z oddali, choćby z platformy *art objectif*.

Akt drugi: przyzwoita nowoczesność czyli czyste malarstwo

W dziedzinie czystej abstrakcji, w której przyzwyczailiśmy się poruszać zupełnie swobodnie, nie brakowało polskich wystaw w Paryżu. Zasłużonym powodzeniem cieszył się marcowy pokaz dzieł (olej i gwasze) *Andrzeja Glaza*[2]. Ten młody, warszawski plastyk zdobył sobie powoli trwałą pozycję na paryskim rynku. Fakt ten może nas tylko cieszyć, gdyż jest to dobra abstrakcja, posiadająca nie tylko oryginalną i dobrze wypracowaną powierzchnię (na czym często poprzestają paryscy „fabrykanci abstrakcji"), ale głębię psychologiczną i niebanalną treść poetycką. Liryka Andrzeja Glaza jest głębokim przeżyciem, którego artysta umie wydobyć na powierzchnię obrazu. Abstrakcja typowo polska (w obecnych latach), nie zadowalająca się tylko formalną ekwilibrystyką, czy powierzchownym romantyzmem (jak to się wydaje niektórym zachodnim krytykom), ale szukająca głębszych treści — wyrazu. Obrazy Glaza zawierają jeszcze świeżość nieodpartego romantyzmu młodości. Ciekawe rozwiązania kolorystyczne i swo-

1. Wystawa „Dossier 2357" składała się z 22 powiększeń policyjnych zdjęć nowojorskich przestępców (maj 1967 — galerie Sonnabend).

2. Galerie Transposition (132, bd Raspail) marzec 1967.

ista koncepcja przestrzeni: dystans i perspektywa głębi obrazu pozwalają artyście utrwalić pewien moment estetyczny o bardzo specyficznym wyrazie emocjonalnym — Andrzej Glaz posiada już swój własny styl.

Prawdziwym odkryciem polskiego talentu w Paryżu stał się debiut *Henryka Buczkowskiego*[3]. Malarz ten, od kilku lat mieszkający stale w Paryżu jest prawdziwym „francuskim Polakiem": urodzony we Francji udaje się na studia do Polski i potem wraca do swojej nowej ojczyzny, łącząc w ten sposób kulturę i doświadczenia artystyczne obu krajów. Po studiach u Kowalewskiego i Fijałkowskiego, zostaje asystentem tego ostatniego w łódzkiej szkole plastycznej. W Kraju bierze udział w kilku zbiorowych wystawach: w Gdańsku, Łodzi i Warszawie, ale paryski pokaz płócien z ostatnich dwóch lat jest pierwszą samodzielną wystawą Buczkowskiego. Ten bardzo obiecujący debiut pozwolił nam odkryć w przepięknych piwnicach galerii *La Pélerine* (jest to jednocześnie inauguracja tej galerii) prawdziwego malarza, który osiągnął okres świadomej dojrzałości formy i środków plastycznych. Artysta wypowiada się sprecyzowanym zespołem znaków plastycznych, które spotykamy we wszystkich pokazanych kompozycjach. Jest to nie tyle celowa stylizacja ,co świadome ograniczenie środków wyrazowych w celu wydobycia całego bogactwa z pewnego założenia kompozycyjnego. Tak jak kompozytorzy dodekafoniści posługują się serią dźwięków, tak Buczkowski próbuje wszelkich możliwości pewnego, zamkniętego zespołu znaków. Założenie kompozycyjne równa się u niego precyzji budowy, jedności dramatycznej dzieła. 3 kreski — tarcza, znowu kilka pociągnięć pędzlem — opozycja koła. Zawsze te same elementy kompozycyjne i podział obrazu na 2 części, które nie mogłyby istnieć samodzielnie. Spróbujmy postawić obraz do góry nogami — nie można się pomylić: logika tych kompozycji jest wyjątkowo jasna. Po tym wstępie czytelnik mógłby pomyśleć że mowa o jakimś zimnym, geometrycznym formalizmie — bynajmniej! Jest to malarstwo wyjątkowo liryczne, Henryk Buczkowski posiada dużą wrażliwość na promieniowanie farby, na materię. Pociągnięcia pędzlem są szerokie, a jednocześnie bardzo delikatne: każde pasmo kolorowe, każda fałda, posiada swoją oddzielną wibrację powierzchni. Ta „naskórkowość" dzieł Buczkowskiego jest istotnym elementem obrazu i jakby subtelnym wprowadzeniem w tajemnice odczucia materii i światła — dzieło sztuki jest dla niego tak samo wytworem logiki kompozycyjnej jak i emocji wywołanej wibrującymi kolorami. Kompozycje Buczkowskiego są niemniej dojrzałe w kolorystyce co w kompozycji. Subtelność przejść podkreślona jest cienkim podkładem z pokrewnej gamy, delikatny kontrapunkt wprowadza oko widza w tajemnice warstw malarskich, w poszczególne etapy stawania się obrazu. To niekończące się tworzenie lirycznych konstelacji jest nie tylko pięknym, ale przede wszystkim solidnym malarstwem. Jak sam artysta mówi:

3. Galerie La Pélerine (25, rue St-Jacques) 13. 4. - 4. 5. 1967.

„nie może ono być zaskakujące". Te bardzo „przyziemne", czysto plastyczne poszukiwania są pewną zapowiedzą przyszłych sukcesów, sukcesów, które nie będą zależeć od koniunktury dnia, ale od pracy artysty — od siły koncentracji i poetyckiego natężenia dzieła malarskiego. Po udanym debiucie w Nowym Jorku[4] i tej pięknej, paryskiej wystawie możemy tylko oczekiwać nowych sukcesów Henryka Buczkowskiego, który już znalazł swoją drogę i wierzy w sztukę czysto malarską, tę którą starożytni Grecy określali prostym słowem „technos".

Drugim udanym debiutem jest wystawa *Jacka Baszkowskiego*[5]. Jest to malarz tak samo nieznany w Paryżu jak w Warszawie, gdzie obecnie pracuje. Obrazki Baszkowskiego są bardzo małe — zaledwie kilkanaście centymetrów, ale za to jak ciekawe! Ta *mini-peinture* (nie mylić z miniaturą!) jest typowym przykładem malarstwa „metafizycznego", malarstwa przedziwnych nastrojów, onirycznej poezji erotycznego marzenia i tak rzadko spotykanego dzisiaj nasycenia faktury obrazu. Przedziwne postacie, zjawy poetyckiej wyobraźni artysty wyłaniają się z głębi ciemnozielonego półmroku, zza parawanu, na tle mgły, w nierealnych pomieszczeniach, przypominających ostatni film Becket'a „Portret". Poetyka Prousta, zjawy polskiego „postsurealizmu" literackiego (w plastyce). Kilka małych pociągnięć pędzlem i jest już ten niesamowity nastrój, przypominający emocje, które wywołują fantastyczne stwory Lebensteina. Baszkowski jest jednym z tych *petit-maître*, twórczość których zawsze była przywilejem małego grona znawców. Nie uznają oni mody dnia, nie są zależni od opinii „oficjalnej" krytyki. To zupełnie oddzielny świat — ale jak fascynujący! Możliwe, że w tej chwili wystawa w galerii Lambert ma szanse pozyskania dla dzieł Jacka Baszkowskiego szerszego grona amatorów, którzy cenią nie tyle tradycyjne wartości malarskie, co pewien autentyczny posmak „misterium" dzieła sztuki, tego nieuchwytnego momentu komunikacji, poczucia niezwykłości, który potrafi wciągnąć nas w wyimaginowany świat twórczej fantazji. Malarstwo Balthusa i obrazki Monsu Desiderio — do tego świata plastycznego należałoby zaliczyć Baszkowskiego.

Akt trzeci: poezja rzeźby

Rzeźba nigdy nie była jedną z mocnych pozycji polskiej sztuki, tym bardziej musimy się cieszyć sukcesami młodych rzeźbiarzy, których nam nie szczędzi popaździernikowy urodzaj młodych twórców. Co prawda rzadko kiedy wystawiają oni w Paryżu, borykając się nieustannie z trudnościami natury organizacyjnej z jednej strony, nie mając utorowanej drogi z drugiej. Cieszymy się więc podwójnie z ciekawej wystawy jednej z czołowych pol-

4. Galerie Marion Couturier — styczeń.
5. Galerie Lambert — maj.

skich rzeźbiarek młodego pokolenia — *Aliny Szapocznikow*[6]. Zamieszkała od 1964 roku we Francji, wystawia ona często poza Krajem, odnosząc niemałe sukcesy: w roku 1965 otrzymała z rąk Marcel'a Duchamps jedna z najbardziej cenionych na świecie nagród rzeźbiarskich — premię fundacji Copley'a. Tegoroczna wystawa Aliny Szapocznikow nie pozwala nam wyciągnąć głębszych wniosków co do ewolucji jej stylu plastycznego. Jest to pokaz kilku dzieł świadczących o pewnym okresie przejściowym, w którym po kompozytowych rzeźbach *(combine-sculptures)*, rzeźbiarka zdaje się poprzez powrót do pewnego realizmu poetyckiego, szukać odskoczni do następnej fazy. Te kombinacje elementów abstrakcyjnych (bryła granitu) i figuracyjnych (usta) można rozpatrywać dwojako — albo jak swoisty rodzaj *nouvelle figuration* w polsko-romantycznym wydaniu, albo jak metafory plastyczne, których znaczenie jest bardziej interesujące układem aniżeli zewnętrzną treścią, zespoleniem aniżeli semantyką oddzielnie rozpatrywanego składnika formotwórczego. Natężenie poetyckie, liryczny klimat który tworzą te dziwne „kwiaty" i portrety zaciśniętych ust, przerasta daleko ramy prostego *assemblage*. Tak samo jak wybitni poeci potrafią układać wiersze na zasadach czysto muzycznych, tak Alina Szapocznikow podchodzi do materiału rzeźbiarskiego.

W wystawionych dziełach daje się zauważyć pewne dążenie do uproszczenia, do zmniejszenia barokowej dekoracyjności, do której większość współczesnych polskich rzeźbiarzy poczuwa nieodparty pociąg. Wystawa w galerii Houston-Brown jest zapowiedzią nowego stylu, oczekujemy z niecierpliwością dalszego ciągu — realizacji.

Akt czwarty: szaleństwo kiermaszu czyli „Salony"

Aby mieć dokładniejszy obraz „polskiej obecności plastycznej" w Paryżu należałoby uwzględnić wiosenne „salony". Ale poza jedynym *Salon de mai*[7] ten rodzaj wystaw jest godnym pożałowania maratonem optycznym, w którym nawet najbardziej wytrwali krytycy tracą czas i... cierpliwość. Kiedyś, „za dobrych czasów" ukochanego dziewiętnastego stulecia, gdy istniała oficjalna krytyka i oficjalna sztuka, tego typu zabawy społeczeństwa miały sens, z pewnością miały realne miejsce w życiu artystycznym Francji, ale dzisiaj? Niesposób umieścić w jednej sali pięciu „osobowości twórczych", tak, aby ich dzieła nie kłóciły się nawzajem (nie mówiąc już o samych artystach!). Z tych powodów nawet zdolni artyści giną w tej powodzi pseudo-artystycznej tandety, jaką nas zaszczycił kwietniowy *Salon des Artistes Français*. Przerost estetyczny (jeśli można użyć w tym wypadku tego słowa) osiągnął szczyt nonsensu. Nawet tak delikatne, liryczne obrazy

6. Galerie Barbara Nouston-Brown (4, rue Pré-aux-Clercs) — kwiecień.
7. Musée d'Art Moderne de la ville de Paris.

jak pejzaż pani A. Rochowicz giną w tłumie prawdziwych „bohomazów". A szkoda, gdyż obrazy tej malarki, mimo pewnego tradycjonalizmu faktury cézannowskiej, posiadają nieodparte zalety kompozycji i świeżości kolorów.

W salonie majowym, który budzi szacunek prawdziwą konstelacją znanych nazwisk[8], panuje podobny galimatias estetyczny, tyle że na zupełnie innym poziomie. Obrazy najprzeróżniejszych tendencji stylistycznych sąsiadując ze sobą szkodzą sobie, tyle że tym razem... zaletami (o ironio losu!) Nie brak też polskich artystów w tej tak ważnej manifestacji europejskiej plastyki: Jerzy Kujawski[9], Barbara Kwaśniewska, Andrzej Meissner, Krystyna Śmiechowska wystawiają swe dzieła, a także i wybijający się ostatnio swoim sarkastycznym humorem, przedstawiciel *nouvelle figuration*, Maryan[10].

Akt piąty: kto jest „naiwny"?

Przy omawianiu paryskich wydarzeń plastycznych nie można pominąć niesłabnącego w ostatnich latach powodzenia tak zwanych *peintres naifs* — czyli prymitywów w stylu Nikifora i Ociepki. Moda ta osiągnęła jeden ze swoich szczytów w kwietniu, gdy na okres dwóch miesięcy została udostępniona publiczności słynna kolekcja sztuki psychopatologicznej znanego paryskiego malarza Jean Dubuffet[11]. Gdybyśmy byli marksistami, to łatwo nam wydedukować że ilość (zbiorów) przeszła w jakość (zainteresowania i podtekstu estetycznego), niemniej zostawiając spory filozoficzne strukturalistom, należałoby podkreślić nieprzeciętne walory artystyczne tego niezwykłego zbioru dzieł prawdziwych prymitywów lub chorych umysłowo. Znaczenie wystawy „Art Brut" przerasta daleko wszelkie dotychczasowe próby syntezy naszej znajomości o sztuce psychopatologicznej[12].

W cieniu słynnego zbioru Jean Dubuffet'a wyciągnięto na dzienne światło kilka nowych talentów *naifs*. Jednym z ostatnich „mohikanów" w tradycji Douanier-Rousseau jest nasz rodak *Jan Płaskociński*[13]. Szczerość jego kompozycji i niebanalna inwencja plastyczna, pozwalają nam z całą powagą i sympatią potraktować niedzielne *hobby* tego lubelskiego stolarza. Wesołą gamą żółto-niebieskiego kolorytu tworzy on przedziwne ogrody tropikalne, w których spacerują, pogodne jak małe pieski, lwy, Świat niezmąconej techniką, i problematyką współczesnego chaosu, poezji. Chyba naprawdę naiwny. Jakie to ładne!

8. Picasso (specjalna sala grafiki, Miró, Arp, Soulages, Hartung, Cesar, Matta.
9. „Kultura" nr 233, str. 116.
10. Uczestniczy w letniej retrospektywie fundacji Maeght'a (St Paul de Vence.
11. „Art Brut" — Musée des Arts Dęcoratifs — kwiecień-maj.
12. Mój artykuł w „Gazette Littéraire", Lausanne (nr 87).
13. Galerie Benézit — kwiecień.

Aktu szóstego brak, gdyż próba bilansu zamieniła się w przysłowiowy „groch z kapustą" — czyli w „różnokolorową mozaikę" współczesnych tendencji artystycznych, w każdej z których udział polskich plastyków, jeżeli nie jest najistotniejszy, bynajmniej nie jest marginesowy.

◆

NA MARGINESIE ESTETYKI

„... Jak przykuta spoglądała na rosnącą kupę, która właściwie przestawała być kupą, usiłowała rachować, lecz rachunek już nie dopisywał. Suma przestawała być sumą, stawała się czyś nieobjętym, czymś niepojętym, czymś wyższym od sumy, rozsadzała mózg swoim ogromem, równym ogromowi Niebios..."

Gombrowicz.

Wojna; *lutte à main armée entre deux peuples ou deux parties*, po tym następują w encyklopedii hasła *petite guerre, guerre sainte, honneurs de guerre*... Należałoby pozmieniać słowniki i wszelkie naiwne hasła tego typu, znaczenie których unicestwiła ostatnia apokalipsa, przypieczętowana swastyką na czerwonym tle. Wojna z blaskiem szpad, pędem koni i heroiczną odwagą, heroiczną decyzją i heroicznymi bohaterami pozostała w muzeum, na stronach literatury dziewiętnastowiecznej i na płótnach Delacroix i barona Gros'a. Czyn odwagi, honor rycerza są dzisiaj niemożliwe; kiedyś wojna była na miarę ludzką, dzisiaj jest to potwór, z którym pojedynczy człowiek nie może walczyć, ponieważ sam fakt przyjęcia takiej walki jest degradujący dla człowieka. Czy wobec tych nowych proporcji jakie przybiera rzeczywistość ponadludzka, wobec tej nowej grozy, sztuka może pozostać w swoim tradycyjnym wymiarze, to znaczy ludzkim? Czy można oddać ogrom cierpienia milionów wyobrażeniem jednego, jak to robili Van Eyck, Mathias Grünewald i Roger van der Weyden? Już pół wieku temu plastycy dali odpowiedź na to palące pytanie — surrealizm, dramatyczna abstrakcja „rozdartej" przestrzeni Brzozowskiego, straszliwe potwory Lebensteina odzwierciedlają tragedię przeżyć wojennych, transponują je na język sztuki. *Tragizm* przetwarzany jest w *Piękno*. W grę wchodzi estetyka i człowiek zapomina o przeszłości, a może jeszcze lepiej — asymiluje ją pod postacią dzieła sztuki. Założenie wystawy Davida Olere'a* jest zupełnie odmienne: to nie przeżycia służą sztuce, a artysta swoim pędzlem i dłutem służy historii — ludzkości Dwudziestego Wieku. Oświęcim, Birkenau, Mauthausen, Melk, Ebensee. David Olere nie może zmienić swoich cierpień w alegorię, on chce przypomnieć, chce ostrzec tych, którzy nie widzieli i nie mogą wyobrazić sobie tego, czego człowiek nie powinien móc sobie wyobrazić. Obrazy byłego więźnia są brzydkie, gdyż takimi powinny być, to nie jest sztuka dla znawców i przewrażliwionych estetów, to są kamienne słupy pamięci, których bolesna ostrość krzyczy jaskrawymi kolorami. Kreska jest ostra, brutalnie sztywna, jakby nieporadna, w oświęcimskim piekle nie można tworzyć z wyrafinowaną elegancją rysunku Ingrès'a, gdyż byłoby to fałszem. Dziennik

* David Olere — wystawa obrazów, rysunków i rzeźb, poświęconych tematyce obozów koncentracyjnych. Cercle Amical de Paris, kwiecień 1967.

więźnia: Apel, Selekcja, Scena Gwałtu, Komory Gazowe, Krematorium... Jeden wielki krzyk, który zastygł na powierzchni obrazu. Jakby *bandes déssinées* tyle że bez słów.

Rzeźby Olere'a są jedynymi „dziełami sztuki" na tej wystawie. Artysta nie mógł oprzeć się pokusie materii, ręka przypomniała sobie to, czego uczono ją w Akademii. Jedności kompozycji została poświęcona opisowość, stylizacja odjęła wspomnienie, nie mogła jednak zdradzić — wydłużone figury przeniknięte są tragiczną beznadziejnością.

Mały, siwy pan. Spokojna twarz, tweedowa marynarka, krawat. Gdyby był tylko artystą, gdyby nie przeszedł przez piekło obozów, malowałby pejzaże, kwiaty lub liryczną abstrakcję. Ale nie — on przeszedł, on cierpiał i nie może zapomnieć; sztuka została zabita. Pozostały obozy. To jest może największa lekcja tej wystawy, gdyż dzisiaj Breughel i Callot nie mogliby malować ich „Misères de la Guerre", człowiek nie mógłby oddać swoją podobizną grozy wojennej. Pozostała abstrakcja... i wspomnienia. Należy powracać do kronik — są one bardzo pouczające. Pamiętajmy o tragedii ludzi którzy są tymi kronikami.

◆

„... Combien d'années de camp cela fera-t-il à la fin de leurs jours! On les entend aussi crier, hurler parfois. Ne dormez pas auprès des déportés" (Anna Langfus).

Andrzej NAKOV

Nowyj Żurnał

Rok 1942 był rokiem najbardziej dramatycznego napięcia dla wszystkich państw walczących z Hitlerem, a zwłaszcza dla Rosji. Był to rok również dramatyczny dla rosyjskich emigrantów. Ci z nich, których wojna zastała w Niemczech lub Francji, albo milczeli, albo współpracowali z Niemcami. Kolaboracja była nieraz szczególnie tragiczna, bo — ideowa: polegając na wierze w zwycięstwo Niemiec łudziła się, że Niemcy wyzwolą Rosję od bolszewizmu. Położenie Rosjan w wolnych krajach, a szczególnie w St. Zjednoczonych, też było tragiczne, choć w inny sposób. Byli tacy, którzy życzyli zwycięstwa Rosji nawet za cenę ugody z bolszewikami. Byli jednak tacy, którzy życząc zwycięstwa najechanej przez Hitlera Rosji, nie szli na ugodę z władzą sowiecką. W takim to roku, z inicjatywy Michała Cetlina i Marka Ałdanowa, zaczął wychodzić w Nowym Jorku kwartalnik „Nowyj żurnał", obchodzący w roku bieżącym 25-lecie swego istnienia.

„Nasze wydawnictwo rozpoczyna się — pisali w pierwszej księdze redaktorzy — w okresie niesłychanym i katastrofalnym — jest ono jedynym „grubym" *(tołstym)* czasopismem poza granicami Rosji. Zwiększa to naszą odpowiedzialność i nakłada na

nas obowiązek, którego nie miały poprzednie czasopisma: uważamy za swoją powinność otworzyć stronice „Nowego żurnała" dla pisarzy różnych kierunków, ale w pewnych granicach — ludzie sympatyzujący z nazistami lub bolszewikami nie mogą u nas pisać... Całą duszą życzymy Rosji całkowitego zwycięstwa... niemniej jednak... nie uważamy wcale za swój obowiązek zamilczać o przestępstwach i błędach władzy sowieckiej tak w przeszłości jak i obecnie".

W dalszym ciągu redaktorzy odrzucają stary i pozbawiony sensu slogan że „nie wolno krytykować władzy w czasie wojny" i zapowiadają, że będą mówić o wszystkim, o czym „z jej własnych względów" milczy prasa zachodnia. M.in. redakcja pisze z ironią o „amnestii" udzielonej deportowanym przez Sowiety Polakom zapytując: jakież to przestępstwa puszcza w niepamięć ta amnestia?...

Pierwsza księga zawiera utwory beletrystyczne Bunina i Władimira Nabokowa oraz artykuły Cetlina, Ałdanowa, Kierenskiego, B. Nikołajewskiego, M. Wiszniaka i innych. Druga księga wydana w tymże roku umieściła m.in. urywek powieści Ałdanowa „Początek końca". Powieść ta — w miarę antybolszewicka — nosząca w przekładzie angielskim tytuł „The Fifth Seal" zdobyła nagrodę *Book of the Month Club*, co wywołało protesty zarówno ze strony „wielkiego sojusznika" Ameryki, jak i ze strony kiełkujących tu i ówdzie „sowieckich patriotów".

Po śmierci Cetlina w r. 1946, redaktorem został Michał Karpowicz, profesor historii i literatury rosyjskiej na Uniwesytecie Harwardzkim. Piękne wspomnienie o nim napisał w „Kulturze" (nr 149 z r. 1960) prof. Weintraub podkreślając m.in., że był to człowiek pozbawiony jakichkolwiek uprzedzeń narodowościowych, a jednocześnie mający żywy sentyment do Polski wywodzący się z tradycji rodzinnej: miał dziadka powstańca i z pochodzenia był ćwierć-Polakiem. (Dodam od siebie, że był jednym z bardzo, bardzo nielicznych Rosjan-emigrantów czytającym biegle po polsku i śledzącym publicystykę polską). Nie bacząc na pracę profesorską, która mu dała bardzo poważne stanowisko w świecie naukowym, był oddanym a zarazem wzorowym redaktorem „Nowego żurnała". Jak słusznie podkreślił prof. Weintraub miał „duży zmysł odpowiedzialności za słowo drukowane". Toteż jego „Komentarze" regularnie ukazujące się w każdej księdze „Nowego żurnała" były nie tylko przeglądem aktualnych zagadnień politycznych ale i polemiką z współpracownikami pisma, których poglądy uważał za nietrafne. Zgon jego w roku 1959 był wielką stratą nie tylko dla „Nowego żurnała", ale i dla kultury zachodniej.

Po śmierci Karpowicza „Nowyj żurnał" był przez sześć lat redagowany kolegialnie przez Romana Gula, Jurija Denike i Mikołaja Timaszewa. Po śmierci Denike (1965) i po wycofaniu się z powodu podeszłego wieku Timaszewa redaktorem jest obecnie Roman Gul, autor szeregu książek — w tym powieści „Azef" (w przedwojennej wersji „Generał BO"), „Koń ryży" i in. Sekretarką redakcji jest p. Zoja Jurjewa, profesor Uniwersytetu Nowojorskiego. Urodzona w Polsce i władająca świetnie językiem polskim, ogłosiła w „Nowym żurnale" m.in. dłuższe studium o Józefie Wittlinie, przekłady z Hłaski, a do jubileuszowego 87-go numeru „Nowego żurnała" przygotowała artykuł „Tuwim po rosyjsku". Dodam że w „Nowym żurnale" ukazały się w swoim czasie artykuły Polaków, jak np. Wacława Lednickiego, Józefa Mackiewicza, Karola Wędziagolskiego i innych.

Jak zaznaczył Roman Gul w przemówieniu na zebraniu w Nowym Jorku poświęconym 25-leciu czasopisma, pobiło ono rekord długowieczności „grubych" *(tołstych)* czasopism rosyjskich na emigracji. Dorobek dotąd wydanych 86 ksiąg jest bardzo bogaty i może być ozdobą każdego poważnego księgozbioru: beletrystyczne utwory Bunina, Ałdanowa i szeregu innych wybitnych prozaików i poetów, a poza tym artykuły i eseje myślicieli religijnych, uczonych, prawników, biologów, slawistów i publicystów różnych kierunków. Dzieląc dzieje „Nowego żurnała" na trzy okresy Gul podkreślił, że w tym trzecim bieżącym — od r. 1954 — okresie „Nowyj żurnał" stał się może chwiejnym ale mostem z wolnego świata do Związku Sowieckiego.

Na zakończenie należy życzyć „Nowemu żurnałowi" dalszej pięknej pracy — w duchu humanizmu, liberalizmu, europejskości i „zmysłu odpowiedzialności za słowo drukowane" — zalet przekazanych przez nieodżałowanego Michała Karpowicza.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Anna Weintraub

Hanka Weintraub należała do tych ludzi, po których odejściu świat ubożeje.

Urodzona w Piotrkowie, córka i bratanica lekarzy, Hanka postanowiła kontynuować rodzinny zawód. Jako lekarka-internistka zdołała osiągnąć znaczne sukcesy w pracy. W latach wojennych i powojennych była czynna w polskich uchodźczych instytucjach medycznych na terenie Rosji, Palestyny i Londynu. W tym charakterze wykazała te wielkie zalety, jakich można oczekiwać od lekarza — żywe, przyjazne zainteresowanie dla pacjentów i niestrudzoną chęć niesienia pomocy (ja sama zetknęłam się z Hanką po raz pierwszy jako z lekarką: stwierdziła wówczas u mnie ciężką anginę i wraz

z moją matką poszła do apteki, aby wystarać się o trudne do zdobycia w warunkach wojennych lekarstwa).

Gdy mąż jej, prof. Wiktor Weintraub, został powołany na katedrę na wydziale slawistycznym uniwersytetu Harvard, Hanka zdecydowała nie wracać już do kariery medycznej. Przyzwyczajona do systematycznej pracy, niezdolna do bezczynności, zajęła się pracą naukową o charakterze socjologicznym w Russian Institute harvardzkiego uniwersytetu. Do tej nowej pracy wniosła tyle inicjatywy i zapału, że wkrótce została mianowana kierowniczką jednego z działów instytutu. Amerykańscy specjaliści, z którymi stykała się w swej pracy, byli zaskoczeni jej orientacją i pomysłowością w nowej dla niej dziedzinie, i namawiali ją, aby rozpoczęła studia na wydziale nauk społecznych.

Hanka miała wielkie zainteresowania humanistyczne i dużą znajomość literatury, szczególnie polskiej i rosyjskiej. Przez męża została wprowadzona w krąg spraw i ludzi związanych z literaturą i lingwistyką — pisarzy, naukowców, wykładowców. Od pierwszej chwili potrafiła na nich oddziaływać i uczestniczyć w ich zainteresowaniach. W Cambridge dom Weintraubów stał się szybko ośrodkiem życia tamtejszych slawistów i pokrewnych im specjalistów, a szczególnie przyciągał miejscowych lub przejezdnych Polaków. Przy organizowaniu polskich wieczorów literackich (Lechonia, Wittlina i innych) Hanka zawsze była czynna, a po każdym wieczorze w domu Weintraubów odbywały się przyjęcia, na które schodzili się Polacy i cudzoziemscy przyjaciele. W kontaktach z profesorami i studentami uniwersytetu harvardzkiego Hanka umiała okazać tyle ciepła, tyle ludzkiego zainteresowania dla osobistych problemów przyjaciół, że stała się z czasem powiernicą i doradczynią zżytego z domem Weintraubów grona. Wielką przy tym rolę odgrywało jej rzadkie poczucie humoru.

Największą chyba zasługą Hanki było jej zrozumienie dla pracy męża. Przez wiele lat — Hanka i Wiktor znali się od dzieciństwa — dbała o usuwanie od niego trosk codziennego życia, aby jak najwięcej czasu i uwagi mógł poświęcić swym rozlicznym pracom, które ceniła i rozumiała głęboko. Ta jej wiara w wiedzę i zdolności męża musiała być dla niego wielkim oparciem.

Dla tych, którzy Hankę znali, wspomnienie o niej zostanie zawsze żywe.

Łucja GLIKSMAN

Z zapisków oficera czasu wojny (I)

ZAPOMNIANE PISMO

Z wszystkich pism polskich wydawanych na obczyźnie „Parada" jest najdokładniej zapomniana. Wielu nie wie, że w ogóle istniała. W szkicach wspomnieniowych cytowany bywa „Orzeł Biały", brygadowe pismo „Ku Wolnej Polsce" — o „Paradzie" głucho.

Złożyło się na to kilka przyczyn. „Parada" była pismem dużego formatu, bogato ilustrowanym i w warunkach żołnierskich trudno ją było kompletować. Roczniki „Parady" przypominały olbrzymie księgi-albumy, które nie mieściły się ani w chlebaku, ani w worku, ani nawet w sporym kuferku. Redakcyjne komplety — w tym i mój komplet prywatny — zostały zapakowane w Rzymie w potężne skrzynie, których oczywiście nie chciał wziąć żaden samolot. Przeznaczono je więc do transportu morskiego. Nasze komplety nie dotarły nigdy do Anglii. Obawiam się, że podobny los spotkał i inne komplety „Parady" zbierane indywidualnie, czy przez redakcje pism 2 Korpusu. Tak czy inaczej, faktem jest, że komplety „Parady" są dziś białym krukiem bibliofilskim. Dość powiedzieć, że w Bibliotece „Kultury" w Maisons-Laffitte, która posiada zbiory wszystkich pism emigracyjnych (cywilnych i wojskowych), nie ma pełnego kompletu „Parady".

Skąd nazwa, która wielu wydawała się nieodpowiednia dla wojskowego pisma? W Kairze wychodził ilustrowany tygodnik dla armii brytyjskiej pod nazwą „Parade". Ponieważ mieliśmy wspólnego wydawcę „Joint Publications Board" — przyjęliśmy spolszczony tytuł angielskiego tygodnika. Nie był to szczęśliwy pomysł, ponieważ uważano nas początkowo za siostrzane wydawnictwo „Parade" — co nie odpowiadało prawdzie. Służbowo, ewidencyjnie, redakcyjnie i politycznie podlegaliśmy szefowi Oddziału Kultury i Prasy Armii Polskiej na Wschodzie, a później 2 Korpusu. Ku wyraźnemu niezadowoleniu oficerów i podoficerów z Polskiego Dowództwa Terytorialnego Egipt — nosiliśmy na rękawach syreny 2 Korpusu i krzyże 8 Armii.

Pierwszy numer dwutygodnika ilustrowanego „Parada" ukazał się w Kairze z datą 18 kwietnia 1943 i kosztował w Egipcie 2 piastry, w Palestynie 25 milsów i w Iraku 30 filsów. Ostatni numer ukazał się z datą 24 grudnia 1946 w Rzymie. W sumie ukazało się równo 100 numerów „Parady"

— co na dwutygodnik wojenny nie jest mało. Tylko dwóch ludzi służyło „Paradzie" nieprzerwanie od pierwszego do ostatniego numeru. Redaktor „Parady" por. Władysław Cichy i niżej podpisany. W różnych okresach wchodzili w skład redakcji: Stanisław Natanson, Jan Naumoff-Ostrowski, Edward Matuszczak, Jerzy Młodnicki, Tadeusz Witlin, Jadwiga Czechowicz, Jan Kielewicz, Tadeusz Sypniewski i Stanisław Łępicki.

Służbę w „Paradzie" rozpocząłem jako starszy strzelec awansowany w Brygadzie Karpackiej. Następnie zostałem kapralem i „Oficerem Propagandy". Podporucznikiem mianowano mnie na trzy miesiące przed zakończeniem wojny.

Niech mi wolno będzie na chwilę odbiec od tematu, by odnotować kilka szczegółów dotyczących najbardziej egzotycznej szarży w Armii Polskiej. Mam oczywiście na myśli „Oficerów Propagandy", który stanowili całkowite *novum* w dziejach Wojska Polskiego. Najprostszą rzeczą w danej sytuacji byłoby inteligentów-szeregowych, pełniących funkcje oficerskie zamianować oficerami czasu wojny. Anglicy nigdy nie mogli pojąć dlaczego w polskich szpitalach wojskowych lekarze — niejednokrotnie wybitni specjaliści — byli często szeregowymi. Oprócz ograniczeń etatowych mieliśmy jednak nadmiar oficerów, którzy pobierali pół pensji i przynależeli do tzw. „drugiej grupy". Ci oficerowie mieszkali prywatnie w Palestynie i z wojskiem nie mieli nic wspólnego. Jak tu więc mianować nowych oficerów, jeżeli ma się nadmiar oficerów, z którymi nie wiadomo co zrobić?

Istniały i inne przyczyny. Armia Polska na Wschodzie była wielką jednostką nie porównywalną z jednostkami regularnej Armii Polskiej sprzed września 1939 r. Byliśmy rozrzuceni w obcych, egzotycznych krajach i ojczyznę musieliśmy dosłownie wozić ze sobą. Owa „Ojczyzna na kółkach" to jest olbrzymi i fascynujący temat, który czeka na szczegółowe opracowanie. Ojczyzna obejmowała wszystko — prasę codzienną i periodyki, poezje, prozę, książki szkolne, drukarnie, licea, gimnazja, szkoły kadeckie i szkoły podchorążych, stypendystów wojskowych na obcych uniwersytetach, szkoły fachowe, mechaniczne, samochodowe i tp., kluby sportowe, oświatę poza szkolną, teatry, chóry, orkiestry, sekcje malarskie, plastyczne, filmowe, ekipy radiowe, zespoły taneczne, archiwa, i dziesiątki innych instytucji. Wszystko to składało się na jedyne w swoim rodzaju państwo i społeczeństwo polskie na obczyźnie. Dodajmy jeszcze, że Armia Polska na Wschodzie miała swój własny, burzliwy i dynamiczny nurt polityczny — a w „Orle Białym" z okresu bagdadzkiego ukazywały się śmiałe i kontrowersyjne artykuły, które dostarczały materiału nie tylko do czytania lecz i do myślenia. „Orzeł Biały" ukazujący się dziś w Londynie — grzeczniutki i uczesany — nie jest nawet cieniem cienia swojego wojennego poprzednika.

Do zorganizowania owego wojskowego „państwa na obczyźnie" potrzeba było setek inteligentów-fachowców. Z nielicznymi wyjątkami kierowali wszystkim oficerowie, lecz prawdziwą robotę wykonywali szeregowi inteligenci.

W Ośrodku Zapasowym Brygady Karpackiej w Latrun (dziś Transjordania) pracowałem jakiś czas w redakcji „Gazety Obozowej". Redakcja składała się z trzech zawodowych, przedwojennych dziennikarzy w stopniu strzelców, wówczas jeszcze z cenzusem — oraz z pułkownika saperów i kapitana dyplomowanego piechoty. Innymi słowy trzema strzelcami dowodził pełny pułkownik i jego zastępca kapitan dyplomowany. Obaj oczywiście pobierali pełne pobory, ponieważ mieli przydział i funkcję.

Nasz pułkownik i kapitan nie mieli pojęcia o pracy dziennikarskiej, nie umieli słowa po angielsku i nie wiedzieli z której strony zakłada się papier na maszynę do pisania. Byli natomiast niezmiernie życzliwi i pełni dobrej woli jak większość oficerów w Brygadzie Karpackiej. Mimo, że Brygada miała najwyższy procent inteligentów jaki kiedykolwiek notowano w polskich jednostkach wojskowych — problem: inteligent-szeregowiec *versus* oficer zawodowy, w Brygadzie Karpackiej nie istniał.

Przekonałem się jeszcze w Latrun, że w wojsku dobrze jest mieć dowódcę w wysokim stopniu. Gdy nasz pułkownik wyjeżdżał na urlop — jego zastępca kapitan, właśnie dlatego, że był tylko młodszym oficerem (choć dyplomowanym) — mnóstwa rzeczy nie mógł załatwić czego przed nami nie taił. Pułkownik, z racji swego stopnia, miał bezpośredni dostęp do generała, dowódcy OZ — natomiast kapitan musiał meldować się w adiutanturze i... czekać. I albo się doczekał, albo się nie doczekał.

Cywilnego dziennikarza nawykłego do tempa i pośpiechu instytucja wojskowego czekania i „drogi służbowej" doprowadzić może do ataku apopleksji w młodzieńczym wieku. Szef mojej kompanii w Brygadzie st. sierżant Jeziorny zwykł był cytować tradycyjną sentencję, że „czekanie liczy się do emerytury". W wojsku czekanie zależne jest od stopnia petenta, a nie od pilności sprawy. Najdłużej czeka strzelec — najkrócej generał. Dla strzelca droga służbowa to jest drabina sięgająca z ziemi do nieba — dla generała droga służbowa oznacza często podjęcie słuchawki telefonicznej.

Otóż, na tle powyższych refleksji, łatwiej nam będzie rozpatrzyć narodziny potworka, którego ochrzczono mianem „oficera propagandy". Chodziło o to, by szeregowym inteligentom pracujących na odpowiedzialnych stanowiskach, przede wszystkim w szkolnictwie i w Oddziale Kultury i Prasy, dać wyższe pobory i zrównać towarzysko z oficerami.

Leży przede mną (myślę rzadki dziś dokument) — oryginalna Legitymacja Oficera Propagandy wydana w dniu 8. 10. 1943 r. Jej tekst brzmi następująco: „Mieroszewski Juliusz jest Oficerem Propagandy i jest upoważniony do noszenia odznaki „PRO" i do korzystania z uprawnień przyznanych rozkazem Dcy Armii L.Dz. 1712/AG/43 z dn. 20. 5. 1943". Następuje identyczny tekst w języku angielskim. Po drugiej stronie fotografia (moja) — okrągła pieczęć „Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie" i podpis: Dowódca A.P. na W. — gen. Wł. Anders.

Pozycja oficerów propagandy była niejasna i fałszywa. Nie byli oficerami, nie byli korespondentami wojennymi, nie byli podchorążymi, nie byli urzędnikami wojskowymi. Major Ruston, szef „Parade", ilekroć przedstawiał mnie oficerom brytyjskim mówił: „Mieroszewski, Polish War Correspondent". Nigdy tego nie prostowałem.

Ponieważ nie znoszę sytuacji niejasnych — powitałem nominację na podporucznika czasu wojny z wielką ulgą. Z chwilą gdy przypiąłem gwiazdki, wróciłem do konkretnej, jasno określonej sytuacji osobistej. Było znów wiadomo co mi się należy, a co mi się nie należy — do czego mam prawo, a do czego nie mam prawa.

Pierwszy numer „Parady" otwierał mój reportaż z El-Alamein, ozdobiony rysunkami Matuszczaka i fotografiami Steinwurzla z sekcji filmowej.

Pustynia działa konserwująco. Panorama pobojowiska wyglądała niemal tak, jakby akcja ustała przed kilku godzinami. W schronach czapki na kołkach, a na stołach w improwizowanych popielniczkach, niedopałki pa-

pierosów z których zdawał się jeszcze unosić dym. A na powierzchni masy czołgów, które z pewnej odległości robiły wrażenie stada monstrualnych bizonów wystrzelanych bez miłosierdzia. Wiele czołgów stało w kałużach zastygłego stopionego metalu, a rdzawe rumieńce na płytach pancernych świadczyły o straszliwej eksplozji wewnątrz. Czołgi, zwłaszcza włoskie, wyładowane były amunicją, która w konsekwencji celnego strzału wybuchała. Trupy załogi przypominały wręcz do złudzenia wielkanocne szynki „uwędzone w dymie jałowcowym". Ani kształtem ani konsystencją owe resztki w niczym nie były podobne do ludzkiego ciała. Ci nieszczęśni włoscy pancerniacy śmierć mieli lekką — w ułamku sekundy.

Nie widziałem również nigdy przedtem takich tłumów samolotów niemieckich uziemionych na wieki. Martwy czołg zachowuje majestat masy i kształtu — natomiast samolot zaryty nosem w piach pustyni robi wrażenie groteskowe.

Naszym gospodarzem był porucznik Gołębiowski, dowódca nielicznej polskiej „Recovery Unit", której zadaniem było wybrać z tego morza żelaziwa wszystko co da się naprawić i uruchomić.

Jako żołnierz Brygady brałem udział w popijawach polsko-australijskich w barach Aleksandrii. Pijaliśmy na chwałę „wspólnej granicy" polsko-australijskiej — niewąsko i długo. Lecz to wszystko były dziecinne igraszki w porównaniu z „kolacją", którą wypiliśmy pod namiotami w El-Alamein. Spirytus w Egipcie był stosunkowo tani i kupowało się go w bańkach galonowych. Normalne polskie wiadro zawiera dwa galony. Otóż, gdy wieczorem siedliśmy do kolacji zauważyłem z przerażeniem, że na stole stoją tylko butelki z sokiem cytrynowym — tudzież szklanki dość pokaźnej pojemności. Po chwili jednak wyczułem nogą pod stołem jakiś dziwny przedmiot, który lekko kopnięty słodko zabulgotał. Zaciekawiony spojrzałem pod stół. Przed każdym biesiadnikiem stała lśniąca galonowa bańka spirytusu. Piliśmy koktail zwany w Brygadzie „Tata z Mamą", który wyróżniał się niezmiernie prostą konstrukcją. Nalewało się z bańki pół szklanki spirytusu i z flaszki trochę soku cytrynowego „do smaku".

Widziałem w życiu rozmaite rzeczy, bywałem świadkiem najdziwniejszych scen, ale takiego bogactwa czystego alkoholu na głowę mieszkańca jak wówczas w El-Alamein nie uświadczyłem już nigdy. Byłbym tam poległ, gdyby nie wrodzona wstrzemięźliwość i wola życia.

Byłem w „Paradzie" jedynym politycznym dziennikarzem i moją misją było dbać o to, by linia „Parady" pokrywała się z linią „Orła Białego". To są sprawy do których wrócę jeszcze wielokroć w tych zapiskach — w tym miejscu wystarczy zauważyć, że ów ruch polityczny, niewątpliwie nacjonalistyczny lecz i radykalnie rewizjonistyczny w stosunku do przeszłości — pogrzebał Klimkowski. Jerzy Klimkowski oddał wręcz nieocenioną usługę piłsudczykom. Gdyby nie było Klimkowskiego — jego wzlotu i sromotnego upadku — być może ów rewizjonistyczny nurt wykrystalizowałby się z czasem w nowy, konkretny kierunek polityczny.

Klimkowski odszedł — a piłsudczycy pozostali. Oni jedni w swojej tradycji niepodległościowej znajdowali odpowiedź na drugą klęskę po wrześniu, klęskę „zwycięstwa", która wolno zarysowywała się przed nami. Koło historii dokonywało pełnego obrotu. Wracaliśmy w epokę młodości Piłsudskiego, w okres zaboru i niewoli. Śmierć Sikorskiego — była tragedią bez wydźwięku politycznego. Sikorski ani nie wytworzył ani nie miał żadnej doktryny politycznej. Rosjanie mu nie ufali a na Zachodzie stawał się zbędny. Do śmierci Stalina warunkiem współpracy z Rosją była całkowita kapitulacja, która zresztą kapitulantowi nie dawała żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Iluż kapitulantów zginęło bez śladu.

Rozwój wypadków z każdym miesiącem zdawał się potwierdzać słuszność założeń polityki piłsudczyków. Stawało się jasne, że wybór sprowadza się w praktyce do alternatywy: kapitulacja albo walka o niepodległość. Później dopiero okazało się, że w gruncie rzeczy sytuacja w Europie wschodniej nie przypomina niczym okresu po roku 1863. Rok 1956 — w przeciwieństwie do Powstania Warszawskiego — nie mieścił się już w ramach tradycyjnej polityki niepodległościowej. Pojawiła się konieczność rewizji i przebudowy dawnych koncepcji. Piłsudczycy — z których większość to ludzie starzy — woleli przekształcić się w historyczną ortodoksję niż poddać rewizji swe założenia. Próby — nie zawsze szczęśliwe — podjęto w tym kierunku w wiele lat później, w paryskiej „Kulturze". Lecz to są sprawy niemal współczesne — a nam wypadnie jeszcze wrócić do roku 1943.

Może nie od rzeczy będzie pod koniec pierwszego odcinka uprzedzić Czytelnika, że „Zapiski" składają się z samych dygresji i epizodów, które grzebią z powodzeniem wątek i chronologię. Lecz tylko życie wielkich (i jednostronnych) ludzi przestawia się jak prosta docelowa linia. Pasmo żywota zwyczajnych obywateli mojego szczebla — to zazwyczaj seria epizodów i dygresji czyli *much ado about nothing*.

Juliusz MIEROSZEWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI
Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Książki

U poetów

Choć wielu z inwentarzystów, tu i tam, twierdzi że jest tylko jedna literatura polska, podział na emigracyjną i krajową nie odpowiada im, to, pomijając ich słuszne wywody i po wyeliminowaniu z nich istoty samego zagadnienia — aspektu politycznego — pozostaną w nas różne jeszcze sprzeciwy, zastrzeżenia, argumenty natury osobistej, warsztatowej, różne a l e, które w ten tak szlachetnie sformułowany pogląd, wniosą z całą pewnością grube poprawki.

Jest wprawdzie jedna literatura polska, o szerokim wachlarzu i zróżnicowanych formach, łatwo w niej pomieścić twórczość Gombrowicza obok Dąbrowskiej, wiersze Wierzyńskiego i Różewicza, dociekania stylistyczne Białoszewskiego i klasycznie prostą twórczość Sułkowskiego — i żaden profesor, żaden krytyk temu nie zaprzeczy, ale jest to tak ogólny punkt widzenia, tak koncepcyjny, wydestylowany jak kropla wody z natury, zamknięta w probówce, że zupełnie odbiega od rzeczywistości. Nadaje się on do rozpatrywania na papierze, na tezę do naukowej pracy, jednolitą gdy się na nią patrzy oczami referenta literatury, w naszych jednak oczach jest ona złożona, wielopłaszczyznowa i jak drzewo o dwu wyraźnie zarysowanych konarach i koronach, wyrastających z jednego pnia.

W procesie tym, który nie jest ani dzisiejszy ani wczorajszy, historia dostarcza nam przykładów dwutorowości artystycznej wśród wyobcowanych jednostek i całych grup oderwanych od macierzy. Nasi zaś ekstremiści, mogą dziś śmiało cytować fakt, iż w okresie Wielkiej Emigracji, literatury polskiej w kraju właściwie nie było — powstała ona na emigracji.

I dziś fakt ten zmienił zasadniczo oblicze współczesnej literatury, wyszedł on poza jej zasięg, dotykając wielu aspektów społecznych i politycznych. Ilu to pedagogów i autorów podręczników szkolnych, antologii, musiało nauczyć się kłamać, zasiadając do zbożnej pracy wychowawczej? Ile biur musiało powstać do

tępienia twórczości emigracyjnej, jak musiała powiększyć się służba na komorach celnych, ilu zatrudniono szpiclów do kontrolowania bibliotek, czytelni studenckich, pism prenumerowanych prywatnie? Ilu Moczarów dwoi się i troi, ilu Iwaszkiewiczów nie może spać po nocach? A wszystko z powodu tej chimery, która w rzeczywistości nie istnieje, gdyż społeczeństwo krajowe nic o niej nie wie — z powodu literatury emigracyjnej!

Pozostawiając Iwaszkiewicza i Moczara sądowi historii, wróćmy do faktów. Po oczyszczeniu ich z naleciałości propagandowych, rozdmuchiwanych po tej i tamtej stronie, bez powoływania się na świadków koronnych (Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie i Terleckiego dwutomowy bryk) musimy stwierdzić, że literatura emigracyjna istnieje, że wywiera ona duży wpływ na twórczość w kraju, że wzbogacała i wzbogaca piśmiennictwo polskie utworami, których skala artystyczna jest o wiele wyższa od przeciętnej twórczości w Polsce.

1.

Drobny tomik Jana Leszczy[1], wydany z całą elegancją przez Bednarczyków, jest cennym poetyckim osiągnięciem. Przypuszczam, że doczeka się on szczegółowej analizy i fachowych sądów. Do mnie wiersze Leszczy przemawiają swoją zwartością i zwięzłością. Język w krótkich spięciach tworzy obraz, precyzyjny intelektualnie i czysty. To już nie jest oszczędność, o którą zabiegają wszyscy poeci — to metoda.

Dobrze byłoby przyjrzeć się tej technice, szeroko dziś stosowanej w Ameryce, opartej — ogólnie biorąc — na stosunku poety do języka mówionego. Właściwie stosunek ten jest intelektualny, tylko poeta, upraszczając swoją postawę, nadaje mu prosty stylistycznie wygląd. Ale pod łuską zdań, czytelnik — zależnie od swojej chłonności — może schodzić głębiej i głębiej, smakować obraz jak owoc, aż do samego wnętrza, do ziarn, lub poprzestać na jego odżywczych tylko sokach.

zająłem się
odkurzaniem szelestów
bo zatraciły tamten wymiar:

Struktura wiersza nie zawsze da się ująć w matematyczne ramy. Zwłaszcza wiersza nowoczesnego, który gardzi klasycznym zewnętrznym ładem. Wprowadza on przydechy i załamania, skraca zdanie do maksimum, bagatelizuje składnię. Te właśnie momenty chciała wykorzystać nasza Awangarda, robiąc to często bez ładu i składu, z mechanicznym uporem, przesadzając w niezrozumialstwie i sztucznie spiętrzanych metaforach. Dziś widać, że był to

1. Jan Leszcza, *Konie drewniane*, Oficyna Poetów i Malarzy, stron 46, Londyn 1967, rysunek na okładce Krystyny Sadowskiej.

zupełnie stracony wysiłek, gdyż poeci szli wbrew prawom kształtującym język. Wprawdzie wielu krytyków udzieliło im wspaniałomyślnie rozgrzeszenia, niemniej młodzi poeci powojenni, zupełnie zignorowali osiągnięcia awangardy krakowskiej, prawdopodobnie były to piaski, na których i tak nic nie mogło już powstać.

„Awangarda" amerykańska sięga czasów mickiewiczowskich, nowoczesny wiersz amerykański wykształtował się, gdy u nas zawodziła śpiewnym rytmem Młoda Polska. E. E. Cummings, Wallace Stevens, William Carlos Williams, poeci o wiele wcześniejsi od naszej Awangardy, górują w swych osiągnięciach nad skromnym żniwem krakowskich nowatorów. Świetność ich poetyk różni właściwie odmienna gama skrótów, wibracja położonego tak a nie inaczej akcentu, język zbliżony w kontekście do codziennej mowy, ale błyskiem samogłoski, rozluźnieniem składni i rozgałęzieniem słowa, nadający mu poetycki nurt. Ich twórczość tkwi jednak morfologicznie i historycznie w języku codziennym, gdy u nas wznoszono dla Awangardy sztuczne fasady.

Leszcza ominął historyczne łatwizny, sztuczności, metaforyczne dziwadła, bliski w czasie, umieścił swój wiersz na antypodach, dał mu własny kształt. Może wpłynął na to jego klimat poetycki, może po prostu powojenne warunki odizolowania i samowystarczalności, które nie jednego poetę wyobcowały z naturalnego otoczenia i zawiesiły w próżni.

Tomik zawiera dwadzieścia siedem wierszy, sam jego tytuł „Konie drewniane" cofa nas do czasów dzieciństwa, ale wiersze nie mają właściwej tego rodzaju poezji, sentymentalnej zadumy. Leszcza nie wpada w tkliwość, często stwierdza pewien stan psychiczny jako obserwator, nie włączając zupełnie w jego opis siebie. Jego punkt obserwacyjny na to nie pozwala. Jak powiedzmy, w *Definicji*, gdy mówi o czasie przeszłym:

ten przebłysk pamięci w pamięci
już oznacza czas przeszły

i nagle otwiera drzwi obraz
zasiedziały w pamięci...

Jest ten pierwiastek w wierszu *Centauriada, Taczanka, Bęben, Wiersz w rytmie marsza, Chwila* i wielu innych. Wyczuwa się go często w odległej aluzji:

można wątpić czy złote relikwie pszczół
w ulach albo na piaskach wybrzeża
pomogą nam w czymkolwiek
dziś w trakcie klejenia traktatu
z kamyczków —

i w pięknym, o osobistym wydźwięku fragmencie:

nie kwestionuję piękna choć
koń rudawego poranka ubity
pode mną i nerwy moje
podobne do rdzawej trawy
na krawędzi krateru
nie zwiastują krajobrazu
wewnętrznej sielanki

Najbardziej jednak typową formą poetycką dla Leszczy, to — jak przypuszczam — ta, w której powstały wiersze: *Noc, Definicja, Nie kwestionuję piękna, Tamten wymiar* i pokrewne im, z drugiej zaś strony wiersze o wydłużonej stopie i zaokrąglonym rytmie: *Krawędź naczynia*, poświęcony pamięci Tadeusza Sułkowskiego, z którego pragnę przytoczyć dwie linie wyjątkowo trafne i piękne:

wpięty jak róża toczył się pachnąc słowami

a drugi:

Wiry metalu, którym jest wyłożona elektrownia wieczności
[pulsują twoim nazwiskiem.

W trakcie klejenia traktatu z kamyczków, Ten ruch morza jest wszędzie obecny i *Epilog*, o wewnętrznym charakterystycznym dla Leszczy zgęszczeniu, zawierającym wszystkie jego poetyckie pierwiastki:

jeśli odmówimy umarłym uczty
przy stołach wyobrażających
ciężkie ołtarze pokarmów
zawalone misami burych abstraktów
kto wie jaką wymyślą zemstę
w czasach gdy coraz trudniej
o zdrowe drzewo na deskę

o zdrową deskę na trumnę

Krótkie to omówienie pragnę zakończyć fragmentem, w którym pierwiastek wojny łączy się z pierwiastkiem osobistym i metafizycznym, bardzo charakterystycznym dla tego typu współczesnej poezji:

ten co opisuje noc jak
by dotykał fantomu
myli się jeśli widzi ją
jako pływający plankton
zalewający usta
.....
gdyż noc
jest to kość odarta z mięsa
po ataku lotniczym

najbardziej jednak myli się ten
kto sądzi że noc udziela rozgrzeszenia

W całym tomie jeden tylko wiersz wydał mi się zupełnie chybiony i nie pasujący do całości. Powierzchowny, sztuczny, stylizowany o błahej rytmice: *Centauriada.*

2.

Debiut Miązka zaskakuje swoją wyrównaną formą. „Ziemia otwarta[2]", wydana ostatnio przez Instytut Literacki w Paryżu, zapowiada nowy, rzetelny talent. Jest to już drugi ksiądz-poeta na emigracji. Chabrowski i Miązek, obaj młodzi, obaj o dużych możliwościach.

Wyrobienie formy idzie z oczytaniem i szeroką tematyką. Miązek nie ogranicza się tylko do tematyki religijnej. Sam tytuł „Ziemia otwarta" mówi, że bliskie są poecie inne tematy: patriotyczne (Ojczyzna), opisowe (Wiersz o Wiedniu), czy jak w *Pytaniu,* etyczne, gdzie jest tak czysta poetycko i wzruszająca zwrotka:

Po co wiązać ręce białych domów
kiedy kreda obraz twój przechowa
będziesz dzwonem wysokich kominów?
czy w gałęziach wzejdzie twoja głowa?

Tomik składa się z wierszy o budowie luźnej, zmiennej długości zdań, ogólnie można je podciągnąć pod tak zwaną technikę nowoczesną, choć wydaje mi się, że poeta nie zastanawiał się głębiej nad swoją formą poetycką i uzależnieniem jej od treści. Przyjął na razie to, co jest oczywiste w nowoczesnej poetyce, optycznie frapujące i bezpośrednio narzucające się. Dlatego nawet w dobrych wierszach są bezradne linie, przeskoki myślowe, obrazy bez ram. Często przy ciekawym opisie Miązek wpada w łatwizny, a nawet banał: mleko księżyca; refren wieczoru; marzenia kleryckie; muzyczną ciszą pod pękniętym dzwonem; kładzie wargi w horyzont Dziewiątej Symfonii; na falach Dunaju kołyszą mną w tańcu bezbłędnym; koła godzin; klamra mijań; piasek zagłady; antyfony smutku, że wyłowię tylko te, które rzucają się w oczy przy pierwszej lekturze.

Forma wolna, pozbawiona rygoru rytmicznego, prowadzi często do rozgadania, zwłaszcza u młodego poety, którego ponosi temperament. Są to potknięcia naturalne, znikają one automatycznie z czasem, dobrze jednak pamiętać o tym i dążyć do kondensacji języka i precyzji obrazu. Takie wiersze jak *Sen* lub *Bez tytułu* domagają się ponownego przepracowania i pogłębienia.

2. Bonifacy Miązek, *Ziemia otwarta,* stron 36, Instytut Literacki, Paryż 1967. Cena dol. 1,25.

Są jednak w „Ziemi otwartej" wiersze które chwytają swoją plastyką i wzruszeniem, jak: *Wróciłem od chorego, Ojczyzna, Obraz,* gdzie opis jest oszczędny:

Ulicą idzie kobieta
stara
brzydka
o sękatych rękach
cała jest pochylona czasem
i pustką
po tym co odeszło

lub jak w *Otwieraniu ciemności:*

Lubię ten kolor
ciemny zarośnięty wilgocią
kolor nocy
jakaś muzyka łąk kołysze niebem nieruchomo
ogrodami płyną gołębie
i srebrne monety rosy spływają na oczy

tu nie czuje się pojedynczych słów, samodzielne zdania łączą się w obraz i ten przede wszystkim narzuca się wyobraźni. Dopiero przy analizie wiersza możemy dostrzec jego poszczególne sugestywne człony, kolorystyczne i plastyczne elementy.

3.

I wciąż ci płaczą dawni ptacy leśni...

Poezja Ożoga ocalała z pogromu wojny i programowych, powojennych czystek.

Od samego początku, bo od debiutu w „Okolicy Poetów" miała ona swój własny nurt, dość chyba przypadkowo nazwany autentyzmem. Były to te same związki z ziemią i problematyką wiejską, jakie można widzieć w twórczości Piętaka, Janczarskiego lub Pietrkiewicza, Ożoga jednak cechowała większa doza liryzmu, elementy muzyczne i rytmika połączona z magią sielanki.

Szczęście moje, złapane
pod ceglastą dachówką!
O oczy — boże krówki!
W ręku ciepło nieznane!

Dlatego też w pierwszych wierszach Ożoga można dopatrzyć się łączności z Młodą Polską, ale to samo pokrewieństwo można odnaleźć u wszystkich przedawangardowych debiutantów, w grupie Skamandra i Żagarystów. Dopiero w późniejszej fazie, zwłaszcza po drugiej wojnie, wiersz Ożoga traci dawny zachwyt lirycz-

ny, codziennieje, a swoim spokojem i niedomówieniami mówi więcej i głębiej w nas zapada:

Oto mi jesteś i oto ci jestem —
biskup zielony i dzika dziewanna —
i bije piorun płatkami czereśni
turkawkom z góry i dziewkom wśród sadów —
i trwasz jak zieleń — i wraca z szelestem
biret czerwony i licha sutanna —
i wciąż ci płaczą dawni ptacy leśni
pod starą chatą w chrustach winogradów.

Wielu poetów odeszło z czasem od problematyki wiejskiej, Ożóg natomiast pozostał w zasięgu magii wsi i przyrody, nawet wtedy, gdy mówi on o współczesnych powojennych zagadnieniach, czy to będzie polityka, czy jej koszmarnie spaczone społeczne konsekwencje, obserwuje je oczami sosny, pokrwawionych fiołków, ściętej olchy i td.

Była i pozostała w wierszach Ożoga nuta, którą ogólnie można nazwać balladową, wypływająca z zapatrzenia się w naturę, w jej surrealistyczną polichromię, oparta na wyczulonej obserwacji i swoistej rytmice. Nurt balladowy przewija się również w jego ostatnim tomie "Jemioła[3]", wydanym w ubiegłym roku przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Jest to tomik czystych wzruszeń poetyckich, wyrosłych na sokach natury, karmiony jej legendą i mitologią.

Na każdym włos z sitowia, ucho
jak żabka zielona,
warga zerwanym tatarakiem dymi.
. . . . . .
Najpierw msza pachnie jak siano
na upalnej łące
i szpaki na niej i trzmiele
u najwyższych piszczałek organów.
. . . . . .
Tam ministranci jaśminami klęczą.
. . . . . .

Fragmenty te, jak również wiersz *Krowy* (Tak wszystko mięso z nas pojedli), mówią że wieś i jej swoista aura z wierzeniami i legendami, hojnie eksploatowana przez poezję polską od Kochanowskiego począwszy, po Leśmiana, Czechowicza i Harasymowicza, wciąż dostarcza poetom nowych wzruszeń, wśród których talent Ożoga znalazł swój własny artystyczny kształt.

Wacław IWANIUK

3. Jan Bolesław Ożóg, *Jemioła*, stron 60, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1966, opracowanie graficzne: Wojciech Freudenreich, cena 10 zł.

Das ist Polen

Książka się zaczyna nawet bardzo ładnie[1]. „Król niemiecki i cesarz rzymski nałożył księciu polskiemu, w obecności prześwietnych panów, złotą koronę jako dowód jego (nowej) godności i obdarzył go kopią Złotej Włóczni i nazwał go „przyjacielem i sprzymierzeńcem", bratem i współpracownikiem cesarstwa, „patrycjuszem rzymskiego cesarstwa". — To nie jest wyjątek z jakiejś fantazyjnej powieści, ale opisanie zjazdu gnieźnieńskiego z roku 1000. „Naszemu pokoleniu, po dziesiątkach lat wojen, okupacji, prześladowań, wysiedleń, wzajemnej polsko-niemieckiej nienawiści, wydarzenie to wydaje się prawie niewiarogodne". A jednak tak było. I nawet jeszcze więcej. W 1241 Polacy i Niemcy bronili wspólnie na polach lignickich zagrożonej nawałą mongolską Europy, w 1683 r., w podobnej sytuacji, pod dowództwem polskiego króla Jana III, Polacy i Niemcy raz jeszcze obronili Europę przed nawałą wschodnią. Stulecia całe żyli Polacy i Niemcy zgodnie w obszarze Odry i Wisły. Pomimo to polskie przysłowie mówi: „Póki świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem". Wypadki ostatnich dziesiątków lat, w których miliony Polaków straciło życie a miliony Niemców kraj rodzinny potwierdzałyby uczucie wiecznej wrogości. Z uczuciem tym musi się liczyć każdy polityk. Powstały one w przeszłości, w przededniu tych strasznych lat. Aby je zrozumieć trzeba się cofnąć głęboko w przeszłość i wybadać jak się właściwie poczęły. „Wydarzenia lat 1939-45 nie narodziły się nagle same z nicości. Nie powstały także w wyniku nastroju jednego człowieka, ale były wynikiem długiego procesu historycznego, który jednocześnie kształtował umysły ludzkie i zmieniał mapę Europy". Czy twierdzenie o wiecznej wrogości jest słuszne? Tylko bezstronne przejrzenie historii może usunąć wzajemne uprzedzenia i, gdy rany ostatniej wojny się zabliźnią, pomóc w przezwyciężeniu obopólnej nienawiści. Tylko ten kto zna rzeczywiste przyczyny konfliktu może starać się go uniknąć i trudzić się o znośne ułożenie przyszłości. — Tymi rozważaniami wprowadza nas autor w główną osnowę swej książki. Niepokoi nas tylko użycie historii do wykazania potrzeby pojednania polsko-niemieckiego. Księga dziejów ma wiele kart i wiele rozdziałów, nie wszyscy czytają w niej te same strony w tym samym czasie.

Autor na samym wstępie odrzuca w sporze polsko-niemieckim świadectwa archeologiczne. Nie jest istotne dla nas jaki obszar zajmowały przed kilku tysiącami lat plemiona słowiańskie czy

1. Jobst Gumpert: *Polen-Deutschland.* Bestandsaufnahme einer tausendjährigen Nachbarschaft. Georg D. W. Callway, Monachium, 1966, str. 195.

germańskie. Dodaje jednak, iż kultura łużycka nie należy do Słowian ale identyfikuje ją z ludami północnych Illirów. Pogląd popularny w pewnych kołach przedwojennych archeologów niemieckich, ale nie do utrzymania już obecnie po bardziej krytycznych badaniach dawnych i nowych wykopalisk. Natomiast zaskakuje twierdzenie, iż w pierwszym wieku obszar między Odrą a Wisłą był zamieszkały „w większości" przez plemiona germańskie (str. 14). Dodaje zresztą, iż plemiona te nie są przodkami dzisiejszych Niemców, gdyż wkrótce wywędrowały dalej i dopiero w pusty obszar wlały się w wiekach V-VIII plemiona słowiańskie, których praojczyzny należy szukać w bagnach poleskich. Pomorzan i Kaszubów zalicza do plemion zachodnio-słowiańskich ale niepolskich. Okres Mieszka I to przynoszący obydwu stronom korzyści sojusz polsko-niemiecki. Książę polski pomaga Ottonowi III zgnieść w roku 983 wielkie powstanie Słowian połabskich, cesarz pomaga mu następnie w roku 990 w utrzymaniu Śląska i ziemi krakowskiej zagrożonych najazdem czeskim. Krótki okres prawdziwej przyjaźni w okresie Bolesława Chrobrego i Ottona III przemienił się za czasów Henryka II w zaciętą walkę dwóch książąt, ale nie narodów. Wojna była w Niemczech bardzo niepopularna i przekraczała zdolności rozumowania ówczesnych ludzi, którzy nie rozumieli przymierza z pogańskimi plemionami nadłabskimi przeciwko chrześcijańskiemu władcy państwa polskiego. Dopiero jednak wojny za Mieszka II wywołały po raz pierwszy w Polsce uczucia wrogości wobec Niemców. Następne panowania i dalsze rozprężenie państwowe doprowadziły do utraty przez Polskę Pomorza i Śląska.

Rozbita dzielnicowo Polska nie dawała sobie rady z najazdami pruskimi i sprowadziła ku własnej obronie zakon krzyżacki. Autor stara się pomniejszyć drapieżność Zakonu wobec Polski. Przyznaje, iż nie przysporzył on chwały chrześcijaństwu ale gani postępowanie nie wobec Polaków lecz okrucieństwo podboju ziem pruskich. „Kto jednak nie ma żadnego prawa by się tym oburzać to Polska. Zakon dokonał tylko tego, ku czemu Polacy sami dążyli, ale nie dali rady" (str. 47). Aluzja do braci dobrzyńskich. Dlaczego autor przypuszcza, iż ewentualny podbój Prusów przez Polaków musiałby przybrać formy okrucieństwa krzyżackiego, nie wiemy.

Zagarnięcie Pomorza gdańskiego przez Zakon jest przedstawione nieco zagmatwanie, z pominięciem koronacji Przemysława II i bez wyjaśnienia, iż rzeź 1308 r. zmieniła językowe oblicze Gdańska. Przy dalszym przedstawieniu stosunków polsko-litewsko-krzyżackich stale jest widoczna chęć pomniejszania wrogości Zakonu wobec monarchii jagiellońskiej, aczkolwiek nikt już obecnie nie przeczy, iż współcześni nie widzieli w tej walce pojedynku polsko-niemieckiego. Brakuje jednak wytłumaczenia dlaczego powstała wśród Polaków taka do nich nienawiść. Wypadki z lat 1331-32 nie są nawet wspomniane. Bitwa grunwaldzka była, wobec ogromnej przewagi strony przeciwnej, nie do wygrania dla Zakonu. Przed zupełną zagładą uratowała go wtedy ener-

gia Henryka von Plauen. I ślamazarność Jagiełły — dodajmy. W następnym pokoleniu mamy bunt Związku Jaszczurczego, wojnę trzynastoletnią i drugi pokój toruński. W 1525 dokonała się sekularyzacja Prus.

W międzyczasie rozwijała się w Polsce pokojowa kolonizacja niemiecka. Szczególnie przybrała ona na sile po klęskach najazdów mongolskich. Przybysze z zachodu sprowadzani byli przez książąt i biskupów; autor podkreśla przyjacielskie współżycie z nimi miejscowej ludności, ale pomija wrogość kolonistów w obliczu usiłowań zjednoczeniowych Władysława Łokietka.

Omawiając następnie okres ostatnich Jagiellonów i królów obieralnych książka skrzętnie notuje przejawy polskiej nietolerancji wobec ludności protestanckiej, stawiając znak równości między protestantyzmem a niemczyzną. Przy czym wyolbrzymia to wypadki, przypisując im epokowe znaczenie, jakby to właśnie te drobne wybryki miały ukształtować stosunki polsko-niemieckie aż do dzisiejszych czasów. Nie wspomina, iż właśnie humanizm a następnie reformacja dokonały polonizacji niemieckiego mieszczaństwa i że pod koniec XVI wieku, z wyjątkiem Prus Królewskich, miasta stają się całkowicie polskie. Określenie Poznania z początku XVIII wieku jako miasta niemieckiego jest anachronizmem (str. 88). Wspólne polsko-niemieckie zwycięstwo wiedeńskie nad wielokroć liczebniejszym przeciwnikiem jest najlepszym dowodem, iż stała współpraca mogłaby uchronić Europę przed niebezpieczeństwem azjatyckim. Jest prawdziwą tragedią, iż od czasów najazdu mongolskiego obydwa narody tylko w momencie największego niebezpieczeństwa potrafiły się ponownie odnaleźć (str. 99). Słuszna uwaga, ale autor zapomniał o wiekowych umizgach Habsburgów i Hohenzollernów w Moskwie by doprowadzić do wspólnego wystąpienia przeciwko Polsce. Ani słowem nie są wspomniane zdzierstwa i sprzeniewierzenia Fryderyka II, systematycznie podkopujące siły polskiej monarchii. Przy pierwszym rozbiorze inicjatywa została słusznie przypisana Austrii, początkowy opór króla pruskiego nie dość jednak uwypuklony. Fryderyk II był za inteligentny by nie zdawać sobie sprawy jakim niebezpieczeństwem dla całej Europy byłoby zniknięcie Polski. W ostatniej chwili przestraszył się konsekwencji swej polityki i w liście z 27 stycznia 1771 stanowczo sprzeciwił się rozbiorowi. Autor pominął ten list milczeniem, również jak i drugi z 1 kwietnia 1772, w którym określa Pomorze jako ziemię polską. Opis drugiego i trzeciego rozbioru nie przekracza ram zwykłej chronologii. O tym jakie rozbiory przyniosły korzyści państwom niemieckim ani słowa.

Pokój tylżycki dał Polakom drugą niepodległość, straconą ponownie w wyprawie na Moskwę. Jak wyglądały w tym okresie stosunki polsko-niemieckie nie wiadomo. A bylibyśmy ciekawi dowiedzieć się nieco o polityce Austrii wobec Księstwa. Autor ubolewa, iż w następnym okresie, trwającym równo cały wiek, polityka Berlina nie potrafiła związać Polaków z pruską państwo-

wością. Największym błędem było, iż nie traktowano Polaków jako równouprawnionych obywateli i nie uwzględniono ich narodowych uczuć. O prześladowaniach i germanizacji w zaborze austriackim ani jednego zdania. Rabacja galicyjska przemilczana.

Pierwsza wojna światowa jest określona jako ostatnia szansa pojednania polsko-niemieckiego. Autor krytykuje politykę państw niemieckich, iż nie zgodziły się szczerze na polską niepodległość, z przyzwoleniem dołączenia do nowopowstałej Polski własnych ziem zamieszkałych przez Polaków. Odbudowana monarchia byłaby wtedy chętna do prawdziwej federacji z Austrią lub Niemcami. Z dalszych wywodów wynika, iż prawo przyłączenia do Polski byłoby udziałem jedynie zaboru austriackiego, gdyż zwrot w Wersalu ziem zagrabionych przez Prusy jest określone jako akt niesprawiedliwości wobec całego narodu niemieckiego. Była to decyzja przeprowadzona „z pozycji siły, bez zastanowienia, iż widok takiej głupoty musiał w Niemczech utrzymywać stan wrogości i uniemożliwiał jakiekolwiek pojednanie" (str. 156). Stała się ona dla Niemców „granicą wiecznie krwawiącą" *(blutende Grenze)*. Powstania wielkopolskie i śląskie są przedstawione z minimalnym obiektywizmem i optymalną dozą niechęci. Autor nie zastanawia się czy utracenie wspólnej granicy z Rosją, tej wiecznej zmory Bismarcka i Wilhelma II, było z korzyścią dla ogólnego położenia Niemiec.

Okres powojenny charakteryzował się wywołaną przez Polaków wrogością Niemców, polskim szowinizmem, który marzył o „marszu na Berlin", prześladowaniem mniejszości niemieckiej w Polsce, „wspaniałomyślnym" (str. 167) traktowaniem mniejszości polskiej w Niemczech. Stosunki polityczne między dwoma państwami są przedstawione w sposób chronologiczny na pięciu stronach bez żadnej próby analizy.

Stanowisko Niemców wobec Polaków w czasie ostatniej wojny da się wytłumaczyć psychologicznymi wypadkami ostatnich dwudziestu, jeżeli nie ostatnich trzystu lat. Czym jednak można wytłumaczyć zachowanie Niemców do innych narodowości autor nie tłumaczy. Krzywda polska i krzywda niemiecka, które spowodowały utratę jednej czwartej terytorium narodowego i wypędzenie 10 milionów mieszkańców, są już dwadzieścia lat poza nami. Tak jakby Polacy mogli cokolwiek decydować po roku 1945. Nadszedł czas na nowy dialog polsko-niemiecki. Wielki ogień wzajemnej nienawiści nieco się wypalił. Dodajmy, i wymarli nieco byli więźniowie obozów koncentracyjnych nie doczekawszy się nawet żadnego odszkodowania. Autor nie wypowiada się jak ma wyglądać przyszłość. Podaje argumenty obydwu stron dotyczące obecnej granicy. Podkreśla silnie prawa każdego narodu do swego terytorium i do swego dziedzictwa, uwypukla zbrodniczość pozbawienia ludzi ich własnej ziemi, prawa do życia we własnej ojczyźnie. Argumenty, których daremno szukaliśmy przy omówieniu wypadków roku 1772.

Prócz wyżej wymienionych przemilczeń zanotować należy i

inne opuszczenia, które jeszcze lepiej podkreślają tendencyjność książki. Zjazd w Gnieźnie nie dziwi Polaków i opis jego nie wydaje im się niewiarogodny. Co ich dziwi to zachowanie się potomków tych pielgrzymów. Nie wiadomo dlaczego nic nie wspomniano o wpływie niemieckim na polską sztukę i naukę. Wit Stwosz jest wspaniałym darem niemieckim dla Polski i jej kultury. Pominięta jest także osoba Mikołaja Kopernika czy Reinholda Heidensteina. Liczne wyjazdy młodych Polaków na studia do uniwersytetów niemieckich także otwierały na oścież wrota wpływom zachodniego sąsiada. A polska wolność i tolerancja kazały ludności niemieckiej Prus i Inflant szukać opieki polskiego króla. Ani słowem nie jest wspomniany sojusz polsko-pruski z marca 1790 r., jeden z najciekawszych i pouczających epizodów naszych wzajemnych stosunków. Czytelnik nie dowie się także nic o polityce państw niemieckich w latach następnych, aż do rozbioru roku 1795. Jakby Szczekociny, oblężenie Warszawy, pobicie pod nią Fryderyka Wilhelma II, naciski Austrii na ostateczne zniszczenie Polski należały do niesprawdzonych mitów. Nie dziwi już przemilczanie grabieży i zniszczenia klejnotów koronnych przez Prusaków. Zupełnie bałamutne jest twierdzenie, iż szlachta poznańska dlatego poparła powstanie listopadowe, iż była niezadowolona z uwłaszczenia włościan przez rząd pruski (str. 125). Omawiając przyczyny powstania autor swą niewiedzę posuwa aż do twierdzenia, iż rozkaz o mobilizacji armii polskiej i jej gotowości marszowej ku Zachodowi był tylko niepotwierdzonym domysłem (str. 126). Nie wie, iż 6 listopada 1830 r. ogłosiła go cała prasa imperium i królestwa. Entuzjazm ludności niemieckiej dla powstańców maszerujących przez Niemcy jest opisany w trzech zdaniach. Wystąpień propolskich czy rozważań nad potrzebą odbudowania Polski jako przedmurza Europy nie brakowało w Niemczech przez cały wiek XIX. Jakoś to nie zwróciło uwagi autora. Zaskakuje twierdzenie o antyżydowskim nastawieniu powstania styczniowego (str. 161).

Drugim poważnym opuszczeniem, obok sprawy sojuszu z roku 1790, jest propozycja Prus przymierza z Francją w celu odbudowy Polski z marca 1848 r. Trudno zrozumieć dlaczego i ten ważny epizod został pominięty. Czasy Bismarcka są przedstawione jednostronnie. Podkreślona jest jego brutalność i usiłowania germanizacyjne, pominięta jego częsta krytyka rozbiorów i plany ewentualnej odbudowy polskiej państwowości, gdyby miało dojść do rozprawy z Rosją. Cały opis wytyczenia granicy polsko-niemieckiej po pierwszej wojnie światowej dyszy niemiecką krzywdą i dziejową niesprawiedliwością. Litania skarg jest przerwana jedynie na chwilę by pochwalić politykę Lloyd George'a. Żadnej natomiast próby przedstawienia czy wytłumaczenia polskiego punktu widzenia. Polska jest skrytykowana nawet za swą granicę z Rosją — iż bardzo na wschód. Słaba znajomość historii ujawnia się w nierozróżnianiu autora między Rusią i Rosją; dlatego wszystkie uwagi o polityce wschodniej Litwy są błędne.

W sumie jest to książka niepotrzebna. Nie warta, by zaintereso-

wał się nią czytelnik polski. Czytelnik niemiecki znajdzie w niej skrzywiony obraz wzajemnych stosunków i utwierdzi się tylko w swym przekonaniu jak zły, niewdzięczny i przebiegły jest jego sąsiad polski.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Wędrówka czy błąkanina

Nie jest powszechnie wiadome, że pierwszy polski plan perspektywiczny opracowany został przez Stanisława Staszica w roku 1824, że Piotr Michałowski był nie tylko wielkim malarzem ale i hutnikiem, że „wielkie" piece zaczęły powstawać w polskim hutnictwie już w pierwszej połowie XVIII wieku, że w 1793 roku Łódź liczyła 191 mieszkańców, a w r. 1825 tylko jeden tysiąc, że żelazo wytapiano na ziemiach polskich już 400 a nawet i 700 lat przed naszą erą, że Wieliczka oraz kopalnie i huty ołowiu i srebra w Olkuszu i Sławkowie istnieją przynajmniej od ośmiu wieków, że Polacy byli piwoszami od zarania czasów historycznych, że młoty poruszane siłą wodną używane były w przemyśle włókienniczym już za czasów Łokietka, że to Staszic zapoczątkował praktykę „zaczepiania się o plan", że dwie tokarki angielskie kupione w 1826 r. były w ruchu pod Kielcami aż do 1956 r. Te i inne ciekawe informacje wyczytać można z książki Aleksandra Bocheńskiego, *Wędrówki po Dziejach Przemysłu Polskiego* (Warszawa: Instytut Wydawniczy Pax, 1966, 60 zł.). Książka ta zawiera także ciekawostki polityczne. Między innymi, podkreśla ona „rosyjską orientację" w polityce polskiej prymasa Michała Poniatowskiego, brata króla Stasia, oraz słuszność polityki Stanisława Poniatowskiego, polegającej na opieraniu się na Rosji. Bocheński kładzie nacisk na materialne straty spowodowane przez powstanie listopadowe i na błędne zasady polityki uniezależnienia się od Rosji, prowadzonej przez marszałka Sejmu Czteroletniego, Stanisława Małachowskiego. Drucki-Lubecki, który w 1812 r. służył „jako skromny oficer w armii Suworowa" (?) str. 314), jest dla Bocheńskiego ideałem mądrego patriotyzmu.

Kilka ciekawych map i rycin dodaje książce wartości. Żywy styl prozy może niektórych czytelników pociągać. No, i bezwątpienia autor popularyzuje wyniki kilku lub kilkunastu odkrywczych i oryginalnych prac naukowych, na których się głównie opiera.

Książka Bocheńskiego, stanowiąca pierwszy tom większej całości, zaczyna się zasadniczo (zasadniczo, bo Bocheński podróżuje beztrosko po różnych okresach) od XVI wieku i kończy — znowu zasadniczo — na powstaniu listopadowym. Składa się ona z pięciu części: 1) Drobne warsztaty — co obejmuje raczej dziwny zbiór tematów, jak kopalnie olkuskie, finanse państwowe, małpy i ananasy Kazimierza Poniatowskiego, hutnictwo, papiernictwo, piwowarstwo, włókiennictwo i wiele innych tematów i dygresji. 2) Manufaktury — co znowu pokrywa bardzo oryginalny zbiór tematów, dotyczących głównie XVII i XVIII wieku. 3) Stanisław Staszic i jego działalność. 4) Ksawery Lubecki — gdzie czytelnik wysłuchuje m.in. czegoś w rodzaju kazania pod tytułem „Rozmyślania nad grobem Johna Pace". 5) Początki przemysłu włókienniczego do r. 1830.

Bocheński porusza fascynujący i ważny temat. Porusza go z żarem misjonarza, który uwierzył, że przemysł stanowi podstawę narodowej siły, i którego płomienny patriotyzm wyzierający z kartek książki zmusza do prozelitowania swej wiary. W ten sposób materialistyczny patriotyzm zastępuje dawny patriotyzm romantyczny — co samo w sobie jest chyba zmianą na lepsze. Bocheński jednak, za przykładem pomniejszych ideologów komunistycznych, przejmuje i głosi system oparty w części na wierze i dogmatach. Tak jak dla piłsudczyków każde słowo „Dziadka" ma wartość złota, jak dla narodowców Dmowski jest alfą i omegą słuszności, tak dla Bocheńskiego „MELS" (ostatnio bez końcowego „S", bo Stalin przestał być oficjalnym prorokiem) jest źródłem natchnienia i podstawą światopoglądu. Bocheński, jak na dobrego Pax'owicza przystało, używa co pewien czas autorytetu Marksa, Engelsa i Lenina, oprócz kilku zaklęć na Boga — co też pewno wydaniu książki przez Pax nie przeszkodziło. Tak więc znowu mamy tu formalne autorytety i ideologie*, mimo że podejście Bocheńskiego jest w ogólnych zarysach rzeczowe, choć niemetodyczne. Niemniej jednak emocjonalizm i doktrynerstwo mocno przebijają z kartek recenzjonowanej książki. W dwóch miejscach wydało się też piszącemu te słowa, że Bocheński jest „antysemitą" (jego wyrażenie, str. 157). Przedstawia więc on chyba całą gamę paxowskich nastawień.

Forma książki Bocheńskiego pozostawia dużo do życzenia. Zamiast wędrówki po dziejach przemysłu polskiego, wędrówki z określonym celem, szlakiem i celami pośrednimi, jest to błąkanina od dygresji do dygresji, od zbędnych życiorysów do niepotrzebnych skrótów teorii ekonomicznych, od ciągłego powtarzania się do „ale nie o to idzie". Parafrazując podejście Bocheńskiego do pewnych uwag Staszica (str. 159) można powiedzieć, że „Wystarczy przekreślić epitety, sztychy boczne, wystarczy wycisnąć jak sok z cytryny argument rzeczowy z tekstu" Bocheńskiego, „aby ujrzeć, że pozostaje tylko i wyłącznie" z 444 stron jego książki równoważnik ok. 40 stron jędrnie i syntetycznie opracowanych.

* Przypominam tu doskonały artykuł Aleksandra Hertza, „Ideologia: treść i zakres", *Kultura*, maj, 1967.

Bocheńskiemu brak podstaw wiedzy teoretycznej, analitycznego podejścia — no, i zwięzłości. Pisze stylem dziennikarskim, reportażowym, zachłystującym się wyrażeniami, formą. Czy się go jak Wacława Zbyszewskiego, choć na dużo niższym poziomie. Dla piszącego tę recenzję należy on do pokolenia które mija, pokolenia wychowanego na pięknej beletrystyce, lubującego się w piękności słowa, walczącego o własne — romantyczne czy materialistyczne — idee. Do pokolenia przed-fachowego, najwyżej powierzchownie materialistycznego. Dlatego też próżno by szukać w Bocheńskim analizy rozwoju poszczególnych przemysłów. Zajmuje się on raczej osobami, tematyką z dziedziny *human interest story*. Wypowiada osądy bez próby ich udokumentowania. Pisze nierówno: czasem wydaje się zwracać do młodych gimnazjalistów, czasem do ludzi dorosłych. Jest czasem ciekawy, czasem potwornie nudny. Jego stosunek do pisania cechuje zdanie o innej książce: „... dzieło to... jest bezpłciowe i czytać się nie da" (str. 379). Może dlatego Bocheński używa od czasu do czasu ginekologicznych przenośni w rodzaju: „Narodziny robota. Zapłodnienie. Ciąża. Połóg. Wzrost. To rzeczywisty temat mojej książki" (Str. 50). Może też dlatego często powraca do ananasów i małp Kazimierza Poniatowskiego, bo według jednego z rosyjskich dowcipów ananasy to przecież *„seksualnyje fruchty"*, a małpy Woronowa płci się ponoć dzielnie przysługiwały.

Autorski *sex-appel* w pojęciu Bocheńskiego uzyskuje się najwidoczniej spazmodycznym skakaniem (jak te nieszczęsne małpy) z tematu na temat, z okresu na okres (z XVI wieku do Hefajstosa, potem do Warszawy w 1960 r., i td.), najwidoczniej niezbędnym określeniem, że Jan Długosz był to „jeden z największych, jeśli nie największy polski historyk" (str. 17), nieokreśleniem Hugo Kołłątaja (pewno za jego anty-rosyjskie nastawienie) i podobnymi sztuczkami dodającymi hormonów płciowych, aby książka „dała się czytać". W tym sensie Pax wydał raczej brulion pracy, aniżeli dobrze przemyślane dzieło. Poniekąd jednak ratuje Bocheńskiego temat, który, należy wyrazić nadzieję, zostanie kiedyś lepiej opracowany.

Bocheński zaczyna swoją książkę w następujący sposób: „Praca wykonana przez prąd elektryczny w ilości 1 kilowatogodziny równa się pracy dwu roboczodniówek ludzkich — czyli pracy 2 ludzi przez 8 godzin. To pierwsze zdanie tej książki jest też w niej najważniejsze, bo zawiera klucz konieczny do zrozumienia całej reszty". Stwierdzenie to nadaje ton całej książce. Po pierwsze, i to chce Bocheński zaznaczyć, podkreśla ono znaczenie mechanizacji i użytkowania energii mechanicznej w rozwoju produkcji i wydajności pracy. Po drugie, nadaje ono ton nieprecyzyjności sformułowań. Bocheński nie tłumaczy podstaw swego stwierdzenia, a jedynie wyciąga z niego wnioski. A przecież wkład mechanicznej jednostki pracy do produkcji — w porównaniu z pracą mięśni — zależy od poziomu technologii (która w okresie opisanym przez Bocheńskiego bardzo się zmieniła), od procesów w których jest używana (np. w produkcji aluminium nie można

zamienić kilowatogodzin na pracę mięśni), od składu produkcji, i td. Skąd więc podstawa do równania 1 kilowatogodzina = 16 godzin ludzkiej pracy? Bocheński tego nie wyjawia. I ten właśnie brak wytłumaczenia daje przedsmak całej książce — tak właśnie jak to autor zapowiada. W tym przynajmniej Bocheński czytelnika nie zawodzi.

Interesujące jest snucie refleksji opartych na książce Bocheńskiego. Np. w 1824 r. „płacę 1 złotego dziennie uważano... za nadzwyczaj niską, nie dająca możności życia" (str. 304). Za jednego złotego można było kupić 3 funty wieprzowiny, lub 1/7 pary butów. Na podstawie *Rocznika Statystycznego* GUS'u obliczyć sobie można, że w 140 lat później przeciętna płaca w przemyśle uspołecznionym dawała równoważnik 3 1/2 funta wieprzowiny, lub 1/6 do 1/9 pary butów. Prawda, w 1964 roku robotnik korzystał ze świadczeń społecznych, ale w 1824 r. korzystał on z często spotykanej własnej bazy życiowej na wsi — co Bocheński nadmienia przy innej okazji (str. 400). Standart życiowy mierzony „buciorami" i „schabowszczakami" nie wykazuje dużej poprawy na przestrzeni 140 lat, szczególnie, jeżeli przyjmiemy za Bocheńskim, że przeciętna dniówka w 1824 r. wynosiła więcej aniżeli jednego złotego. Ciekawe jest poza tym, że w 1899 r. za płacę jednodniową można było kupić 12 funtów chleba, lub 2 1/2 do 3 funtów wieprzowiny (str. 352). W 1964 r. za przeciętną pracę jednodniową w przemyśle uspołecznionym można było kupić 27 funtów chleba (tu postęp jest widoczny!), lub 3 1/2 funta wieprzowiny. Fragmentaryczność tych danych, oraz trudności w porównaniu, z punktu widzenia minimalnego poziomu życiowego, tak odległych od siebie okresów jak lata 1824 i 1964 — oba te względy nie pozwalają na konkretne wnioski co do kształtowania się płac realnych. Porównanie powyższe jest jednak zastanawiające choćby jako luźna spekulacja, nie mająca żadnych pretensji do naukowej ścisłości.

Oczywiste są już refleksje po przeczytaniu paxowsko brzmiącego następującego ustępu: „Zarówno chrześcijańska miłość bliźniego, jak i zasady świeckiego humanizmu każą potępić system, który doprowadza robotnika do biedy i nędzy, system nieludzki — bez względu na korzyść, jaką z tej biedy odniesie mechanizacja... Dopiero po zaspokojeniu najważniejszych potrzeb człowieka nadmiar akumulacji może kierować ten czy inny dyspozytor na inwestycje" (str. 404-5). Ustęp ten odnosi się do... początku XIX wieku. Czyżby tylko?

Żal też bierze pomyśleć jak dużo wcześniej można by było Polskę uprzemysłowić, gdyby tylko inna była mentalność i sposób życia szlachty. Bocheński na pewno maluje swój obraz specjalnie dobranymi barwami, ale główne jego zarysy są prawdopodobnie prawdziwe.

Ciekawe są statystyczne wiadomości na temat piwo-picia i piwowarstwa. Dużo narodowej energii w ciągu wieków weszło w te zajęcia. Zwykle ekonomiści twierdzą, że powstanie jednego

przemysłu pomaga powstaniu innych. Tu chyba znajdujemy wyjątek.

Zasady etyki publicznej może się polepszyły w ciągu ostatnich 150-ciu lat. Otóż Tadeusz Mostowski, będąc ministrem Spraw Wewnętrznych w Królestwie Polskim, sprzedał rządowi swój pałac (za czasów stalinowskich słynny „Mostozdrój", w którym wielu ludzi spędzało przymusowe wczasy pod opieką milicji) za wygórowaną sumę — i później najspokojniej zamieszkał w nim ze swoją rodziną i protegowanymi „z niewygodą biur rządowych" (str. 342). Może po prostu dlatego na tym odcinku sytuacja się poprawiła, że mało osób ma okazję sprzedawać rządowi własne pałace. Więc przynajmniej ta dziedzina etyki publicznej lepiej teraz wygląda.

Dzieje polskiego włókiennictwa dowodzą, że decentralizacja dokonać może więcej aniżeli system scentralizowany: działa sprawniej, szybciej i z istotnym uwzględnieniem lokalnych potrzeb. Stąd chyba prosty wniosek dla administrowania gospodarką polską. Wniosku tego Bocheński nie wysnuwa — gra ostrożnie, bo a nuż coś nawali i góra go stuknie.

I wreszcie refleksja ogólna. Czy stronniczy partyzant, jakim jest Bocheński, oddać może dzieje przemysłu polskiego w sposób przejrzysty, bezuczuciowy i wyczerpujący? Czy może on uwolnić się od kategoryzowania ludzi — a Bocheński zajmuje się bardziej ludźmi aniżeli przemysłem — na promienisto cnotliwych i bardzo, bardzo złych? Czy może snuć wolne wnioski, przeprowadzać pełne porównania i pisać o różnych systemach ekonomicznych bez jadu propagandzisty? Bocheński na przykład opisuje system kolonialny angielski w sposób, który propagandowo można by użyć i wobec stosunków sowiecko-satelickich (str. 211), lub określa produkcję przedsocjalistyczną jako „źródło uciemiężenia i biedy mas proletariackich" (str. 49). Po przeczytaniu *Wędrówek* ma się wrażenie, że odpowiedź na powyższe pytania wypada negatywnie.

Bogdan MIECZKOWSKI
Ithaca College, Ithaca, N.Y.

U. S. A. w oczach Francuzów

Jacques Cabau w artykule w jednym z majowych numerów *The New York Times Book Review* („Reluctant Vogue") zauważa, że jeżeli dziś polityczne stosunki między Francją i Stanami Zjednoczonymi przedstawiają się jak najgorzej, to równocześnie z drugiej strony stosunki kulturalne między obu krajami nigdy

nie przedstawiały się tak dobrze Popyt na tłumaczenia z „amerykańskiego" jest we Francji ogromny, tłumaczy się wszystko co popadnie i przekłady te są pochłaniane przez masy czytelnicze. Czegoś podobnego we Francji dotąd nie było.

W parze z tym idzie przyswajanie przez Francuzów i innych importów amerykańskich. Film amerykański i *drugstore*, *Bermuda shorts* i hamburgery, różnorodne *gadgets* — wszystko to jest masowo przyswajane przez szeroką publiczność francuską. „Francja — powiada Cabau — nigdy nie była tak zamerykanizowana, jak pod rządami de Gaulle'a".

Czy jednak Francja ma rzeczywiście prawdziwe zrozumienie dla istotnych treści nowej kultury amerykańskiej? Jacques Cabau ma co do tego duże wątpliwości. Odnosi się to przede wszystkim do nowej powieści amerykańskiej. W literaturze amerykańskiej poprzedniej epoki — od Henry James'a do Hemingway'a i Dos Passos'a — Francuz widział przedłużenie własnej literatury. Ale Paryż przestał być Mekką amerykańskiego pisarstwa. Twórczość Bellow'a, Updike'a, Malamud'a, Price'a i całej masy innych przestała być przedłużeniem literatury francuskiej, jest całkowicie amerykańska, wyrasta z doświadczeń i zagadnień obecnego etapu historycznego cywilizacji amerykańskiej. I stąd — sądzi Cabau — Francuz przy całym swym zafascynowaniu Ameryką i jej literaturą czuje się tu zgubiony, jest rozczarowany i zniechęcony.

Uwagi te narzucają się przy czytaniu styczniowego zeszytu doskonale redagowanego miesięcznika „Critique"*. Zeszyt ten, w całości poświęcony różnym aspektom życia amerykańskiego, jest próbą wyjaśnienia sobie różnych niepokojących Francuza właściwości tego życia. Zgodnie z programowymi założeniami pisma, za podstawę zostały użyte pewne prace amerykańskie, świeżo wydane i poświęcone szczególnie istotnym sprawom amerykańskim. Redakcja z góry przyjęła, że metoda taka ani nie może przynieść wyczerpującego przedstawienia poszczególnych tematów, ani nie może prowadzić do dania pełnego obrazu życia i spraw dzisiejszej Ameryki. Ważne to zastrzeżenia, które czytelnik „Regards sur l'Amérique" winien pilnie zachowywać w pamięci.

Można by wymienić cały szereg tematów, niezmiernie istotnych dla dzisiejszej Ameryki, które bądź całkowicie zostały pominięte, bądź zostały potraktowane marginesowo czy przypadkowo. Wystarczyłoby tu wskazać np. na nowe funkcje uniwersytetów i nowe role społeczne intelektualistów, na przemiany w tradycyjnych funkcjach kościołów i środowisk wyznaniowych, na przeobrażenia w grupach zawodowych i w roli związków zawodowych i tp. A są to przecież sprawy, które dla współczesnego europejskiego czytelnika powinny być bardzo ważne. Doskonale natomiast można było pominąć artykuł o zafascynowaniu Amerykanów pożarami i o roli straży ogniowych. Zwłaszcza że chodzi tu o rozważenia wysoce naiwne i powierzchowne.

* *Critique*, Janvier 1967: „Regards sur l'Amérique".

Metoda opierania się na pewnych publikacjach ma też swoje ryzykowne strony. Nie znaczy to, by wybór tych publikacji był zły. W ogromnej większości wypadków użyte tu zostały rzeczy reprezentacyjne i rzeczywiście cenne. Ale bieżąca amerykańska produkcja książkowa i artykułowa, poświęcona sprawom Stanów Zjednoczonych, jest fantastycznie wielka. Amerykanie odkrywają samych siebie, piszą o sobie z brutalną otwartością, Są w tej produkcji pozycje, które bez straty mogłyby nie być napisane i które szybko ulegają zapomnieniu. Ale są rzeczy cenne i trwałe. Wszystkie one w całości dają jakiś obraz amerykańskiej dynamiki, rozmiarów zachodzących przemian. To że prace te są zajadle dyskusyjne, że są kontrowersyjne, tym mocniej podkreśla płynność, zmienność i swoistość tej cywilizacji, jaką tworzy dzisiejsza Ameryka.

Konieczność dokonania wyboru, ograniczenia się do pewnych z tej powodzi książek i artykułów stwarza poważne trudności. Jak łatwo jest pominąć to, co należałoby było wybrać, i wybrać to, bez czego można by się było obyć! I to się wyraźnie wyczuwa w wypowiedziach autorów „Critique". Jeżeli jednak łatwo ich z tej racji krytykować, to z drugiej strony wszelki inny wybór jaki by zrobili, nasuwałby też podobne zastrzeżenia. Bieda w tym, że Amerykanie o swoich sprawach piszą tak dużo! Boję się jednak, że współpracownicy „Critique" w doborze amerykańskich opracowań trochę za mało uwzględniali sprzeczne koncepcje, dobierając rzeczy raczej uzupełniające się.

Wszystkie jednak te zastrzeżenia nie podważają wartości wysoce pożytecznego wyniku ich pracy. Czytelnik francuski — czy w ogóle europejski — dostaje tu sumienny przegląd pewnej liczby opracowań amerykańskich i otrzymuje jakiś przedsmak wielkich dyskusji, jakie obecnie są toczone w Stanach Zjednoczonych. A bez stwierdzenia faktu tych dyskusji, bez jakiegoś wglądu w ich przebieg, nie można marzyć o zrozumieniu dzisiejszej Ameryki. Jest to tym ważniejsze, że dyskusje te mogą być — i być powinny — bardzo użyteczne dla zrozumienia zjawisk i procesów całego życia współczesnego, nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Ostatecznie co dziś dzieje się w Ameryce, jutro może dziać się i gdzie indziej. A w każdym razie może mieć zasadniczy wpływ i na resztę świata.

Niektóre z tych francuskich omówień są rzeczywiście i bardzo wnikliwe i bardzo pożyteczne. Wymienię tu w pierwszym rzędzie doskonały artykuł Georges'a Burdeau: „La Cour Suprême: oracle ou miroir?" Opierając się głównie na znanej książce Roberta G. McCloskey, Burdeau w sposób przekonywujący wykazuje, iż orzecznictwo Sądu Najwyższego było funkcją tych przemian historycznych, jakie zachodziły i zachodzą w życiu Amerykanina. Nie jest to oczywiście teza nowa, rozwijana jest ona od dawna. Ale rozwinięcie jej daje czytelnikowi europejskiemu bogaty materiał informacyjny. Rola Sądu Najwyższego w Stanach Zjednoczonych jest kolosalna i nie znajduje dla siebie analogii w tradycjach kontynentalnej Europy. Nie zrozumie się Ameryki, jeżeli roli tej się nie rozumie.

Alain Clément w artykule o Johnsonie, opierając się na książkach Rowlanda Evans i Roberta Novak (Lyndon B. Johnson: *The Exercise of Power)* oraz Philipa L. Geylin *(Lyndon B. Johnson and the World)*, wybrał dość ułatwioną drogę i nie uniknął poważnych uproszczeń. Czy można Johnsona sprowadzać wyłącznie do jego teksaskiego podłoża? W Ameryce jest to bardzo popularne. Ta teksaska teza wydaje mi się jednak mocno wątpliwa. Oczywiście Johnson jest bardzo związany z Teksasem i klimat duchowy ojczystego stanu miał poważny wpływ na ukształtowanie się osobowości Prezydenta. Ale działały tu jeszcze i inne — niemniej poważne — czynniki, by tylko wymienić wpływ Roosevelta i cały okres *New Deal*'u. Ostatecznie każdy Amerykanin jest w jakiejś mierze produktem swego stanu, jak każdy człowiek jest produktem miejsca swego urodzenia i młodości. Truman stale podkreślał swe związki z Missouri, żadnego z Kennedy'ch nie można oderwać od Massachusetts i przede wszystkim Bostonu. Washington i Jefferson byli synami Virginii, Andrew Jackson — Tennessee. Byłoby jednak grubym uproszczeniem sprowadzanie osobowości i działalności tych ludzi wyłącznie do ich stanowego pochodzenia. To samo da się powiedzieć i o Johnsonie. Teksas miał na niego duży wpływ kształtujący, ale dochodziły do tego i różne inne czynniki.

Pożyteczne uwagi znajdzie czytelnik europejski w artykule Rogera Errera „Les Américains et leurs villes". Centrum życia amerykańskiego z farm i małych miasteczek zdecydowanie przesunął się do kolosalnych skupisk metropolitalnych. Stwarza to nowe problemy, których sens i rozwiązanie znacznie przekracza teren Stanów Zjednoczonych. Errera rzeczy te dobrze rozumie i uwagi jego mogą dać czytelnikowi bogaty materiał dla przemyśleń.

Bardzo pozytywnie oceniam artykuł Pierre-Yves'a Petillon o amerykańskiej powieści oraz krótką notatkę Serge'a Fauchereau o poezji murzyńskiej. Zagadnienie murzyńskie jest zresztą poruszane i w innych artykułach.

Bez względu na zastrzeżenia, jakie nasuwają te czy inne artykuły styczniowego zeszytu „Critique", całość jest godna przeczytania. Może ona przyczynić się do uporządkowania w umysłach europejskich czytelników tych niejasności i nieporozumień odnośnie Ameryki, jakie wciąż panują po drugiej stronie oceanu. O tym mówią wywody Cabau, od których rozpoczęliśmy nasze uwagi. „Critique" nie daje odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania, ale coś porządkuje i niejedno wyjaśnia. Ze smutkiem się myśli, że czytelnik w Polsce nie może nawet marzyć o pracy na takim poziomie, o pracy, która stara się zachować rzetelny obiektywizm.

Aleksander HERTZ

Znakomity podręcznik

Któż z nas nie lubi grzebać w koszach ze starymi książkami? Chodzić po antykwarniach i spędzać całe godziny na przeglądaniu stosów zakurzonych i brudnych książek? Czasem można znaleźć coś ciekawego, niespodziewanego i nawet wartościowego. Kiedyś w małej mieścinie pod Bognor Regis (Sussex) widziałem zbiór polskich przepisów obrony przeciwlotniczej z roku 1938, kupiłem Gogola „Miortwyje duszi", Dołęgi-Mostowicza „Pani Malinowska", za 6 pensów nabyłem Biblię po angielsku (wydanie z r. 1954) i — cóż za niespodzianka! — podręcznik języka polskiego dla Niemców: Orschel-Kruszewski „30 Stunden Polnisch für Anfänger". Nie byle jaka firma wydawnicza, bo Langenscheid'a. Rok 1939.

Każdy z nas ma rozwinięte poczucie „Schadenfreude", gdy w różnych samouczkach językowych znajdujemy pokraczne zdania i wyrażenia. Czasem śmieszy nas samo zestawianie pytań i odpowiedzi jak np. w sławetnych samouczkach Ollendorffa: „Czy pańska ciotka kupiła kapelusz?" — „Nie, ale mój wuj zmarł na zółtaczkę".

W podręczniku Orschel-Kruszewskiego, wydanego tuż przed wojną, uderza zupełny brak tematów politycznych. Rozmowa o krajobrazie, pogodzie i turystyce. Istna sielanka. Jest wprawdzie mały artykulik o Józefie Piłsudskim. Polszczyzna tego podręcznika: „Według obliczeń, które mogą uchodzić za pewne, jest obecnie 2796 języków *żywnych*, które na to określenie zasługują"... „Pan Leszczyński woła taksówkę: „Halo, jest pan wolny?"... „Szofer potwierdza pytanie"... „Jak się przyjaciel nazywa?"... „Nazywa się Tadeuszem Sobieskim". W niemieckim czasownik najczęściej umieszczamy na końcu zdania: „Gdy przyjechali do Wiłanowa, zastali tam już wielu ludzi, których piękna pogoda zwabiła"... „Proszę, tu jest łyżeczka do wkładania bucików"... Jak wygląda stół wielkanocny w Polsce? „Indyki pieczone, wielki *baumkuch* wysokości pół metra i szereg mazurków"... „Czym pan umacnia spodnie?"... „Umacniam spodnie szelkami"... „Obok talerzów...".

Przypominam sobie lata młodości. Kochałem się w Alinie W. Odkochałem się, gdy się dowiedziałem, że jej matka „nie lubi muchów...". Wiadomo — pedant!

A przecież ta książeczka, napisana przez Niemca Orschela i jakiegoś Volksdeutscha Kruszewskiego, jest prawdziwym arcydziełem w porównaniu z tłumaczeniem „Potopu" na język angielski pióra J. Curtin'a. Sienkiewicz twierdzi: „Czołem, panie Charlamp, czołem, ach! czołem, panie pułkowniku, najniższy sługa!". J. Curtin podziela zdanie Sienkiewicza, lecz w sposób wręcz makabryczny: „With the forehead, Pan Kharlamp, with the forehead. Ach! with the forehead, Pan Colonel, most abject servant!"...

Dowiaduję się, że w Stanach Zjednoczonych już po ostatniej wojnie ukazał się „Najnowszy Samouczek Polsko-Angielski Opracowany i Ułożony Specjalnie dla Polaków w Ameryce" (Worzalla Publishing Co). Dobrze że już w tytule zastrzeżono, iż został ułożony specjalnie dla Polaków, bo przecież mógłby go przez pomyłkę kupić jakiś Eskimos lub inny Japończyk. Na przykładzie tego samouczka można najdobitniej uzasadnić powiedzenie „uczył Marcin Marcina". Kilka przykładów: „On ma śmieszny gust, biorąc czekoladę w czasie lata"... „Wyjmowanie Papierów Obywatelskich???" Ależ — oczywiście — naturalizacja. Posądzam i oskarżam twórcę tego dziełka o kradzież autorstwa. Na pewno wzorował się na Ollendorffie: „Cóż tam jest w rogu — łóżko składane?" Odpowiedź krótka, węzłowata i kategoryczna: „Nie, to jest organ". (Gubię się w domysłach, czy to jest organ muzyczny, czy też... do rozmnażania się). I tak dalej jak z rogu obfitości.

Już się skończyła wojna światowa, podczas której Roosevelt nazwał Polskę „natchnieniem narodów" i oddał ją w pacht Stalinowi. Cała fala uchodźtwa z tysiącami inteligentów polskich przypłynęła do Ameryki. A przecież było już tam ileś tam milionów Amerykanów polskiego pochodzenia. W Londynie uczył Anglików po polsku Jerzy Pietrkiewicz, w Baltimore w arkana polszczyzny wtajemniczał Amerykanów T. S. Zaczkowski. Ułożył on książeczkę pt. „Polish Self-Taught", a wydał ją w roku Pańskim 1952 niejaki Ottenheimer. W słowniczku znajdujemy następujące perełki: „barber — balbiesz", „fisherboat — rybacza łudka", „Ocean — oćyan", „shop — szapa", „ordinary train — ordynarna kolej". Jeśli chodzi o bogactwo frazeologiczne, aż ciarki przechodzą, gdy czytam: „Co mówisz do tej propozycji?"... „On niedługo będzie osiemdziesiąt. On zaczyna rosnąć stary". Podróż morska: „Chodźmy do shajty. Mam morską crorobę... Bałwan jest silny"... „Ja wierzę w to" — zgadza się rozmówca. Jabym tę bałwańską książkę spalił.

Po co to wszystko piszę? Głowiłem się, dlaczego nikt nie zdobył się w Stanach na wydanie podręcznika języka polskiego na wysokim poziomie. I oto jestem naprawdę zaskoczony i olśniony.

W roku 1966 Yale University Press (New Haven and London) wydał w serii swych dzieł językoznawczych „Beginning Polish" Aleksandra M. Schenkera. Mam na razie tom pierwszy. Pokaźny 494 stronicowy tom dużego formatu na pięknym papierze, drukowany piękną czcionką. Książkę aż przyjemnie wziąć do ręki. Układ graficzny przejrzysty, dużo „światła". Pilny i pracowity uczeń może sobie robić notatki i uwagi na marginesach i nawet wpisywać je między wierszami. Twierdzę, że właśnie taki układ graficzny może stać się wzorem dla wszystkich wydawnictw językowych tego rodzaju. Podręcznik wręcz znakomity. Piękna nowoczesna polszczyzna i poprawny język angielski. Właściwie „amerykański", ale o tym potem.

Słusznie i jakże pedagogicznie nauka zaczyna się od ataku frontowego na pozycje najtrudniejsze — wymowy. Bo przecież zanim uczeń nie uporał się z trudnościami wymowy, trudno przechodzić do gramatyki i rozmówek. Gdy już potrafi wymówić: „Szczur chwycił sztuczną szczękę chrzestnej matki Szczepana Chrzanowskiego", można już go męczyć gramatyką tak trudnego języka. „Beginning Polish" jest nie tylko podręcznikiem szkolnym, ale również i znakomitym samouczkiem. Każdy samouk może dokupić sobie drugi tom ćwiczeń wraz z taśmami magnetofonowymi (Center of Applied Linguistics, Washington).

Jeśli chodzi o wymowę, pracowity autor nie zaniedbał nawet i takich szczegółów jak rozróżnienie wymowy „warszawskiej" używanej w teatrze, radio i telewizji i „krakowsko-poznańsko-śląskiej". Książka zawiera kilka tabelek fonetyki: Warszawa — „lut rosyjski", Kraków — „lud rosyjski", Warszawa — „szerek lat, talesz rosołu, zróp mi to", Kraków — „szereg lat, talerz rosołu, zrób mi to".

Nie zdajemy sobie sprawy z tego jak trudna jest dla Anglosasów gramatyka polska. Nawet ci, którzy uczyli się języków germańskich lub romańskich, i przebrnęli przez poważne trudności odmian czasowników, spotykają w języku polskim jakże złożone i trudne odmiany rzeczowników i przymiotników. I te trudności mogą niejednego zniechęcić.

Schenker nie szczędzi wysiłków i pomysłowości, by ułatwić uczniom opanowanie gramatyki. Z konieczności robi to metodą stopniową i przykładową, nie dodając do podręcznika oddzielnej części gramatycznej. Metoda słuszna i jakże pedagogicznie uzasadniona. Można sobie tylko życzyć, by właśnie on opracował tom trzeci — zarys gramatyki języka polskiego. Bo przecież gramatyka jest rdzeniem języka i w nauce języka im więcej mamy usystematyzowanych czynników tym lepiej. Pamiętam zbawienne rady mojej pierwszej nauczycielki języka angielskiego w Warszawie: „staraj się ograniczać proces zgadywania i przypominania sobie wyrazów. Znasz niemiecki i łacinę. Wyrazy języka pierwotnego, najbardziej proste są pochodzenia germańskiego, „mots savants" — druga warstwa języka — pochodzą z łaciny". Lepiej jakaś reguła niż żadna.

Podręcznik Schenkera składa się z 25 lekcji. W lekcji ostatniej uczeń już radzi sobie z bardzo trudnymi sprawami. Oto Warszawa dzisiejsza, idzie do kina na „Popiół i diament", rozmawia o książce Jarosława Iwaszkiewicza „Matka Joanna od Aniołów", zwiedza „Stodołę", klub studentów Politechniki Warszawskiej i opisuje ten klub: „Drugie dwieście osób siedzi po bokach sali przy stolikach, popija kawę i oranżadę i w niemej aprobacie obserwuje przebieg wydarzeń na parkiecie". „Alina i ja też lubimy się tam zabawić. A więc do zobaczenia (się) w Stodole". — „Alina and I also like to have a good time there. Well, see you in the Barn". Podręcznik nowoczesny, niebanalny, nie zabijający nudą rozmówek Ollendorffa, język idiomatyczny. Tak właśnie „have a good time", „do zobaczenia" = „see you".

Po każdej lekcji mamy w podręczniku słowniczek po raz pierwszy użytych w niej wyrazów. Na końcu książki jest pełny słownik. Pobieżne obliczenie na oko wykazuje, że podręcznik zawiera około 2.500 słów, a więc przeszło dwa razy więcej niż „1000 słów po polsku", dawka uważana zazwyczaj za wystarczającą w wydawnictwach tego rodzaju.

Jest to bardzo dużo jak na początek, ale przecież i jakże mało. Broń Boże, nie piszę tego, by postawić zarzut autorowi. Przytaczam jako ciekawostkę.

Biorę ostatnie wydanie „Słownika poprawnej polszczyzny" Stanisława Szobera (Państwowy Instytut Wydawniczy, 1966) i porównuję. Pod literą „ż" brakuje u Schenkera „żaba, żabot, żąć, żądza, żebrak, żebro, żeglarz, żelazko, żmija, żniwo, żużel, żwir, żywioł, żyła, żyto" i innych.

Czy można postawić jakiekolwiek zarzuty temu znakomitemu dziełu? A można.

Schenker nie docenia, że jego książka jest „odwracalna", że mogą jej używać Polacy w Kraju i za granicą do nauki języka angielskiego. I jest ona istotnie bardzo dobrym „odwracalnym" podręcznikiem. I dlatego uważam, że powinien on był i w tekstach lekcji i w słowniczkach podawać odpowiedniki angielskie, nie tylko amerykańskie, słów polskich. Bo przecież rozbieżności pomiędzy angielszczyzną „angielską" i „amerykańską" są znaczne i liczne. Układam na chybił-trafił tabelkę wyrazów użytych w podręczniku, które trzeba było chociażby w nawiasie uzupełnić odpowiednikami angielskimi:

Wyraz polski	*amerykański*	*angielski*
winda	elevator	lift
wakacje	vacation	holidays
kolej	railroad	railway
kompot	fruit salad	stewed fruit
legitymacja	identification card	identity card
trotuar (chyba częściej „chodnik")	sidewalk	pavement
do kina	to movies	to cinema

Mógłbym dodać jeszcze kilkadziesiąt przykładów, wyjętych z książki. Są pewne wyrazy i pojęcia, które używane są w Anglii w zupełnie innym znaczeniu. „Adwokat" po amerykańsku to — „lawyer, attorney". Po angielsku mówimy „solicitor i barrister", zaś „lawyer" to w ogóle „prawnik". „Attorney" też ma inne znaczenie niż „adwokat". Piękna nazwa jesieni po amerykańsku „fall", przypominająca polski „listoPAD" po angielsku brzmi „autumn".

Podręcznik prawie bez usterek. Słownik z konieczności jest ubogi w synonimy, ale jest kilka błędów. Nie wolno przy „chłopiec" podawać innego znaczenia niż „boy" i pisać bez żadnego

klasyfikatora „fellow". Jeśli już się pisze „fellow", trzeba podać „colloquial". I to właśnie „fellow" jest potoczne dla Polaka, nie zaś „chłopiec" potoczne dla Amerykanina. „Chustka" to jest „kerchief" ale „chustka do nosa" jest „handkerchief". Skoro słownik zawiera tylko wyrazy użyte w podręczniku w pewnym znaczeniu, można autorowi darować oznaczenie „trud" jako „trouble, difficulty", ale pierwsze znaczenia są oczywiście „labour, toil, fatigue i hardship".

Uważam za błąd, że nie ma w słowniku objaśnienia że „pożyczać od kogoś" jest — „to borrow", a „pożyczać komuś" jest „to lend". „I'am affraid" najczęściej nie oznacza po angielsku „obawiam się" lub „boję się", lecz po prostu „niestety".

Muszę powtórzyć że nareszcie ukazał się podręcznik obszerny, znakomity, pięknie i starannie wydany i życzę autorowi coraz większych sukcesów w jego pracy.

Piotr BORKOWSKI

Major Armii Czerwonej Kabanow

Wśród raportów, napływających z terenu do powiatowej Komendy Oddziałów Wojskowych PPS-WRN w Miechowskim, znalazła się — w drugiej połowie 1944 roku — następująca wiadomość: Pewien major Armii Czerwonej, uciekinier z niemieckiego obozu jeńców, szukał pomocy w okolicach wsi Szczytniki. Tutaj natknął się przypadkiem na naszych żołnierzy, którzy go prowizorycznie ukryli.

Otrzymawszy tę wiadomość, udałem się od razu do Szczytnik, by rozeznać się w wypadku. Zbiegły jeniec okazał się mężczyzną w średnim wieku, nazwiskiem Mikołaj Kabanow. Znał jedynie język rosyjski. Nosił jeszcze zniszczony mundur sowiecki i posiadał swoją książeczkę wojskową. Na czole zachował bliznę od pocisku. Zeznał też w istocie, że raniony ciężko w bitwie pod Stalingradem, dostał się tam do niemieckiej niewoli. Po wielu miesiącach udało mu się uciec razem z dwoma innymi oficerami sowieckimi. Ci ostatni padli w drodze. On, resztkami sił, dotarł do Ziemi Proszowskiej. Tutaj, w Szczytnikach, znalazł chwilowy przytułek.

Kabanow zrobił na mnie wrażenie człowieka opanowanego i rozważnego. W wyniku długiej z nim rozmowy, przyszedłem do przekonania, że wszystkie przytoczone przez niego szczegóły są prawdziwe. Zważywszy, że nie znał zupełnie języka polskiego, trudno byłoby jednak „urządzić" go w tej okolicy.

Ponieważ jeden z naszych oddziałów bojowych przebywał w tym czasie na terenie Babiej Góry, wiedziałem że w Beskidach stacjonowała m.in. sowiecka jednostka desantowa. Po szybkim porozumieniu się z Krakowem, uznaliśmy zatem, że najrozsądniej będzie przeprowadzić zbiega do wspomnianej grupy. Zachodziło jedynie pytanie, jak zorganizować transport, skoro nie znając — jak już wspomniałem — języka polskiego, Kabanow mógł się zdradzić w podróży, przy byle okolicznościowej rozmowie. Należy przy tym pamiętać, że był to właśnie okres bardzo wzmożonych łapanek, legitymowania i zatrzymywań, dokonywanych przez okupanta zarówno w pociągach i na dworcach, jak na ulicach i na drogach.

Po namyśle wybraliśmy następujący sposób: nasze tzw. „biuro legalizacyjne" w Krakowie wyprodukowało mu fałszywą kartę rozpoznawczą, na nazwisko Mikołaj Kabanowiec. W rubryce o znakach szczególnych wpisano, że jej posiadacz jest głuchoniemy. Dostał cywilny przyodziewek. W pobliskich Opatkowicach, gdzie w domu oddanego działacza PPS, Jana Ciepłego, wyznaczyłem dyskretną odprawę, przewiązaliśmy mu głowę bandażem, by nadać mu wygląd pacjenta, transportowanego do lekarza, czy do szpitala.

Stanisław Haliński (pseudonim: „Czarny") i Stanisława Cebulakowa (pseudonim: „Ewa") powieźli go naprzód podwodą do Kocmyrzowa, stamtąd pociągiem do Krakowa. Z Krakowa, Jadwiga Rysiewicz (pseudonim: „Zocha") i Marian Bomba udali się z nim do Zawoi, potem do naszego oddziału w góry. Następnie przeprowadzono go lojalnie do — przebywającej na innym odcinku i uprzedzonej już wcześniej — sowieckiej grupy desantowej. Dzięki troskliwemu ubezpieczeniu, Kabanow przebył całą drogę bez najmniejszego incydentu. Już w najbliższych dniach nasza poczta wojskowa doręczyła mi od niego rodzaj pokwitowania w postaci krótkiego grypsu, w którym pisał: „Haraszo pryjechał (...) Oczeń błagodariu".

Mikołaj Kabanow wziął udział w działaniach jego grupy, przeżył szczęśliwie niemiecką okupację, awansował. Po zajęciu zachodniej Polski przez Związek Sowiecki, przydzielony został czasowo do miastowego Dowództwa Armii Czerwonej w Krakowie. Dzięki naszym byłym żołnierzom dowiedziałem się wtedy, że odwiedził również Ziemię Proszowską gdzie — po ucieczce z niemieckiego obozu jeńców — znalazł był przytułek i skąd przeprowadzono go w Beskidy. Przypominał z uznaniem sprawność zorganizowanego przerzutu i jego ubezpieczenie. Utkwiło mu w pamięci, że zarówno w Kocmyrzowie, jak w Krakowie, kilku naszych, nieznanych mu, towarzyszy zbliżyło się, by uścisnąć mu dłoń, dając mu tym milcząco do poznania, że nie jest samotny. Wspominając zorganizowanie tego transportu, prosił o ujawnienie mu mego nazwiska i dopytywał się, w jaki sposób mógłby mnie spotkać, by za moim pośrednictwem wyrazić nam swoją wdzięczność.

Dla nas, wypadek o którym mowa, był nie więcej niż jedną z bardzo wielu akcji ratowniczych, dokonanych — w latach hitlerowskiej okupacji — przez podziemne sieci PPS-WRN. Wiadomo, że działalność ta obejmowała m.in. karkołomny łańcuch kontaktów i pomoc w ucieczkach z Oświęcimia oraz z innych obozów. Szereg naszych, i to najlepszych, przyjaciół przypłaciło ją swoim życiem. Kilkanaście miesięcy wcześniej, sam zresztą korzystałem z tej pomocy, realizując moją własną ucieczkę z obozu śmierci we Lwowie. Nie upatrywaliśmy więc żadnej zasługi w epizodzie, który mieścił się w naszej zwykłej działalności.

Tym niemniej przyznaję, że chętnie spotkałbym był Kabanowa po wojnie. Miło byłoby mi po prostu odnaleźć i po ludzku pogawędzić z człowiekiem, który — dzięki naszej sieci podziemnej — wyszedł cało z bardzo ciężkiej opresji. Ponieważ na domiar i ja mieszkałem już w Krakowie, technicznie biorąc — rzecz nie przedstawiałaby żadnych trudności: by umówić spotkanie, wystarczyłoby nakręcić numer telefonu.

Sytuacja była wszelako napięta i pogmatwana. Trzeba było liczyć się z każdym krokiem. Jeśli w Ziemi Proszowskiej Kabanow nie odnalazł ludzi, których tam szukał, stało się tak dlatego, że musieli dalej zachowywać dużą ostrożność. W Krakowie, szereg spośród naszych najbliższych przyjaciół — w tym Jadwiga Rysiewicz i Marian Bomba, którzy eskortowali go do Zawoi i w góry — było aresztowanych i przebywało w więzieniu. Co do miastowego dowództwa Armii Czerwonej, niektóre jego wydziały spełniały funkcje, które nie miały bezpośredniego związku ze sprawami czysto wojskowymi.

Wnosząc z tego co mówili mi o nim nasi towarzysze z Miechowskiego, sam Kabanow zachował się co prawda przyzwoicie i próbował nawet wyperswadować i powściągnąć mściwe zapędy lokalnych kacyków przeciw byłym działaczom podziemia. Z przyczyn zupełnie od nas niezależnych, ewentualna rozmowa nie mogłaby być jednak szczera. Toteż, nie bez melancholii, ale wolałem z niej zrezygnować. W rezultacie ani ja, ani żaden z towarzyszy, którzy ubezpieczali etapy jego przerzutu, Kabanowa już nie spotkali.

Michał BORWICZ („Zygmunt")

P.S.

Z opóźnieniem doszła mnie książka krakowskiego „Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego", ujęta w formę przyjemnie opracowanego albumu p.n.: „Ziemia Proszowicka". Publikacja ta zawiera m.in. obszerny „Zarys dziejów powiatu Proszowickiego", wykaz i opis jego zabytków, cały szereg pięknych i starannie zareprodukowanych fotografii oraz innych ilustracji. Nie chodzi więc tutaj o żadne umniejszanie wartości tego pożytecznego albumu.

Na stronie 81, w rozdziale poświęconym „Okresowi II Wojny Światowej i okupacji hitlerowskiej", znajduję tam jednak następującą informację: „W 1943 roku, dzięki inicjatywie PPR, pojawiają się w Proszowickim oddziały Gwardii Ludowej, z których najgłośniejsze były grupy Kowalczyka (pseudonim: Tomasz), Borwicza (pseudonim: Zygmunt)..." i td.

Przeczytawszy tę rewelację, zaniemówiłem. Nie jest bowiem rzeczą zwykłą, że dopiero ponad dwadzieścia lat po wojnie dowiaduje się człowiek, jakimi dowodził oddziałami. W rzeczywistości były to Oddziały Wojskowe i Oddziały Bojowe PPS (W.R.N.), które (zachowując — przewidzianą układem — autonomię wewnętrzną) scalone były z Armią Krajową. Nie chodziło przy tym o jakieś luźne „grupy", lecz o powiatową komendę wszystkich jednostek tej formacji.

To prawda, że w pierwszych latach wojny organizacja wojskowa PPS nosiła nazwę „Gwardii Ludowej". Zmieniła ją jednak na Oddziały Wojskowe i Oddziały Bojowe P.P.S., i to właśnie dlatego, że nazwę „Gwardii Ludowej" przejął P.P.R. Było to zresztą przed moim przybyciem w Miechowskie i objęciem powiatowej komendy naszych oddziałów.

Autor cytowanego tutaj rozdziału dziękuje w przypisie szeregowi osób za udzielane mu informacje. Wśród wymienionych przez niego ludzi znajduję nazwiska poważnych działaczy terenowych z innych ugrupowań, z którymi związała mnie szczera przyjaźń. Z racji organizacyjnych powiązań zarówno z Armią Krajową, jak z powiatową Delegaturą, wszyscy oni znali doskonale odnośne sprawy i żaden z nich nie mógł udzielić cytowanemu tutaj autorowi aż tak wypaczonych informacji. Inne publikacje krajowe wymieniają zresztą te same oddziały pod ich właściwą nazwą i we właściwych powiązaniach. Za to w danym wypadku owo zamaszyste przemianowanie oddziałów PPS na „najgłośniejsze grupy"... PPR tłumaczy, dlaczego w rzeczonej publikacji nie ma o P.P.S. nawet najmniejszej wzmianki. Znikł bez śladu.

Nie koniec jednak na tym. Przytaczając odnośny ustęp z albumu o „Ziemi Proszowickiej", celowo przerwałem cytat w połowie zdania. W tekście książki, po informacji, według której spośród owych jednostek przyśnionego P.P.R. „najgłośniejsze były grupy Kowalczyka („Tomasza") i Borwicza („Zygmunta"), autor kontynuuje bez zająknienia: „a szczególnie Mikołaja Kabanowa, skoczka radzieckiego". Opowiada dalej (cytuję dosłownie!), jak to „Kabanow w roku 1943 objął dowództwo oddziału Gwardii Ludowej im. K. Rokossowskiego", po czym właśnie temu rzekomemu skoczkowi radzieckiemu i jego oddziałowi poświęca najdłuższy ustęp rozdziału.

Otóż jak stwierdziłem wyżej, Kabanow nie był skoczkiem, lecz uciekinierem z niemieckiej niewoli. Uratowany przez sieć podziemną P.P.S. i przeprowadzony do sowieckiego oddziału w Beskidach, wziął on rzeczywiście udział w działaniach jego grupy, natomiast całą historię, którą opowiada czytelnikom autor cytowanego rozdziału „Ziemi Proszowickiej" należy włożyć między bajki. Wyjaśni to bardzo zwięźle następujące stwierdzenie: moje spotkanie ze zbiegłym z niemieckiej niewoli Kabanowem i uratowanie go przez P.P.S. miało miejsce w drugiej połowie 1944 roku, tzn. zaledwie kilka miesięcy przed końcem niemieckiej okupacji. W jaki więc sposób mógł „Kabanow objąć dowództwo oddziału Gwardii Ludowej (...) w roku 1943", czyli co najmniej o cały rok wcześniej, pozostaje zagadką autora odnośnej rewelacji i jego P.P.R.'owej — nie wiem: czarnej czy białej — magii.

M. BORWICZ

Słowa a czyny

Szereg prac omawiających naszą historię najnowszą, powiększyło ostatnio opracowanie Jana Rudnickiego. Podtytuł książki: „Tło, geneza i przyczyny klęski Polski w 1939 r." streszcza jej

Rudnicki Jan, *Słowa a czyny*. Nakładem autora. Toronto, 1965. Str. 518.

temat. Ale ten temat jest rozbudowany szeroko. Sięga od zarania naszej historii, przez państwo Piastów i Jagiellonów, dalsze dzieje, rozbiory i pierwszą wojnę światową, Wersal i dwudziestolecie, 1939 rok i całość drugiej wojny, aż po zawieszenie broni i skutki pokoju.

Tezą, którą autor pragnie dowieść, jest: od początków swego istnienia była Polska narażona na ataki złych sąsiadów. Mimo wysiłków społeczeństwa, mimo szeregu wybitnych osobistości, pod naporem zewnętrzym Polska uległa. Traktat wersalski odbudował państwo zbyt słabe terytorialnie i ekonomicznie by mogło stanąć do wyścigu z Niemcami i Rosją. Znowu narodowy wysiłek celowy i mądry poszedł na marne i nastąpiła klęska 1939 roku. Bohaterstwo Polaków okresu dalszej wojny w kraju i na obczyźnie nie przeszkodziło sprzymierzeńcom w zdradzeniu naszej sprawy. Polska stała się łupem ZSSR.

Tyle o założeniach książki. Czy są one słuszne i czy autor potrafił je uzasadnić? Z przykrością muszę powiedzieć — nie. Z przykrością, bo zdaję sobie sprawę z olbrzymiego wysiłku jakiego wymagało podobne opracowanie.

Podstawowe założenie niewinnej polskiej owieczki szarpanej przez złe wilki, może być ponętne dla wielu (zastrzegam: nie dla wszystkich), ale jest pozbawione ścisłości. Wiemy z ustaleń historycznych ile grzechów ciąży na naszej narodowej przeszłości. Jedni historycy kładą na nie większy nacisk, inni mniejszy, ale wszyscy są zgodni, że przyczyniły się one walnie do naszych klęsk. Wiadomo, że niezależnie od nacisku sąsiadów, lub raczej równoległe z nim, Rzeczypospolita Obojga Narodów chyliła się wewnętrznie ku upadkowi. Wiadomo, że popełniliśmy szereg błędów w okresie dwudziestoletniej niepodległości. I wiadomo, że mamy na sumieniu błędy okresu drugiej wojny światowej. Zamykanie na nie oczu jest okłamywaniem samego siebie i równie niesłuszne jak ewentualna odwrotność oskarżenia wyłącznie nas za wszystkie nasze klęski dziejowe.

Z drugiej strony, mam wątpliwości czy zadanie podjęte przez autora nie przekraczało jego możliwości. Tak olbrzymi temat obejmujący tysiącletnie dzieje narodu z jego aspektami polityki, wojny, gospodarki, zagadnień społecznych i wszelkich innych spraw państwowych, jest na miarę wysokiej klasy naukowo przygotowanego historyka, dysponującego wszelkimi naukowymi ułatwieniami w postaci archiwów i bibliotek. W danym wypadku widzimy, że bibliografia autora ogranicza się prawie wyłącznie, do materiałów wtórnych, jak opracowania, wspomnienia, przy tym na tak szeroki zakres tematu jest szczupła. Wnioski i syntezy oparte na jednej, lub dwu pracach (często o podobnym naświetleniu zdarzeń) łatwo podlegają zakwestionowaniu.

Praca pułkownika Rudnickiego budzi dalsze wątpliwości przez częste odbieganie od ustalonego przez historyków stanu faktycznego. Nie przeczę, że autor może mieć swoje opinie co do tych, czy innych zdarzeń, ale takie opinie muszą być omówione i uza-

sadnione. Nie można wymagać od czytelnika przyjmowania ich na wiarę. Parę takich odchyleń omówię.

Opisując Polskę piastowską, wylicza autor formujące się w tym okresie stany społeczne (chodzi zapewne o wiek XII). Według autora są to: szlachta, rycerze, wieśniacy, Żydzi i niewolnicy. Uderza brak odrębnego stanu duchownego i mieszczaństwa, które miały, przecież, odrębne prawa i przywileje. Podział na dwa odrębne stany: szlachecki i rycerski. Zapewne podział wynikł u autora z tłumaczenia ówczesnych określeń łacińskich tej warstwy społecznej: nobiles i milites. Jakkolwiek taki podział powstał, jako odrębny, winien był być omówiony i uzasadniony. Zresztą, jeśli wierzyć Pawłowi Zarembie, określenie „szlachta" przychodzi znacznie później (str. 16).

Okoliczności które sprowadziły na polski tron Jagiellonów są podane w tak daleko posuniętym skrócie myślowym, że graniczą z nieścisłością. Wydaje się niezgodne z epoką przypisywanie panom małopolskim, powołującym na króla Władysława Jagiełłę, jakichś idei „federacyjnych" (str. 20).

Opinia autora o Grunwaldzie: polsko-litewskie zwycięstwo „kładzie definitywnie tamę ich (Krzyżaków) zaborczości", nie pokrywa się ani ze zdaniem ze str. 22, ani z rzeczywistością historyczną. Przecież Zakon nie tylko ocalał, ale prowadził dalsze wojny z Rzeczypospolitą, przekształcił się w księstwo i, wreszcie, został główną składową królestwa pruskiego.

Zdanie ze stronicy 33 o pospolitym ruszeniu, armii stałej, jej kosztowności i spowodowanej kosztami słabości, jest, znowu, zbytnim upraszczaniem sprawy.

Czy „ruch kozacki, który przez długi okres czasu stał się problemem bardzo niebezpiecznym dla Polski, był dziełem carów" — jest sprawą więcej niż sporną. W każdym razie, w syntezie dziejów Polski nie da się go zbyć trzema wierszami. „Ruch kozacki" zadecydował o przynależności Rusi i o przekształceniu się dzielnicowego ruchu ukrainnego w narodowy ruch ukraiński (str. 39).

Dla mnie, zaciekłego napoleonidy, jest rewelacją powód, podany przez autora, przyczyny wojny Napoleona z Rosją w 1812 roku. Mianowicie, Napoleon chciał odbudować całą Polskę, ... „temu jednak stanął na przeszkodzie car Aleksander. Doszło do wojny".

Po tym szeregu, więcej, lub mniej na chybił trafił wybranych przykładach, przechodzimy do okresu naszej najnowszej historii.

Pierwsza wojna światowa. Cytuję autora:

„Naczelny wódz W. Książę Mikołaj wydał w dniu 14 sierpnia 1914 roku manifest do Polaków, obiecując przyznanie autonomii ziemiom polskim, ale połączonym pod berłem carskim.

Polacy propozycji tej nie przyjęli mając na uwadze krzywdy wyrządzone przez Rosję w czasie powstań 1831 i 1863 roku oraz jej ogólnego postępowania w stosunku do Polski od czasu I-szego rozbioru.

Nie chcąc jednak być poza wypadkami wojennymi i poza

możliwościami decyzji co do ich położenia w przyszłości, Polacy zdecydowali się walczyć przeciwko Rosji".

Tomy napisano o różnicach orientacji w początkach wojny, o aktywistach i pasywistach, o entuzjazmie z którym duży odłam społeczeństwa zaboru rosyjskiego spotkał odezwę W. Księcia. Mimo te tomy, po upływie połowy stulecia, widzi autor Polaków zjednoczonych w walce przeciwko Rosji.

Omawiając wyniki wersalskiego traktatu, autor słusznie podkreśla połowiczność rozwiązań sprawy polskiej. Powody widzi w rywalizacji Anglii z Francją i odwieczną politykę pierwszej — równowagi europejskiej.

Równie słuszne są ustępy mówiące o trudnościach nowopowstałego państwa. Scalenie byłych zaborów od pokoleń poddanych trzem różnym systemom gospodarczym, tereny zniszczone przez wojnę, zadłużenie, nie ustalone granice. Wreszcie wojny w celu ustalenia obszaru państwowego.

Następuje krótki opis powstawania sił zbrojnych i wojen 1918-1920 roku. Należy żałować, że autor nie poświęcił więcej miejsca przebiegowi kampanii, w szczególności manewrowi znad Wieprza. Końcowe zdanie ustępu wydaje się ważne i dlatego je cytuję:

„Wychodząc z wojen 1918-1920 r. w aureoli zwycięstwa, naród uwierzył, że da sobie radę z ewentualnymi przyszłymi wrogami. Zaciążyło to niestety bardzo poważnie na przyszłym przygotowaniu zbrojnym Polski".

Przedstawiając porównawczą słabość Polski, przedstawia autor w cyfrach statystycznych jej zasoby i podaje odpowiednie dane niemieckie i sowieckie.

Wreszcie przechodzimy do rozwoju i organizacji sił zbrojnych w okresie pokoju. Autor widzi tu dwa etapy. Jeden od wojny po 1935 rok i drugi 1935-1939. Taki podział wydaje się słuszny pod warunkiem, którego autor nie spełnia, wyjaśnienia przyczyny jego powstania. Przyczyną jest brak postępu w dziedzinie myśli wojskowej aż do momentu objęcia stanowiska Generalnego Inspektora przez Rydza-Śmigłego. Jak stwierdzają liczni autorzy, że wymienię: gen. St. Kopańskiego, ppłk. Romeykę, gen. Kirchmayera — nie mieliśmy wyrobionej własnej doktryny wojennej. Lub, jeśli kto woli, nasza doktryna opierała się na doświadczeniach roku 1920. Rozwój organizacyjny idzie w ślad i po myśli doktryny wojennej. Dlatego po 1935 rok organizacja naszej armii stała w miejscu. Kiedy marsz. Śmigły-Rydz starał się ją unowocześnić było za późno. Nie przeczę, szczupłość naszych środków materialnych odegrała wielką, ale na pewno nie jedyną rolę. W związku z powyższym, obciążanie marszałka Rydza całkowitą odpowiedzialnością za nieprzygotowanie sił zbrojnych do wojny jest niesprawiedliwe. W 1935 roku objął zwierzchnictwo nad Wojskiem w którym:

— organizacja i wyekwipowanie były przestarzałe,

— organy naczelnych władz nie miały rozgraniczonych kompetencji,

— plany wojenne na wypadek zagrożenia — nie istniały.

Wysiłek uczyniony od 1935 roku był duży, ale nie mógł nadrobić braku systematycznej pracy lat ubiegłych.

Przy wszystkich jego błędach, czy nawet winach, czynienie marsz. Rydza odpowiedzialnym za powyższe braki jest niesprawiedliwe i wywołane obawą postawienia kropki nad i.

W tym czasie, jak przedstawia to dobitnie autor, Niemcy i ZSSR rozpracowywały swoje doktryny wojenne i przygotowywały swoje narzędzia walki — siły zbrojne.

Po opisaniu sytuacji Polski w polityce europejskiej międzywojennego okresu i scharakteryzowaniu wartości naszych sojuszów, przechodzi autor do opisu kampanii wrześniowej.

Należy podkreślić, że kampania wrześniowa jest najlepiej ujętym działem książki. Krótko, treściwie i bardzo wyraźnie. Ujęcie nie chronologiczne, ale okresami dla poszczególnych odcinków teatru wojennego, pozwala na łatwe śledzenie przebiegu działań.

Wyraźnie w ujęciu książki występuje rozbieżność między koniecznością zachowania w swym posiadaniu obszarów zachodnich ze względów zaopatrzeniowych i wymogów strategii. Iluzoryczność założeń Naczelnego Wodza w zetknięciu z nieprzyjacielskim zastosowaniem lotnictwa i broni szybkich w „Blitzkriegu" — występuje w całej pełni.

Wydaje mi się, że wyliczając polskie błędy popełnione przed i podczas wojny winien był autor podkreślić brak systematycznego szkolenia wyższych dowódców. Ta uwaga dotyczy dowódców armii i rozciąga się na Naczelnego Wodza w jego czasach inspektorskich. Również należałoby wspomnieć o niedopuszczalnym improwizowaniu pośrednich dowództw, mianowicie Grup Operacyjnych. Lubowanie się generałów-dowódców armii w taktyce najniższego szczebla, podkreśla wielu autorów.

Zaletą książki jest utrzymanie się autora na poziomie strategii, lub operacji. Nie ma tu uskoków w niższe działy sztuki wojennej, tak częste w innych opracowaniach (przykładowo: gen. Berbecki, DOM (gen. I. Modelski?).

230 stronic poświęconych kampanii wrześniowej stanowią bez wątpienia cenny wkład do naszej literatury przedmiotu.

Pominę dział książki omawiający stosunki okupacyjne pod obu zaborcami. Przechodzę do rozdziału: „Polska jako sprzymierzeniec walczy dalej".

W krótkim opisie, przedstawia autor wojskowy wysiłek polski we Francji w 1940 roku. Zarzuca Francuzom brak chęci w postawieniu polskiej armii i lotnictwa na stopie bojowej. („Gen. Gamelin po raz drugi nie wykazał dobrej woli w stosunku do Polaków".)

Książka nie wspomina o całkowitym braku orientacji w sytuacji wojennej polskich czynników rządowych i wynikłych z niej ciężkich stratach przy ewakuacji do Anglii.

Z kolei następują opisy polskich sił zbrojnych w Wielkiej Brytanii, brygady Karpackiej i szlaku bojowego 1-ej Dywizji Pancernej.

Osobne miejsce poświęcone jest Brygadzie Spadochronowej i jej przeznaczeniu do walki w kraju. Naciski brytyjskie w sporze o użycie Brygady na froncie zachodnim i końcowa zgoda władz polskich ujęta jest według relacji gen. Sosabowskiego.

Dalej idzie streszczenie działania pod Arnheim, działania lotnictwa i marynarki. Wreszcie historia 2-go Korpusu.

Dochodzimy do problemu Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego. Mamy, dość szeroko potraktowany opis rozwoju polskiej konspiracji, ogarnięcia przez nią całego społeczeństwa i rezultatów jej pracy. Autor broni Armię Krajową przed zarzutem nie udzielania pomocy Żydom, w szczególności w getcie. Podkreśla w paru zdaniach trudność zaopatrywania A.K. przez aliantów zachodnich. Zaznacza istnienie w kraju, prócz A.K., organizacji bojowych z ramienia Polskiej Partii Robotniczej, oraz komunistycznej Krajowej Rady Narodowej.

W swoją relację wypadków, wplata autor historię gry Rosji, popartej decyzjami Teheranu, w stosunku do rządu R.P. w Londynie i A.K. w kraju. Wskazuje na bezowocność przeprowadzania planu „Burza" przy wrogim traktowaniu oddziałów A.K. przez armię Czerwoną.

Autor analizuje położenie, które doprowadziło do powstania w Warszawie. Według niego, gen. Bór-Komorowski powziął decyzję powstania wbrew pierwotnemu planowi „Burza". Naczelny Wódz, gen. Sosnkowski, sprzeciwił się w depeszy wysłanej do komendy A.K. Premier Mikołajczyk, uchwałą Gabinetu i bez wiedzy Prezydenta lub władz wojskowych, zmienił decyzję N.W., upoważniając władze krajowe do podjęcia powstania. Zrobił tak „dla swoich celów politycznych". Bór-Komorowski stanąwszy wobec dwu odmiennych dyrektyw, zadecydował powstanie.

Tłumacząc trudności aliantów zachodnich w udzieleniu pomocy powstaniu, autor przypisuje całą winę jego nieszczęśliwego zakończenia — perfidii sowieckiej.

W dalszym omówieniu wyraża autor opinię, że z wojskowego punktu widzenia powstanie było nierealne, było błędem natury wojskowej. W obronie d-cy A.K. przytacza: chęć oszczędzenia miastu i mieszkańcom zniszczeń spowodowanych ew. obroną Warszawy przez Niemców. Rozwój sowieckiej ofensywy i panika niemiecka popierały taką ocenę sytuacji. (Zdaje mi się, że w tym punkcie autor błądzi. Jeżeli Niemców ogarnęła panika w obliczu pomyślnej rosyjskiej ofensywy — nie było obawy długiej, rujnującej miasto obrony).

Wreszcie i najważniejsze, o decyzji powstania zadecydowały względy polityczne. Mianowicie: chęć wykazania dobrej woli w walce z Niemcami ramię w ramię z Armią Czerwoną i wystąpienie w stolicy w roli gospodarza wobec tej armii.

Ostateczna ocena Powstania wyraża się, u autora następująco:

... „Utworzenie przez Stalina własnego rządu polskiego, z góry przesądzało zamierzenia sowieckie w stosunku do Polski...".

... „O ile władze polskie w Londynie były poinformowane przed 1 sierpnia 1944 r. o tym co zaszło w Teheranie — to powstanie było zbrodnią w stosunku do narodu...".

... „W sumie brak współpracy rządu i Naczelnego Wodza oraz brak autorytetu Prezydenta R.P., który nie doprowadził do tej współpracy dla dobra kraju, były powodem wybuchu powstania".

Po scharakteryzowaniu wojska polskiego powstałego w Rosji, czyli tzw. armii Berlinga, przechodzi autor do omówienia stosunków polsko-sowieckich w okresie II wojny. Wystarczy podać tytuł rozdziału: „Sprzymierzeniec czy wróg". W rozdziale tym mamy przedstawioną perfidię Rosji i nielojalność naszych sprzymierzeńców. Również przedstawiona jest smutna rola premiera Mikołajczyka.

W rozdziale: „Bilans strat i zysków" mowa jest o stratach materialnych i ludzkich, oraz o zyskach w postaci zdobytego doświadczenia.

Ostatni rozdział: Rekapitulacja wypadków XX wieku, zawiera kilka podrozdziałów, z których bardziej wymowne są następujące:

— Wolność czy prawo pięści;
— Teheran podstawą potęgi Rosji sowieckiej i zaczątkiem walk o prymat w świecie;
— Jałta zniszczeniem Karty Atlantyckiej;
— Bezprawie w stosunku do Polski.

Te tytuły określają dostatecznie opinie autora bez konieczności ich streszczania.

W końcowych zdaniach książki mamy podane cyfry pomocy w pożyczkach jakiej udzieliły Stany Zjednoczone narodom po ostatniej wojnie pod nazwą ECONOMIC AID. Cyfry podaje Waszyngton A.P. z 20 marca 1961 r. Figurują tam Niemcy z 5 bilionami dolarów. Figuruje i Polska z 1 bilionem dolarów.

Książkę zamykają gorzkie uwagi pod adresem współtwórców obecnego porządku świata — Roosevelta i Churchilla.

Podsumowując moją opinię o pracy Jana Rudnickiego muszę stwierdzić, że nie osiągnął zamierzonego rezultatu. Dobry pomysł związania najnowszej historii Polski z dziejami wcześniejszymi i podanie syntezy — przekroczył możliwości autora. Przypuszczać należy, że w pierwszym rzędzie przeszkodą były warunki techniczne pracy — brak odpowiednich źródeł, a pewnie i czasu. Ale takie czynniki nie mogą grać roli w ocenie książki.

Wellington, N.Z.

Tadeusz NOWACKI

Historia Węgier

Kiedy dowiedziałem się o wydaniu w kraju „Historii Węgier"*, z niecierpliwością czekałem na otrzymanie tej książki. Od lat uważałem Węgry za swą drugą ojczyznę. Dziad mój walczył w roku 1848 w oddziałach Bema i często słuchaliśmy jego opowiadań o walkach na ziemi węgierskiej i o braterstwie broni Polaków z Węgrami.

Ojciec mój służył w jednym z pułków kawalerii węgierskiej i również bardzo barwnie opisywał swe przeżycia. Nie bez starań z mojej strony, przeżyłem kilka lat, 1936-1941, na Węgrzech, poznałem dobrze kraj i ludzi i znalazłem wielu prawdziwych przyjaciół, którzy w ciężkich dla nas chwilach, w latach 1939-1941, nie zawiedli.

Wstęp ten ma wytłumaczyć z jakim pietyzmem wziąłem do ręki książkę wydaną w kraju i opisującą po polsku dzieje Węgier.

Uderzyło mnie nazwisko autora: FELCZAK. Wacław FELCZAK. Mając dobrą pamięć prędko go umiejscowiłem: przecież to chyba o nim pisał Bazyli Rogowski w swoich wspomnieniach o Marszałku Śmigłym. Wspomina on, że w roku 1941 znał w Budapeszcie magistra Wacława Felczaka, dawnego studenta Uniwersytetu Poznańskiego, który tam studiował historię i znał bardzo dobrze język węgierski. W czasie tym był on kurierem Bazy Politycznej w Budapeszcie.

Więc myślę, że to chyba ten sam Felczak, który obecnie ma tytuł doktora, jest historykiem i pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Piękna kariera naukowca, który od lat zajmował się historią Węgier, którą musi znać dokładnie.

Autor na wstępie swojej pracy podaje że: „praca ta jest krótką popularno-naukową syntezą dziejów państwa i narodu węgierskiego, ze szczególnym uwzględnieniem czasów nowożytnych i najnowszych do 1945 r." Więc sam się zastrzega, że to tylko krótka popularno-naukowa synteza.

Nie jestem historykiem ani pracownikiem naukowym, lecz jedynie Polakiem, zainteresowanym w historii Węgier. Szukałem czasów, które lepiej znałem niż czasy Arpada, Andagawenów i niewoli tureckiej.

Doszedłem do rozdziału XX; czytam nagłówki rozdziałów: Rewolucja burżuazyjna na Węgrzech; Utworzenie Węgierskiej Partii Komunistycznej; Proklamowanie Węgierskiej Republiki Rad — to wszystko odnosi się do lat 1918/19.

Potem następują: opis „białego terroru", faszyzacja Węgier, walka o front ludowy aż wreszcie dochodzimy do Wyzwolenia Węgier przez Armię Czerwoną — 4 kwietnia 1945, Ogłoszenie Republiki 1. II. 1946; Zawarcie paktu przyjaźni i współpracy ze Związkiem Sowieckim 18. II. 1948 i wreszcie Ogłoszenie konstytucji Węgierskiej Republiki Ludowej w sierpniu 1949.

Autor stwierdza, że „Kierowniczą siłą polityczną nowych Węgier stała się Partia Komunistyczna, która od 1959 przybrała nazwę Węgierskiej Socjalistycznej Partii Pracujących. Od r. 1950 zaczął się ruch kolektywizacyjny na wsi, kończony ostatecznie z początkiem lat sześćdziesiątych, a więc już po dramatycznych wydarzeniach 1956 r.". Dramatyczne wydarzenia 1956 r. — to wszystko o powstaniu węgierskim.

Na zakończenie konkluzja: „Wszystkie te reformy i przemiany określiły charakter nowych Węgier, które powstały po drugiej wojnie światowej

* Wacław Felczak. *Historia Węgier*. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, lipiec 1966, I. nakład 6.000 egz.

w następstwie przejęcia władzy przez masy pracujące. Od tego też czasu stosunki polsko-węgierskie, niemal zawsze przyjazne w przeszłości, stały się jeszcze żywsze i bardziej bliskie, ponieważ oba państwa i ich ludy złączyła wspólna idea i wspólna sprawa".

Na tym zakończyłem kartkowanie książki. Z gorzkim niesmakiem w ustach. Rozumiem, że „po przejęciu władzy przez masy pracujące na Węgrzech", w roku 1951 ukazała się tam pierwsza marksistowska synteza dziejów węgierskich, przeznaczona jako podręcznik dla szkół średnich, oraz że w roku 1964 Węgierska Akademia Nauk wydała skróconą popularno-naukową Historię Węgier, doprowadzoną do czasów obecnych. To są wymagania partii.

Ale po co „historyk i pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego" tak pisze?

Chyba że w myśl piosenki góralskiej: „dla chleba, panie, dla chleba".

Tym, którzy będą mieli zamiar „przekartkować" *Historię Węgier* Felczaka, doradzam jako literaturę uzupełniającą: *This is Communist Hungary*, wydane przez Roberta Delaney'a (Henry Regnery Co. Chicago, 1958).

Maj 1967.

ERKA

Nadesłane nowości wydawnicze

ORŁOWSKI (Leon). *O polityce*. Str. 209 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego. Nakładem Księgarni ORBIS, Londyn, 1967).

KROK-PASZKOWSKI (Jan). *Europa Wschodnia w okresie przemian*. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1967).

JARRA (Eugeniusz). *Myśl Społeczna O. Stanisława Papczyńskiego założyciela Marianów*. Str. 104. Nakł. Zgr. O.O. Marianów, prow. św. St. Kostki, Stockbridge, Mass.).

Reymont we Francji. Listy do tłumacza „Chłopów" F.-L. Schoella. Opr. Bronisław Miazgowski. Str. 144. (Państw. Instytut Wyd., Warszawa, 1967, cena 15 zł.).

MIAZGOWSKI (Bronisław). *Dom pod Zodiakiem* Poezje. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Morskie, Gdynia, 1967, cena 10 zł.).

„Tak żyłem..." 1867-1967. Recz o Józefie Piłsudskim w setną rocznicę urodzin na podstawie pism, przemówień, rozkazów oraz utworów drogich Jego sercu. Ułożył Wiktor Budzyński. Str. 39 i 1 nlb. (Nakł. Komitetu Uczczenia setnej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego, Londyn, 1967, cena dol. 1,50).

KRZYŻANOWSKI (Kazimierz, Ks. Dr, M.I.C.). *Pod sztandarem Niepokalanej*. Życie Sługi Bożego O. Stanisława Papczyńskiego Założyciela OO. Marianów — w obrazach z objaśnieniami. (Nakładem Zgromadzenia OO. Marianów Prowincji św. Stanisława Kostki, Stockbridge, Mass., U.S.A. Druk: Veritas, Londyn, 1966, str. 166. Cena 21/- lub dol. 3,00).

Polnische Volksmärchen. Str. 310 i 2 nlb. (Seria „Die Märchen der Weltliteratur"). Opracowali Ewa Bukowska-Grosse i Erwin Koschmieder. Na tom składają się 72 bajki i przypowieści ludowe, uka-

zujące się po raz pierwszy w języku niemieckim. Przetłumaczyła je i wykazem źródeł zaopatrzyła mgr Ewa Bukowska-Grosse, krakowianka, pracująca jako asystentka w Bawarskiej Akademii Nauk. Krótkie posłowie napisał Erwin Koschmieder, dawny profesor uniwersytetu wileńskiego, obecnie profesor filologii słowiańskiej uniwersytetu monachijskiego i przewodniczący komitetu studiów wschodnioeuropejskich Bawarskiej Akademii Nauk. (Wyd. Eugen Diederichs Verlag, Düsseldorf-Köln, 1967, cena DM. 16,80.

Polnische Prosa des 20. Jahrhunderts. Zweiter Teil. Opracował i w większości sam przełożył Karl Dedecius. Str. 419 i 3 nlb. (Wyd. Carl Hanser Verlag, München, 1967).

ARJAK (Nicolas). *Habla Moscu.* Str. 197 i 3 nlb. (Ed. Luis de Caralt, Barcelona, 1966, cena 125 pesetas).

RUDZIŃSKI (Aleksander). *Marxist Ethics and Polish Law.* Str. 48-78. (Odbitka z „Natural Law Forum, Vol. 11 [1966], Notre Dame Law School, Notre Dame, Ind. USA).

IWAŃSKA (Alicja). *El concepto del indigena en dos distintas regiones de Mexico.* Str. 345-357. (Odbitka z América Indigena, Vol. XXIII, No 4).

IWAŃSKA (Alicja). *The Mexican Indian: Image and Identity.* Str. 529-536. (Odbitka z Journal of Inter-American Studies, Vol. VI, No 4 [1966]).

IWAŃSKA (Alicja). *Division of Labor among Men and Women in a Mazahua Indian Village of Central Mexico.* Str. 173-186. (Odbitka z „Sociologus", Vol. 16, zeszyt 2, Berlin 1966).

IWAŃSKA (Alicja). *The Impact of Agricultural Reform on a Mexican Indian Village.* Str. 54-67. (Odbitka z „Sociologus", Vol. 15, zeszyt 1).

IWAŃSKA (Alicja). *New Knowledge. The Impact of School upon Traditional Structure of a Mexican Village.* Str. 137-150. (Odbitka z „Sociologus", Vol. 13, zeszyt 2).

STACHIW (Matwij, dr). *Ukrajina w dobi Dyrektoriji UNR.* t. 1 Własnymy syłamy, str. 272; t. 2 Ukrajina miż dwoma syłamy, str. 248; t. 3 Ukrajina miż dwoma syłamy, str. 276; t. 4 Dyrektoria i Antanta, str. 352; t. 5 Dyrektoria i Antanta, str. 248; t. 6 Kryza na wsich frontach, str. 247; t. 7 Wychid iz kryzy, str. 432; *(Wyd. Naukowe Towarystwo im. Szewczenka, 1962-1966).*

SOSNOWSKYJ (Mychajło). *Ukrajina na miżnarodnij Areni 1945-1965.* Str. 272. (Wyd. Doslidnioho Instytutu Studium, Toronto, 1966).

KOWAŁENKO (Ludmiła). *Proriś.* cz. druha trilogiji *„Nasza ne swoja zemla.* Str. 255. (Wyd. Spiłka Tryzub, Winnipeg, 1966).

ANDIEWSKA (Emma). *Bazar.* Poeziji. Str. 48. (München, 1967).

Dr Mykoła Szłemkewycz. Silueta i spohady pro nioho. (Wyd. Tryzub, Winnipeg, 1966).

Kałendar-Almanach Ukrajińskoho Hołosu na 1967 r. Str. 224. (Wyd. Tryzub, Winnipeg, 1967).

Kałendar-Almanach Ukrajińskych Wistej na 1967 r. Str. 152. Edmonton, 1967).

STANKIEWICZ (Stan). *Biełoruskaja padsawieckaja Literatura pierwszaj paławiny 60-ych god.* Str. 169. (New York, 1967).

GRYF-KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

Wyłączne przedstawicielstwo na Wielką Brytanię
KULTURY
i wydawnictw INSTYTUTU LITERACKIEGO (Paryż)

KSIĘGARNIA S.P.K.

— jest zaopatrzona w książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
— prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
— posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczystych,
— jest składem głównym (na prawach wyłączności):

GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO
W WIELKIEJ BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,

— jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawiać na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres: 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.

Uwaga: *Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.*

DATA	POLITYKA
16-5-67	Międzynarodowa konferencja handlowa, prowadzona w Genewie na forum GATT'u, zwana „Rundą Kennedy'ego", zakończyła się podjęciem decyzji zredukowania taryf celnych o 40%, na zasadzie wzajemności.
17-5-67	Prezydent de Gaulle zapowiada, że choć nie ma mowy o złożeniu veto, to W. Brytania będzie musiała przejść przez poważne zmiany polityczno-gospodarcze zanim uzyska członkostwo Wspólnego Rynku.
18-5-67	Syria ogłasza mobilizację do wojny z Izraelem. Ameryka proponuje wysłanie do pustyni synajskiej dodatkowych oddziałów ONZ.
19-5-67	W Warszawie zakończyły się obrady VIII Plenum KC PZPR poświęcone w dużym stopniu wpływom „obcej propagandy" na społeczeństwo polskie. Egipt żąda wycofania wojsk ONZ z granicy Izraela.
20-5-67	Wojska amerykańskie wkraczają do strefy zdemilitaryzowanej na granicy Północnego i Południowego Wietnamu. Samoloty amerykańskie bombardują centrum Hanoi.
21-5-67	Wladimir Semiczastny zostaje zwolniony ze stanowiska szefa KGB. Na jego miejsce przychodzi sekretarz KC, Juri Andropow.
22-5-67	Rząd francuski uzyskał w parlamencie 244 głosami przeciwko 236, specjalne uprawnienia w dziedzinie zarządzania gospodarką.
23-5-67	Prezydent Nasser ogłosił zamknięcie dla żeglugi zatoki Akaba, która stanowi jedyne wyjście Izraela na morze Czerwone.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Prasa szwajcarska zamieszcza wiele pochlebnych recenzji o sztuce Markusa — „Schwester George muss sterben" wystawianej w Zurichu. W roli głównej występuje Sonja Ziemann-Hlasko.	Arcybiskup Kominek ponownie zaprotestował przeciw wznoszeniu we Wrocławiu przez władze komunistyczne pomnika ku czci Jana XXIII stwierdzając, że ma to na celu wywołanie rozłamu wśród kleru.
	Węgierski chargé d'affaires w Waszyngtonie, J. Radvanyi, prosi o prawo azylu politycznego.
Grupa posłów komunistycznych w Czechosłowacji wystąpiła z protestem przeciw dwum filmom czeskim: „Niezapominajki" i „O ucztach i gościach", które określono jako anty-socjalistyczne. Są one wyświetlane w „klubach dla wymagającej publiczności".	
Płyta „Polskie Nagrania" z Pasją wg. Św. Łukasza Pendereckiego otrzymała Grand Prix „Francuskiej Akademii Nagrań".	Zagrzebski *Vjesnik* stwierdza, że reformy gospodarcze Jugosławii utrudniają prowadzenie handlu z krajami RWPG. Handel nie może się już opierać na umowach państwowych.
Majowy numer pisma *Arena*, wydawanego przez International Writers' Fund, poświęcony jest w całości (100 stron) literaturze i sztuce polskiej.	
Koło Grodziska Mazowieckiego znaleziono wielką ilość monet rzymskich z II i II wieku, mających wielką wartość muzealną.	Ks. Biskup Rubin dokonał poświęcenia Domu Polskiego z Kaplicą w Marly-le-Petit w Szwajcarii. Inicjatorem budowy był O. prof. I. M. Bocheński.
	Około 300 osób poniosło śmierć w wyniku pożaru wielkiego Domu Towarowego w Brukseli.
W Moskwie obraduje IV Zjazd Pisarzy sowieckich. Poprzedni zjazd odbył się w 1959 roku. 80 pisarzy domagało się odczytania listu Sołżenicyna i dyskusji nad nim. Protestowali m.in.: Jewtuszenko, Aksjonow, Twardowski i Paustowski.	Przedstawiciele organizacji społecznych i prasy emigracyjnej w Londynie omawiali metody infiltracji komunistycznej wśród emigracji polskiej.

DATA	POLITYKA
24-5-67	Protegowany Szelepina, D. P. Gorjunow, został usunięty ze stanowiska dyrektora gen. TASS'a. Po usunięciu Semiczastnego uważane to jest za dalsze osłabienie wpływów grupy tzw. „młodoturków".
25-5-67	W Pekinie ogłoszono wiadomość o zwolnieniu ze stanowisk całego kierownictwa partyjnego i wojskowego w okręgu południowo-zachodnim Chin i w prowincji Seczuan. Zwolnionych oskarża się o próby utworzenia „niezależnego królestwa".
26-5-67	W Czechosłowacji powołano do życia zespół uczonych, który ma przestudiować możliwości zmian systemu politycznego po realizacji wprowadzanych obecnie reform gospodarczych.
27-5-67	Papież mianował arcybiskupa K. Wojtyłę kardynałem. Arcybiskup B. Kominek i biskupi: F. Jop, J. Drzezga i W. Pluta mianowani zostali „administratorami apostolskimi terytoriów, które znalazły się pod polską administracją po konferencji poczdamskiej". Ponadto został kardynałem arcybiskup Król, Amerykanin polskiego pochodzenia.
28-5-67	Prezydent Nasser grozi zamknięciem kanału suezkiego w wypadku interwencji zewnętrznej w konflikcie arabsko-izraelskim. Nigeria — secesja prowincji południowych.
29-5-67	Premier Kossygin wysyła depeszę do Nassera, zapowiadającą „pomoc w walce" i niedopuszczenie do interwencji jakiegokolwiek innego kraju.
30-5-67	Spotkanie „na szczycie" przywódców państw Wspólnego Rynku w Rzymie, w 10 rocznicę utworzenia EWG. Otwierając posiedzenie prezydent Saragat wypowiada się za przyjęciem W. Brytanii do Wspólnego Rynku.
31-5-67	Król Jordanii Hussein i prezydent Zjednoczonej Republiki Arabskiej Nasser podpisują pakt obrony. 10 sowieckich okrętów wojennych wpływa na morze Śródziemne.

KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
Londyńska premiera „Pasji wg. Ś. Łukasza Pendereckiego, która odbyła się w Festival Hall'u została entuzjastycznie powitana przez krytyków.	Dyr. gen. MSZ Jerzy Michałowski mianowany został ambasadorem PRL w Waszyngtonie, na miejsce zmarłego E. Drożniaka.
	W Londynie odbyły się uroczyste obchody 25-lecia utworzenia 3 Dywizji Strzelców Karpackich.
W archiwach watykańskich znaleziono włoską mutację *Merkurjusza Polskiego Ordynaryjnego* z 1661 roku. Wersja włoska różni się nieco od polskiej, zawierając więcej wiadomości o Polsce.	
Prasa zachodnia donosi, że wielu wybitnych pisarzy sowieckich zbojkotowało ostatni zjazd pisarzy. Szołochow oskarżył Erenburga o zainicjowanie bojkotu.	Radio Praga podało, że współpraca polsko-czeska w produkcji traktorów natrafiła na szalone trudności.
	65 letni żeglarz brytyjski Sir Francis Chichester zakończył samotną podróż na jachcie dokoła świata, bijąc wszystkie poprzednie rekordy.
W ramach Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego w Londynie, teatr z Czechosłowacji wystawił „Proces" Kafki, jako przykład „czechosłowackiego teatru absurdu".	Prasa brytyjska zamieszcza szereg artykułów potępiających naciski władz PRL na firmy na Zachodzie, by nie zamieszczały ogłoszeń w londyńskim *Dzienniku Polskim*.
Dziennik szwedzki *Dagens Nyheter* zamieścił wiadomość z Moskwy, że dwaj pisarze rosyjscy Siniawski i Daniel mają być wkrótce zwolnieni z obozu pracy.	
	W NRD odbyły się manewry wojsk polskich, sowieckich i wschodnio-niemieckich, pod kierownictwem M. Spychalskiego.

DATA	POLITYKA
1-6-67	W Paryżu ogłoszono program wizyty prezydenta de Gaulle'a w Polsce. Prezydent ma odwiedzić Warszawę, Kraków, Oświęcim i Gdańsk.
2-6-67	W Izraelu powstaje rząd koalicyjny. Ministerstwo Obrony obejmuje gen. Mosze Dayan.
3-6-67	W Ameryce ogłoszono, że straty amerykańskie w ubiegłym tygodniu osiągnęły najwyższy poziom: 2941 żołnierzy, w tym 313 zabitych. W maju nad Północnym Wietnamem, Amerykanie stracili 36 samolotów.
4-6-67	Premier Wilson przeprowadza w Waszyngtonie rozmowy z prezydentem Johnsonem na temat kryzysu na Bliskim Wschodzie.
5-6-67	W Bonn ogłoszono, że rząd NRF gotów jest podjąć rozmowy na wysokim szczeblu z przedstawicielami NRD. Uważa się to za całkowitą zmianę dotychczasowej polityki.
6-6-67	Walki na granicy egipsko-izraelskiej. Siły zbrojne Izraela odnoszą pierwsze sukcesy w pustyni synajskiej i w powietrzu. Bitwa w Jerozolimie. Stany Zjednoczone i W. Brytania ogłaszają neutralność. Z powodu kryzysu na Bliskim Wschodzie gen. de Gaulle odwołuje wizytę w Polsce.
7-6-67	Lotnictwo Izraela uzyskuje całkowitą przewagę w powietrzu, a armia lądowa rozbija główne siły Egiptu i Jordanii. Mocarstwa Zachodnie uzyskują zgodę Sowietów w Radzie Bezpieczeństwa na rezolucję w sprawie bezwarunkowego zawieszenia broni. Nasser zamyka kanał suezki i twierdzi, że samoloty amerykańskie i brytyjskie pomagały Izraelowi.
8-6-67	Wojska Izraela opanowały Sharm el Sheik otwierając w ten sposób zatokę Akaba. Rząd izraelski gotów jest nakazać zaprzestanie walk, jeśli kraje arabskie zrobią to samo.

KULTURA I NAUKA

UNESCO ogłosiło dane dotyczące publikacji książek na świecie: Na pierwszym miejscu pod wzg. tytułów stoi Związek Sowiecki: 78.204 pozycje, na drugim Stany Zjednoczone: 28.451. Polska wydała w 1964 r. 8.260 tytułów.

W Koszalinie obraduje 16 Zjazd Związku Pisarzy Polskich z udziałem W. Kraśki i L. Motyki. Zjazd przyjął większością głosów rezolucję S. Kisielewskiego, nakładającą na cenzorów obowiązek uzasadniania obcięć czy zmian w tekstach.

W Rumunii przeprowadza się na szeroką skalę „de-rusyfikację" historii. Wiele podręczników i książek przepisuje się na nowo.

Nagrodę Księgarzy dla młodych pisarzy otrzymali w Polsce A. Brycht za „Dansing w Kwaterze Hitlera" i E. Stachura za „Falując na Wietrze".

We wszystkich hotelach „Cedok" w Czechosłowacji można będzie nabywać 40 czołowych czasopism zachodnich, m.in.: *Time, Life, Daily Express, France Soir, Figaro, Der Spiegel, Stern.*

Szef Głównego Zarządu Politycznego sowieckich sił zbrojnych gen. Jepiszew domaga się, by temat bohaterstwa i patriotyzmu w literaturze przedstawiany był z pozycji soc-realistycznych.

RÓŻNE

Rada Państwa mianowała prof. Resicha Prezesem Sądu Najwyższego, na miejsce prof. Wasilkowskiego.

Minister handlu zagranicznego NRD odwiedził targi w Hanowerze. Była to pierwsza wizyta przedstawiciela NRD w Niemczech Zachodnich na tak wysokim szczeblu.

Turyści zagraniczni mogą przyjeżdżać do Jugosławii na tygodniowy pobyt bez paszportu. Jeśli zatrzymują się w hotelach turystycznych, nie muszą meldować się na policji.

Sekretarzem Zarządu Głównego ZMS został 31 letni inż. Jan Maj.

DATA	POLITYKA	KULTURA I NAUKA	RÓŻNE
9-6-67	Egipt przyjmuje zawieszenie broni. Kraje arabskie wstrzymują dostawy ropy naftowej dla krajów, „które udzielały poparcia Izraelowi". Wojska Izraela podejmują ofensywę na froncie syryjskim.		Jean Rey, Belg, wybrany został przewodniczącym przyszłej Komisji połączonych Wspólnot Europejskich: Wspólnego Rynku, Węgla i Stali i Euratomu. Jest on uważany za zwolennika poprawy stosunków z krajami Europy Wschodniej.
10-6-67	Prezydent Nasser ogłasza swą rezygnację, po czym „na żądanie społeczeństwa" pozostaje na stanowisku prezydenta.	Studio filmowe w Łodzi przygotowuje film dokumentalny poświęcony sylwetce i dziełom malarza Feliksa Topolskiego, zamieszkałego w Londynie.	
11-6-67	Sowiety zrywają stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Izrael zapowiada zatrzymanie niektórych zdobyczy terytorialnych, a przede wszystkim całej Jerozolimy. Syria godzi się na zawieszenie broni.	Trzecie wydanie „Krzyżaków" w Bułgarii rozeszło się w ciągu kilku godzin.	
12-6-67	Rząd izraelski dąży do bezpośrednich rokowań z krajami arabskimi. Kraje arabskie ubiegają się o mediację Francji. Pierwsze oznaki anty-sowieckich nastrojów w Egipcie.		Znany publicysta amerykański 77-letni Walter Lippmann przestał pisywać swe cotygodniowe felietony „Dziś i Jutro", które ukazywały się w 300 dziennikach świata.
13-6-67	Wzorem Sowietów, Czechosłowacji i Bułgarii Polska i Węgry zrywają stosunki dyplomatyczne z Izraelem.	W NRF ogłoszono, że na ostatnich Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie skonfiskowano czasowo około 50 książek, m.in. T. Nowakowskiego o Radziwiłłach.	
14-6-67	Odpowiadając na list premiera NRD Stopha, kanclerz NRF Kiesinger wyraził gotowość przeprowadzenia rozmów „na szczeblu specjalnych wysłanników", ale nie zgodził się na rozmowy między obu rządami.		Prezydent Johnson mianował Thurgood Marshall'a sędzią Sądu Najwyższego. Jest on pierwszym Murzynem mianowanym na to stanowisko.
15-6-67	Na posiedzeniu Unii Zachodnio-Europejskiej w Paryżu delegaci 7 państw wypowiedzieli się za przyjęciem W. Brytanii do Wspólnego Rynku 55 głosami, przy 6 wstrzymujących się.		Po zamknięciu przez Egipt kanału Suezkiego i wstrzymaniu dostaw ropy naftowej przez wiele krajów arabskich na rynki zachodnie, Sowiety wystąpiły do szeregu krajów zachodnich z ofertą dostaw ropy i gazu ziemnego po niższych cenach.

Listy do Redakcji

Nowy Jork, 8 maja 1967.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem zapoznałem się z recenzją mojej książki *(The Rise of the Soviet Empire)*, pióra p. Michel Garder, autora znanego dzieła „Agonia reżymu w ZSSR" („Kultura" nr 4/234/67). Jak każdy autor przeczytałem pochwały z przyjemnością. Niektóre uwagi krytyczne wydają mi się słuszne. Pewne niedociągnięcia mojej pracy wynikają z założenia by napisać rzecz możliwie krótką, inne z konieczności przemawiania do anglo-saskiego czytelnika w jedyny sposób jaki wydawał mi się właściwy. Dlatego starałem się twierdzenia poprzeć faktami lub dokumentami, unikałem uogólnień i narzucania wniosków.

Jeżeli teraz, wbrew moim zwyczajom, zabieram głos w sprawie tej recenzji, to głównie dlatego by przedłożyć czytelnikom „Kultury" w paru sprawach inne interpretacje niż te, które proponuje p. Michel Garder. Pragnę też wyjaśnić kilka nieporozumień.

Nie ma w mojej książce rozdziału pt. „Armia rekonesansowa", a rozdział pod angielskim tytułem „Revolution and Respectability — The Western Border" nie traktuje o moralności.

Trudno się zgodzić z uwagą recenzenta, że „w dziedzinie wojskowej" nie doceniłem znaczenia Rapalla, skoro napisałem że przyczyniło się ono do powstania armii, przy pomocy której Hitler zdobył Europę. W tym samym, bardzo krótkim rozdziale, zwróciłem uwagę, że komunistyczna Rosja trzykrotnie podjęła inicjatywę zbliżenia z Niemcami, co doprowadziło do układów w Brześciu (1918), w Rapallo (1922) i do paktu Mołotow-Ribbentrop. Celem była zawsze ekspansja ruso-komunizmu na zachód i skomunizowanie Niemiec. Sądzę, że p. Michel Garder zniekształca znaczenie tej polityki zwężając zagadnienie do „nienawiści" Stalina do niemieckich socjaldemokratów.

Podobnie myląca jest pretensja do Stalina, że w Hiszpanii zwalczał także niekomunistyczną lewicę. Celem Moskwy były zakamuflowane rządy komunistów, wobec czego demokratyczna lewica musiała być zaliczona do rzędu jej wrogów.

Myślę też, że p. Michel Garder przecenia w konflikcie sowiecko-chińskim znaczenie „gniewu" Mao na Chruszczowa oraz „religijnej istoty rosyjskiego i chińskiego komunizmu". Wiele czynników składa się na ten konflikt. Ale trzeba się przebić przez gęste dymy dialektyki i propagandy by dojść do sedna rzeczy. Wtedy widać, że naprawdę chodzi o bardzo konkretne sprawy, o *power politics* w najszerszym tego słowa znaczeniu, a nie o bizantyjskie finezje komunistycznej liturgii.

W krótkiej części teoretycznej wyraźnie podkreśliłem, że komuniści odrzucają tradycyjny podział na „pokój" i „wojnę" i zgadzam się pod tym względem z p. Michel Garder. Natomiast teza jego, że „'trzeci konflikt światowy' zakończył się 'zawieszeniem broni' w Moskwie" w 1963 r. wydaje mi się bezpodstawna. Przypuszczam, że ma na myśli układ moskiewski o częściowym zakazie prób atomowych, którego w żadnym razie nie można uważać za amerykańsko-rosyjski rozejm. Po pierwsze dlatego, że wyścig broni atomowych trwa, po drugie ponieważ nie może być rozejmu jednostronnego. Waszyngton niewątpliwie pragnie odprężenia z Moskwą i niektórzy Amerykanie poszliby może i dalej w tym kierunku. Ale komunistyczna Rosja proponuje tylko swoją odmianę „pokojowego współistnienia", z którego interpretacją w mojej książce p. Michel Garder przecież się zgadza. Nie ma rozejmu i „wojna-pokój" (zapożyczając od mego recenzenta to trafne wyrażenie) trwa nadal. Czy to nazwiemy 3-im czy 4-ym konfliktem światowym jest bez praktycznego znaczenia.

Trudno też przyjąć tezę p. Michel Garder, że Chruszczow nie rozbił konferencji paryskiej 1960 roku. Widzę w tym skłonność do niedoceniania przeciwnika. Mimo znanych wad, Chruszczow nie jest głupcem. Oczywiście zamierzał spróbować szantażu. Ale wbrew temu co p. Michel Garder pisze dostępne dotąd informacje wskazują, że z góry spodziewał się odmowy Eisenhowera na ultymatywne żądania jakie mu postawił na plenum konferencji. Gdyby Stany Zjednoczone upokorzyły się i żądania przyjęły powstałaby, rzecz prosta, nowa sytuacja i Chruszczow konferencji by nie rozbił. To że prezydent de Gaulle pierwszy zorientował się w tej grze jest tylko jednym z wielu dowodów jego wyjątkowego politycznego talentu. Natomiast twierdzenie, że to de Gaulle a nie Chruszczow rozbił konferencję paryską, w braku konkretnych dowodów, wydaje się sofizmatem.

Wreszcie dlaczego nie zakończyłem książki „wizją przyszłości"? Celem tej pracy nie była spekulacja lecz zapoznanie czytelników, w wielkim skrócie co prawda, lecz na podstawie faktów i dokumentów, z tym co się w omawianej dziedzinie działo i dzieje. Niestety nie widzę dotąd agonii reżymu sowieckiego. Na wewnątrz, mimo poważnych trudności gospodarczych i wrzenia wśród intelektualistów, władza pozostaje w rękach reżymu totalitarnego, na którego decyzje wpływ społeczeństwa jest żaden. Na zewnątrz, mimo dylematu chińskiego, kłopotów z utrzymaniem w ryzach niektórych satelitów i zarazka policentryzmu wśród partii komunistycznych, Związek Sowiecki pozostaje nadal wielką potęgą światową. W ostatnich słowach drugiego wydania zwróciłem uwagę na wznawianie przez komunistów taktyki frontów ludowych. Łącznie z doktryną o rzekomo „pokojowym" współistnieniu i ruchami tzw. „wyzwolenia narodowego" jest ona jednym z filarów aktywnej, przeważnie zaczepnej polityki zagranicznej Sowietów.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Jan LIBRACH

◆

Londyn, 16 maja 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule opublikowanym w kwietniowym numerze „Kultury" p. Z. Jordan poruszył ciekawy, lecz trudny problem perspektyw ewolucji marksizmu, wysuwając tezę, że ewolucji tej sprzyjają dwa czynniki: działająca od wewnątrz partii komunistycznej „presja napięć i konfliktów, jakie (ideologia marksistowska) sama w przeszłości stworzyła i jakich nie rozwiązała" oraz zewnętrzne oddziaływanie na nią rozwoju cywilizacji przemysłowej — właściwego jej zespołu postaw umysłowych, które popadają „w konflikt z rządami autokratycznymi, zamkniętą elitą władzy i dogmatyczną ideologią".

Autor przestrzegł ostrożnie, że przewidywania te nie są zbyt pewne i wymienił szereg zastrzeżeń, obawiam się wszakże, że ich nie wyczerpał i dlatego

pozwolę sobie naszkicować tu kilka innych, bez pretensji, by i one miały być wyczerpujące. Mam jednak nadzieję, że głównych już nie zabraknie.

Zacznę od zwrócenia uwagi na tę ważną przemianę w „marksizmie praktycznym" (w terminologii p. Jordana), czyli w ruchu komunistycznym, która polega na tym, iż po prostu zatraca on stopniowo coraz bardziej swą dawną ideowość czy doktrynalność. Nie w tym sensie, by zmieniał swą ideologię, lecz w tym sensie, że się odsuwa od wszelkiej w ogóle ideowości, że zawiera jej coraz mniej — że marksizm zatraca swą dawną rolę motoru dynamizującego partię na rzecz innych, nowych, nie-ideologicznych czynników, które tę dynamizującą rolę w partii przejmują.

Głównym takim nowym czynnikiem, który wysuwa się coraz bardziej na czoło i który spycha doktrynę i ideologię na coraz dalsze miejsce jest po prostu sam dynamizm rozwoju państwa przemysłowego jako pioniera i organizatora cywilizacji przemysłowej na Wschodzie. Dynamizm ten żywi sam siebie, rozwija się i wzmaga pobudzany swoim własnym działaniem. Już samo utrzymywanie w ruchu tej olbrzymiej machiny, jaką jest wyłącznie odgórnie kierowane komunistyczne państwo przemysłowe, zużywa nieprawdopodobne ilości energii i to właśnie naczelnego kierownictwa politycznego, które jest zarazem naczelnym kierownictwem gospodarczym. A trzeba jej wciąż więcej i więcej dla organizowania rozwoju, który wybucha jako konieczność sam z siebie bez jakiegokolwiek udziału ideologii, jest mu ona bowiem niepotrzebna, jest też na nią coraz mniej czasu i energii myślowej. Tu mamy właśnie to naczelne prawo rozwijającej się cywilizacji przemysłowej, którego działanie obserwujemy także tu na Zachodzie, bo i tu także rozwija się ona siłą swego własnego działania, które wymaga coraz więcej energii, inicjatywy i improwizacji, a nie ideologii. Coraz bardziej widoczne się staje, że tu i tam, na Zachodzie i Wschodzie, cywilizacja przemysłowa niszczy lub podporządkowuje sobie wszelkie dotąd niezależne od niej elementy ideologii i kultury. Wszystkie te objawy występować muszą z najwyższą siłą w komunistycznym państwie przemysłowym, gdzie naczelnego kierownictwa nie może odciążyć ani wyręczyć rynek lub planowanie prywatne.

Naszkicowany powyżej proces nie jest spekulacją, możliwością przyszłej ewolucji czy odległą perspektywą — lecz faktem w dużej części już dokonanym. Na Zachodzie jednym z jego odkrywców i krytyków jest wybitny ekonomista amerykański, profesor J. K. Galbraith — że powołam się tu tylko na niedawno przez niego wygłoszone „Reith Lectures", w których bardzo wymownie wskazał na zagrożenie wartości kulturalnych i ideologicznych, jakie niesie rozwój cywilizacji przemysłowej na Zachodzie. W odgórnie kierowanym komunistycznym państwie przemysłowym ten proces wygryzania elementów ideologicznych musi działać z jeszcze większą siłą. Gdy na Zachodzie jest on mało widoczny, bo powolny i narastający od dołu, na Wschodzie postępuje szybko, bo rozwija się od góry od czasu wprowadzenia planowania centralnego na skalę ogólnokrajową. Nie polega on na tym, że w partii komunistycznej rosną wpływy technokratów i manadżerów, lecz na tym, że cała partia coraz bardziej żyje po prostu swoim działaniem polegającym na kierowaniu państwem przemysłowym i jego dalszym rozwojem.

Przemianę tę przesłaniały dotąd różne hasła i etykiety, tworzone bądź przez samą partię, bądź przez jej zachodnich krytyków — jak „budowanie socjalizmu w jednym kraju", „budowanie bazy", „biurokratyzacja partii", „nowa elita", „hipertrofia państwa", „nowa klasa wyzyskująca" i tp. — które utrudniały zrozumienie jej istoty. Zewnętrznym przejawem tej przemiany i towarzyszącej jej szybkiej „de-ideologizacji" partii są trzy następujące fakty. Główni wodzowie ruchu komunistycznego stają się coraz mniej ideologami równolegle ze wzrostem ich energii praktycznej, energii działania i organizacji. Widać to doskonale na osobach trzech kolejnych wodzów

komunizmu rosyjskiego: postacie Lenina, Stalina i Chruszczowa wyraźnie wskazują kierunek ewolucji partii: stopniowy spadek energii i twórczości ideologicznej. Wraz z tym maleje również rola ich pomocników ideologicznych. Jeszcze silniej zaznacza się to w tych partiach, które nie miały od początku ambicji ideologicznych bądź powstały jako twory koniunktury politycznej, jak było w większości krajów satelickich. Trzecim faktem, który warto tu podkreślić, jest widoczne osłabienie nurtu ideologicznego w życiu całej partii: kongresy jej odbywają się rzadko i są ideologicznie jałowe, dominują na nich coraz bardziej bieżące sprawy polityczne, wewnętrzne lub międzynarodowe, jak również międzypartyjne.

Oczywiście mowa tu wciąż o „marksizmie praktycznym", obok którego istnieje „marksizm ideologiczny", który może żyć tylko ewolucją swej ideologii. Chodzi jednak o to, że w miarę słabnięcia w partii nurtu ideologicznego maleje również znaczenie tego „marksizmu ideologicznego" bo staje się on coraz bardziej sprawą peryferyjną, bo maleją szanse jego wpływu na „marksizm praktyczny", czyli na partię i jej kierownictwo. „Marksizm ideologiczny" jest gałęzią wyraźnie usychającą. Słabe są nadzieje, by partia mogła ewoluować pod wpływem jakiejś ewolucji ideologicznej wewnątrz samej partii. Nowy, zasadniczo zmieniony charakter partii, w której jej dawna „religia" staje się już dziś „figurą retoryczną" — wedle określenia sienkiewiczowskiego Petroniusza — sprawia, iż nie jest już ona urodzajnym gruntem dla jakiejkolwiek ideologii czy jej rewizji.

W artykule swym p. Jordan wymienia pewne cechy cywilizacji przemysłowej, które sprzyjają liberalizacji stosunków w krajach opanowanych przez komunizm. Nie można jednak zapominać, że cywilizacja ta umożliwia również rozwój takich form działania, które wzmagają wielokrotnie siłę i zasięg władzy oraz jej przewagę nad jednostką i społeczeństwem. Mam tu na myśli przede wszystkim rozwój techniki organizacyjnej oraz rozwój środków oddziaływania masowego, ale oczywiście także cały system państwa komunistycznego, który koncentrując w jednym ręku czy ośrodku całą władzę gospodarczą i polityczną uzależnia od siebie w sposób maksymalny i niebywale wszechstronny tak wszystkie jednostki jak i całe społeczeństwo — co stało się możliwe tylko dzięki środkom cywilizacji przemysłowej.

Rozmiary listu nie pozwalają mi rozwinąć tych szkicowych uwag. Zmierzają one do wniosku, że możliwości ewolucji marksizmu zależą w większym stopniu od tych wpływów, które mogą nań oddziaływać z zewnątrz — o ile dane społeczeństwo przez komunizm opanowane jest jeszcze w stanie wpływ jakiś wywierać. Marksizm został stworzony przez ludzi i tylko ludzie mogą go zmienić lub pogrzebać. Ci nowi ludzie mogą oczywiście wyjść z partii lub spoza partii — tego nie da się przewidzieć, choć ta druga możliwość wydaje się nieskończenie bardziej prawdopodobna i to nie tylko statystycznie. Jedno natomiast można przewidzieć — to mianowicie, że wpływ tych nowych ludzi i ich nowych idej wtedy tylko będzie skutecznie oddziaływać na partię, gdy będzie wsparty przez społeczeństwo, bo tylko ono ma wystarczającą siłę zdolną przemóc współczesną technikę organizacji i władzy. Wymaga to jednak wzmożonej aktywności społeczeństwa — to jest ten warunek konieczny i wystarczający jakiejś zmiany na lepsze. I dlatego nie liczmy — za marksistami — że zmiany przyjdą same, drogą nieuniknionej ewolucji, którą spowoduje sam rozwój podłoża materialnego — bo taka wiara może tylko osłabić aktywność tych, od których jedynie zmiana wyjść może.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego wysokiego poważania,

Jan OSTASZEWSKI

New York, 11 maja 1967.

Szanowny Panie Redaktorze!

Biadolenie p. A. Hertza w „Kulturze" (artykuł rozmowy z rodakami?!) w którym twierdzi, że w Polsce panuje Endokomuna jest niestety przedwczesne.

Chacun à son goût, dlatego też większość Polaków jutro wróciłaby do Kraju gdyby tak było. Niestety poważny głos stale jeszcze ma tam Żydokomuna.

Z poważaniem,

Ludwik SŁOMIŃSKI

◆

Madryt, 8 maja 1967 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan był tak uprzejmy, że umieścił Pan w swoim czasie mój „list do redakcji", w którym apelowałam do społeczeństwa emigracyjnego o pomoc w wydaniu książki mego śp. Męża, Wojciecha Zaleskiego, „Dzieje Górnictwa i Hutnictwa na Górnym Śląsku (do r. 1806)".

Pragnę tą samą drogą zawiadomić teraz to społeczeństwo, że w wyniku apelu mojego, ogłoszonego w szeregu pism, otrzymałam całkiem sporą ilość zgłoszeń przedpłaty, co skłoniło mnie do powzięcia decyzji rozpoczęcia druku.

Wprawdzie pozostaje jeszcze spory deficyt, ale mam nadzieję, że dalsze przedpłaty go usuną, lub zmniejszą.

Książka już się drukuje i obejmie przeszło 400 stron dużego formatu. Cena w przedpłacie wynosi 6 dolarów amerykańskich, lub 2 funty angielskie, 30 franków francuskich, 24 marki niemieckie. Wpłacać można pod adresami pp.:

Juliusza Grządziela, Box 124, Kraków, Wisconsin, U.S.A.;
Janiny Giertychówny, 16 Belmont Road, London N.15.;
W. Olszewskiego, 39, Av. de la République, 95-Bessancourt, Francja;
St. Czaplińskiego, Caixa postal 2378, Curitiba, Parana, Brasil.

Z dniem 1 sierpnia br. przedpłata zostanie zamknięta, a cena podwyższona o 50%.

Łączę wyrazy poważania,

Antonina ZALESKA

◆

OŚWIADCZENIE

Państwo Izraelskie jest dziś zagrożone w swym istnieniu. Dwa miliony Żydów, z których wielu uszło cudem hitlerowskiej rzezi poddane są szantażowi Nassera, grającego na fanatyzmie czterdziestu milionów Arabów, Związek Sowiecki ten szantaż popiera i podnieca.

Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, gwaranci Izraela, powtarzają gest Poncjusza Piłata.

Polacy, których łączą z Żydami wieki współżycia na jednej ziemi, którzy byli świadkami ich eksterminacji przez wspólnego wroga, którzy wiedzą co oznacza zagrożenie samego bytu państwowego i narodowego, oraz zdrada potężnych aliantów nie mogą pozostać obojętni wobec tej sytuacji.

W Polsce prasa, poddana interesom sowieckiej polityki zagranicznej. wyraża swą solidarność z Arabami. Uważamy za obowiązek moralny polskiej

emigracji politycznej wyrażenie wszelkimi środkami, którymi dysponuje, solidarności z państwem Izraela, jego narodem walczącym i z Żydami, którzy w diasporze prawa do istnienia tego państwa bronią.

5 czerwiec 1967 r.

Maria CZAPSKA,
Józef CZAPSKI,
Konstanty A. JELEŃSKI,
Stanisław VINCENZ,
Aleksander WAT.

WYJAŚNIENIE

Yale University, New Hawen, 12 czerwca 1967.

W związku z olbrzymią dyskusją jaka ostatnio toczy się na łamach prasy Izraelskiej, wychodzącej w języku polskim, wokół mojego artykułu o antysemityzmie („Kultura" 7/8, 1966), pragnę oświadczyć:

Odpowiedzi na listy jakie nadeszły do redakcji „Kultury" nie zostały opublikowane tylko i wyłącznie z mojej winy, ponieważ uważałem że dyskusja wokół tak ważnego zagadnienia powinna się toczyć na pewnym poziomie.

Listy nadesłane w tej sprawie, zarówno z jednej jak i drugiej strony, były przeważnie na poziomie infantylnym nie nadającym się do dyskusji na temat tak poważny, jakim jest zagadnienie antysemityzmu.

Byłem przygotowany na opublikowanie drugiego artykułu w tej sprawie, jednak ze względu na zaistniałą sytuację polityczną w jakiej znalazł się Izrael, byłoby z mojej strony dużym nietaktem poruszać to zagadnienie właśnie w tym momencie.

Powrócę do tego zagadnienia ponownie z chwilą, gdy będzie to możliwe.

Z poważaniem,

Stanisław MROCZKOWSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W. 4. — Telefon: 01-994-1860

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury". Wacław IWANIUK,
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 3e Trimestre 1967.

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM 140

SERIA - "ZESZYTY HISTORYCZNE"

ZESZYT JEDENASTY

Styczeń 1967

zawiera m.in. prace:

J. Weinsteina: *Władysław Studnicki w świetle dokumentów hitlerowskich II wojny*

St. Kota: *Wspomnienia* (Cz. I.)

M. Młotka: *Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich* (Cz. I.)

T. Nowackiego: *Ludowe wojsko polskie*

St. Lubodzieckiego: *Wspomnienia oficera drugiej grupy*

Str. 240. Cena 15 F (dol. 3,00; 20/-)

◆

TOM 141

OLGA SCHERER

W CZAS MOROWY

Powieść

Str. 208. Cena 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)

◆

TOM 142

ALICJA ZAWADZKA-WETZ

REFLEKSJE PEWNEGO ŻYCIA

Wspomnienia

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula « (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	$ A 1,00	$ A 5,35	$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300.000 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584. **Jerzy Pomian-Piatkowski,** rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w ksiegarniach polskich w **Paryzu**	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. : 1533311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto 3, Ont, **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. Montreal 28, Quebec, tél. : HU 8-5224; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **Jozef Polkowski,** 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa, télephone : 233-7212.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ..	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Av., Hollywood 46, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; **Adam J. Galinski,** 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; **T. Konopacki,** 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305 ; **Christian M. Kretowicz,** 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; **Stefan Kozlowski,** 1212 Donald Ave., Lakewood, Ohio 44107; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083; **Polish Amer, Book C°** 1136 Milwaukee Av., Chicago III. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; **R. J. Sas-Babczynski,** 9530 East Rosecrans Ave, Bellflower, Cal.90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik,** 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; **Jan Zych,** 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18.228-56.

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 143

BONIFACY MIĄZEK

ZIEMIA OTWARTA

P o e z j e

Str. 40 — Cena egz. 6 F (dol. 1,25; 9/-)

◆

TOM 144

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

POLITYCZNE NEUROZY

Jak należy ustosunkować się do Rosji? Jakie błędy popełnili powstańcy węgierscy? Gdzie leżą źródła naszej anty-rosyjskiej neurozy? Na powyższe pytania, i na wiele innych, stara się dać odpowiedź autor w swoim nowym tomie esejów.

Str. 192 — Cena egz. 13,50 F (dol. 3,00; 20/-)

◆

TOM 44

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

Nowe wydanie głośnej powieści, wraz ze
STENOGRAMEM OGÓLNEGO ZEBRANIA PISARZY MOSKIEWSKICH
z dnia 31 października 1958 r.
na którym potępiono Borysa Pasternaka za wydanie zagranicą
„DOKTORA ŻIWAGO"
Przekład *Pawła Hostowca.*
Wiersze oraz Stenogram w przekładzie *Józefa Łobodowskiego.*

Str. 544 — Cena egz. 26 F (dol. 5,50; 38/6)

Cena 7,50 F

Richard S.A., 24, rue Stephenson - Paris